

Lauren Beukes

# **ZOO City**

Przełożyła Katarzyna Karłowska

# CZEŚĆ PIERWSZA

# 1

*W Zoo City nie wypada zadawać pytań.*

Poranne światło w siarkowym kolorze kopalnianych hałd rozlewa się po niebie nad Johannesburgiem i przeżera na wskroś moje okno. Mój prywatny Bat-reflektor. Albo raczej pouczenie, że najwyższy czas szarpnąć się na zasłony.

Oślaniając oczy – dzień wstał i tak prędko się nie położy – odrzucam narzutę i pryskam z wyra. Benoit ani drgnie, spod kołdry wystają jego zrogowaciałe stopy, podobne do sękatych kłoców drewna wyrzuconych przez morze. Te stopy to kawał historii. Ponoć całą drogę z Kinszaszy przewędrował pieszo, ze swoją Mangustą przypasaną do piersi.

Rzeczona Mangusta leży zwinięta w kłębek na moim laptopie, podobna do futrzastego przecinka; ledy pulsują tuż pod jej nosem. Jakby nie wiedziała, że mój komputer to strefa zakazana. Bo przecież traktuję swoją pracę z nabożeństwem. Nie mówiąc o tym, że ta praca jest nie całkiem legalna.

Chwytam laptopa z drugiej strony i delikatnie przechylam go poza krawędź biurka. Przy trzydziestu stopniach Rikki-Tikki-Tavi zaczyna się zsuwać po pokrywie. Przytomnieje gwałtownie, przebiera pazurkami w poszukiwaniu równowagi. A potem, już

spadając, skręca się w powietrzu i jakoś ląduje na czterech łapach. Garbi pasiasty grzbiet i syczy na mnie z obnażonymi zębami. Odsyкую. W tym momencie do Mangusty dociera, że powinna się pilnie zająć swoimi pchłami.

Zostawiam ją, żeby sobie pograła w golfa na własnym zadku, i daję nura pod zapętlone sznury zwisające z sufitu, które robią za amazońskie liany. Wędruję po przegniłym linoleum w stronę szafy, aczkolwiek nazywanie tego czegoś szafą to lekka przesada, tak jak lekką przesadą jest nazywanie mieszkaniem tej zawilgoconej nory z podejrzaną krzywą podłogą i histerycznymi instalacjami wod.-kan. Szafa to po prostu postawiona na sztorc skrzynia bez wieka, do której przypinam kawał tkaniny, dla ochrony ubrań przed kurzem – i oczywiście przed Leniwcem. Kiedy odsuwam wzorek z jaskrawych słoneczników, Leniwiec mruga do mnie sennie z grzędy między drucianymi wieszakami, podobny do bezkształtnego damskiego futra. Nie radzi sobie z porannym wstawaniem.

Od futra i pazurów Leniwca bije bagiennym smrodkiem, ale to naturalny, czysty zapach w porównaniu z fetorem gnijących śmieci i czarnej pleśni, którym wionie od klatki schodowej. Wzgórza Elizejskie – bo tak szumnie nazywa się mój blok – zostały przeznaczone do rozbiórki wiele lat temu.

Wsuwam rękę obok Leniwca i wywlekam

staroświecką granatową sukienkę z białym kołnierzykiem, dokładam dzinsy i japonki, na koniec drapuję limonkową apaszkę na dredach, które skutecznie maskują zniekształcony wrak mojego lewego ucha – nazwijmy tę kreację: „Grace Kelly robi za Czarodziejkę z Księżyca”. To komentarz nie tyle do mojego stylu, ile do budżetu. Kiedyś zaliczałam się do tych dziewczyn, które zaopatrują się w skandalicznie drogich butikach z odjazdowymi ciuchami. Ale to było w PŻ. Czyli w Poprzednim Życiu.

– Ruchy, koleś – mówię do Leniwca. – Klienci nie mogą czekać.

Leniwiec kicha przeraźliwie, z dezaprobatą i wyciąga do mnie długie, puchate łapy. Wdrapuje się na moje plecy, wydziwiając i kitłaszac się, zanim wreszcie mości się wygodnie. Kiedyś się niecierpliwiłam. Ale z czasem ten rytuał stał się dla nas dwojga rutyną.

Jeszcze się nie naszprycowałam kofeiną, dlatego dopiero po chwili rejestruję monotony odgłos skrobania – to Mangusta drapie pazurami we frontowe drzwi z nachalnym samozaparciem.

Posłusznie odsuwam podwójny rygiel i otwieram kłódkę z wygrawerowanymi zakłęciami, podobno opracowanymi tak, żeby ci z *shavi* nie dali rady przeniknąć przez drzwi zamknięte na klucz. Wystarcza szczelina i Mangusta przeciska się między

moimi łydkami, a potem biegnie truchtem w głąb korytarza, w stronę ogólnodostępnej kuwety. Znaleźć ją to pryszcz. To najbardziej śmierdzące miejsce w budynku.

– Załatw ty sobie wreszcie kocie drzwiczki. – Benoit w końcu się obudził i wsparty na łokciu zezuje teraz na mnie spod daszka zrobionego z palców – bo oślepiający blask, który bije od wieży Ponte, przeniósł się na jego stronę łóżka.

– Po co? – pytam, przytrzymując drzwi stopą w oczekiwaniu na nieuchronny powrót Mangusty. – Wprowadzasz się?

– A zapraszasz?

– Nie rozgaszczaj się tutaj, tyle tylko chcę powiedzieć.

– I tylko tyle?

– Weź się nie wymądrzaj.

– Nie bój się, *cherie na ngayi*. Nikt się tu nie rozgości, masz wyboiste łóżko. – Benoit przeciąga się leniwie, odsłaniając mapę z blizn na barkach i jakby plastikową, spaloną skórę na gardle i piersi. Zwraca się do mnie „moja ukochana”, tyle że w języku lingala, dzięki czemu łatwiej to lekceważyć. – Robisz śniadanie?

– Dostawa towaru – mówię, wzruszając ramionami.

– Masz dzisiaj coś interesującego? – Uwielbia słuchać o rzeczach, które gubią ludzie.

- Komplet kluczy Pierścionek tej wdowy.
- Pamiętam. Ta szurnięta kobitka.
- Pani Luditsky.
- Zgadza się – mówi Benoit i powtarza po sobie:
- Szurnięta kobitka.
- Dupa w troki, przyjacielu. Ja już muszę iść.  
Benoit robi minę.
- Jest strasznie wczesnie.
- Nie żartuję.
- No dobra, dobra. – Wyplątuje się z łóżka, podnosi dzinsy z podłogi i obleka się w T-shirt upamiętniający jakąś dawną akcję protestacyjną, przejęty w spadku po zbiorce odzieży organizowanej przez metodystów.

Wyławiam pierścionek pani Luditsky z plastikowego kubka wypełnionego środkiem dezynfekującym o nazwie Yik, w którym namoczyłam go na noc, żeby usunąć woń *eau de chambos*, i opłukuję go pod charkoczącym kranem. Platyna z konstelacją szafirów i wąskim, szarym paskiem biegnącym przez środek, tylko lekko zadrapana. Nawet z pomocą Leniwca szukanie tego cholerstwa zabrało trzy godziny.

Ledwie go dotykam i natychmiast czuję szarpnięcie – łącze biegnące ode mnie na podobieństwo nici, tym silniejsze, im bardziej się na nim skupiam. Leniwiec zaciska uchwyt na moim ramieniu, pazury wpijają się w obojczyk.

– Spokojnie, tygrysie – mówię, krzywiąc się. Może z tygrysem byłoby łatwiej. Tylko nikomu z nas nie dano takiego wyboru.

Benoit jest już ubrany, Mangusta robi nerwowe ósemki wokół jego nóg.

– To do zobaczenia później? – pyta Benoit, kiedy wyganiem go za drzwi.

– Może. – Uśmiecham się mimo woli. Ale kiedy próbuje mnie pocałować, Leniwiec odpędza go zaborczym ramieniem.

– Sam nie wiem, które z was jest gorsze – narzeka Benoit, uchylając się. – Ty czy ta małpa.

– Zdecydowanie ja – stwierdzam, zamykając za nim drzwi na klucz.

Od poczerniałych ścian klatki schodowej Wzgórz Elizejskich wciąż lekko bije Cofką, jak od poliestru palącego się w mikrofalówce. Klatka schodowa została zmumifikowana za pomocą żółtej taśmy policyjnej oraz zaklęcia przeciwko niszczeniu dowodów, jakby gliny kiedykolwiek zamierzały tu wrócić i przeprowadzić śledztwo. Martwy zoolus w Zoo City to sprawa o niskim priorytecie, nawet w taki dzień, kiedy chce im się coś zrobić. Większość mieszkańców korzysta teraz z drogi pożarowej, bo nie mogą przejść przez to piętro. A jednak istnieją sposoby na szybsze dotarcie do parteru. Mam talent do znajdowania nie tylko zaginionych rzeczy, ale także skrótów.



Wchodzę ukradkiem do numeru 615, opuszczonego od czasu, gdy pożar dotarł aż tutaj, i złażę przez dziurę w podłodze zapadniętej do numeru 526, wypatroszonego przez złomiarzy, którzy zabrali deski, rury, armaturę – wszystko, co da się sprzedać za działkę.

A skoro już mowa o działkach, to na progu leży nieprzytomny ćpun, z jakimś utyłanym, futrzastym stworem zagnieżdżonym w piersi; oddycha prędko i płytko. Kiedy przestępuję przez niego, pod moimi japonkami chrzęszczą kruche, lśniące szczątki rozbitej żarówki. Za moich czasów, jak się było naprawdę na dnie, paliło się kokę, ewentualnie mandraks. Pokonuję pasaż, który łączy mój blok z blokiem o nazwie Aurum, a potem kładkę pomocniczą. W czym i komu miałyby pomagać, nie wiadomo. Otwieram podwójne drzwi, za którymi kryje się klatka schodowa i egipskie ciemności; już mam jasność, skąd ćpun wytrzasnął żarówkę.

– Czyż nie jest tu romantycznie?

Leniwiec chrząka w odpowiedzi.

– Tak, teraz tak mówisz, ale pamiętaj, że jeśli spadnę, to zabiorę cię ze sobą – klaruję mu, wchodząc w mrok.

Leniwiec jedzie na mnie jak na motorze, pazury się zaciskają, w lewo, w prawo, i potem dwa piętra w dół, do miejsca, gdzie żarówki jeszcze są całe. Niedługo one też znajdą nowe życie, jak na przykład

fajka do metamfetaminy, ale czy nie tak to właśnie się robi w slumsach? Nawet coś, co przybito gwoździami, znajduje nowe przeznaczenie.

Po klaustrofobicznej klatce schodowej wyjście na ulicę przynosi ulgę. Wciąż jest stosunkowo cicho tak wcześnie rano. W oddali sunie miejska polewaczka, która płachtą wody zmywa z asfaltu nocne grzechy. Jeden z owych grzechów umyka tanecznym krokiem, żeby nie dać się opryskać, omal nie tratując obcasami brudnego Wróbla, który płacze mu się między nogami.

Na mój widok zaciąga poły dżinsowej kurtki na gołych piersiach, tak prędko, że nie zdążam stwierdzić, czy urosły za sprawą hormonów czy magicznych zaklęć. A kiedy mijam tę istotę, tę dziwną chłopco-dziewczynę, czuję od niej lepkie macki kilkunastu pasemek zaginionych rzeczy, jakbym się otarła o wici anemonu. Staram się nie patrzeć. Ale i tak przechwytyję zamazane impresje, przypominające nieostrą fotografię. Przed oczyma miga mi złota papierośnica, albo może etui na wizytówki, plastikowa torebka z resztką działki i pantofle na obcasach nabijane czerwonymi cekinami – buty prawdziwej gwiazdy nocnego klubu, jakie mogłaby dostać Dorotka od Oza, gdyby dorosła i została burleskową striptizerką. Leniwiec automatycznie się spina. Klepię go po ramieniu.

– Nie nasza sprawa, koleś.

Jest przewrażliwiony. Problem z tym moim szczególnym darem, albo przekleństwem, zresztą nazwijcie to sobie, jak chcecie, polega na tym, że każdy coś kiedyś zgubił. Dlatego wkraczanie w przestrzeń publiczną przypomina włożenie w jedną wielką płataninę kocich kołysek, jakby ktoś dostarczył kłębki sznurka do domu wariatów i poinstruował pacjentów, że mają powiązać wszystko z wszystkim. U jednych ludzi te sznurki są jak pajęczyny, jak ulotne, nic nieznaczące pasemka, które w każdej chwili mogą odfrunąć. U innych wygląda to tak, jakby wlekli stalowe kable. Jeśli chce się coś znaleźć, trzeba się domyślić, za który wątek należy pociągnąć.

Niektórych utraconych rzeczy nie da się odzyskać. Na przykład młodości. Ani niewinności. Ani (sorry, pani Luditsky) wartości nieruchomości, gdy osaczają ją slumsy. Ale pierścionki to łatwizna. A także: zagubione klucze, listy miłosne, ukochane zabawki, fotografie odłożone na nie swoje miejsce i zaginione testamenty. Raz znalazłam nawet zaginiony pokój. A jednak lubię się zajmować duperelami. Ostatnią z istotnych rzeczy, jakie znalazłam, było paskudne uzależnienie od prochów. I patrzcie, co mi z tego przyszło.

Zatrzymuję się po drodze, żeby kupić sobie pożywne śniadanko, znane także jako *skyf*, od ulicznego sprzedawcy z Zimbabwe stawiającego

właśnie rusztowanie pod stragan. W czasie, gdy sprzedawca wyklada skrzynię z lizakami, przekąskami i fajkami sprzedawanymi na sztuki, jego żona wypakowuje skarby, czyli tanie ciuchy i jednorazową elektronikę z dwóch wielkich *amaShangaan* – toreb w niebiesko-czerwoną kratę, które są tutaj wszechobecne. Wygląda to tak, jakby je wręczano razem z formularzem podania o status uchodźcy. Tu masz tymczasowy dowód osobisty, tu papiery azylanta, a tu darmową torbę z ohydneho plastiku. Tylko nie zapomnij jej wziąć!

Leniwiec szturcha mnie w ucho, kiedy zapalam remingtona golda, który kosztuje o połowę mniej niż stuyvesant. Całe to miasto żyje z kradzionych towarów sprzedawanych za grosze.

– Weź przestań. Tylko jeden. Jeden papieros. No przecież nie będę żyła tak długo, żeby się nabawić rozedmy płuc. – Ale może mnie wessać Cofka, co z kolei sprawia, że rozedma płuc jest jednak atrakcyjnym wyborem.

Leniwiec nie odpowiada, ale czuję, że się zirytował, bo przesuwając swój ciężar, obijając się o moje plecy. W odwecie wydmuchuję dym bokiem ust, prosto w jego niezadowoloną, włochatą twarz. Kicha gwałtownie.

Ruch gęstnieje, taksówki mkną po ulicach z pierwszymi frachtami pasażerów. Korzystam z okazji, by trochę się rozreklamować, wsuwając ulotki

pod wycieraczki zaparkowanych samochodów już stojących rzędem pod redakcją „The Daily Truth”. Wymyślanie newsów wymaga dość wczesnego wstawania.

Zostawiam reklamy w kilku miejscach. W lokalnej bibliotece. W supermarkecie, gdzie wciskam się z nimi między ogłoszenia sprzątaczek ze wspaniałymi referencjami i oferty sprzedaży używanych kosiarek. Naklejam je też na murach wieży telewizyjnej Hillbrow, jako jeszcze jeden element tapety z ulotek zachwalających cudowne lekarstwa na AIDS, tanie skrobanki i proroków.

**ZGUBIŁEŚ JAKIŚ DROBNY PRZEDMIOT, KTÓRY MA DLA  
CIEBIE OSOBISTĄ WARTOŚĆ?**

**POMOŻĘ CI GO ZNALEŹĆ ZA UMIARKOWANĄ OPŁATĄ.  
NIE DOTYCZY NARKOTYKÓW, BRONI, ZAGINIONYCH  
OSÓB.**

Oparłam się pokusie wejścia na rynek masowy i dlatego nie zachwalam swoich usług online. Dzięki temu wszystkim rządzi swoiste fatum, ogłoszenia docierają do tych ludzi, do których mają dotrzeć. Na przykład do pani Luditsky, która w sobotni poranek wezwała mnie do swojego mieszkania w Killarney.

Szacun dla staruszki, że się nie wzdrygnęła na widok Leniwca udrapowanego na moich ramionach.

– Nie możesz być nikim innym, jak tą

dziewczyną z ogłoszenia. No to już wejść. Napijesz się herbaty. – Nie czekając na przyzwolenie, wcisnęła mi w ręce filiżankę z dziwnie tłustawym earl greyem i podreptała przez mroczny korytarz w stronę równie mrocznego salonu.

Mieszkanie pierwotnie urządzone na art deco, w jakiejś dawnej epoce, a potem poddawano je kolejnym renowacjom, co najmniej o jedną za wiele. Ale skoro już o tym mowa, tak również było z panią Luditsky. Jej cera miała transparentny połysk mydła glicerynowego, a oczy dorobiły się lekkiego wytrzeszczu, zapewne spowodowanego wysiłkiem wyrażania się emotywnie, co jest trudne, gdy każdy odpowiedzialny za to mięsień został albo napompowany po brzegi botoksem, albo przymuszony do posłuszeństwa za pomocą lasera. Rzednące włosy koloru pomarańczowego miała ułożone za pomocą żelu w twarde kok, przypominający skorupkę z karmelu na creme brulee.

Herbata smakowała jak zastarzałe końskie szczynty precedzone przez skarpetę bezdomnego, ale i tak ją wypiałam, choćby dlatego, że Leniwiec mnie osyczał, kiedy próbowałam wylać ją ukradkiem do plastikowej orchidei stojącej obok kanapy.

Pani Luditsky przeszła od razu do sedna.

– To mój pierścionek. W centrum handlowym był wczoraj napad z bronią i...

– Jeśli pierścionek został ukradziony, to sprawa

wykracza poza moją jurysdykcję – przerwałam jej. – Kompletnie inny gatunek magii.

– A może będziesz taka miła i pozwolisz mi skończyć? – burknęła starsza pani. – Schowałam się do toalety i pozdejmowałam całą biżuterię, bo wiem, jacy wy, ludzie, jesteście. Znaczą się kryminaliści – dodała pośpiesznie. – Nie chciałam urazić zanimalizowanych.

– Jasne, że nie – odparłam. Ale tak naprawdę wszyscy jak jeden mąż jesteśmy kryminalistami. Jesteśmy mordercami, gwałcicielami, ćpunami. Jesteśmy szumowinami tej ziemi. W Chinach zabijają zoolusów dla zasady. Bo nic wymowniej nie zaświadcza o winie jak wyposażony w specjalne moce zwierzak u twego boku.

– I co się stało, kiedy pani go zdjęła?

– W tym cały problem. Nie mogłam go zdjąć. Nosiałam go od ośmiu lat. Od śmierci tego drania.

– Czyli pani męża?

– Pierścionek został zrobiony z jego popiołów, rozumiesz? Oni je kompresują i wtapiają w platynę w postaci takiego mikrocieńkiego paska. I masz coś absolutnie nie do podrobienia... No więc wracając do sprawy, widziałam, co się może stać, kiedy nie dajesz rady zdjąć pierścionka. Ci, co napadli na kuzynkę moich sąsiadów, odrąbali jej palec jakąś okropną maczetą.

Widziałam dokładnie, do czego to zmierza.

- Więc użyła pani mydła?
- I od razu się ześlizgnął, wpadł do umywalki i stamtąd do kanalizacji.
- Do kanalizacji – powtórzyłam.
- Nie powiedziałam tego?
- Czy mogę? – spytałam i ujęłam dłoń pani Luditsky. To była piękna dłoń, może odrobinę pulchna, ale te zmarszczki i krucha faktura zdradzały, jak bardzo napracowano się nad jej twarzą. Najwyraźniej botoks nie działa na dłonie albo może jest za drogi. – Ten palec?
- Tak, moja droga. Serdeczny palec. Na nim się nosi pierścionki.

Zamknęłam oczy i nadusiłam opuszek jej palca, może trochę za mocno. I pochwyciłam błysk pierścionka, zamazaną, srebrzystą aureę, gdzieś w jakimś ciemnym, mokrym, industrialnym miejscu. Nie przyglądałam się zbyt natarczywie, żeby go dokładnie zlokalizować, taki poziom skupienia zazwyczaj wywołuje migrenę, podobnie jak zbytne natężenie ruchu pojazdów. Ale pochwyciłam nić, która się odwinęła od kobiety i wnikała daleko w miasto, a właściwie to głęboko pod nie.

Otwarłam oczy i stwierdziłam, że pani Luditsky wpatruje się we mnie z napięciem, jakby próbowała zajrzeć do mojej czaszki i przyjrzeć się kółkom zębatym przy pracy. Zza jej natapirowanej koafiury gapiała się na nas z góry kolekcja porcelanowych



figurek: przeurocze pastereczki, aniołki, rozigrane kociaki i grupa tancerzy flamenco.

– Jest w kanalizacji – powiedziałam beznamiętnie.

– Myślałam, że to już ustaliłyśmy.

– Nienawidzę rur kanalizacyjnych. – Nazwijcie to pogardą podyktowaną wielką zażyłością. Bylibyście zdumieni, ile rzeczy migruje do kanalizacji.

– No to proszę wybaczyć, panienko Czyścioszko – warknęła pani Luditsky, z miernym efektem, niestety, przez tę jej niezdolność do wykrzywienia któregośkolwiek mięśnia twarzy. – No więc chcesz tę pracę czy nie?

Jasne, że chciałam. I takim to sposobem mogłam zapuścić żurawia do torebki pani Luditsky, kiedy sięgała do niej po 500 R zaliczki. Kolejne 500 R miały mi zostać wypłacone po dostarczeniu towaru. I takim też sposobem wylądowałam po kostki w gównie, w kanale burzowym pod galerią handlową Killarney. To znaczy nie w prawdziwym gównie, bo ludzkie ścieki płyną przez inny system, ale gromadzona przez lata stęchła deszczówka, różne śmieci, gnijące odpadki, zdechłe szczury i zużyte prezerwatywy tworzą wspólnie własny, sygnałny zapach.

Przysięgam, że wciąż potrafię go wyniuchać, pomimo środka dezynfekującego. Było warto za

1000 R? Nawet nie prawie. Jednak problem związany z byciem *mashavi* polega na tym, że to nie tyle jest praca, ile powołanie. Nie ty decydujesz, jakie duchy przyczepiają się do ciebie. Albo rzeczy, które z sobą przynoszą.

Podrzucam komplet kluczy do sklepu z komórkami o nazwie „Talk-Talk”, a raczej podrzucam je do małego mieszkanka nad zamkniętym na głucho sklepem. Właściciel to Kameruńczyk; z wdzięczności za to, że tego ranka może wreszcie otworzyć sklep, obiecuje mi rabat na minuty połączenia w ramach premii. Spomiędzy jego nóg wyziera na mnie niemowlak ubrany w kostium różowego pluszowego misia; ma tłuste, pożądlive paluszki. Domyślam się, że to ta sama dziewczynka, która gryzła klucze w swoim wózku spacerowym, po czym cisnęła je radośnie między jadące samochody w godzinie szczytu. To było warte pięćdziesięciu bagsów. I lepiej pasowało do moich zwykłych geszeftów. Na podstawie własnych doświadczeń wiem, że panie Luditsky to rzadkość na tym świecie.

Wędruję przez Empire Road, przez Parktown, obok dawnego Johannesburg College of Education, prowokując kierowców mijających mnie samochodów do agresywnego trąbienia. Pokazuję im palec. Nie moja wina, że na przedmieściach żyją w takim odosobnieniu, że w ogóle nie widują zoolusów. Killarney przynajmniej nie jest dzielnicą otoczoną

ogrodzeniami i szlabanami. Jeszcze.

Wciąż znajduję się kilka kilometrów od bloku pani Luditsky, właśnie skręcam w Oxford, oddalając się od gęstwy na jezdni – już zdążyłam się nabawić bólu głowy tego typu, który wgryza się w skronie jak mózgowy termit, kiedy moje łącze znienacka straszliwie łączy się.

Leniwiec skrzeczy z przerażeniem i ściska moje ramiona z taką siłą, że jego długie pazury pozostawiają ślady w postaci małych paciorków krwi.

– Wiem, koleś, wiem – mówię i zaczynam biec. Zaciskam dłoń wokół zimnego, metalowego kółka ukrytego w kieszeni, jakby to mogło podładować łącze. Czuję pulsowanie, najśłabsze z możliwych, ale łącze i tak się rozpada.

Nigdy wcześniej nie straciliśmy łącza. Nawet wtedy, gdy zaginiona rzecz znalazła się nieodwracalnie poza naszym zasięgiem – tak było na przykład z rękopisem pewnego niedoszłego powieściopisarza, porwanym przez wiatr; kiedy rozsypane kartki wpadały do wód tamy Emmarentia, wciąż czułam napięte linie łącza między nimi a ich autorem. Tymczasem teraz przepelnia mnie coś, co przypomina wędnięcie martwej pepowiny.

Pod blokiem pani Luditsky stoi karetka i wóz policyjny, omiatając zakurzony, beżowy tynk rozbłyskami czerwieni i błękitu. Leniwiec skowyci.

– Jest okay – mówię bez tchu, mimo że jestem pewna jak jasna cholera, że nieważne, jak jest, ale nie jest ani trochę okay. Przystaję przy małej grupce gapiów i chyba cała się trzęsę, bo ktoś mnie ujmuje pod łokieć.

– Dobrze się czujesz, skarbie?

Oczywiście nie czuję się nawet w przybliżeniu dobrze, bo z jakiegoś powodu przeoczyłam najpierw tych dwoje w tłumie – tykowatą anielicę z ogromnymi, czarnymi skrzydłami oraz eleganta z Maltańczykiem ufarbowanym na groteskowy pomarańcz, żeby pasował do szalika. To właśnie ten elegant przyczepił się teraz do mnie. Nosi drogie okulary i garnitur ze spodniami wyprasowanymi na kanty ostre jak czub jego fryzury wyrżnięty brzytwą na tak zwany chiskop. Pies gapi się na mnie tępo z drugiego krańca smyczy i grzmoci ogonem, nie wkładając w to jednak wiele serca. Mówcie sobie, co chcecie, o Leniwcach, ale ja przynajmniej nie wylądowałam z mechaniczną szczotką do toalety. Ani z Sępem, sądząc po tym ohydny, łysym łbie, który to wyskakuje w górę, to się chowa pod ramieniem kobiety, bezustannie gmerając dziobem pod swoim skrzydłem.

Kobieta podpada pod kategorię androginicznych osób o nieokreślonym wieku, gdzieś między trzydzieści dwa a pięćdziesiąt osiem lat; ma chemioterapeutyczną fryzurę, czyli rzadkie, ciemne

kosmyki przywierające do czaszki, oraz wąskie, za mocno wyskubane brwi. A może tylko stara się uchodzić za brzydactwo. Nosi buty do jazdy konnej nałożone na obcisłe, szare spodnie i do tego białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Dopełnieniem są skórzane paski krzyżujące się na piersi, element uprząży, która podtrzymuje cielsko Ptaka okupującego jej plecy.

– Wiesz może, co tu się dzieje? – pytam faceta od Psa.

– Tu popełniono mor-der-stwo – mówi, zakrywając usta dłonią i wypowiadając ostatnie słowo scenicznym szeptem. – Starsza pani na drugim piętrze. Straszna sprawa. Ale podobno strasznie też dobrze się trzymała jak na swój wiek.

– Powiedzieli coś?

– Jeszcze nie – odzywa się kobieta, o dziwo miodowym altem śpiewaków jazzowych. Akcent ma wschodnioeuropejski, może to Rosjanka, może Serbka.

Na dźwięk tego głosu Ptak przestaje się oporządzać i wykręca ponad jej ramieniem długą szyję z koralami jak zwiędłe jądra. A potem układa pomarszczony łeb na jej piersi; długa, ostra włócznia dzioba wykrzywia się w stronę biodra. Więc jednak nie Sęp. Kobieta kładzie czule dłoń na pstrokatej głowie Marabuta, tym samym gestem, którym uspokaja się dziecko albo kochanka.

– No to skąd wiecie, że było morderstwo?

Maltańczyk uśmiecha się szyderczo.

– Wiesz, że *mashavi* większości ludzi nie mają tych samych upodobań co ich zwierzęta? – pyta. – Otóż w przypadku Amiry jest na odwrót. Ją ciągnie do ścierwa. Głównie do miejsc, gdzie kogoś zamordowano, ale lubi też porządne karambole. Dobrze mówię, cukiereczku?

Marabut uśmiecha się potwierdzająco, jeśli to nieznaczne wygięcie ust można nazwać uśmiechem.

Z budynku wyłaniają się sanitariusze z noszami, na których leży zapieczętowany worek z szarego plastiku wypełniony ciałem. Wrzucają go do ambulansu.

– Przepraszam – mówię i przepycham się przez tłum.

Sanitariusz zatrząskuje podwójne drzwi, daje znak kierowcy, żeby zgasił reflektory. Martwi nie muszą toczyć bojów z ruchem samochodowym. Za to ja muszę zadać pytanie.

– To ciało pani Luditsky?

– Jesteś krewną? – Sanitariusz ma skwaszoną minę. – Bo jak nie jesteś, to się nie wtrącaj, zoolusko.

– Pracuję u niej.

– No to masz pecha. I pewnie powinnaś tu zostać. Gliniarze będą ci chcieli zadać jakieś pytania.

– Możesz mi powiedzieć, co się stało?

– Powiem tyle, że nie wyzionęła ducha we śnie,

ślicznotko.

Karetką wydaje jeden zduszony wrzask i wyjeżdża na drogę, zabierając z sobą panią Luditsky. Ściskam ukryty w kieszeni pierścioneł tak silnie, że szafiry zostawiają odcisk we wnętrzu dłoni. Leniwiec ryje w mojej szyi, ukrywając twarz. Żałuję, że nie mogę go pocieszyć.

– Paskudna sprawa – stwierdza współczująco Maltańczyk. – I chyba jesteś w nią zamieszana.

Nagle robię się wściekła.

– Pracujesz dla glin?

– Ale gdzie tam! – Mężczyzna śmieje się. – Niestety dla niej – dodaje, wskazując skinieniem głowy Marabuta – nie da się zarobić na ganianiu za karetkami.

– Współczujemy ci straty – mówi Marabut.

– Nie musicie – odpowiadam. – Widziałam się z nią tylko raz w życiu.

– Ale co robiłaś dla staruszki? Jeśli wolno spytać? Sekretarka? Zakupy? Opieka?

– Miałam coś dla niej znaleźć.

– I znalazłaś?

– Jak zawsze.

– Cukiereczku, cóż za cudowny zbieg okoliczności! Znaczy się nie chciałem powiedzieć cudowny w tym sensie, że no tego... że cudownie, że twoja szefowa właśnie umarła. To upiorne, nie zrozum mnie źle. Ale chodzi o to, no rozumiesz...

– Bo my też chcemy coś znaleźć – wtrąca się Marabut.

– Dokładnie tak. Dziękuję ci – mówi Maltańczyk. – I jeśli to, no wiesz, twój talent? Bo domyślałam się, że to twój talent? Jeśli tak, to mogłabyś pomóc.

– A co to za coś?

– No więc użyłem słowa „coś”, ale naprawdę to chodzi o kogoś.

– Przykro mi, nie jestem zainteresowana.

– Przecież nawet nie poznałaś szczegółów.

– Nie muszę. Nie zajmuję się zaginionymi osobami.

– Dobrze zapłacimy.

Ptak na plecach Marabuta napręży skrzydła, pokazując białe strzałki znakujące ciemne pióra. Zauważam, że są przycięte i że zamiast nóg ma okaleczone, poskręcane kikuty. Nic dziwnego, że ona musi go nosić.

– Na żadnym innym zleceniu tyle nie zarobisz.

– No zgódź się, cukiereczku. Twoja klientka właśnie kopnęła w kalendarz, wybacz szczerze. Masz jakieś inne plany?

– Nie wiem, kim jesteście...

– Niedopatrzenie. Przepraszam. Proszę. – Marabut wyciąga sztywną wizytówkę z kieszonki na piersi i podaje ją palcami ułożonymi na kształt nożyczek. Ma nienagannie wypielegnowane



paznokcie. Wizytówka jest wytłaczana, białe litery na białym tle, czcionka bezszeryfowa:

### MARABUT I MALTAŃCZYK. POZYSKIWANIE

– To „pozyskiwanie” dokładnie co znaczy?  
– Co tylko pani zechce, pani December – mówi Marabut.

Leniwiec wydaje gardłowy pomruk, jakby trzeba mnie było ostrzegać, że to wszystko zrobiło się podejrzane. Natężam się w poszukiwaniu ich zagubionych rzeczy, w nadziei, że zdobędę coś na nich, bo oni najwyraźniej mają coś na mnie.

U Maltańczyka jest puściuteńko. Zdarzają się tacy ludzie, choć należą do rzadkości. Albo są patologicznie pedantyczni, albo mają wszystko w nosie. Ale i tak zawsze przechodzą mnie ciarki w zetknięciu z takimi. Ostatnią osobą bez zagubionych rzeczy, którą spotkałam, była kobieta zatrudniona do sprzątanía mojego bloku. Rzuciła się do otwartego szybu windy.

Za to moje impresje związane z zaginionymi rzeczami Marabuta są dziwacznie żywe. Pewnie adrenalina wyostrzyła skupienie – zupa z hormonów w mózgu miesza się z wściekającym się *mashavi*. Nigdy wcześniej nie udało mi się zobaczyć niczego tak wyraźnie. Co jest dziwne. Jakby ktoś zamienił moją zatłuszczoną, zamazaną perspektywę na

obiektyw z wszelkimi bajerami stosowany przez paparazzi.

Rzeczy uwiązane do niej widzę z idealnie odwzorowanymi szczegółami: skórzane rękawice dla kierowców, miękkie i znoszone. Przy jednej brakuje guziczka, którym spina się ją na nadgarstku. Zniszczona książka z brakującymi stronami; to, co zostało, jest wzdęte od wilgoci, połowa okładki oddarta. Widzę sepiowe konary, fragment tytułu: *Drzewo, które... I pistolet*. Ciemny i krótki, z retrowygięciami, przypominający kiepski rekwizyt z filmu SF z lat siedemdziesiątych. Wizja jest tak wyraźna, że nawet odczytuję napis na boku: Vektor.

Maltańczyk, który nie zauważa, że dyskretnie przetrząsam ich zaginione rzeczy, nadal mnie molestuje, szczerząc się w uśmiechu. Jego ufarbowany Pies też się szczerzy, mając radośnie ozorem wystającym spomiędzy małych, ostrych zębów.

– Naprawdę potrzebujemy twojej pomocy. Powiedziałbym nawet, że nie damy rady bez ciebie. I to ci się bardzo, ale to bardzo opłaci.

– Jak mam to wyrazić? Nie lubię, kiedy ludzie wiedzą, czym się zajmuję.

– Reklamujesz się – zwraca uwagę Marabut z rozbawieniem w głosie.

– I nie podoba mi się wasze nastawienie.

– Och, nie przejmuj się Amirą, wydaje się

wredna, ale tak naprawdę jest po prostu nieśmiała – oświadcza Maltańczyk.

– I nie lubię małych psów. Tak więc dzięki, ale jeśli chodzi o mnie, to idźcie sobie pieprzyć zdechłe kozy.

Maltańczyk marszczy twarz.

– No coś obrzydliwego. Zapamiętam to – mówi.

– Schowaj ją sobie. – Marabut wskazuje wizytówkę. – Może zmienisz zdanie.

– Nie zmienię.

A jednak zmieniam.

## 2

Od: Dom Misyjny Livingstone [mailto: [eloria@livingstone.drc](mailto:eloria@livingstone.drc)]

Wysłano: 21 marca 2011 08. 11

Do: Nieokreśleni odbiorcy

Temat: List w butelce

Do wszystkich zainteresowanych,

Nazywam się Eloria Bangana. Mieszkam w DRK, to znaczy w Demokratycznej Republice Konga. Mam 13 lat. Kiedy zabili moją rodzinę, miałam wybór. Mogłam zostać prostytutką, albo udawać, że jestem chłopcem i pracować w kopalni koltanu.

Na szczęście jestem bardzo mała na swój wiek. Prawie każdy myśli, że mam 9-10 lat. Wybrałam kopalnię, ponieważ mogę wpełzać do ciasnych przestrzeni z moim małym wiaderkiem do przesiewania i szpadłem, choć przeważnie robię to rękami. Od grzebania w ziemi palce pękają mi i krwawią czasami.

Mówi się, że z koltanu robią telefony komórkowe. Ja nie wiem, jak można robić telefony komórkowe z błota. A także komputery i gry wideo. Cała wasza technologia działa na błocie. Czy to nie śmieszne?

Mój kuzyn Felipe mówi, że raz grał w taką grę wideo w Kinszasie, opowiedział, że trzeba tylko naciskać guziki, żeby się bić, żeby chodzić, kopać albo walić pięścią. Mówił, że to nudne.

Felipe woli piłkę nożną. Dawniej grałam z nim w piłkę, ale to nie była prawdziwa piłka nożna. To gra zwana 3 puszki, bo my tu mamy tylko puszki do kopania. Zasady są podobne. Może któregoś dnia cię nauczę. My już nie gramy w 3 puszki, bo rebelianci mówią, że nie ma na to czasu.

Jesteśmy tu po to, żeby pracować, a nie żeby się bawić. Mojemu kuzynowi Felipe strzelili w plecy, kiedy próbował uciec. Umarł. To było bardzo smutne. Bardzo się wtedy baliśmy.

Ja dostaję siedem amerykańskich centów za każdy kilogram koltanu. Rebelianci ważą go na wadze, ale oni oszukują. Pani z misji, siostra Mercia, mówi, że koltan jest wart sto razy więcej, niż oni płacą. Mówi, że wykorzystują nas jak niewolników.

Czasami trudno ją zrozumieć, bo ona jest z Ameryki. Ona mi pomaga to przetłumaczyć, bo ja mówię po francusku i mój angielski nie jest taki dobry. Jest bardzo uczynna i bardzo miła. Pokazuje mi, jak się używa komputera. I naprawia moje ubrania i czasami daje mi pomarańcze.

Pewnie się dziwisz, dlaczego ja majluję do ciebie? Siostra Mercia mówi, że powinniśmy obudzić świat na to, co się tutaj dzieje. Mówi, że mam ci powiedzieć, że ty się nie bój, my nie prosimy o pieniądze. My prosimy o pomoc.

W sierocińcu, w którym pracuje siostra Mercia i gdzie ja mieszkam teraz, odkąd Księża Misionarze nas wyratowali, mamy problem. Rebelianci odcięli nasze telefony i całą naszą komunikację. Mamy jeden telefon komórkowy, który przed nimi ukrywamy, i on ma WAP, więc można wysłać majla, jak się pójdzie na szczyt wzgórza, kiedy rebelianci nie patrzą.

To jest tak jak z listem w butelce. Wrzucamy go do oceanu i modlimy się, żeby ktoś go znalazł.

Ale to nie jest nasz najważniejszy problem. Człowiek, który kieruje sierocińcem, ojciec Quijote, został porwany przez rebeliantów i oni chcą, żebyśmy zapłacili za niego 200 000 dolarów, to wtedy on do nas bezpiecznie powróci.

Ojciec Quijote jest bardzo odważny i również bardzo mądry. Zamknął wszystkie pieniądze sierocińca na swoim koncie w Ameryce. Rebelianci nie mogą się do niego dostać, ale my też nie z pomocą samego telefonu komórkowego z WAR

Znamy hasło i kod do autoryzacji (siostra Mercia mówi, że będziesz wiedzieć, co to znaczy), a to znaczy, że jakiś Dobry Samarytanin mógłby nam pomóc.

Potrzebujemy pieniędzy, żeby nakarmić inne dzieci stąd (tu jest wiele niemowląt i maluchów, niektórzy z nas są ranni i chorzy) i żeby zapłacić okup za ojca Quijote.

Czy możesz nam pomóc? Bardzo prosimy. Jeśli uda ci się zdobyć dostęp do konta bankowego ojca Quijote, to będziesz mógł przesać nam część tych pieniędzy. Siostra Mercia mówi, że mamy nie liczyć, że zrobisz to dla nas za darmo. Mówi, że możemy Ci zapłacić 80 000 dolarów za podjęcie takiego ryzyka, żeby nam pomóc. Prosi, żebyście słałi majle bezpośrednio do niej na [dogood@livingstone.drc](mailto:dogood@livingstone.drc). Siostra Merda mówi, że musimy się modlić, żeby ta wiadomość znalazła drogę do kogoś, kto jest dobry, uczynny i silny. Modlę, się, żebyś to był ty.

Szczerze oddana

Eloria Bangana

### 3

W izbie przesłuchań inspektor Tshabałali i mnie towarzyszą dwie rzeczy Jedna to pierścionek pani Luditsky. Druga to dwanaście i pół minuty milczenia. Liczyłam sekundy. Raz-aligator. Dwa-aligator. 751-aligator.

Pani inspektor zapomina, że już swoje odsiedziałam. 766 – aligator. Że dla kogoś szczerwanego więzienie to po prostu zabawa w czekanie. Potrafię czekać, jeśli już muszę. Potrafię czekać, że hej. 774-aligator. Za to Leniwiec robi się nerwowy. Dyszy mi do ucha i wierci tyłkiem. 800-aligator.

To ma mnie zdenerwować. Zdenerwowanie nienawidzi próżni. 826-aligator. W zdenerwowaniu potrafisz wypaplać coś ni stąd, ni zowąd, cokolwiek, byle tylko zabić milczenie. 839-aligator. No chyba że jesteś zajęta robieniem czegoś bardziej pożytecznego. Jak liczenie sekund. 842-aligator.

Twarz pani inspektor jest idealnie, wystudiowane neutralna, jak twarz wyobrażona techniką 3-D, która tylko czeka, aż autor animacji pociągnie za sznurki. 860-aligator. Patrzą na nią, ona patrzy na mnie; okazja, żeby dobrze jej się przyjrzeć. Ma krągłą twarz z policzkami jak jabłka i worki pod oczami, które wyglądają, jakby wyruszały w długą

drogę. Włosy splotła w warkocze i spięła z tyłu spinką. Niezbyt to praktyczne dla *ipoyisa*, ale przecież ona jest inspektorem, a nie szeregowym psem. Na nosie ma maleńką bliznę, po kolczyku. 884-aligator. Może poza służbą nadal nosi ćwieka z diamentem. Może wie dzie bujne, tajne życie, śpiewa w kapeli punkrockowej albo robi wieczorowo doktorat z filozofii. 902-aligator.

Kłapa jej granatowego kostiumu jest upaprana jedzeniem. Zaryzykowałabym, że sosem pomidorowym. 911-aligator. Albo krwią. Może torturowała innego podejrzanego w innym szarym pokoju, tuż przed przyjściem tutaj. 922 – aligator. Przesondowałabym ją w kwestii jej zaginionych rzeczy, ale wszyscy gliniarze i wszystkie posterunki policyjne są wyposażeni w magiczne blokery. Przepisowe ultradźwięki. Fale dźwiękowe niskiej częstotliwości poza zakresem ludzkiego słyszenia, które jednak rezonują w ciele; naukowcy wykorzystują je do wyjaśniania doświadczeń przeprowadzanych na nawiedzonych domach albo zdarzeniach boskich, zazwyczaj wywołanych czymś tak doczesnym jak wentylator albo niskie tony organów kościelnych. 932-aligator. To znaczy tak było, zanim świat uległ zmianie. Bo to kruchy stan – świat, jakim go znamy. Wystarczy, że się pojawi jeden afgański wojownik z Pingwinem w kuloodpornej kamizelce i naukowcy z



religioznawcami mogą sobie o kant dupy potłuc całą wiedzę, którą im się wydawało, że posiadli. 948-aligator.

Inspektor Tshabalala pochyla się nad stołem; bierze do ręki pierścionek i bezmyślnie obraca go w palcach. 953-aligator. Robi wdech. 961-aligator. Robi wydech.

– Nie wydaje się tego wart – mówi.

Leniwiec wzdyga się i czka, jakby właśnie osuwał się w sen, co jest zresztą całkiem prawdopodobne. Sypia około szesnastu godzin na dobę.

– Tak pani uważa? – Muszę odkaszląć i to mnie denerwuje.

– Pewnie sporo byś za niego dostała. Pięć tysięcy randów, gdybyś miała certyfikat. Ale założmy, że go nie masz, to wtedy w lombardzie dostałabyś co najwyżej osiemset. Tak cienko u ciebie z kasą, Zinzi?

Podrzuca pierścionek na kłykciach, tam i z powrotem, na podobieństwo tej tandetnej, magicznej sztuczki, którą można zrobić wrażenie na koleżankach ze szkoły średniej.

– Nie wiem, co by na to powiedział pan Luditsky.

– Na co?

– Na to, że trafił do lombardu. Zła karma. Mógłby mnie nawiedzać. – Pochyłam głowę w stronę Leniwca. – A przecież ja już jestem nawiedzona.

– O czym ty gadasz?  
– O pierścionku. Został zrobiony z trupa. Proszę odrobić pracę domową, pani inspektor.

Pani inspektor mruga tylko raz.

– No dobra, to co zamierzałaś zrobić z pierścionkiem?

– Zwrócić go. To była praca na zlecenie. Jak już powiedziałam waszym ludziom pod jej domem. Kilka razy to powiedziałam.

– Na miejscu przestępstwa znaleziono mnóstwo twoich odcisków palców.

– Byłam w jej mieszkaniu dwa dni temu. Zrobiła mi herbatę. Nienadającą się do picia. Powie mi pani, jak umarła?

– Ty mi powiedz, Zinzi.

Leniwiec skubie mnie w ramię zębami, co w jego wypadku stanowi odpowiednik kopania pod stołem. Poniekąd specjalizuję się w towarzyskich faux pas.

– No dobra – mówię, sprawiając, że Leniwiec gryzie mnie w ramię z całej siły. – Pomyślmy. Umarła na miejscu zabójstwa. W swoim mieszkaniu. Strzał z broni palnej? – Oczyma wyobraźni widzę retrognata z napisem Vektor na boku, mimo że to niedorzeczność. – Zadźgana nożem? Tępe narzędzie? Zadławiona kawałkiem starego biskopta?

Inspektor Tshabalala śmiga pierścionkiem, tam i z powrotem, po czym nakrywa go drugą dłonią.

Wreszcie sięga do swojej torby i kładzie na biurku policyjny album w okładce z brązowej tektury. Otwiera go, pokazuje zdjęcia. Rozkłada je jak wachlarz, w nadziei, że sprowokuje mnie do jakiejś reakcji.

– Ty mi powiedz – powtarza.

Przy frontowych drzwiach, na korytarzu, leży kapeć z owczej skóry, w środku wyłożony futerkiem. Czubek papcia przecina pasek krwi, który dalej przeobraża się w łuk biegnący po ścianie i liliach wodnych oprawionych w ramkę.

Na ścianie jest też plama rozmazanej krwi, jakby ktoś na tę ścianę upadł i sunął po niej ręką w poszukiwaniu oparcia.

Czarny płaszcz przeciwdeszczowy w wannie, kałuża plastiku i krwi pod wodą puszczoną na maksa z prysznicą. Z umywalki ściekają różowe strumyki.

Przewrócona witryna. Krew rozsmarowana na podłodze. Ktoś próbował odpełznąć.

Wszędzie walają się okruchy porcelanowych figurek, jak odłamki szrapnela. I to naprawdę wszędzie. W pokoju z telewizorem różany pośladek cherubinka. Głowa małej pastereczki uśmiecha się blado z płytek na podłodze kuchni, otaczają ją szczątki jej owieczki.

Pani Luditsky siedzi na podłodze, wsparta ciężko o kanapę, z nogami rozłożonymi w kształcie litery A. Głowa opada jej do tyłu i jednocześnie na bok pod

niezbyt wygodnym kątem. Gdyby nie te zgniecenia i te rany, wyglądałaby jak rozmemłana nastolatka, która wypila jednego drinka za dużo na imprezie u koleżanki. Ma na sobie obszerną jedwabną bluzkę przesiąkniętą krwią. W kilku miejscach widać dziury po nożu, z tych dziur przezierają beżowy biustonosz i krwawe szramy. Jedna ze stóp w kapciu do pary z tamtym pierwszym. Paznokcie u drugiej stopy są pomalowane na ciemnośliwkowy kolor. Szeroko otwarte oczy są równie zimne i szkliste jak u małej pasterki. Fryzura a la creme brulee rozplaszczyła się na oparciu kanapy.

– Zaryzykuję, że to nie był stary biskopt – mówię.

Ani też strzał z broni palnej. Tshabalala wypuszcza powietrze przez zaciśnięte zęby i zerka na drzwi.

– To – mówi, pukając palcem w zdjęcie – nie było zwyczajne włamanie. Siedemdziesiąt sześć ciosów zadanych nożem? To sprawa o podłożu osobistym.

– Coś zniknęło?

– Sprawdzamy z dozorczynią. Która wciąż jest w szoku. A bo co? Masz coś jeszcze do oddania?

– Może być telewizor? Odtwarzacz DVD? Jeszcze jakaś biżuteria?

– To ty miałaś pierścionek w kieszeni – odparowuje szyderczym tonem inspektor Tshabalala.

– Ja tego nie zrobiłam.

Inspektor przedłuża milczenie. 97-aligator. 99. 128.

– Nie myśl, że nie wiemy, do czego jesteś zdolna, Zinzi – wypala w końcu.

Odchylam się na swoim odrażającym krzeselku z szarego plastiku. Słyszałam już tę melodię, dla mnie to tandetne pienia do puszczenia w supermarkecie. Pani inspektor maca po omacku, a to oznacza, że nie dysponuje absolutnie niczym.

– To wbrew konstytucji, pani inspektor.

– Zachowaj to dla ludzi od praw zwierząt.

– Czyli SPCA. [Skrót od Society for the Prevention of Cruelty to Animals (Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt)]

– Co?

– Tak się nazywają ludzie od praw zwierząt. Od psów, koni pociągowych, kotów, szczurów laboratoryjnych, programów kastracyjnych. Wiem, że nie chciała pani powiedzieć niczego, co można by uznać za przejaw rasizmu, pani inspektor. Niczego, co mogłoby trafić na stałe do pani akt.

– Ja tylko mówię, że już raz dopuściłaś się morderstwa.

– Sąd stwierdził, że to było współsprawstwo.

– To coś na twoim grzbiecie przeczy temu.

– To Leniwiec.

– On jest winą. Wiesz, ilu ludzi postrzeliłam podczas jedenastu lat pracy w policji?

– Dostanę złotą gwiazdkę, jeśli zgadnę poprawnie?

– Trzech. Żaden nie umarł.

– Może powinna pani spędzać więcej czasu na strzelnicy.

– Dobry gliniarz nie musi strzelać, żeby zabijać.

– I pani jest właśnie kimś takim? Dobrym gliniarzem?

Inspektor Tshabalala rozkłada ręce.

– Widzisz u mojego boku kogoś obrośniętego futrem?

– Może pani sumienie się zużyło. Robiono badania: socjopaci, psychopaci...

– Różnica między tobą a mną? – przerywa mi. Pierścionek wyskakuje spomiędzy jej palców jak diabeł z pudełka. – Cofka po mnie nie przyjdzie.

Podrzuca pierścionek, chwytą go, układa precyzyjnie na samym środku stołu. Nie przeszkadzam jej, niech ma. Raz-aligator. Powiedzenie ostatniego słowa polega wyłącznie na wybraniu właściwego momentu. Dwa-aligator.

– Proszę się nie przejmować, pani inspektor – mówię. – Nadal ma pani mnóstwo czasu, żeby to spieprzyć.

Kiedy wreszcie opuszczam komisariat przy Rosebank, jasny, lśniący lukier na moim dniu zaczyna już się łuszczyć. Gliniarze zatrzymali pierścionek, skonfiskowali pięćset R z mojego

portfela w charakterze dowodu rzeczowego i kazali mi podpisać sto miliardów formularzy.

Kamery na budynku pani Luditsky dostarczyły czytelny zapis z moich wejść i wyjść. Przyszłam w sobotę o 11. 03, posiedziałam w środku, wyszłam o 11. 41. I pojawiłam się jeszcze dzisiaj rano, o 7. 36. Odjechałam o 8. 19 jako pasażerka wozu policyjnego, skuta kajdankami, po piekielnej awanturze, która rozegrała się na środku ulicy.

Ale to właśnie dzięki mojej kryminalnej przeszłości musieli mnie ostatecznie wypuścić. Bo mają szczegóły na mój temat w aktach.

Dot: Zinzi Lelethu December # 26841AJHB  
Dowód osobisty nr 7812290112070  
Animalizowana 14 października 2006 r.  
(patrz sprawa SAPS900/14/10/2006 Rosebank Por:  
Zabójstwo Thando Decembara)  
Zdolność tropienia zaginionych przedmiotów.

A zatem moja historyjka ma potwierdzenie w rzeczywistości. Aczkolwiek czarująca inspektor Tshabalala wciąż się upiera, że Benoit ma przyjść i podpisać oświadczenie pod przysięgą odnośnie do miejsca mojego pobytu o 6. 32.

Właśnie o tej godzinie kamery zbiesiły się z jakichś tajemniczych powodów, a z kolei sąsiedzi pani Luditsky zeznali, że usłyszeli wtedy wrzaski, ale zaraz potem ululali się z powrotem do snu, bo

myśleli, że w TV leci akurat jakiś pełen przemocy film i że głośność w telewizorze została podkrecona na pełen regulator, bo starsza pani słabo słyszała. Tshabalala powiedziała mi przynajmniej tyle, zanim mnie wykopsała na ulicę.

Ludzie to straszne dupki.



„The Daily Truth” 22 marca 2011

## **KRONIKA POLICYJNA**

### **Mandlakazi Mabuso i jej patrol obywatelski**

Szczury z galerii *Yoh, mense!* Kolejny piekielny dzień w tym mieście ze snu. W piątek grupa uzbrojonych rabusiów dokonała zbrojnego napadu na galerię handlową Killarney, a wczoraj ten sam gang napadł na centrum handlowe Eastgate! Nikt nie został zabity, ale wierzcie mi, klienci są mocno wstrząśnięci, że dookoła nich wyroili się jacyś *oke* [(slang południowoafrykański) – facet] z kałachami. Ci *tsotsi* [(slang południowoafrykański) - zbir, oprych] napadli na sklep jubilerski i opróżnili kasy w supermarkecie Checkersa, podczas gdy ochroniarze galerii nawet nie kiwnęli palcem. Okay, może to i zrozumiałe, gdy się posłucha świadków opowiadających, że gangsterzy mieli z sobą lwa. Chcąc nie chcąc, zastanawiam się, czy jednak nie powinniśmy wprowadzić jakiegoś systemu przepustek dla zoolusów.

Po happy end (choć raz) skoczmy sobie do Linden. Wczoraj pewna młoda matka została porwana po drodze ze złobka, ale gnojki się ulitowały i kilka kilometrów dalej, przy światłach, porzuciły

dzieciaka, wciąż w foteliku samochodowym. *Ag voeitog*. [(afrikaans) - co za wstyd!] Nawet gangsterzy mają czasami serce.

Ale być może nie mają nosa. W Cyrildene gliniarze znaleźli w garażu gnijące *perlemoen* warte kilka milionów randów. *Okie*, który był właścicielem posiadłości, został zapuszkowany, kiedy sąsiedzi poskarżyli się, że do ich wrażliwych nozdrzy wdarł się straszliwy *vrot* tego morskiego gluta, który ponoć jest silnym afrodyzjakiem – a oprócz tego gatunkiem chronionym! Powiedźcie to chińskim triadom, które wysyłają całe wiadra tych ślimaków do swej ojczyzny. Za Chiny Ludowe tego nie zrozumie.

I jeszcze wyszło na to, że chłopak z Bafany, Kabelo Nongoloza, to niezły napastnik tak na boisku, jak i poza nim. Jego długoletnia dziewczyna, Queenie Mugudamani, która niedawno oficjalnie zadebiutowała na salonach towarzyskich, w czwartek oskarżyła tę młodą gwiazdę piłki nożnej o napaść i paraduje dumnie z paskudnie posiniaczoną i spuchniętą twarzą w charakterze głównego dowodu. Wychodzi wręcz na to, że najwyższy czas, by Queenie zrobiła sobie operację nosa. Szkoda, że nie można sobie przerobić złego gustu do mężczyzn!

## 5

Ludzie chcą wierzyć: wystarczy ich karmić wiarygodnymi historyjkami. „Pomóż biednej wdowie po zdymisjonowanym ministrze wy dostać 25 milionów ze skorumpowanego kraju” to pomysł tak nieświeży i zużyty, że nawet moja matka by się nie nabrała. A wiem z własnego doświadczenia, że dawała się nabierać na wiele. Strzepuję z laptopa kłaki Mangusty i jaja pcheł, po czym włączam ekran, żeby sprawdzić, czy coś się złapało na phishingową przynętę.

Jestem mistrzem świata w robieniu przekrętów polegających na wywoływaniu współczucia w związku z aktualnymi problemami na świecie. Woda przerywa wał i jakaś staruszka z zalaną posiadłością rozpaczliwie pragnie sprzedać swoje antyki, naprawdę bardzo, ale to bardzo tanio. Czeczeński uchodźca ucieka z ostatnich rosyjskich pogromów, wlokąc z sobą rodzinne brylanty. Somalijski pirat odnalazł Jezusa i pragnie zamienić swoją wyrzutnię rakiet oraz miliony pozyskane z okupów na rozgrzeszenie.

Same świeże sprawy. Wszystko zakorzenione w twardej rzeczywistości. Cała ironia w tym, że w Poprzednim Życiu nigdy nie oglądałam wiadomości. Ale przecież dziennikarze zajmujący się stylem życia

nie muszą ich oglądać. A z kolei normalni ludzie nie muszą spłacać swoich długów zaciągniętych na narkotyki pisaniem przekręciarskich listów na zlecenie przestępczych syndykatów. I nie muszą ukrywać swoich pokątnych zajęć przed kochankami, którzy zdecydowanie by tego nie pochwalili.

Dostałam 2581 odpowiedzi. Niezły wynik, jak na te 49 812, które wysłałam w poniedziałek, nie licząc dziesiątków tysięcy, które się odbiły od filtrów antyspamowych. 1906 to autoodpowiedzi typu „nie ma mnie w pracy”, co przynajmniej stanowi potwierdzenie, że te adresy e-mailowe są aktywne, a 14 to epistoły wyrażające różne stopnie irytacji, od „wal się, zasrany śmieciu” do „naciągaj kogo innego”. Oprócz tego jest 292 w różnych odmianach kanji, 137 po francusku, 102 po niemiecku, 64 po arabsku, 48 po hiszpańsku i 12 w urdu; wszystkie później przepuszczę przez translatory. Czyli pozostaje sześciu potencjalnych kandydatów, wśród których dwóch odpowiedziało z ostrożnym zainteresowaniem, a reszta ze skrajnym niezrozumieniem. Przekierowuję ich do Vuyo, który jest moim łapaczem. Gdyby tylko ludzie czytali tego maila poprawnie, wysyłałiby odpowiedzi bezpośrednio do niego.

Jest też anomalia, która zatyka mój autofiltr. Dwa gołe zdania, które brzmią albo jak porąbane brednie, albo jak poezja eksperymentalna, albo jak

jedno i drugie.

To, co jesz, spada z samolotów.  
Plastikowe widelce zostawiają na tobie ślad.

Żadnego linka. Zero adresu zwrotnego.  
Wiadomość pozbawiona jakiegokolwiek sensu.  
Wywołuje moje zdenerwowanie.

Jest też e-mail od dentysty, przyjacielskie przypomnienie, że najwyższy czas zgłosić się na copółroczny przegląd: proszę się skontaktować z panią Pillay w celu umówienia wizyty. Nie byłam u dentysty, odkąd trzy i pół roku temu poszłam siedzieć. To jest zaszyfrowana wiadomość, która oznacza: „Skontaktuj się ze mną natychmiast”. I to jest powód do niepokoju, bo miałam się odezwać dopiero w następnym tygodniu. Loguję się na Skypeowego czata. Vuyo już jest online, pewnie rozmawia z „klientami” w innych oknach.

»Vuyo: Tak?

Odpowiada natychmiast, zwięźle jak zawsze. Vuyo to oczywiście nie jest jego prawdziwe imię. To prawdopodobnie jedno z jego kilku nieprawdziwych imion, które wykorzystuje w interesach.

Lubię go sobie wyobrażać jako faceta, który godzinami wysiaduje w jakiejś rozrośniętej

kawiarence internetowej przy hałaśliwym targowisku w Akrze albo Lagosie, czyli takim nędznym warsztacie, gdzie na skalę masową wytwarza się kolejne wariacje przekrętu nr 419, [Oszustwo nr 419, zwane także nigeryjskim, od numeru artykułu w nigeryjskim kodeksie karnym przewidującym karę za jego dokonanie; polega na przesyłaniu spamu, którego celem jest namówienie adresata na transfer wielkiej kwoty pieniędzy z któregoś z krajów afrykańskich.] ale naprawdę to mieszka chyba w takiej samej obskurnej klitce jak moja, może nawet po sąsiedzku. Robi to wszystko solo, bo cała impreza podlega starannej decentralizacji.

»Kahlo999: Witam. Co u ciebie? Dostałam b. dziwnego maila. Bez adresu zwrotnego. O widelcach. Przekieruję go do ciebie.

»Vuyo: Nie! Nie wiem, co to jest. Może wirus. Może b. złe muti.

»Kahlo999: Albo wiadomość nt. sztucców.

»Vuyo: Nie wiem. Może wrogi syndykat. Policja. Kliknij tutaj.

»Kahlo999: Co ściągam? No bo, wiesz, mam bardzo szczególny gust, jeśli idzie o porno.

»Vuyo: To jest muti ukręcone z zamkniętego firewalla, 4 wirusów, spyware'u i malware'u.

»Kahlo999: No to co z tą wizytą u dentysty, szefie? Za rzadko używam nici?

»Vuyo: Potrzebuję cię do rozmowy. 2 po południu. Rand Club. Sformatuj się na Frances. Klienci chcą ją poznać.

Robi mi się zimno. Frances to mieszkanka obozu dla uchodźców w Wybrzeżu Kości Słoniowej. Ma

dwadzieścia trzy lata. Stosownie kokieteryjna, jeśli *moegoe* [(afrikaans) - idiota, dureń] złapany na haczyk to mężczyzna, grzeczna i pobożna młoda chrześcijanka, jeśli to kobieta. W mniejszym lub większym stopniu. Większość postaci została tak zaprojektowana, by w zależności od operatora były odpowiednio plastyczne, aczkolwiek Frances jest raczej jednowymiarowa. Po ataku rebeliantów uciekła w bezpieczne miejsce, utknęła w obozie dla uchodźców i teraz nie może się dostać do fortuny swojego ojca. Format klozetowego standardu. Czyli nie mojego.

»Kahlo999: Sorry. Tego nie ma w mojej umowie.

»Vuyo: Bez neg.

»Kahlo999: Pogadajmy o wynagrodzeniu.

»Vuyo: Odejmę ci od całości. Luzy, panuję nad tym.

»Kahlo999: Byłoby miło, gdybym ja też panowała. Nie, żebym ci nie ufała.

»Vuyo: Zapominasz, z kim się zadałaś, laska.

»Kahlo999: Z moim osobistym końskim rzeźnikiem.

Z facetem, który kupił kulawego konia moich długów za bezcen, żeby przerobić go na klej.

»Vuyo: Kulawy koń? Twój koń jest drogi.

»Kahlo999: A wiesz, za ile chodzą konie wyścigowe? 150 tys. R to mało. I o to chodzi. Na czym stoimy, ty i ja? Ile jest wart mój tyłek kulawego konia?

»Vuyo: 55. 764, 18 R.

»Kahlo999: Zysk?

»Vuyo: Buhaha. Nie. Dalej jesteś nam winna 94. 235, 82 R.

»Kahlo999: To niemożliwe. Ile moegoes dla was poderwałam?

»Vuyo: To b. możliwe. Zapominasz o odsetkach. Normalnie 45%, ale dostajesz rabat pracowniczy. Tylko 34%. A liczy się nie ryba na haczyku, tylko ryba w wiadrze.

»Kahlo999: Chrzań się, Vuyo.

»Vuyo: Z tego dilu będzie 50 tys. Jak sobie poradzisz, będziesz z tego miała 10%.

»Kahlo999: A jak nie?

»Vuyo: Poradzisz sobie. Jesteś już prawie profesjonalistką. Nasz diler powtórzył nam wszystkie twoje bajki: mama z rakiem + śmierć babci + jak cię napadli akurat wtedy, gdy szłaś zapłacić za naszą kokę. To będzie dla ciebie b. łatwe. »Kahlo999: Ja pytam, co będzie, jak w ogóle tego nie zrobię.

»Vuyo: Dowalę ci karę do całości. 20% + normalne odsetki. To razem... daj policzyć.

»Kahlo999: Już załapałam, dzięki.

»Vuyo: 2 po poł. , w Rand Club. Ubierz się ładnie. Ale nie za ładnie.

»Kahlo999: Moda uchodźców.

»Vuyo: Grzeczna dziewczynka. A propos, twój nowy format z tym koltanem jest gites. Spodobał się dyrekcji.

»Kahlo999: Co mam powiedzieć? Jeśli idzie o satysfakcję z pracy, to jestem cała za.

»Vuyo: Uszy do góry, dziewczyno. Chciwość to zła rzecz.

Oni na to zasługują.

Coś mi mówi, że ja też zasługuję.

Wylogowuję się i wymazuję wiadomość o widelcach, ale najpierw ją kopiuję i wklejam do dokumentu Worda. I zostawiam ikonę instalacyjną firewalla w folderze, niech sobie czeka cierpliwie, aż go zainstaluję. Wiem, jak działa Firma. Kto wie,



czego jeszcze może narobić ich firewall.

„Rand Club” to relikwiarz czasów Dzikiego Zachodu w Johannesburgu, kiedy bywał tu Cecil John Rhodes i inni królowie kolonialnych slumsów, którzy przy jednym stole dzielili pola diamentowe i decydowali o losie imperiów. Ulubione miejsce ludzi władzy, a nie takich szmaciarzy jak Vuyo, który czeka na mnie przy zakręcie baru obiegającego całe wnętrze. Zakładam, że to jest Vuyo, bo to najlepiej ubrany facet w tym lokalu, w garniturze i butach z noskami przypominających rekiny z lśniącej skóry.

Od gości rozciągających płynne granice pory lunchu wionie tą samą aurą lepkiej, kolonialnej nostalgii jak od wnętrza, z żyrandolami i złoconymi poręczami, karykaturami sławnych członków klubu, wypchanymi łbami jeleni i spłowiałymi olejnymi obrazami przedstawiającymi polowania na lisy. Vuyo sprawia wrażenie lisa, który uciekł z obrazu i dokonał rajdu na kuchnię. Zawsze go sobie wyobrażałam jako faceta podobnego do wychudłej łasicy, z niewłaściwą postawą od garbienia się nad komputerem przez cały dzień, a tymczasem okazuje się dobrze zbudowany, ma ramiona pływaka, szeroko rozstawione kości policzkowe, schludną bródkę i luzacki uśmiech. W zasadzie przystojny i jeszcze ten rubinowy ćwiek w uchu, och, jakże gustownie dający do zrozumienia, że Vuyo jest groźny i w związku z tym zrobisz najlepiej,

jeśli pozwolisz wyłudzić od siebie portki.

Wyciągam rękę; ujmuję moją dłoń obiema swoimi, jak byśmy byli starymi przyjaciółmi, a nie znajomymi z sieci.

– Pan Bacci, czy mnie oczy nie mylą? – mówię.

– Frances! Jak miło cię zobaczyć – odpowiada. Nie powinnam się dziwić, że wyraża się lepiej, niż pisze na klawiaturze. Ani że jest obywatelem RPA. Bo niby czemu cała radocha z obdzierania ze skóry bogatych cudzoziemców miałaby być zarezerwowana dla mieszkańców Afryki Zachodniej i Rosjan?

– Państwo Barberowie czekają na nas na górze. Nie mogą się już doczekać, kiedy cię poznają – rąbie bez zajknięcia, jakby ci tłusci bankierzy po drugiej stronie baru przypadkiem się nam przysłuchiwali. Kiedy jednak prowadzi mnie w górę okazałej klatki schodowej, syczy pod nosem: – Bez tej pozy, dziewczyno. Jesteś uchodźcą, nie jakąś płatną dziwką.

– Panie Bacci! Czy to znaczy, że nie podoba się panu moja sukienka? – Białe gieżło jest najzwyczajniejszym ciuchem w mojej szafie, ale dodałam mu klasy za pomocą poszczękujących paciorków i turbanu z bawełny *shweshwe* z kolorowym afrykańskim nadrukiem oraz perfekcyjnego akcentu uchodźczego, czyli torby z czerwono-niebiesko-białej rattanowej plecionki wybrzuszonej od ciężaru nadzwyczaj dziś nadętego

Leniwca.

– To znaczy, że masz być łagodna – ostrzega Vuyo, vel pan Ezekiel Bacci, dyrektor finansowy Bank of Accra.

– A da się to jakoś zdefiniować? Rozmawiamy o łagodności skromnej afrykańskiej księżniczki, dumnej, acz pokornej i rozpaczliwie pragnącej odzyskać tron? Czy raczej o łagodności złamanej ofiary zbiorowego gwałtu popełnionego przez Dżandżawidów?

– To znaczy, że masz nie być taka dowcipna. Poskrom język.

– Zdajesz sobie sprawę, że mnie zatrudniłeś z uwagi na moje umiejętności pisarskie, a nie aktorskie?

– Po prostu rób, co ci mówię. Nie otwieraj ust, dopóki nie każę ci powiedzieć czegoś konkretnie. Czytasz e-maile?

– Tak. – Biedne palanty.

Wchodzimy do wielkiej biblioteki z niezliczonymi półkami pełnymi książek, które wyglądają, jakby nikt ich nigdy nie otwierał. Czeka tam na nas zaleźniona para po złej stronie wieku średniego. Pani Barber trzyma na kolanach czasopismo, ale domyślam się, że nie przeczytała ani słowa. Jest otwarte na zajmującej dwie strony reklamie konferencji poświęconej ekonomicznej reformy środowiska naturalnego. Pan Barber stoi

plecami do nas, majstrując przy szachownicy.

– Wiesz, kochanie, to chyba kość słoniowa – mówi, wyciągając białego gońca w stronę pani Barber, płasko przeciągając spółgłoski ze środkowozachodnim akcentem.

– W Afryce nigdy nie wiadomo, gdzie można natrafić na ukryte skarby – odzywam się swoją najlepszą wersją głosu królowej Saby.

– Och – odpowiada pani Barber, patrząc na mnie. – Och! – I potem wstaje, bierze mnie w miażdżący uścisk i zalewa się łzami.

Sterczę spłoszona, ale z wielkim wdziękiem, jak przystało na dziewczynę, która przetrwała straszliwe skutki utraty tronu, rodziny oraz wielkiej fortuny, którą fortunnie państwo Barber są w stanie pomóc jej odzyskać.

– Moi przyjaciele – mruczę cicho. – Moi przyjaciele.

Pan Barber klapie ciężko na krzesło, wciąż trzymając gońca, z twarzą wyrażającą szok. Wyswobadam się delikatnie z żarliwych objęć pani Barber, pozwalając jej schwycić się za rękę. Szczęśliwie siadamy obie na kanapie.

– A więc jednak... Sami widzicie: oto i ona – oświadcza Vuyo. – Cała i zdrowa, jak was zapewniłem.

– Nie byliśmy pewni. Nie wiedzieliśmy. Kiedy wszystko... – Ostatnie zdanie pani Barber zanika w

kolejnym napadzie spazmatycznego chlipania.

– Wygląda pani inaczej niż na zdjęciach – stwierdza pan Barber, znowu podsycając w sobie płomień natrętnej podejrzliwości. Biorąc pod uwagę fakt, że Vuyo nie tylko już dostał od nich ponad osiemdziesiąt tysięcy randów na świadectwa dokonania odprawy celnej, opłaty za paszport, łapówki dla skorumpowanych urzędników państwowych i prowizje od wymiany waluty, ale jeszcze domaga się dalszych stu czterdziestu tysięcy, powiedziałabym, że ma słuszne powody.

– Tak – mówię z godnością. – Wiele przeszłam.

Pani Barber klepie mnie po ręce, a ja opieram głowę na jej ramieniu i zamykam oczy, jakby te przejścia były nie wysłowione. Z wnętrza mojej torby słychać pogardliwe szczerzenie. Ignoruję je.

– Przynieśli pieniądze? – pyta Vuyo.

– No... tak... ale... – Pan Barber wije się.

– Po co te ale? Ale są dla kozłów! Jesteś kozłem, Jerry? Przecież za trzy dni będziesz miał dwa i pół miliona na koncie.

– Tu chodzi tylko o to, że to moja emerytura.

– Nasze oszczędności.

– Spójrz na tę dziewczynę, Jerry. No spójrz na nią! To wasze dzieło. Wy wyciągnęliście ją z piekła. Ty i Cheryl zrobiliście coś dobrego. Zmieniliście czyjeś życie. – Dla większego efektu Vuyo ujmuje twarz Jerryego w dłonie i potrząsa nią lekko, stając

się skrzyżowaniem kaznodziei i specja od budowania zespołu w korporacji. – Proszę bardzo. Wasze certyfikaty z Banku Centralnego, jak sobie życzyliście. Wszystko jak należy. To już prawie koniec, Jerry.

– To już prawie koniec, Jerry – powtarza Cheryl. Zerka na mnie i znowu zaczyna jej drzeć podbródek.

Wyobrażam sobie zszywki utrzymujące mój uśmiech w miejscu i pochylam głowę, jakby i mną w taki sam sposób owładnęły emocje. Cała sprawa jest groteskowa, a jednak przekora każe mi się w to wciągnąć. W taki sam sposób odhaczałam punkty na tablicy, kiedy rodzice autentycznie wierzyli w te kity o popsutym samochodzie, o tym, że muszę wnieść opłatę za dyplom magisterski z dziennikarstwa, na które nigdy się nawet nie zapisałam.

Jerry przygląda się certyfikatom, nienagannie sfalszowanym, wyposażonym w hologram Banku Centralnego.

– Oczywiście będzie je musiał potwierdzić mój prawnik – oznajmia, ale to oczywiste, że blefuje. Zapach pieniędzy jest teraz zbyt silny. Wyje jak wuwuzela, zagłuszając szept wątpliwości.

– Tak, oczywiście – mówi Vuyo; pozwalając przy tym, żeby cień zatroskania skaził jego niewątpliwie przystojne rysy.

– O co chodzi, panie Bacci?

– Proszę, jesteśmy tu wśród przyjaciół. Proszę,

mówcie na mnie Ezekiel.

– O co chodzi, panie Ezekielu?

– Chodzi tylko o to, że to może spowodować zwłokę.

Cheryl pojękuje.

– Jaką zwłokę?

– Nie dłuższą niż kilka tygodni. Maksymalnie dwa miesiące.

– Ale chwileczkę, już dosyć przeszliśmy. To absolutnie wszystko, co mamy. Nasze emerytury, nasze oszczędności. Pożyczyłem pieniądze od syna! Zdajesz sobie sprawę, ile nas kosztował przylot tutaj? To już trzeci raz!

– Był pan bardzo wyrozumiały, panie Barber. Chodzi o to, że mamy teraz coś w rodzaju okienka serologicznego. W Ghanie jest koniec roku podatkowego i rząd zamyka wszystkie transakcje bankowe w związku z okresem wyrównawczym.

– To jest najdurniejsza bzdura, jaką w życiu słyszałem!

– Je-rrry... – upomina go Cheryl.

– To Ghana. – Vuyo wzrusza ramionami.

– Więc co możemy zrobić?

Vuyo poddaje to pod namysł, po czym okazuje na twarzy, że doznał objawienia.

– Mam. Bank wydaje obligacje na okaziciela. Dam wam takie obligacje o wartości waszej wpłaty gotówkowej. Będzie je można zrealizować za

miesiąc, ale z kolei one nie podlegają restrykcjom rządowego okresu wyrównawczego. Będziecie więc bezpieczni. I będziemy mogli przejść do ostatecznej transakcji.

– No nie wiem, to się wydaje strasznie skomplikowane. Może powinniśmy poczekać.

– To czekanie było najgorsze – odzywam się nieobecny głosem.

– Na co, kochanie? – Cherył ściska mnie za rękę.

– Ta niewiedza, czy zamierzają nas zabić. Zabawiali się nami. Czasami brali dziewczyny na chybił trafił. Innym razem kazali nam wybierać, zmuszali do wybierania, kto to ma być. A potem brali w zamian kogoś innego. Ale trzeba było z tym żyć, żyć po tym, jak się zdradziło całe swe dotychczasowe życie.

– Och, biedactwo. Biedactwo – wykrztusza Cherył, z dłonią przyciśniętą do ust. – Och, maleńka, gdyby coś takiego przytrafiło się naszej Mandy... Wyobrażasz to sobie? Och.

– Chcę wam tylko podziękować – mówię ze wzrokiem wbitym we własne dłonie zaciśnięte kurczowo na podolku.

– Och – jęczy Cherył. – Och, córeńko.

– Okay – odzywa się Jerry głosem pokonanego.  
– Obligacje na okaziciela, tak?

– Tylko na siedemdziesiąt dwie godziny. A potem to dwa i pół będzie czyste – tłumaczy Vuyo.



Podczas gdy panowie zajmują się wymianą torby pełnej gotówki na sfałszowane obligacje na okaziciela wydane przez nieistniejący bank, ja zamawiam herbatę dla nas obu.

– Czy mogę spytać, co zrobicie z tymi pieniędzmi? – odzywam się do Cheryl.

– Kupimy dom. Dla nas i dla dzieci. Dla Amandy, Simona i ich rodzin. Niby za dwa i pół miliona dolarów można kupić posiadłość w Malibu, ale my planujemy zostać w Aurorze. Każemy Mandy przenieść się z Chicago, żebyśmy mogli spędzać więcej czasu z dziećmi. Czekać chwilę, tu mam zdjęcie.

Cheryl wyciąga swój telefon, żeby mi pokazać fotkę zaślinionego niemowlaka o nieszczęśliwym wyglądzie i jeszcze jedno z uśmiechniętą dziewczynką z kitkami i naczyniakiem na policzku. – To jest Archie, a to Becky, maluchy Mandy. A Simon, no cóż, Simon i jego partner planują adopcję.

– Jakie to urocze. – Oddaję jej telefon.

– A z tobą jak jest, kochanie?

– Będę się starała zacząć nowe życie, najlepiej jak potrafię. Tu, w tym kraju, jest łatwiej.

– A co z sierocińcem?

– A tak, sierociniec. Hm. Oglądaliśmy budynki. Jest taki jeden dom starców, który moglibyśmy przerobić. Przeuroczy. Wielki ogród, gdzie rosną morwy, do tego basen. Blisko ogrodów botanicznych.

Będzie wspaniale. – W głowie mam obraz domu, w którym dorastałam.

– Miło poczuć, że nagle otwierają się możliwości, prawda?

– Tak.

Milczymy.

– Miałaś duże trudności z wydostaniem się z obozu?

– Cheryl, proszę, to zbyt bolesne, by o tym mówić. – Dla emfazy ukrywam twarz w dłoniach. Przez szczeliny między palcami widzę, że torba znowu zaczyna podrygiwać. Szturcham Leniwca butem, żeby się uspokoił.

– Och. Oczywiście. – Cheryl obejmuje mnie i przyciąga do siebie niezdarnie, gładząc po plecach. – No już, już – mówi. – No już, już.

– Wszystko załatwione. – Jerry uśmiecha się szeroko, jak człowiek, z którego zdjęto ciężkie brzemie. Wątpliwości ważą bardzo dużo. – Może ci pomogę, Frances? – Podnosi rattanową torbę, zanim udaje mi się go powstrzymać. – Hej, co my tu mamy, wszystkie nasze ziemskie dobra?

– Jerry! – wykrzykuje oburzona Cheryl.

– Och, przepraszam, nie chciałem – i w tym momencie Leniwiec wystawia łeb i wydaje zrzędlivy pisk.

Jerry upuszcza torbę. Na szczęście to tylko kilkanaście centymetrów, ale Leniwiec ryczy, jakby

wpadał do Wodospadu Wiktorii.

– O Matko Boska! Co to za stwór?

– Jerry Barber! Doskonale wiesz, co to takiego. Frances, kochanie, trzeba nam było powiedzieć.

„Lepiej coś z tym zrób”, czytam we wzroku Vuyo.

– Wstydziałam się – mówię półgębkiem.

– Ależ dziecko, nie ma się czego wstydzić. To wcale nie znaczy, że jesteś złym człowiekiem. To znaczy tylko tyle, że kiedyś robiłaś złe rzeczy. – Cheryl strzela płomiennym spojrzeniem w stronę Jerry ego. – Jesteś dobrą dziewczyną, kwiatuszku, naprawdę dobrą. – Oczy znowu zachodzą jej łzami.

Przypatrujemy się, jak Cheryl i Jerry wyjeżdżają wynajętym białym volkswagenem polo z parkingu całego zastawionego BMW X5 i audi A4; machamy radośnie tak długo, aż znikają za zakrętem.

– Jesteś dobrą dziewczyną – mówi Vuyo, przedrzeźniając Cheryl.

– Zamknij się, Vuyo.

– Powinniśmy to powtórzyć.

– Chcę dwadzieścia procent.

– Może następnym razem.

– To była jednorazowa akcja. Nie powtarzam występów.

– Znam takie dziewięćdziesiąt cztery tysiące dwieście trzydzieści pięć randów, które mi mówią coś innego.

– Napiszę ci więcej formatów.  
– Podwoję twoje odsetki.  
– Mam to gdzieś.  
– Jeszcze raz, jak miał na imię twój brat? – pyta figlarnie. – Ten nieżyjący?

– Pieprz się.  
– A twój kochanek? Ten przystojny *mkwerekwere* [W pełnej wersji *amakwerekwere* - stosowane w RPA pogardliwe określenie nielegalnych imigrantów z innych krajów afrykańskich.] Benoit, prawda? Bądź ostrożna, Zinzi. Wiesz, co było ostatnim razem, kiedy się stawiałaś gangsterom.

Vuyo wsiada do jednego z X5. Zapamiętuje numery rejestracyjne. Tablica jest bez wątpienia podrabiana, ale ja jestem psem na informacje. Stukam w okno. Opuszcza szybę.

– Co jest?  
– Podwieź mnie.  
– Kup sobie samochód – mówi i rusza z miejsca, buksując kołami.

## 6

O trzeciej po południu atmosfera w barze „U Makhazy” już przypomina imprezę. Reakcja na brak obiektów rekreacyjnych w okolicy. Aczkolwiek popularność „Maka” w dzielnicy pełnej knajp i kościołów można przypisywać dwóm czynnikom: kurczak po lagosku tudzież widok. Bar jest usytuowany na drugim piętrze budynku, w którym kiedyś mieściła się galeria handlowa – w czasach, gdy ta część miasta stanowiła główny ośrodek kosmopolityzmu, z ostentacyjnie bogatymi hotelami, restauracjami, ogródkami kawiarnianymi i pasażami handlowymi wypełnionymi górami luksusowych towarów. Nawet Zoo City miało swoje Poprzednie Życie.

Kilka lat temu dużo się gadało o comebackach i gentryfikacji, co w rezultacie spowodowało wielomiesięczne najazdy eksmisyjne dokonywane przez pracowników pewnej firmy ochroniarskiej zwanych Czerwonymi Mrówkami od ich czerwonych hełmów, młotów i megafonów, a kamienicznicy o roziskrzonych spojrzeniach płynęli na fali boomu na rynku nieruchomości w ten sposób, że zamuroywali dolne piętra budynków. Ale skłotersi zawsze znajdowali sposób na wejście do środka. Jesteśmy przemyślną bandą. I przydaje się jakaś tam reputacja.

Bar zajmuje przestrzeń po dawnym gigantycznym oknie wystawowym, wychodzącym na ulicę. W swoim czasie to okno było urządzone na podobieństwo wystaw w domu towarowym Macy's, z obracającymi się przykładami ambitnej mody i designerskimi wyrobami, tak przestronne, że raz wstawili tu chevroleta kabriolet jako element wystawy bożonarodzeniowej; za kółkiem siedział Mikołaj w lustrzankach i hawajskiej koszuli.

Mak, czyli właściciel, zachował kilka manekinów dla atmosfery: gościa po podwójnej amputacji w sztruksowych spodniach z kantami, dzianinowej jasnozielonej kamizelce i kapeluszu oraz kobietę z dziobatą, melaminową twarzą, znakomicie pasującą do białej miniówki pogryzionej przez mole i kurewskich kozaczków; oboje zastygli w smętnych, retrofajnych pozach. Goście baru nie ubierają się nawet w połowie tak ładnie.

Strząsam Leniwca do zagrody obok drzwi. Przywiera do konaru martwego drzewa obwieszonego lampkami choinkowymi i już mocno zaludnionego. Wyleniała Wiewiórka prędko wpycha resztki czekoladowego batonu do pyszczka i ćwierka coś z przyganą w stronę Leniwca, po czym skacze wyżej, mijając napuszoną Majnę Brunatną i Boomslanga zapętlonego niedbale wokół rozwidlenia w konarze, równie nieruchomego jak manekiny.

– Nie spoufalaj się za bardzo, koleś – ostrzegam

Leniwca.

Niby w lokalu obowiązuje niepisany kod zachowań, ale zwierzęta to nadal zwierzęta. I zwierzęta bywają świniami. Mangusta leży w kącie na trocinach, zwinięta w kłębek. Lekko uchyla powieki, po czym udaje, że znowu zasnęła.

Benoit i dwaj jego kumple, to znaczy jego współmieszkaniec Emmanuel i ten *sgebenga* [(język xhosa) – złodziej] D'Nice, siedzą tam, gdzie zwykle, przy stole do gry w piłkarzyki. Biorę sobie tonik z baru (w ostatnich czasach największe przybliżenie równania „dżin z”, jakie udaje mi się osiągnąć) i siadam obok nich w narożnej przegrodzie. Klimatyzacja wali się jak zawsze i ich piwo jest spocone. Werweta D'Nicea siedzi na stole, otoczona co najmniej dwoma kolejkami pustych butelek o pojemności 750 ml; bawi się podstawką pod szklanę, którą ktoś zwędził z hotelu „Carlton” około 1987 roku.

Z telewizora drze się jakiś odrażający, crunkowy rap. Na teledysku widać spocone, podrygujące ciała, w które wcinają się smętne obrazy płonącego miasta – olbrzymie kule ognia rozświetlają niebo nad Las Vegas. Raper, w kamizelce w lamparcie cętki i łańcuchach, skrada się wśród dziewczyn, a obok stąpa Hiena. Zwierzę na zbliżeniach warczy, obnażając pożółkłe zęby. Dramat eskaluje do tego stopnia, że dziewczyny też stają w płomieniach, co na szczęście jakoś im specjalnie nie przeszkadza.

Płomienie liżą ich wysportowane, roztańczone brzuchy, płonące łuki objeżdżają krzywe pośladków wyzierające spod boleśnie obcisłych, seksownych majtek.

– To z realu? – pytam, wskazując telewizor tytułem przywitania.

– Żartujesz. – Emmanuel jest zszokowany do głębi. To przemiły Rwandyjczyk, zaledwie dwudziestoletni, utrzymuje się z dorywczych prac. Nie ma zwierzaka, ale przecież nie istnieje prawo, które by mówiło, że to obowiązkowe. W Zoo City wszyscy jesteśmy za tolerancją. Albo wzajemnie podsycaną desperacją.

– Zlituj się, Emmanuel. Mam trzydzieści dwa lata. Już się nie znam na tym gównie.

– Cha! Zinzi! To ty nie znasz Slingera?

– A co to za imię Slinger? Jest takie metalowe.

– Twoje słowa mnie boją. Zadają mi fizyczny ból.

– Nawet nie próbowałam zadać ci bólu, Emmanuel.

– Tak, to z realu – mówi pojednawczo. – Czarnuch przyjął kulę w twarz i przeżył, żeby o tym opowiedzieć. Kula odbiła się od czaszki, roztrzaskała mu szczękę, musieli go zdrutować, odbudować.

Do rozmowy wtrąca się D’Nice; wymachuje butelką, przez co chlapie piwem na wszystkie strony.

– Wiesz, że szczęki hieny są silniejsze od szczęk



Iwa. Muszą się przegryźć przez czaszkę, żeby dojść do szpiku.

Werweta ożywia się na widok rozlanego piwa. Porzuca podstawkę i pochyla się z wielkim zdecydowaniem.

– W czaszce nie ma szpiku – zauważa Benoit, a do mnie właśnie dociera, że wszyscy trzej są już lekko ubzdryngoleni.

– Wiesz, o co mi się rozchodzi – mamrocze D’Nice.

Werweta przejeżdża łapą po kałuży piwa. Podnosi tę łapę do twarzy i oglądają uważnie, a dopiero potem oblizuje. Dygocze pod wpływem smaku. Znowu oblizuje łapę, różowy język wślizguje się w szczeliny. Powiedziałam lekko pijani?

– Słuchajcie dalej! – mówi Emmanuel. – Slinger nie odpuścił. Wychodzi ze szpitala, w połowie robot przez te kawałki metalu, które musieli mu zaszczepić do głowy, i idzie szukać asfaltów, które mu to zrobiły. Znajduje ich w jakimś nocnym klubie w South Central. Wchodzi do środka przez frontowe drzwi. I *bam! barn! bam!* – Emmanuel naśladuje kasowanie gnojzków za pomocą nieistniejącego pistoletu, tak wielkiego, że musi go trzymać obiema dłońmi. – Kosi ich, tak mniej więcej ośmiu. Jedna połowa nawet nie zdąża mrugnąć, drugiej połowie udaje się tylko sięgnąć do gnatów albo chociaż wstać, ale on i tak ich likwiduje. Laski wybiegają nago z

budynku, drą japy i w ogóle, wszystkie zalane krwią!

– Wiesz, chyba widziałam ten film.

Uśmiech odskakuje Emmanuelowi od twarzy jak kopnięty szczeniak, odbija się od chodnika i turla do rynsztoka, z cichym, żalonym skowytem. Na ekranie TV Slinger i jego Hiena ustąpili miejsca duetowi uprawiającemu nasze rodzime *kwaito* – chłopiec i dziewczyna przebrani za parę Myszkieterów. Przesłodka, nastoletnia prowokacja.

– Zinzi, przestań być wredną, starą cyniczką. – Oddech Benoita pachnie trzema, może czterema kolejkami lengolongoli. – Przepraszam cię, Emmanuel. Nie mogę jej nigdzie zabierać.

– Ha. Jakbyś mnie zabierał dokądkolwiek. Przepraszam, Emmanuel. Nie chciałam być nietaktowna w związku z twoim bohaterem. – Kuksam go w ramię, żeby go rozkrochmalić. Emmanuel wygląda na mniej pochmurnego – w rzeczy samej wygląda, jakby mi zupełnie wybaczył, i żeby mi to dowieść, zaczyna mnie raczyć jeszcze bardziej elektryzującymi szczegółami ani trochę sfabrykowanej biografii Slingera. Wcinam się w momencie, gdy bierze oddech, który ma zasilić następny akapit dupereli na temat Slingera, obłapiając zaborczym ramieniem Benoita. – Mogę zabrać tego człowieka czy też gadacie o interesach, chłopcy?

– Co się tak spieszysz, Zi-zi? – D’Nice zalicza

się do facetów tego typu, którzy nieproszeni nadają ludziom ksywki.

I jest też jednym z tych facetów, którzy maczają paluchy we wszelkiego typu mętnych sprawach. Na głowie ma wełnianą czapkę i jak zawsze lekko rozdziawia usta, co mu nadaje z lekka głupkowaty wygląd. Ale człowiek byłby głupkiem, gdyby próbował go nie doceniać. – Zostań i napij się z nami – mówi.

Podnoszę swój tonik.

– Nic mi więcej nie trzeba, dzięki, jest superancko. I przestań – dodaję, bo czasami czuję się tak, jakby owady pocierały odnóżami moje skronie.

Werweta pochyła się, zniecieracka przytomna w oparach alkoholu. Zwierzę przy pracy.

– Co przestań? – pyta niewinnie, jakby nie wyciągał małych, magicznych macek w moją stronę, ale wrażenie, że coś mnie smyra, blednie i Małpka odchyła się do tyłu z wyraźnym rozczarowaniem. Obrzuca D’Nice’a wrednym spojrzeniem i znowu zaczyna gmerać w piwie.

– Ciężko przywaliłaś, Zi-zi – mówi D’Nice, ale stara się nie ściągać uwagi, bo Emmanuelowi nie podoba się jego imprezowa sztuczka.

D’Nice, wbrew swemu przydomkowi, jest przeciwieństwem wszystkiego, co miłe. Jego *shavi* karmi się drobnymi chwilami szczęścia, chłonąc je bezmyślnie jak gąbka. Kłamie w tej sprawie,

oczywiście. Wielu zoolusów ma przygotowaną bajkę, która zamydla ich co bardziej zboczone talenty. Jak go spytać, D’Nice ci powie, że jego talent to wygrzebywanie informacji i faktycznie, tego też dużo robi. Zbiera je z ulicy i potem spuszcza za pieniądze każdemu, kto jest gotów zapłacić – ale to nie magia ułatwia mu kapowanie.

Człowiek by pomyślał, że jak jesteś wampirem serotoninowym, to sobie internalizujesz choć część cudzego szczęścia. Nie D’Nice. Na ile potrafię orzec, Benoit jest jego jedynym przyjacielem, a przynajmniej jedyną osobą, która toleruje go na trzeźwo dłużej niż dwadzieścia minut.

– Znasz mnie przecież, D’Nice. Jestem pies na imprezy. A skoro już mowa o zwierzętach, twoje ma chyba dosyć.

Werweta przewraca butelkę.

– Do kurwy nędzy – mówi D’Nice, wyciągając rękę w stronę butelki, ale Werwecie już udaje się ją schwycić; przy okazji wprawia trzy inne szklanki i resztki mojego toniku w efekt domina.

Emmanuel podrywa się z okrzykiem, przewracając swoje krzesło. Słysząc brzęk tłuczonego szkła. D’Nice wrzeszczy, to na Werwetę, że jest idiotką, to na Maka, że ma przynieść ścierkę i posprzątać ten gnój – i jeszcze jedną kolejkę przy okazji, gratis, bo nic by się nie stało, gdyby ten stolik nie był taki chwiejny, jak zresztą wszystkie

zdezelowane graty w tym lokalu. Mak nie zgadza się z diagnozą, bardzo głośno, przez co wciąga do sprawy Carlosa, bardzo dużego, bardzo łysego bramkarza portugalskiego pochodzenia. Emmanuel roztropnie korzysta z okazji, żeby albo iść się odlać, albo zdobyć jeszcze jednego drinka. I znika.

Chaos daje Benoitowi i mnie chwilę, podczas której możemy pogadać jak osoby dorosłe.

– Jak sprawy? – pyta, robiąc za bystrego, wrażliwego faceta, który potrafi wychwycić niezbyt subtelne aluzje. Nie jest już taki bystry i wrażliwy, jeśli idzie o jego przyjaciół i współmieszkańców, ale niech mu tam.

– W całym szeregu zasranych dni ten na razie przypomina krwawy rynsztok.

– Coś z panią Luditsky?

– Nie żyje. Zamordowali ją, jeśli chcesz znać szczegóły techniczne. Praktycznie już tam byłam i łącze po prostu... zwiędło. – Mówiąc to, czuję znowu kopa w trzewia. Jakby do moich wnętrzości zawędrował przypadkiem zaginiony atak serca.

– To dlatego tak cię wcięło?

– Gliniarze. Trzy godziny. Jakieś brednie totalne. Aha, kazali ci przyjść na posterunek w ciągu kilku dni i złożyć zeznanie na temat mojego miejsca pobytu dzisiaj rano.

Benoit nic nie mówi. Jego dłoń wędruje machinalnie do blizn po oparzeniach na szyi, pod

plisą T-shirta, gdzie jego skóra jest błyszcząca i plastikowa jak u Barbie.

– Przepraszam, Benoit. Wiem, to upierdliwe. – Jego kciuk rysuje ciasne, małe spirale w górę szyi, aż do linii szczęki; tracę cierpliwość. – Chodzi o twoje papiery? Bo ja myślałam, że ci przedłużyli w zeszłym tygodniu. Jeśli to taki kłopot, to mogę się zwrócić do któregoś innego z moich kochanków, żeby mi dał alibi.

Benoit uśmiecha się blado. W PŻ pomyśl z innymi kochankami byłby co najmniej uzasadniony. Ale od czasu Leniwca jestem taka monogamiczna, że banan demonstracyjny, za pomocą którego edukatorzy z programów walki z AIDS pokazują, jak się wkłada prezerwatywę, wyglądałby w porównaniu ze mną jak dziwka.

– Miałem telefon – mówi.

– Od? – I tak wiem. Wiem dokładnie, od kogo.

– Już nie bądź taka, Zinzi. Od mojej żony. Od rodziny.

Znowu mnie to nachodzi. Już drugi raz tego samego dnia. Atak serca w bebeczach. Bolesny ucisk i skręt. Leniwiec patrzy na mnie z przeciwnej strony wnętrza, skrzeczy pytająco. Nieznacznie potrząsam głową.

– To wspaniale, Benoit. Pewnie jesteś... – Mogłabym tu wstawić mnóstwo słów, ale żadne z nich raczej nie pasuje do koktajlu emocji

wypalającego właśnie dziurę w moim brzuchu: miks z rumu i kwasu siarkowego. Bo kto to mógł wiedzieć? Kto mógł wiedzieć, że ona żyje po tylu latach? Nie ja. Ja się nie zajmuję zaginionymi ludźmi.

– *Ai*. Kto umarł? – pyta D’Nice, kładąc Emmanuelowi gestem rozstawić nową kolejkę piwa przyniesionego z baru. D’Nice popycha jedno w moim kierunku.

– Nie powinieneś zbierać petów z ulicy. Jeszcze poparzysz sobie paluchy – odwarkuję.

– Benoit ci powiedział, że jego żona dzwoniła? – pyta figlarnie D’Nice. To tyle, jeśli idzie o dyskrecję.  
– Wspaniałe wieści, co?

– Niewiarygodne – mówię. Atak serca przeniósł się we właściwe miejsce, wykwita w mojej piersi jak trucizna. – Zdumiewające. Muszę coś zrobić. Później cię złapię, Benoit.

Pochyliam się, żeby go pocałować. Jego usta smakują słodko i drożdżowo. Zastanawiam się, czy to jeszcze jedna rzecz, którą będę musiała odstawić.

## 7

Podczas drogi powrotnej do domu głuchy łoskot z automatycznej broni maszynowej, podobny do pęknięcia popcornu w mikrofalówce, inspiruje mnie i grupkę innych wrażliwych przechodniów do schowania się w pobliskim pasażu handlowym nazwanym intrygująco „Palisada”.

Gliniarze zazwyczaj nie posługują się bronią automatyczną, dlatego wniosek jest prosty: albo to wojna gangów, albo zbrojny włam do samochodu. Furgonetki z pieniędzmi zazwyczaj są przechwytywane na autostradach, gdzie jest więcej miejsca do prędkiej ucieczki, ale gangsterzy poczynają sobie coraz bezczelniej w centrum miasta. Odgłos strzałów stanowi teraz nieodłączny element nocnego dźwiękobrazu Zoo City, tak jak cykady na wsi. Elementem rutyny białego dnia stały się całkiem niedawno.

Pełni napięcia oczekujemy swoje między cukiernią „Mr Placek”, sklepem z butami dla oszczędnych „Milady” i agencją turystyczną „W drogę!”, która najwyraźniej za bardzo wzięła sobie do serca imperatyw zawarty w swojej nazwie, bo zwyczajnie zniknęła. Okno wystawowe jest wciąż jeszcze wytapetowane melanzem z ogłoszeń typu DO WYNAJĘCIA, spłowiałych plakatów reklamujących



egzotyczne miejsca oraz „Najtańszych ofert wycieczkowych!”.

Winda do atrium otwiera się i wyrzuje starszą panią niosącą zakupy apteczne; trzeba ją powstrzymać, żeby się nie zabłąkała w sam środek strzelaniny. Po sporej dawce przekonywania wreszcie cofa się do windy, gderając i mamrocząc, jakby po kolejnym otwarciu się drzwi miała wylądować w jakimś kompletnie innym miejscu świata.

Benoit i ja poznaliśmy się w windzie Wzgórz Elizejskich. W czasach, kiedy winda jeszcze działała. W czasach, kiedy jeszcze ukrywałam Leniwca pod obszerną kangurką. W czasach, kiedy dopiero co wyszłam z Sun City – to znaczy z tego więzienia, a nie z tego kasyna. W Sun City – właściwa nazwa Diepkloof – nie ma wodnych zjeżdżalni ani tańczących dziewczyn; spędziłam tam beczynnie trzy lata jako gość rządu, co jest niedopatrzeniem, jeśli idzie o system penitencjarny. Reforma byłaby daleko bardziej skuteczna, gdyby cię uczyli przydatnych umiejętności życiowych – jak wymierzanie kopniaków w głowę i potrząsanie cyckami.

W dzisiejszych czasach więźniów nazywa się klientami. Wszystko to kwestia semantyki. „Klientom” wciąż się podaje pomyje i *pap*, [Tradycyjna potrawa kuchni południowoafrykańskiej; rodzaj kaszy z grubo mielonej kukurydzy lub innych ziaren.] wciąż muszą spać po

pięćdziesięciu siedmiu w celach przeznaczonych dla dwudziestu, wciąż muszą uprawiać ćwiczenia fizyczne na ponurym, betonowym dziedzińcu oddzielonym od pokus zewnętrznego świata ogrodzeniem z siatki i wieżą, na której stoi uzbrojony strażnik. Klienci nadal są wykopywani na ulicę, kiedy ich przymusowe wakacje finansowane przez państwo dobiegają końca. Z zerowym wsparciem, wyjąwszy przeładowany system zwolnień warunkowych, który nie jest w stanie spamiętać, kim jesteś, więc jak miałby zapamiętać, co powinieneś robić.

Nie zadzwoniłam do rodziców. Nie odbyliśmy ani jednej poważnej rozmowy od tamtej wiosennej nocy w 2006 roku, kiedy znaleźli mnie na parkingu karetek pogotowia szpitala im. Charlotte Maxeke, wśród skracających się już cieni, z Leniwcem zwiniętym w kłębek na kolanach niczym moja własna szkarłatna litera.

Nie mogłam nie trafić do Zoo City. Co zrozumiałam dopiero wtedy, gdy pracownica piątej z rzędu agencji wynajmu spojrzała szyderczo na Leniwca znad swoich papierów i wyjaśniła, że akurat nie mają nic wolnego na przedmieściach – czy próbowałam w Hillbrow?

Wzgórza Elizejskie nie były oczywistym wyborem miejsca do Zaczynania Wszystkiego od Nowa. Oglądałam też inne, przyjemniejsze bloki

mieszkalne. Kiedy jednak ochroniarz na moją prośbę zgodził się pokazać puste mieszkanie na szóstym piętrze, stwierdziłam, że jest coś pocieszającego w tym drucie kolczastym i powybijanych szybach, w tym, że wszystkie okoliczne budynki są połączone planowo zbudowanymi kładkami albo zaimprovizowanymi mostkami, tworząc jedno rozległe, labiryntowe getto. Widok, który krzepił mnie podobieństwem do więzienia. Z tą różnicą, że tutaj drzwi otwierają się wtedy, kiedy tego chcesz.

Przeprowadziłam się jeszcze tego samego popołudnia; miałam tylko zastarzałą gotówkę w portfelu i Leniwca na grzbiecie. Spędziłam większą część tamtego pierwszego dnia na dekowaniu się w mieszkaniu i mozolnym wymyślaniu, jaki powinien być mój następny krok. W więzieniu możesz się snuć między syrenami, które porządkują ci dzień; syreny to te chwile, kiedy robisz, co ci każą, a potem jesteś jak ta kulka we flipperze, który działa na zwolnionych obrotach. Tęskniłam teraz za tymi syrenami.

Zrobiło się późne popołudnie, zanim zdobyłam się na odwagę, żeby wyjść na zewnątrz, i to tylko dlatego, że Leniwiec skomlał, że jest głodny. W stołówce w Sun City podawali lekko zwiędłe liście, martwe owady, siano albo surowe wnętrzności, w zależności od wymagań żywieniowych twojego zwierzaka. Pod tym względem są w porządku w

więzieniu. Poza więzieniem, no cóż, dziewczynko, radź sobie sama. Sama idź sobie szukać zwiędłych liści i pomyj.

Uzbrojona w powyginaną i podrapaną kartę magnetyczną służącą za klucz, dzięki której można się przedostać przez nieporęczną, obrotową bramkę do Wzgórz Elizejskich (równie krzepiąco przywodzącą na myśl więzienie), zamknęłam mieszkanie na klucz i naciągnęłam kangurkę na łeb Leniwca. Prychnął z odrazą.

– Życie jest ciężkie, koleś – powiedziałam. Wtedy jeszcze nie byłam przyzwyczajona do pokazywania się z nim publicznie. Jeszcze mnie obchodziło, co myślą inni, nawet jeśli ci inni mają własne zwierzęta.

Winda nie spieszyła się. Było widać, że została niedawno odnowiona. Metalowe części błyszcząły nowością na tle obłazącej farby na okalającej ją ścianie. Właśnie się zastanawiałam, czy jednak nie skorzystać ze schodów, kiedy drzwi się rozsunęły, ukazując grupę mężczyzn, jeden w drugiego ze zwierzętami.

W Sun City czasami chodziłam na nabożeństwa neoadwentystów. Jeśli się odsiedziało całe przedstawienie do końca, łącznie z jednoosobowymi sesjami terapeutycznymi potem, to w nagrodę dawali ci normalny posiłek, pięć różnych grup pokarmów i tak dalej. Twierdzili, że zwierzęta to fizyczna

manifestacja naszego grzechu. Pomysł tylko marginalnie mniej okropny niż teoria, że zwierzęta to *zvidhoma*, albo inaczej chowańcy towarzyszący czarownikom, co w niektórych wiejskich zadupiach kwalifikowałoby nas do tortur i spalenia na stosie. Kazania u adwentystów były dostateczną torturą, to gadanie na okrągło, że zwierzęta to kara, z którą będziemy musieli się obnosić tak jak ten facet z *Wędrowki Pielgrzyma* targający brzemię swego grzechu.

I że ponoć przyciągamy robactwo, bo sami jesteśmy robactwem, najędzniejszymi z nędznych. Twierdzili, że każdy może być zbawiony, ale jeszcze nie spotkałam nikogo ze zwierzęciem, komu się to zwierzę magicznie zdematerializowało, tak jak Pielgrzymowi jego worek z grzechami. Nikogo, kto czekał na przyjście Cofki.

A jednak faceci z windy nie dźwigali swoich zwierząt jak brzemię, a zwłaszcza nie ten olbrzym na ich czele, z bliznami po oparzeniach, które spęłzały mu z szyi pod T-shirt, i z Mangustą przerzuconą na pierś w przerobionym nosidełku dla dziecka. Oni je nieśli tak, jak inni noszą broń.

Mangusta warknęła na mnie i niewykluczone, że się przelotnie zawahałam, nim wsiadłam do windy. Co nie uszło ich uwadze. Stałam twarzą do drzwi, kiedy się jeszcze zasuwwały, plecami do tych mężczyzn i ich menażerii, ale widziałam ich

pokawałkowane odbicia w lśniącym aluminium niczym w tanim krzywym zwierciadle, jakby zostali namalowani przez Hieronima Boscha.

– Nie boisz się – spytał olbrzym głosem przywodzącym na myśl szlam – być tu z takimi zwierzętami jak my?

– To wy powinniście się bać, że jesteście tu ze mną – odwarknęłam. Nie raczyłam się odwrócić.

Zobaczyłam w odbiciu jego twarz; rozciągała się w szerokim uśmiechu, uśmiechu, który stawał się coraz szerszy, aż w końcu pochłonął całą twarz i wtedy jej właściciel ryknął śmiechem. Pozostali mężczyźni też się uśmiechnęli. Nie szerokimi uśmiechami, ale dostatecznie dużymi, by odtąd nikt mnie już więcej nie nękał, zwłaszcza od kiedy przestałam ukrywać Leniwca.

Kolejny raz spotkałam go kilka tygodni później. Nowusieńka winda już nie działała i wlokłam z sobą przenośną prądnicę po schodach pożarowych, hałaśliwie przestawiając tego nieporęcznego, żółtego sukinsyna ze stopnia na stopień. Leniwiec krzywił się za każdym razem, gdy słyszał metaliczny brzęk.

– Do czego ci to? – zagadał towarzysko olbrzym, zachodząc mnie od tyłu. Był ubrany w uniform firmy ochroniarskiej, koloru ciemnego khaki, trochę dla niego za mały, z plakietką, na której zamieszczono rysunek hełmu Spartanina, nazwę firmy „Sentinel Security” oraz nazwisko Elias. Nie zaproponował, że

mi pomoże, co doceniłam. W teorii.

– Do pracy.

– Masz o sobie zbyt wysokie mniemanie, żeby kraść prąd?

– Zbyt mi życie miłe, żeby dać się kopnąć.

W naszej dzielnicy większość mieszkańców wspólnie kradła prąd; położone prowizorycznie kable biegły sobie beztrudnie między mieszkaniami, a niekiedy nawet między budynkami, przywodząc na myśl sflaczałe liny w podupadającym cyrku.

– Mógłbym ci zorganizować boczną linię, żebyś mogła ładować komórkę. Mnóstwo ludzi nie zawraca sobie głowy schodzeniem do sklepu.

– A ja nie chcę zawracać sobie głowy kontaktami z mnóstwem ludzi. Dzięki.

– W porządku – powiedział i przecisnął się obok mnie, pogwizdując i wymachując ochroniarską pałką.

Wniesienie generatora na górę zabrało mi dwadzieścia minut.

Po raz trzeci po prostu bezczelnie zapukał do moich drzwi. Kiedy je otworzyłam, stał tam z przenośną kuchenką elektryczną pod pachą i nabzdyczoną Mangustą zawieszoną na piersi.

– Wiem, że nie lubisz mnóstwa ludzi – powiedział. – A jednego?

– Zależy – odparłam. – Czego chce jeden?

– Mam tę kuchenkę.

– Widzę.

– I składniki kolacji. – Wskazał torbę z zakupami stojącą u swoich stóp. – Nie mam się do czego podpiąć. – Wyszczrzył się w uśmiechu.

– Masz o sobie zbyt wysokie mniemanie, żeby kraść prąd?

– Jestem beznadziejnym złodziejem. Ale za to świetnym kucharzem.

Okazało się, że wcale nie jest świetnym kucharzem. Ale ja też nie jestem.

Umiał sprawić, że czułam się przy nim zaskakująco wyluzowana. Bo moje *shavi* to draństwo. Prawie wszystkie *shavi* to draństwo. Byłam cyniczna w odniesieniu do ludzi jeszcze wcześniej, zanim zaczęłam wyczuwać promieniujące od nich nici utraconych rzeczy, podobne do pęknięć rozchodzących się od dziury wybitej w szybie samochodowej. On nie miał żadnych nici. Zagubione rzeczy owszem, nadzwyczaj blade i zamazane, ale bez łączy. Oczywiście w jego przeszłości zdarzyło się coś okropnego, a mianowicie Mangusta, ale dobrze to znosił, niczym miękką starą koszulę, wiele razy praną. Okazało się, że to nie jest zbieg okoliczności.

Okazało się też, że wcale nie ma na imię Elias. On tylko zastępował Eliasa, który często chorował. A poza tym miał się wszystkiego: kopał rowy, nosił ciężary, był bramkarzem, złotą rączką, artystą estradowym, wszystkim, pod warunkiem że to było legalne albo prawie legalne. Twierdził, że dopóki



mnie nie poznał, nie zamieszczał w swoim CV pozycji „uwodziciel”.

Prawdę mówiąc, ja pierwsza go pocałowałam.

– Nie myślałam, że będziesz taka chętna – stwierdził ze zdziwieniem.

– Lepiej być taka niż niechętna – odparłam. Tkanka jego blizn pod palcami przypominała celofan.  
– Pewnie miło jest nosić swoje blizny na widoku – dodałam.

– Nie jestem jedyny – powiedział, dotykając ruiny mojego lewego ucha, w miejscu, gdzie musnęła mnie kula. Ale o żonie i dzieciach opowiedział mi dopiero w styczniu, cztery i pół miesiąca po tym, jak zaczęliśmy z sobą sypiać.

Robiliśmy przegląd towarów na straganie pod naszym blokiem, kiedy rzucił bombę, że matka jego żony miała kiedyś stragan z owocami w Walakase.

– Żona w czasie teraźniejszym?

– Być może. Nie wiem.

– No bo zapomniałeś napomknąć o tym, że jest jakaś żona. – Wydawało mi się, że mówię na właściwym poziomie głośności, a tymczasem byłam tak głośna, że podniosłam alarm wśród wszystkich straganiarzy na tym rogu. Nawet wysoki, młody diler z wielkookim Galago wyciągnął szyję, żeby sprawdzić, co się dzieje. Leniwiec odchylił głowę ze wstrętem. Nie znosi, kiedy robię sceny – Może jednak należało mi powiedzieć, że masz żonę, Benoit.

– Nie pytałaś – odparł spokojnie. Wziął ze straganu mango, obrócił je w dłoniach, delikatnie nadusił. Kontrola dojrzałości, stoisko numer trzy.

– Myślałam, że postępujemy według jakichś zasad. Że Poprzednie Życie nie wchodzi w rachubę. Żadnych pytań.

– Dlaczego?

– Bo to nie moja sprawa. Nie chciałam wiedzieć.

– A teraz wiesz. I to jest moja wina? – Wymienił mango na innego kandydata i wręczył mi go, podczas gdy sprzedawca udawał, że wcale się nie gapi. – Co myślisz o tym?

– Myślę, że to zgnilizna.

– Czy to by miało dla ciebie znaczenie, gdybyś wiedziała, *cherie na ngayi*?

Znałam podręcznikową odpowiedź. Podręcznik moralności dyktuje, że należało powiedzieć „oczywiście” albo „jak w ogóle mogłeś o to pytać?”, ale nigdy nie byłam dobra w kłamaniu. Ani też nie byłam dobrą osobą.

– Tak właśnie myślałem – oświadczył. – To niczego nie zmienia, Zinzi. – Wykonał taki ruch, jakby chciał mnie pocałować, ale kiedy zadarłam głowę, przycisnął mango do moich ust.

– Idiota – powiedziałam i wytarłam usta, głównie po to, by ukryć uśmiech.

– Cudzołożnica – odparował z uśmiechem.

– Nieświadoma współniczka przestępstwa!

– Ubiegłej nocy nie byłaś taka nieświadoma. A poza tym w Kongu poligamia jest legalna.

– Czyja już cię nazwałam kretynem?

– Tylko wtedy, gdy na to zasłużyłem. – I pocałował mnie wreszcie.

Podaliśmy dwanaście dolarów za mango i wcisnęłam się Benoitowi pod pachę. Leniwiec musiał się przesunąć, oczywiście niechętnie.

– Jesteśmy strasznie stereotypowi?

– A kto nie jest? – zapytał.

Cała historia wyszła na jaw później, a i wtedy tylko fragmentarycznie, w obrazkach ukazujących się w jakby stroboskopowym rytmie. Ostatni raz widział swoją rodzinę, jak wbiegali do lasu, takie duchy wśród drzew. Potem bandyci z FDLR [Skrót od Democratiques Forces de Liberation du Rwanda, Demokratyczne Siły Wyzwolenia Rwandy; grupa utworzona przez członków plemienia Hutu, walcząca przeciwko Tutsim w Rwandzie i na wschodzie Konga.] powalili go na ziemię kolbami karabinów, oblali parafiną i podpálili.

To było pięć lat wcześniej. Słał listy do krewnych, bliższych i dalszych, do przyjaciół, organizacji pomocowych, obozów dla uchodźców, przeglądał strony internetowe lokalnych społeczności, zaszyfrowane strony uchodźców zarejestrowanych na Facebooku, którzy posługiwali się pseudonimami, kolejnością urodzenia wśród rodzeństwa i opisami wykonywanej pracy w charakterze wskazówek – nigdy fotografiami – by

pomóc rodzinom znajdować się wzajem bez naprowadzania na ślad ich prześladowców. Żadnych danych. Jego żona i troje dzieci zniknęli. Prawdopodobnie nie żyli. Na zawsze zaginieni.

Dlaczego nie dopatrzyłam się w tym żadnego sensu? Dlaczego uznałam, że on jest bezpieczny, normalny, życiowy? Jego *shavi* dławi *shavi* innych ludzi. On zakłóca nasz ambientowy hałas, jest jak mechaty śnieg, który kasuje wszystkie inne częstotliwości, ale tylko w tym zakresie, w jakim ten hałas oddziałuje na niego. Wrodzony opór wobec magii. Nie pozwólcie, żeby to się rozeszło. Gdyby istniał sposób na zsyntetyzowanie jego *shavi*, gangsterzy i legalne władze ruszyliby za nim w pościg. Okłamał urzędników Home Office w podaniu o status uchodźcy, określając swój talent jako „czarowanie” – i był dostatecznie czarujący, by mu to uszło na sucho.

Uznałam to za pozbawione znaczenia. Ale teraz, kiedy jego żona przestała być teoretycznym konstruktem z tragicznej przeszłości, to znaczenie zniecka się objawiło. Tak właśnie jest z duchami z Poprzedniego Życia – wracają, żeby tobą zawładnąć.

Suche *ak-ak* strzałów w pasażu handlowym urwało się zniecka, ustępując miejsca zwielokrotnionemu wyciu syren. Ludzie zaczynają ryzykować wyjście, niektórzy świeżo zaopatrzeni w cuchnące placki z mięsem od „Mr Placka”. Kto

mówi, że zbrodnie z udziałem przemocy są niedobre dla biznesu? Kusi mnie, żeby też kupić sobie taki placek, ale moją uwagę pochłania witryna agencji turystycznej „W drogę!”, z plakatami czy bardziej konkretnie listą polecanych lokalizacji.

Nazwy tych miejsc to lista oklepanych egzotycznych rajów: „Zanzibar. Paryż. Bali. Niesamowite oferty! Cena wycieczki nie obejmuje opłaty lotniskowej”.

Są miejsca, których tu nie reklamują: Harare. Jamusukro. Kinszasa. To miejsca, które wymagają alternatywnych planów podróży.

Cena wycieczki nie obejmuje łapówek dla pracowników urzędów celnych.

Budzi mnie drapanie w drzwi. Nie wiem, która godzina; nawet nie wiem, kiedy przysnęłam przy lekturze czasopisma „You” sprzed trzech miesięcy, pełnego radośnie skandalizujących artykułów na temat najnowszej ligi południowoafrykańskich celebrytów i moralnej degeneracji w ogólności. Egzemplarz krąży po moim pięttrze za sprawą szczególnie gorącego materiału zatytułowanego „Zakazana miłość! Mój romans z zoolusem” na temat jakiejś reprezentantki korporacji finansowej i jej zreformowanego kochanka-gangstera – stanowiącego komplet z Szakalem o srebrnym grzbiecie. Przykładowy cytat: „Po rodzicach największym

wyzwaniem, z którym przyszło mi się zmierzyć, były alergię!”. Szczyt osiągnąć, jeśli idzie o dziennikarstwo tabloidowe.

Światła wciąż się palą, co nie jest dobre dla mojej prądnicy. Dopisuję do mentalnej listy zakupów benzynę (obok jedzenia, wszystko jedno jakiego) i klnąc pod nosem, człapię otworzyć drzwi.

Mangusta siedzi na baczność w miejscu, gdzie kiedyś leżała moja wycieraczka. Kolejna pozycja na liście zakupów. To już trzecia w ciągu sześciu miesięcy. Może tym razem kupię sobie wycieraczkę z wplecionym zaklęciem przeciwko kradzieżom. W mieszkaniu naprzeciwko mieszka krawiec, który ma do tego prawdziwy talent, nie wytwarza bubli jak te placebo sprzedawane w Park Station.

Mangusta podnosi się i stąpa w głąb korytarza, w stronę schodów pożarowych. Przystaje i ogląda się wyczekująco przez ramię.

– Koniecznie? – pytam. Mam na sobie T-shirt, majtki i skarpetki, a na zewnątrz jest kosmicznie zimno.

Mangusta znowu przysiada i czeka.

– No dobra, już idę, do jasnej niepodległej! – Zamykam drzwi i narzucam na siebie kurtkę z żółtej skóry z podartą podszewką. Leniwiec mamrocze coś sennie. – Jest dobrze, koleś. Chyba potrafię samodzielnie przeprowadzić operację ratowania spitego chłopaka-idioty.

Leniwiec mlaszcze z aprobatą i ponownie zapada w sen.

Zapinam kurtkę na guziki, ale pod wpływem kaprysu rezygnuję z džinsów. Kurtka sięga zaledwie do połowy ud, niemniej jednak zakrywa kompromitujące fragmenty. Jeszcze tego pożałuję. A także tego, że nie włożyłam butów. Bo nie znajduję Benoita na korytarzu, tylko na samym dole schodów; leży na nich rozwalony jak jakiś napruty kowboj, w przekrzywionej zawadiacko czapeczce boya hotelowego, tuląc butelkę kanadyjskiego lagera sprzedawanego u nas pod nazwą *zamalek*. Kiedy zadziera głowę, żeby na mnie spojrzeć, po przekrwionych naczynkach w oczach poznaję, że chlał przez całe popołudnie aż do teraz.

- Żgubiłasz buty? – bełkocze żałobnym tonem.
- Bywa – odpowiadam. Nie warto tłumaczyć.
- Pewnie ukradli. Tu szami złodzieje.
- Chyba jesteś pijany. Mam cię położyć do łóżka?
- Do twojego łóżka.
- Naprawdę koniecznie chcesz, żeby rano obudziło cię słońce odbijające się od wieży Ponte?
- Trzeba ją zburzyć.
- Albo założyć zasłony. No dalej, wielkoludzie.
- Przemocą stawiam go na nogi, używając poręczy jako podpory. A potem ruszamy, bardzo ostrożnie, sześć kondygnacji w górę, śladem Mangusty, która

sadzi susy w przedzie.

Kiedy otwieram drzwi, Mangusta wparowuje do środka i pędzi do ciepła mojego laptopa. Tym razem pozwalam jej, głównie dlatego, że jestem zanadto zajęta wciąganiem Benoita do środka, krok po kroku.

Próbuję go zatargać na łóżko, ale dociera do mnie, że łatwiej będzie ściągnąć materac na podłogę i po prostu rzucić go na niego.

– Chciaem pogadać – mówi, padając na plecy, bliski zafundowania sobie wstrząsu mózgu w zderzeniu ze ścianą.

– Mnóstwo czasu – ucinam go, biorę blaszany kubek i nalewam do niego wodę z butelki, bo właściciel budynku znowu zakręcił zawór. Przystawiam kubek do jego ust i Benoit przełyka wodę wielkimi haustami. Opatulam go i ustawiam kosz do śmieci obok łóżka, żeby mu było łatwiej rzygać, potem zdzieram skarpetki i kładę się obok niego.

– Twoje sztopy są zimne jak lód – skarży się.

– Przynajmniej nikt ich nie ukradł.

W tym właśnie momencie prądnica zaczyna charczeć i wzdychać, po chwili kończy się paliwo, przez co oboje pogrążamy się w ciemnościach. Przynajmniej nie będę musiała znowu wstawać, żeby zgasić światło.



## 8

CZAS NA REAL: INTERNETOWA BAZA FILMÓW  
DOKUMENTALNYCH

### **WOJOWNIK I PINGWIN**

**Nieznana historia Dehqana Baiyata (2003)**

**Ocena użytkowników 7/10**

(17 264 głosy)

**Reżyseria:** Jan Stephen, Samara Khaja

**Scenariusz:** Jan Stephen (narracja) *Nikolai Wood*

**Występują:** *Dehqan Baiyat Gul Agha Baiyat General Rashid Dostum, pseudonim „Zapaśnik” Pptk Al Stuart Matthias Weems Brygadier Jon Chafe [więcej... ]*

**Czas:** 180 minut

**Język:** angielski, dari, paszto z napisami

**Wytwórnia:** League Pictures, Londyn

**Kraj:** Wielka Brytania

**Przeznaczony dla widzów:** bez ograniczeń wiekowych

**Kategoria:** Polityka, kultura, historia

**Format obrazu:** 1, 85:1

**Udźwiękowanie:** Dolby Stereo

**Plany zdjęciowe:** Afganistan, Pakistan, Nowy Jork, Londyn, Guantanamo

**Premiera:** 9 października 2002 kanał BBC1

(Wlk. Brytania), 14 marca 2003 (USA, świat)

**Nagrody:** Oscar dla najlepszego dokumentu 2004 Sundance Film Festival 2003 international Documentary Association 2003 Bafta 2004 Genie 2004 Golden Gate Award 2004 [więcej... ]

**Krótkie streszczenie:** Wojownik. Ikona. Pacjent Zero? Życie i śmierć Dehqana Baiyata.

**Pełne streszczenie:** (spojlery) Dehqan Baiyat to człowiek, który za młodu studiował reżyserię w Nowym Jorku, a potem został afgańskim watażką uzbrojonym w karabin maszynowy i jeżdżącym na motocyklu; zyskał sławę pod koniec I. 90. , nie dlatego, że trudnił się przemytem opium albo że stosował brutalną taktykę zarówno w walkach z Talibami, jak i z wojskami NATO, tylko dlatego, że zawsze towarzyszył mu pingwin.

Kiedy wśród brytyjskich wojskowych zaczęły krążyć plotki o wojowniku, któremu z jakichś absurdalnych powodów towarzyszy antarktyczny ptak ubrany w kamizelkę kuloodporną, dziennikarz śledczy Jan Stephen wyszedł Baiyata wśród pól opiumowych prowincji Helmand, a potem spędził dwa lata na pustyni i w górskich kryjówkach, starając się rozszyfrować zagadkę człowieka z ptakiem.

Niniejszy dokument rekonstruuje życie i śmierć Dehqana Baiyata. Ów potomek irańskiego klanu, w zamierzonych czasach toczącego wojnę z Czyngis-chanem, zyskał bezpodstawnie miano „Pacjenta Zero” w odniesieniu do zjawiska określonego pierwotnie Plagą Zoolusów, a później NZA, czyli nabytym zespoleniem aposymbiontycznym.

Baiyat został kilkakrotnie uwieczniony na taśmie filmowej podczas zgromadzeń publicznych, kiedy karmił pingwina skrawkami mięsa, twierdząc, że to jest ciało jego wroga. Opowiadano o nim, że potrafił torturować człowieka, nie dotykając go. Plotki mnożyły się: że to czarna magia, genetyczna modyfikacja, hollywoodzkie efekty specjalne.

Albo wszystko to naraz.

Po tym, jak jego pingwin zginął w zasadzce talibów, na całym świecie telewizje pokazywały jego bardzo publiczną

śmierć poniesioną od „czarnej chmury” (albo *Siah Chał* w języku perskim). Zdarzenie tego typu zostało sfilmowane po raz pierwszy i dlatego to wywołało powszechną panikę, której następstwem było powstanie obozów kwarantanny w wielu krajach, ale dochodziło nawet do egzekucji.

Niesprawiedliwie porównywany do Gaetana Dugasa, kanadyjskiego stewarda, którego nazwano Pacjentem Zero, ponieważ rzekomo przyczynił się osobiście do rozprzestrzenienia wirusa HIV w Stanach Zjednoczonych, Baiyat był po prostu najbardziej znaną ofiarą epidemii, która nie miała nic wspólnego z żadną chorobą.

Pierwotnie podejrzewano, że to ekscentryczne dziwactwo charyzmatycznego i zakochanego w sobie socjopaty, inne teorie postulowały, że nagłe pojawienie się animalnego fenomenu w Afganistanie to efekt opadu radioaktywnego po pakistańskich testach z bronią jądrową w pobliskich górach Chagai w roku 1998.

Na podstawie raportów z badań antropologicznych przeprowadzonych w Nowej Gwinei, Mali i na Filipinach uważa się obecnie, że historia przypadków ludzi zanimalizowanych może sięgać nawet połowy lat 80. ubiegłego stulecia. Najwcześniejszy opisany przypadek, ujawniony retrospektywnie, to sławny australijski przestępca Kevin Warren, który w 1986 roku został zastrzelony przez policję podczas nieudanego napadu na bank w Brisbane; Warren miał wtedy przy sobie oswojonego kangura. Baiyat, który ujawnił się jako osobnik zanimalizowany dwanaście lat później, bynajmniej nie zapoczątkował całego zjawiska i nie zasługuje na miano symbolu.

Tylko kim tak naprawdę był Baiyat?

Film analizuje nie tylko mit, którym obrósł Baiyat wśród zamętu opanowanego przez talibów Afganistanu, ale także wszystko, co rozumiemy na temat zanimalizowanych i ontologicznego Przesunięcia, do którego doszło w związku z Baiyatem.

Dzieło Jana Stephena, oparte na wywiadach z dziennikarzami, przywódcami mudzahedinów, brytyjskimi żołnierzami, wojownikami talibów oraz członkami rodziny Baiyata, to bezkompromisowy portret człowieka, który znalazł się w samym centrum uwagi opinii publicznej zaalarmowanej zjawiskiem Przesunięcia.

### **CYTATY:**

„Dlaczego wróciłem ze szkoły filmowej w Ameryce?  
*[śmiech]*

Bo ojciec mnie o to prosił. Bo to jest mój kraj. Bo tu jestem gwiazdą. Dowodzę osiemnastoma tysiącami ludzi. Ludzie mnie szanują. Całe wsie przychodzą bić przede mną pokłony. Bo tu mogę zerznąć albo zabić każdego, kogo tylko zechcę”.

Dehqan Baiyat

„Traktujcie go jako moją maskotkę. Wy macie na przykład króliczą łapkę na szczęście. Ja mam swojego pingwina. Wy trzymacie swoją łapkę w kieszeni. Ja trzymam swojego pingwina w specjalnie skonstruowanej zbroi”.

Dehqan Baiyat

„Wy to ani trochę nie macie racji z tą waszą romantyczną wizją jakiegoś... sam nie wiem... playboya, magika, wojownika. Ten człowiek to diler narkotykowy, gwałciciel, morderca i rozpaskudzony mały gnojek, który dowodzi własną, prywatną armią i stosuje jakieś plemienne hokus-pokus wywleczone z dupy”.

Ppłk Al Stuart

**OCENY WIDZÓW:** (w sumie 1218)

[wymaga akceptacji moderatora]

**20 marca 2010**

**Użytkownik:** JodieStarl 991 **10/10**

**Zajekurnabiste!**

Spr filmik!!! Cała się podjarałam na seks z takim zoolusiem!!! Znalazłam bajer stronkę, gdzie dają porno z zoolusami za friko!!! Luknijcie tam!!! Sprawdźcie sami!!!!!!!!!!!!!!  
<http://zoo.Ur78KG>

**[3 komentarze]**

[12 na 16 osób uznało poniższą recenzję za pomocną]

**14 lutego 2010**

**Użytkownik:** Rebecca Wilson 7/10

**Bezkompromisowe spojrzenie na ikonę.**

Trzecia odsłona Kwartetu Konfliktu reżyserowanego przez Jana Stephena (Izrael, Liberia, Afganistan, Birma) jest bodajże najbardziej wstrząsająca, bo niczego nie owija w bawełnę, tylko pozwala się przyrzyć z bliska człowiekowi, którego jedni potępiali, inni uwielbiali. Człowiekowi w ogromnej mierze niezrozumianemu.

Nie ma żadnej przesady w tym podkreślanu roli Baiyata, jeśli idzie o zjawisko nazwane przez media Przesunięciem i reakcją opinii publicznej. Tam, gdzie jedni widzieli romantyczną postać, niedoszłego absolwenta szkoły filmowej przeobrażonego w bojownika o wolność, inni widzieli symbol czegoś, co niepoznawalne. Przez jakiś czas, zanim liczba zanimalizowanych osiągnęła punkt krytyczny, Baiyat stanowił ucieleśnienie kwestii ludzkiej moralności.

Tylko czy Pingwin był jego Mówiącym Świerszczem czy raczej diabłem za skórą?

To kwestia, którą film pomija, czy też pomija ją sam Baiyat występujący w filmie, nabierając wody w usta za każdym razem, gdy rozmowa schodzi na ptaka, sprawiając, że autorka niniejszej recenzji żałuje, iż twórcy filmu nie...

[więcej... ]

**[9 komentarzy]**

[126 na 527 osób uznało poniższą recenzję za pomocną]

**28 grudnia 2009**

**Użytkownik:** Patriota777 0/10

**Weźcie sobie na wstrzymanie**

Pozbierajcie fakty, ludziska, oni nie są istotami ludzkimi. Tego dowodzi już sam termin: zoolusi. Albo zanimalizowani. Aposymbionci. Czy jaki tam politycznie poprawny termin obowiązuje w danym tygodniu. Aposymbionci, czyli w skrócie „apos”. A to jak skrót od „apokalipsy”. Jak w skrócie do „apokalipsy”. Ten film to element potajemnej wojny wytoczonej porządnych obywatelom pod przykrywką walki o prawa aposów.

Księga Powtórzonego Prawa mówi: Nic obrzydłego nie wprowadzisz do twego domu, gdyż byłbyś przedmiotem klątwy jak ono. Będziesz uważał to za rzecz wstrętną, obrzydzisz to sobie, jest to bowiem obłożone klątwą. [Biblia Tysiąclecia, Księga Powtórzonego Prawa 7,26] A w Księdze Wyjścia wyczytacie: Nie pozwolisz żyć czarownicy. [Biblia Tysiąclecia, Księga Wyjścia 22,17]

Muszę wam to mówić drukowanymi literami? Chowańcy. Cofka z Piekła Rodem. Obrzydłe obłożone klątwą. Bóg jest litościwy, ale tylko dla rzeczywistych, autentycznych istot ludzkich z PRAWDZIWEGO ŻYCIA. Aposi to przestępcy. Szumowiny. Nie są nawet zwierzętami. Są rzeczami i dostaną, co im się... [więcej... ]

**[1031 komentarzy]**

[720 na 936 osób uznało poniższą recenzję za pomocną]

**23 grudnia 2009**

**Użytkownik:** TuxBoy 10/10

## **Pingwin-kanibal rulez!**

I tyle.

[118 komentarzy]

*[więcej recenzji... ]*

## **Rekomendacje**

Jeśli to ci się podobało, to zdaniem CZAS NA REAL pewnie spodobałoby ci się też:

- **Przesunięcie (2001)**
- **Des Anges au Bestiaire (1998)**
- **Zoologika: Chicagowskie krainy gangów z perspektywy chińskich więzień (2007)**
- **Wielki biały totem (2003)**
- **Traffic (2006)**
- **Wojownik z Kayanu (1989)**
- **Sterowanie złotym kompasem: Pullmanowska fantazja w kontekście przesunięcia ontologicznego (2005)**
- **Precz z pazurami: Powstanie ruchu praw zanimalizowanych (2008)**

## 9

– I rewelka, że się tak wyrażę! Nie mogę się nadziwić, że zadzwoniłaś!

Maltańczyk jedzie w górę Empire, dość szybko, jakieś pięćdziesiąt kilosów ponad limit prędkości, starym mercem ze złotą karoserią z lat siedemdziesiątych; trzyma swojego Psa na kolanach, a ten wystawia łeb za okno i ziaje. Uparli się, że mnie podwiozą, mimo że byłoby o wiele szybciej, gdybym złapała taksówkę.

– Hm. Już myśleliśmy, że będziemy musieli cię tropić – mówi Marabut z tylnej kanapy. Jej ptak napręża skrzydła i ponownie je składa, skrobiąc piórami o dach. Konstruktorzy samochodu raczej nie przewidzieli, że będzie musiał pomieścić bociana-padlinożercę, który ma potrzebę rozkładać skrzydła na pełną rozpiętość. W wozie wali straszliwym smrodem, słodkawo-zgniłą nutą przemieszaną z zapachem skóry tapicerki i cytrusowej wody kolońskiej. Maltańczyk zauważa, że się krzywię, i mówi bezgłośnie „To z dzioba”, marszcząc przy tym nos.

Leniwiec bulgocze w głębi gardła, obłapiając pazurami moje ramiona jak kot. Dlatego właśnie nie mogę grać w pokera. Nic nie utrudnia blefowania bardziej niż dźwiganie na sobie gigantycznej kupy



futra. Staram się trzymać klamki z absolutnym spokojem, bo samochód naprawdę teraz zapieprza, taranując kolejne żółte światło. Leniwiec zagrzebuje twarz w mojej szyi. Skupiam uwagę na plakatach z nagłówkami gazet, żeby zwalczyć atak choroby lokomocyjnej. PROCES W SPRAWIE KORUPCJI ODROZONY. BEZDOMNY MĘŻCZYZNA UMIERA W WYNIKU PODPALENIA. ARESZTOWANIA NA LOTNISKU ZA PRZEMYT NARKOTYKÓW – W dalszym ciągu nie lubię małych psów – oświadczam.

– Ależ nie ma sprawy – odpowiada Maltańczyk, znacząco bardziej radosny niż normalnie. – I tak nie będziesz dla nas pracowała.

– Być może dla nikogo nie będę pracowała. To tylko rekonesans.

– No co za twardzielka. Uwielbiam to.

Podjeżdżamy do szlabanu wyznaczającego wjazd na ogrodzone osiedle. Ochroniarz w uniformie ma Szczura w kieszeni na piersi; różowy, węszący ryjek wystaje tuż nad logo „Sentinel Armed Response”. Zoolusi radzą sobie w branży ochroniarskiej, zwłaszcza w „Sentinel”, która jest największą i dlatego z pragmatycznych względów najbardziej oświeconą firmą w mieście.

Pies jeży się i kiedy strażnik zgina się wpół, żeby zajrzeć do wnętrza naszego samochodu, wyskakuje na niego jak sprężyna, z towarzyszeniem oszalałego

ujadania i warczenia. Szczur mruga na Psa, podrygując wąsikami, ale nie ustępuje pola.

– Spokój, herbatniczku! Przepraszam, Pierre. Wiesz, jak on się potrafi nakręcić.

– Nie Pierre, tylko Joao, panie Mazibuko. Ale nic nie szkodzi.

– Psiakostka, przepraszam. A powinienem zapamiętać takiego przystojniaka. Obiecuję, że już nie zapomnę do końca życia. – Patrzy szacującym wzrokiem na strażnika. – Przypadkiem nie potrafisz śpiewać?

– Mark – upomina go Marabut, ostrym i niskim głosem.

– Nie, jasne, że nie, ależ ja jestem głupi. Nieważne, Felipe. Joao. Czy jak ci tam. Dasz znać panu Huronowi, że tu jesteśmy? Jeśli zechcesz wywiązać się ze swoich obowiązków, kochanieńki?

– Tak, proszę pana. – Zupełnie tym wszystkim niewzruszony strażnik inteligentnie odstępkuje na krok od samochodu, mówi coś do swojego radia i podnosi szlaban, żeby przepuścić mercedesa. Sposób, w jaki to robi, ta celowość jego ruchów, zdradzają, że to były żołnierz. Tak to już jest w Afryce. Mnóstwo wojen, to i mnóstwo bezrobotnych byłych żołnierzy.

Samochód rusza z miejsca, z nieco większym wigorem niż należy, mija szlaban postawiony na sztorc, pokonuje próg zwalniający i wjeżdża do samego zgniłego serca bujnych suburbiów. Suburbia

są ocienione dębami, jakarandami i wiązami. Największy na świecie las posadzony przez człowieka, tak się nam przynajmniej wmawia.

Trawniki obrzeżające chodnik są lepiej wypielegnowane niż grzywa gwiazdy porno, ciągną się na szerokość do dziesięciometrowych murów zwieńczonych drutami pod napięciem. Za tymi murami może się dziać wszystko, a ty i tak nie będziesz o niczym wiedzieć. Może zresztą o to właśnie chodzi.

– Huron? Odi Huron? Ten ważny gość, który robi w muzyce?

– Tak, ten producent – poprawia mnie Marabut.

– Ten od Liii Nobomvu.

– Niepowetowana strata.

– Jego życiorys przypomina nieco życie Howarda Hughesa.

– Ma pewne problemy zdrowotne – mówi Marabut z eleganckim wzruszeniem ramienia. Jej Bocian imituje gest, z opóźnieniem jednej sekundy, jak upierzony bliźniak syjamski.

Objeżdżamy rondo, mijamy nieogrodzoną parcelę, całą zarośniętą i wartą co najmniej pięć milionów, i wreszcie zatrzymujemy się przed stosunkowo niskim murem z kamieni polnych, obrośniętym bluszczem, prawdziwym bluszczem. Brama z kutego żelaza odsłania łagodnie pofałdowane trawniki wiodące do kamiennego

domostwa, zabytku projektu samego sir Herberta Bakera, zbudowanego zapewne na początku dwudziestego wieku; na tyłach widać *koppie*. [Wzniesienie skalne o charakterystycznej formie, ostaniec.] Dom wyróżnia się w tej dzielnicy jak włochata brodawka na twarzy chłodnej nowoczesności.

– A ta zaginiona rzecz? – naciskam.

– Osoba – poprawia mnie Marabut.

– A tą osobą jest... ?

– Och, cukierczku. Cierpliwość jest cnotą. Cnota jest Bożym darem...

– Bożydar to mały chłopiec, który nie myje sanek – wtrąca się Marabut ze swym dziwacznym wschodnioeuropejskim akcentem.

– Który nie myje się wcale – poprawia ją automatycznie Maltańczyk. Wchodzą w ograną waśń typową dla rodzeństwa albo długoletniego małżeństwa. Marabut go ignoruje, a on pociąga temat. – To cudowny człowiek, cukierczku. Polubisz go.

– Jak rozumiem żadnych małych piesków? – pytam.

– Zdecydowanie żadnych małych piesków. – Maltańczyk naciska przycisk pilota i brama z kutego żelaza otwiera się, pozwalając nam wjechać na rozległy teren posiadłości.

Mijamy dom i zatrzymujemy się przed nowo wybudowanym garażem na cztery samochody,

rozkraczonym, brzydkim kontrapunktem do dzieła sir Herberta Bakera. Jedna z bram wjazdowych jest uchylona i widać za nią dobrze utrzymanego granatowego daimlera. Najwyraźniej Huron lubi się przemieszczać stylowo, o dziwo, bo wstępnie odniosłam wrażenie, że wcale się nie przemieszcza. Osilek w czapeczce szofera myje obręcze kół. Na nasz widok prostuje się i pokazuje Maltańczykowi, że ma zaparkować po lewej stronie. Potem chwyta kubek i dumnymi krokami znika w garażu, rozchlapując za sobą mydliny.

– Przyjazny facet.

– Przyjazność nie zalicza się do listy jego obowiązków – mówi Marabut. Otwiera tylne drzwi i wyslizguje się z samochodu, tuląc nagi łeb Bociana do piersi, żeby się nie uderzył.

Maltańczyk zostaje w samochodzie i bębni kciukami o kierownicę.

– Wy, dziewczyny, idźcie przodem. Ja sprawdzę, czy John nie mógłby trochę liznąć merca, skoro już wyciągnął sprzęt.

– On ma na imię James – poprawia go Marabut.

– Niech mu tam. Dogonię was.

– Wejście jest tutaj. – Marabut prowadzi mnie dookoła garażu, a potem po zakolu podjazdu w stronę domu.

Z bliska okazuje się, że posiadłość jest w zasadniczo zenującym stanie. Spomiędzy kamieni

brukowych wybijają chwasty z kolczastymi liśćmi i łebki mleczy, nadając podjazdowi niechlujny wygląd. Okalające go pofalowane trawniki są zasuszone; patroluje je samotny ibis dziobiący ziemię w poszukiwaniu robaków Kort tenisowy w oddali, na samym dole ogrodu, jest otoczony dziurawym ogrodzeniem; w betonowej nawierzchni widać pęknięcia. Siatka na samym środku obwisa jak piwny mięsień u podstarzałego atlety. W powietrzu wisi ciężka woń brunfelsji, z przekwitającymi fioletowymi i białymi kwiatami. Leniwiec mamrocze coś z głębi gardła. Wiem, o co mu idzie. To miejsce sprawia wrażenie porzuconego.

Nękam Marabuta, ot tak, dla draki. Poza tym jestem zaciekawiona.

– Więc co dokładnie oznacza to wasze „pozyskiwanie”? Korporacyjnie łowienie głów? Rzadkie antyki? Negocjacje w sprawie okupu?

– To może oznaczać, co tylko chcesz, tu jest sporo podobieństw do twojej pracy. – Bocian skrzeczy gardłowo, potrząsając wolem.

– Może jednak coś powiesz? Czego dotyczyły wasze trzy ostatnie zlecenia?

– Jedną z rzeczy, które gwarantujemy, jest dyskrecja. Ty, mam nadzieję, też ją gwarantujesz.

– Pieniądze sprawiają, że wszystko jest możliwe – zgadzam się. – Więc nie rzucisz nawet aluzją?

– Jesteśmy czymś w rodzaju ekskluzywnego

serwisu polegającego na sprawowaniu dozoru. Robimy to, czego wymaga dane zadanie. Na zlecenie pana Hurona eskortujemy muzyków podczas tras koncertowych, pomagamy też w zawieraniu kontraktów, ostatnio u niemieckiego dystrybutora, kiedy towarzyszyliśmy pewnemu artyście w wyprawie do Berlina.

– To przecież agencja artystyczna, a nie jakieś „pozyskiwanie”.

– Przedtem przemycaliśmy partię siedemnastowiecznych krucyfiksów z Hiszpanii w kontenerze pełnym płytek ceramicznych.

– Naprawdę?

– Może tak, może nie. Może specjalnie kłamię, żebyś się wciągnęła. Bo jak to sprawdzisz?

Naciska dzwonek. Drzwi wykonano z jakiegoś ciemnego, ciężkiego drewna, ozdabia je witraż przedstawiający różaniec. We wnętrzu domu rozlega się brzęk, a potem echo dzwonka. Chwilę później drzwi otwierają się na oścież i widzimy kobietę w garniturze koloru purpury kardynalskiej; ma włosy koloru blond przystrzyżone w pazurki. Wydaje się zachwycona naszym widokiem, bo uśmiecha się, jakby promień słońca wcisnął jej się do gardła.

– O! Wow! Czeeeść! Jesteście superwcześnie. Odi właśnie coś kończy.

– Carmen to jedna z protegowanych pana Hurona – tłumaczy Marabut w odpowiedzi na moją

uniesioną brew.

– O matko, przepraszam – mówi Carmen, obdarzając mnie błyskiem białych zębów. – Jesteś z... no... tego... mediów?

– Już nie.

Natychmiast traci zainteresowanie, aczkolwiek moc promienia słońca słabnie tylko chwilowo.

– No to zapraszam! Może idźcie sobie na patio, dziewczyny, przyniosę wam herbatki.

Robi w tył zwrot, a potem hałaśliwie tupiąc lśniącymi czerwonymi pantoflami na platformach, prowadzi nas przez wnętrze domu, jakby zbyt staroświeckie, żeby mogła po nim cwałować taka młoda istota, taka żywotna i fajna. Spłowiałe perskie dywany ułożone na drewnianej podłodze wygłuszają stukot pantofli. Meble są apodyktyczne, sam ciężki tek i podkłady kolejowe z sosny afrykańskiej. Leniwiec opasuje mnie ramionami jeszcze mocniej i w tym momencie czuję wiew zjełczalego, mineralnego zapachu, przywodzącego na myśl wodę stojącą od tygodnia w wazonie.

Przechodzimy przez jadalnię, gdzie pod ogromnym żyrandolem podobnym do tortu przewróconego do góry nogami stoi sosnowy stół na dwanaście osób. Letargiczne kulki z kurzu wirują w świetle słońca, któremu jakimś cudem udało się przeniknąć pierścień z bluszczu i witraży. Pod stołem ktoś rozsypał rodzyнки w czekoladzie, żeby tam sobie



kamieniały.

– Czy ten cały Huron właśnie się tu wprowadził?

– No coś ty! On tu mieszka od stuleci – mówi Carmen. – Ale wiem, co myślisz. Że to mało rockandrollowy dom.

– Wiesz co? Dokładnie to sobie pomyślałam.

– Czyli dobrze zgadłam? Sama na początku zdumiałam, kiedy tu przyszłam na przesłuchanie. Ale o to częściowo biega w filozofii Odiego. No że tu chodzi o muzykę.

– A nie o co?

– O image. O blichtr. O luksusy. I różne interferencje.

Korytarz jest obwieszony oprawionymi pamiątkowymi plakietkami i nagrodami, złotymi płytami, platynowymi płytami, certyfikatami SAMA, MTV i Kora, z nazwiskami, które zna nawet taka poganka w dziedzinie muzyki jak ja. JumpFish. Detective Wolf. Assegai. Keleketla. Moro. Zakes Tsukudu. Lily Novomvu. ijusi. Noxx. Widzę daty z 1981, 1986, 1988, 1989, 1990, 1992, 1995, 1998. A potem przeskok do 2003, 2004, 2005. 2008.

– A skąd ta luka?

– Pan Huron ma też inne zainteresowania biznesowe – wyjaśnia Marabut.

– I był chory – wtrąca Carmen. – Ale nie martw się, bo już mu właściwie totalnie przeszło.

Mijamy gabinet wyposażony w reżyserski stół

montażowy otoczony regałami, które są wypełnione segregatorami i dziwacznymi durnostojkami. A potem korytarz kończy się nagle salonem urządzonego na autentyczne retro ze szklanymi drzwiami otwierającymi się na słoneczne patio z basenem. Jest tam fotel w kształcie wiszącego jaja i ciężki, posrebrzany stolik do kawy, porysowany tylko nieznacznie; do tego niskie kanapy obite skórą koloru czekolady. Z dwóch wysokich, wąskich głośników, tak zaprojektowanych, żeby nie rzucały się w oczy, leci mdląco-słodki R&B.

– No to jesteśmy – mówi Carmen, popychając szklane drzwi, przez które wychodzi się na patio i basen. Pochyla się i strzepuje liście z poduszek ułożonych na wymyślnych krzeselkach z kutego żelaza ustawionych dookoła stolika pod pergolą.

Roztacza się stamtąd fantastyczny widok na *koppie* porośnięte jakimiś krzakami i aloesem. Na końcu drogi prowadzącej do wzniesienia stoi niski, bunkrowaty budynek ze szklanymi, rozsuwanymi drzwiami. Zdecydowanie nie styl Herberta Bakera.

– To właśnie tam dzieje się magia. – Wskazuje bunkier gestami rasowej hostessy. – Studio Moja Records. Jeśli ładnie poprosisz, to może Odi cię oprowadzi. – Mruga uroczo. – Zaraz wracam! – mówi i odcwałowuje w stronę chłodu i mroku wnętrza domu.

Basen to ogromny, staromodny kwadrat

wyłożony mozaiką z płytek, udekorowany klasyczną rzeźbą przedstawiającą dwie panny wylewające wodę z dzbanów. Płytki są jednak poszczerbione, błękit lapis-lazuli zmętniał. Zastarzała woda ma kolor jadowitej zieleni, do jej powierzchni przywarła skóra ze zgniłych liści. Obie panny oblażyły porosty, mech wypełnił fałdy szat i zagłębienia łokci; porośnięte twarze wyglądają jak usmarowane maseczką piękności z wariatkowa. Albo jakby coś je zżerało.

Strząsam Leniwca na stół. Rozkłada się na brzuchu i wczepia długie szpony w zakrętasy z kutego żelaza. Marabut mości się na jednym z delikatnych krzesełek, pochylając do przodu, żeby nie przygnieść sobą Bociana przytroczonego do pleców.

- Zdarza ci się go zdejmować?
- To ona, nie on. Tylko kiedy idę spać.
- Co jej się stało z nogami?
- Miała zderzenie z innym zwierzęciem. Dla niej skończyło się gorzej. To nie była walka psów, jeśli tak to odebrałaś.
- Wcale tak tego nie odebrałam. Dziwne, że nie dochodzi do tego częściej. Przez to przemieszanie roślinożerców z mięsożercami. Powinniśmy chyba stosować segregację.

– Mhm... – odpowiada Marabut, wyraźnie błędząc gdzieś myślami.

– Co to była za książka? – pytam, tylko dla

podtrzymania konwersacji. Ale Bocian gwałtownie zadziera łeb, gapiąc się na mnie z wyżyn swego dzioba.

– Książka? – Marabut jest zbita z pantałyku, co stanowi jaskrawy kontrast wobec reakcji Ptaka.

– Jedna z twoich zaginionych rzeczy. – Skupiam się mocno, ale tym razem obraz jest wkurzająco zamazany. Już nie jestem w stanie odczytać napisu na pistolecie ani dostrzec szczegółów na rękawiczkach, a książka mogłaby równie dobrze być cegłą zmurszałą ze starości. Generuję z pamięci. – Podarta okładka. Zapleśniałe kartki spuchnięte od wilgoci. Chyba coś o jakimś drzewie.

– Na tym właśnie polega twój talent, że widzisz różne przedmioty? – Ma rozbawioną minę. – Jakie to praktyczne. Nie wiem, jaki miała tytuł ta książka. Jedna z dziewczyn czytała ją nam w kontenerze.

– W kontenerze?

– Wieźli nas statkiem. Upakowane jak tuńczyki. – Gładzi Bociana po gardle, a on marszczy łeb z zadowolenia. – Część tych tuńczyków pozdychała. Potem zaczęłam inne życie.

– Mogłabym spróbować jakoś dojść, co to była za książka. Jeśli chcesz. Mogłabyś zdobyć inny egzemplarz.

– A jeśli nie jest taka dobra, jak zapamiętałam? Bywają rzeczy, których nie warto szukać.

– Mam nadzieję, że nie rozmawiacie o mojej

dziewczynie!

Pan Huron, bo zakładam, że to on, wyłania się teatralnie z domu. Przypomina nie tyle beczkę, ile raczej dudy, bo cały swój ciężar ma upakowany w jednym miejscu od frontu, pod opiętym T-shirtem z napisem streszczającym legendę: „Depeche Mode, stadion Rose Bowl, Pasadena 1987”. Łysieje na czubku głowy, ale reszta włosów jest długa i ściągnięta w cienką, postrzępioną kitkę. Wielki, silny facet, który ma w dupie to, jak postrzegają go inni.

– Sorry, że kazałem wam czekać. Bosko wyglądasz, Amira. Botoks ci służy? Może powinnaś wypróbować go też na ptaku. A ty pewnie jesteś tą nową pomocą domową – dodaje, ujmując moją dłoń wielkimi łapskami, podobnymi do rękawic Myszki Miki. – Tylko sobie żartuję. – Mruga. – Przeważnie.

Leniwiec z cichym jękiem spełza niezdarnie ze stolika i gramoli mi się na kolana. Widzi to, co ja widzę, widzi to coś, co zadaje kłam imageowi ważnego producenta – czarny tumor zaginionych rzeczy wiszący nad tym człowiekiem. Tumor zżerający ośmiornicę, której tłuste, czarne macki poddano amputacji. I zamiast macek pozostały tylko kikuty, dziesiątki kikutów, które ohydnie się wiją.

Takiej rąbanki jeszcze w życiu nie widziałam. Istnieją sposoby na przecinanie nici. Dobry sangoma potrafi to zrobić. Ale z czasem odrastają, grubsze i bardziej odporne niż wcześniej. Skóra Hurona w

cieniu tej czarnej aureoli wydaje się ziemista, policzki zapadnięte, oczy rozjarzone i puste.

– Co jest twojemu zwierzakowi? – pyta Huron. Kłapie ciężko na jedno z krzeseł i zaczyna borować palcem dziurę w swoim T-shircie.

– Jest nieśmiały przy obcych – mówię, gładząc Leniwca po głowie, żeby się uspokoił.

– Amira i Mark wprowadzili cię już w temat?

Zmuszam się, żeby patrzeć na jego twarz, a nie na te czarne kikuty, które tańczą dookoła jego głowy. Skupiam się na mięsistych wargach, wielkim nosie, lekko skrzywionym, jakby złamał go sobie podczas meczu rugby albo bójki w barze.

– Właściwie, panie Huron, to ciągle czekam na wyjaśnienie, o co tu chodzi. Zanim zdecyduję, czy w ogóle chcę, żeby mnie wprowadzano w temat.

– Mów mi Odi, proszę. To skrót od Odysseus.

– Jasne. Odi.

Przerywa nam Carmen trzymająca w rękach tacę z czerwonego plastiku; taca wygląda, jakby ją odlano z tego samego materiału co jej pantofle. Zestawia z niej podkładkę do pisania i dzbanek z cuchnącą herbatą.

– Nie bój się, jest bezalkoholowa. – Huron nalewa do filiżanki i wręcza mi ją z krzywym uśmiechem.

– Zebrałeś na mnie kwity.

– Owszem, wiem już wszystko o twoim

brzydkim nałogu. Ale tu nie chodzi tylko o ciebie. Moja Records, moja wytwórnia, uprawia własną politykę. Zero alkoholu. Zero narkotyków. Zero zakłęb neuronalnych.

– Zero interferencji. – Ostrożnie upijam łyk. Herbata smakuje równie obrzydliwie i śmierdząco jak pachnie.

– *Buchu* i gorczyca. Dobrze na odtruwanie.

– Cudownie. – Uśmiecham się i wrzucam sobie pięć łyżeczek cukru. Napar robi się tylko odrobinę bardziej znośny. Co trzeba zrobić w tym lokalu, żeby dostać filiżankę porządnej herbaty? – Nie jestem pewna, czy w ogóle mogę panu pomóc, panie Huron.

– Nazywaj mnie Odi. Bardzo cię proszę. – Kładzie na stole kopertę. – Otwórz.

Otwieram. Leniwiec zadziera łeb, żeby zapuścić żurawia. W kopercie jest zwitek nowiuteńkich, niebieskich banknotów sturandowych. Kładę je z powrotem na stole.

– Co to jest?

– Dwa tysiąki, tylko za to, że mnie wysłuchasz. Jeśli ci się spodoba to, co mam do powiedzenia, i weźmiesz tę robotę, potraktujemy to jako zaliczkę. Jeśli nie, to bierzesz tę kasę, nie powtarzasz nikomu, co tu usłyszałaś, i zostajemy tylko przyjaciółmi.

– To wszystko brzmi bardzo poważnie. Jesteś pewien, że rozmawiasz z właściwą osobą?

– Mark i Amira tak uważają.

– Tak na wypadek, gdybym schwyciła nie ten koniec mikrofonu, co trzeba... Wiesz, że nie umiem śpiewać?

– Czy coś takiego może przeszkodzić pięknej dziewczynie w podpisaniu kontraktu na płytę? Procesor do obróbki wokalu to cudny wynalazek. – Śmieje się, ale ma zimne oczy. – Zapewniam cię, że jesteś tu z powodu swoich innych umiejętności.

Przygląda mi się uważnie, a ja biorę kopertę i wsuwam ją do torby, ignorując Leniwca, który drapie mnie w ramię, a także aureolę z czarnych macek wijących się wokół głowy Hurona.

– No dobrze... Oczywiście słyszałaś o ijusi? – Ze zniecierpliwieniem macha ręką na widok mojego pustego spojrzenia. – Bliźnięta? Song i S’bu?

Nazwa brzmi tak jakby znajomo, kojarzy się z innym życiem dostrzeżonym przelotnie na ekranie telewizora u Maka albo może na okładce starego egzemplarza czasopisma „Heat” w jakiejś *spaza*. [Mały sklepik z towarami pierwszej potrzeby, zazwyczaj urządzony przez właścicieli we własnym domu.] Chłopak i dziewczyna. Bliźnięta. Piękne. Zdrowe.

Huron wzdycha z rozdrażnieniem.

– Dobra, sprawdzisz to sobie.

– Coś im się stało?

– Oficjalnie nie. Absolutnie nie. Wszystko w jak najlepszym porządku. Nie pokazują się, bo siedzą w studiu, piszą nowe piosenki. Nowa płyta ukaze się za



trzy tygodnie. Planujemy wielką imprezę.

– A nieoficjalnie?

– Songweza zaginęła.

– Uciekła? Porwali ją?

– Jedno i drugie możliwe. Według jej opiekunki nie była w domu od czterech dni.

– Coś w tym niezwykłego?

– Może ty nic o tym nie wiesz, ale ijusi to promyk słońca w bardzo, bardzo brzydkim świecie. – Chwyta grubymi paluchami swoją dolną wargę i zaczyna ją miętosić. – To dobre dzieciaki. Wzorce do naśladowania.

– I chcesz, żeby tak zostało. Żadnej brzydkiej skazy z prawdziwego świata na dziewczuszcze papy Odiego.

– Amira uprzedzała, że masz niewyparzoną gębę. – Kikuty chlastają i skręcają się.

– Ja bym powiedziała, że mówię, co myślę. Ona nie ma chłopaka? Albo dziewczyny? – naciskam.

– Na to będzie miała mnóstwo czasu później.

– Bo teraz to grzeczna dziewczynka.

– Dotarło. Czyli rozumiemy się.

– Nie rozumiem, dlaczego rozmawiasz ze mną zamiast z glinami albo jakimś prywatnym detektywem. Cztery dni to dużo czasu. Ona może już nie żyć.

– Zinzi, policja albo detektywi raczej nie zapewnią dyskrecji. Jeśli tabloidy coś wywęszą...

– Już chwytam. Popełniasz błąd, ale wezmę twoje pieniądze. O jakiej kwocie rozmawiamy?

– Jeśli przyprowadzisz ją z powrotem przed promocją? Nietkniętą?

Uśmiecha się blado. Wiem, co to oznacza. Słodka. Niewinna. Niezanimalizowana.

– Pięćdziesiąt tysięcy R.

Leniwiec robi gwałtowny wdech, gdy słyszy sumę. Faktycznie, poważna sprawa.

– Dasz dwieście i będę cała twoja.

– Osiemdziesiąt pięć.

– Sto pięćdziesiąt. Plus wydatki. Proszę się nie bać, panie Huron. Przedstawię rachunki.

Marabut ma zbolałą minę. Huron omiata mnie powolnym, szacującym spojrzeniem. Macki zamierają, jakby wstrzymywały oddech.

– Odi, proszę.

I tu wymieniamy się konspiracyjnymi uśmiechami. A może tylko pokazujemy sobie zęby jak szympany walczące o dominację.

– Odi? Telefon do ciebie. – Carmen wychyla głowę zza drzwi, błagalnie, jakby uznała, że już mu zajęliśmy za dużo czasu. Trzyma w objęciach czarnego Królika, gładząc go po uszach. A więc to stąd te skamieniałe rodzyнки w czekoladzie w jadalnym. Kto by wiedział, że do ekscentrycznych obyczajów Odiego Hurona zalicza się utrzymywanie osobistej menażerii złożonej z zoolusów? Swoją

drogą ciekawe, co ona takiego zmalowała, że dorobiła się Króliczka?

– Och, dziękuję ci, Carmencita – mówi Odi. – My już tu chyba skończyliśmy. Amira i Mark wprowadzą cię w temat i załatwią, co trzeba. Wszystko, czego będziesz potrzebowała.

Wstaje, rzeczowy do bólu, wypija do końca swój napój i ciska lód w stronę basenu. Kostki rozsypują się po splekanych płytkach i wpadają z pluskiem do wody, rozsyłając grube falki po powierzchni i robiąc zamieszanie wśród liści. Nim zdążam podnieść głowę, Odi już znika we wnętrzu domu. A ja nawet nie zostałam oprowadzona po studiu.

Leniwiec jest wkuty na mnie. Czuję to po jego ruchach, kiedy wdrapuje mi się na plecy, sztywny i ześlony.

– Masz lepszy pomysł? – syczę do niego.

– Co to było? – pyta łagodnym tonem Marabut, gapiąc się na basen, na oślepienie porostami panny i na falki rozbijające się o ich nagie stopy.

– Zastanawiałam się, czy to najlepszy pomysł – mówię. – Przydałoby się więcej ludzi z kwalifikacjami.

– Ci z kwalifikacjami bywają mniej dyskretni. I w razie czego będzie im trudniej zniknąć.

– A wiesz, jestem raczej pewna, że nikt tu nie wspominał o znikaniu.

– Wykonasz zlecenie i znikniesz. Bez zadawania

pytań. Wrócisz do Zoo City i swojego własnego, małego światka.

– Ach tak. – Rozmyślam o jej zaginionym pistolecie.

– To idziemy? Powinnaś już chyba zabrać się do roboty.

Maltańczyk czeka w samochodzie zaparkowanym przed domem. Samochód został umyty i nawoskowany, do ostatniego cała wymienionego w umowie gwarancyjnej. We wnętrzu unosi się sosnowa woń odświeżacza z leciuteńką domieszką amoniaku, która to kombinacja sprawia, że Leniwiec zaczyna kichać. Wychodzi na to, że się myliłam w związku z tym facetem. Byłam przekonana, że „liznąć merca” to eufemizm oznaczający seks. Ale nie mam wątpliwości, że kochany Odi posuwa słodziutką, malutką Carmen tam i nazad. Może nawet właśnie teraz.

Maltańczyk – Mark – wyraźnie bardzo chce już jechać. Silnik pracuje na jałowym biegu; Mark ma zapięte pasy, a Pies stoi mu na kolanach i trzyma łapy na kierownicy. Wydaje pojedyncze szczeknięcie, ze zniecierpliwieniem, jakbyśmy uwięzili w pit-stopie podczas Formuły I i wyścig się opóźniał z naszej winy.

– No i jak ci się podobało, cukiereczku? Pan Huron okazał się dokładnie taki, jak o nim opowiadaliśmy? – pyta Mark, ruszając z miejsca w

tym samym momencie, w którym zamykam drzwi.

– Nawet bardziej! – mówię, naśladowując entuzjastyczny ton Carmencity. – Dostałam zlecenie i pokazano mi, gdzie moje miejsce.

– Nie bierz tak tego do siebie, skarbie.

Kiedy samochód odjeżdża już, w drzwiach domu pojawia się Huron. Obracam się, by popatrzeć na niego ponad zagłówkiem, za Amirą i jej koszmarnym ptaszyskiem. Kołysze się na piętach, z rękoma w kieszeniach dzinsów, po prostu uosobienie beztroskiego spokoju. Tak wygląda ćpun. To rozpaczliwe udawanie, że jest super, że nic cię na świecie nie stresuje, podczas gdy twoje dłonie ukryte w kieszeniach dzinsów zaciskają się w spocone pięści z taką siłą, że paznokcie pozostawiają rowki w ich wnętrzach. Gdyby rowki Hurona dało się wytłoczyć na winylu, pewnie brzmiałoby to jak cover *Hurt* Nine Inch Nails, w wykonaniu Johnny ego Casha. Z towarzyszeniem majtających macek.

**CALEB CARTER**  
**Zakład Penitencjarny Jej Wysokości w**  
**Barwon**  
**Australia**

Nie miałem Tapira, kiedy mnie tu posadzili. Pojawił się drugiej nocy, po tym jak naskoczyło na mnie dwóch takich z Melbourne, z paragrafu 4161. Na całe szczęście mój kumpel Len był już w środku i wiedział, w co pogrywają. Kiedy się pojawiłem, dał mi łom i ten łom zahaczył o szyję jednego z tych gości, wytatuowanego głupola imieniem Deke.

Tamtego wieczoru, mniej więcej w tym samym czasie, w którym Deke umierał w szpitalu w Geelong, przed moją celą pojawił się Tapir. Usłyszałem go, jak drapie w drzwi mojej izolatki. Omal nie narobiłem w gacie, bo tak się skitrałem. Klawisze mówili, że jak go znaleźli, to jeszcze był umazany błockiem z dżungli.

No bo przecież tu są wszędzie kamery. A to bydlę pochodzi z jakiegoś innego kontynentu. Jak to jest, że nikt nie widział jego przybycia? Jak on się tu dostał? Skoro potrafi przenikać przez ściany, przefruwać czy coś tam, to czemu nie potrafi mnie stąd wyciągnąć?

I tak go kocham. Oni mi tu pozwalają o niego dbać jak się należy, mogę go zabierać na spacerki. Wygląda dupiasto i jest kurewsko jełopowaty, ale kiedy chłopaki widzą go przy mnie, to im się przypomina, co się stało z Dekem. Wiedzą, że lepiej nie podskakiwać Carterowi.

## **ZIA KHADIM**

### **Centralne Więzienie w Karaczi Pakistan**

Nasze zwierzęta trzymają w klatkach w innej części więzienia. Nie widzimy ich. Kiedy chcą nas torturować, pakują je do samochodu i wywożą do Keti Bandar. Ból jest nie do wytrzymania, wrzeszczysz, wymiotujesz i mówisz, co tylko zechcą.

Moja Kobra była przy mnie, kiedy mnie aresztowali. Miałam dziewięć lat. Policjanci zobaczyli, że idę po ulicy z Kobrą na szyi, i złapali mnie. Powiedzieli, że okradłam czyjś dom. Ja tego nie zrobiłam, ale bili mnie tak długo, aż w końcu się przyznałam, że to zrobiłam.

Kiedy mnie tu przywieźli, wrzucili moją Kobrę do jednego z pomieszczeń z innymi zwierzętami. Zwierzęta gryzły się tam ze sobą, dostawały zakażenia i zdychały. Każdej nocy pojawiała się Cofka, żeby zabierać więźniów. Za dużo tych ludzi umarło. Teraz trzymają zwierzęta w klatkach, ale

wciąż nam nie pozwalają się z nimi spotkać, chyba że się da dużą łapówkę, tyle co miesięczna wypłata dla strażnika. Nie mam takich pieniędzy.

Nie widziałam swojej Kobry od dnia, w którym mnie aresztowali. Mam teraz czternaście lat.

## **TYRONE JONES**

**Corcoran**

**USA**

Tu jest jeden wielki bzol. Wiem, że nie można odrywać człowieka od jego zwierzaka. To się nie godzi. Ale paru tych czarnuchów sprawiło sobie naprawdę dzikie bestie, że ja cię przepraszam. Jeden gościu dostał Kuguara. Nie wmówicie mi, że tak ma być, żeby sobie więzień łąził z Kuguarem.

Jest też jakiś porządek rzeczy. Nieważne, co zrobiłeś, masz tu wrednego zwierzaka, to i sam jesteś wredny. I nieważne, ilu ludzi puknąłeś, jak masz Wiewiórkę, czy to ziemną, czy to nadrzewną, to i tak bydlak z ciebie. Tak już jest.

I jeszcze jestem ja. A ja mam Motyla. Trzymam go w pudełku od zapalek. Powinienem być wkurzony. Pewnie się domyślacie, jak to jest być tutaj z Motylem. Gdyby nie te rzeczy, które pozwala mi robić.

No bo każdej nocy, jak już zasnę, budzę się jako ktoś inny. Przez cały ten czas, kiedy śpię, przeżywam



dzień kogoś innego po drugiej stronie świata. Byłem już dzieciakiem w Afryce i w Indiach, byłem raz tą starą Chinką. Przeważnie jestem biedny, ale czasami mam szczęście i jestem bogaty.

Chcę powiedzieć, że nie mogę nienawidzić tego Motyla. Motyl zabiera mnie stąd każdej nocy.

*Cytaty za:* Uwięzieni: Zanimalizowani za kratkami

Autor zdjęć i wywiadów: Steve Deacon

Wyd. HarperCollins 2008

# 11

Ruch samochodowy w Joburgu [Jedna z nazw potocznie stosowanych na Johannesburg.] przypomina proces demokratyczny. Za każdym razem, kiedy już myślisz, że zaraz ruszy z miejsca i dokąś cię zabierze, pakujesz się w kolejny zator. Kiedyś istniały skróty, dzięki którym można się było przedostać przez przedmieścia, ale zamknęli je, nielegalnie: całe dzielnice odgradzone szlabanami, ufortyfikowane jak sprywatyzowane cytadele. Nie tyle trzymają świat na odległość, ile internują krzepnącą paranoję klasy średniej.

– Będę potrzebowała własnej bryki.

– Coś nie tak, cukiereczku? Nie podoba ci się, jak prowadzę? – pyta Maltańczyk, ale nie wkłada w swoje świergolenie całego serca. Od chwili, gdy rozstaliśmy się z Huronem, jest jakiś nieswój. Nawet Psiak jest przybity, mimo że cały czas mamy zielone światło i utrzymujemy prędkość, którą lepiej zostawić statkom o napędzie rakietowym.

– Nieszczególnie. Ale właściwie to przeszkadzają mi małe psy.

– Ty nie odpuszczasz, co? – skarży się Mark. Po raz pierwszy wygląda to tak, jakbym załaziła mu za obroź przeciwpchelną.

– Muszę to zrobić sama. Tak działa moje *shavi*.

Muszę pogadać z ludźmi, muszę jakoś ją wyczuć. – To, co wygaduję, to pieprzenie w bambus, ale oni i tak się przecież nie znają. Mam nadzieję, że się natknę na jakiś zagubiony przedmiot, który mnie doprowadzi prosto do dziewczyny, ale liczyć na to nie mogę.

– A ja myślałam, że ty po prostu widzisz różne rzeczy – dziwi się Marabut.

– Owszem, widzę. Pod warunkiem że dana osoba jest w tym samym pomieszczeniu. Ale wtedy byście mnie nie potrzebowali. No więc powiem, jak widzę naszą współpracę: będziecie mnie przedstawiali różnym ludziom, ale potem spadacie, musowo. Nie możecie się spodziewać, że ktoś się otworzy przed tłumem. Jedna osoba to rozmowa, trzy to już przesłuchanie.

– Każdy Cyryl ma swoje metody – mówi Marabut z tylnej kanapy, dowód na to, że mimo wszystko ma poczucie humoru.

– Nie potrzebuję żadnego fikuśnego auta.

– Pewnie, że nie. Nie chcielibyśmy, żeby cię porwano – mówi Marabut.

– Byłoby niedobrze – zgadzam się, ale te słowa wypływają ze mnie na autopilocie, bo z zasadzki atakuje mnie wspomnienie kuli, która oddarła połowę mojego ucha, zanim przebiła się przez czaszkę mojego brata.

– W takim razie wystarczy chyba kia – mówi

Maltańczyk, nieświadom mojej mentalnej wizji z ciałem Thanda leżącym na krzakach olearii i z moją matką, która krzyczy, biegnie przez podjazd w ulubionej podomce w japoński wzorek. Później kazała powyrywać olearię i zalać trawnik betonem.

– Że co? – pytam, wracając z trudem.

– Albo coś używanego. Jakiś rzęch na ostatnich oponach.

Samochód, który pasuje do twojego stylu życia. Taki, którym powinna jeździć wzgardzona, zanimalizowana dziewczyna.

– Och, dziękuję. A może po prostu coś, co w ogóle nie jeździ? Na przykład jakaś wypatroszona skorupa ustawiona na ceglach. To by dopiero pasowało do mojego stylu życia.

Po półtorej godziny docieramy do Midrand i osiedla z polem golfowym, gdzie S’busiso i Songweza Radebe zamieszkują połowę bliźniaka, którego drugą połowę zajmuje ich opiekunka prawna, pani Prim Luthuli; wszyscy hojnie sponsorowani przez wytwórnię Moja Records. Potrzebujemy kolejnych dziesięciu minut na starcie ze strażnikiem, który najpierw nas magluje pytaniami, a potem każe nam wszystkim wysiąść z samochodu, żebyśmy mogli zostać sfotografowani przez kamerę internetową zamontowaną w oknie jego budki przy wjeździe do osiedla.

– Wszędzie ci animališci – cedzi Mark przez

zaciśnięte zęby, kiedy strażnik podnosi szlaban i gestem ręki sygnalizuje, że możemy wjechać. – Przywróciliby obozy kwarantannowe, gdyby mogli.

– A jak nazywasz Zoo City? – ripostuję.

– Ty się tylko ciesz, że nie mieszkamy w Indiach – mówi Amira.

Mark niepotrzebnie podkreca silnik mercedesa.

– Bo kto wiedział, że istnieje kasta stojąca jeszcze niżej od pariasów?

Stojące tu bliźniaki to wariacje na temat bezwzględного modernizmu; od przodu mają widok na wypielegnowane trawniki, od tyłu na pole golfowe.

– Zawsze się tu gubię – oświadcza Maltańczyk.

Numeracja jest tutaj kompletnie popaprana, a całe osiedle ogromne, dlatego dopiero po dobrych kilku minutach znajdujemy H4-301. Z zewnątrz wygląda identycznie jak inne tutejsze domki niczym wycięte foremką do ciastek, z idealnie zielonymi trawnikami i chórem posykujących zraszaczy.

– Tu nie ma ograniczeń w używaniu wody? – pytam.

– Porobili odwierty, cały teren jest wyposażony w podziemne zbiorniki wody. Oczywiście przyłącze kosztuje bająnskie sumy, ale jak cię stać na pole golfowe... – Wzrusza ramionami.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że w domu opatrzonym numerem H4-301, zamieszkanym przez

niejaką Primrose Luthuli, nie ma nikogo.

– Może trzeba było najpierw zadzwonić.

– W międzyczasie możemy pogadać z chłopcami.

– Oni wiedzą?

– Nie. I pan Huron wolałby, żeby tak zostało. – Marabut podchodzi do drzwi opatrzonych numerem H4-303, ignorując domofon z zamontowaną kamerą, i puka do samych drzwi. Czeka. Jeszcze raz puka. A potem wali pięściami. Nie ma jak orzec, czy to walenie przedarło się przez hiphopowy bas dobiegający z wnętrza.

Słysząc człapanie czyichś ciężkich kroków zbliżających się do drzwi, nasuwające wizję sędziwego hipopotama w kapciach z futerkiem. Chwilę później drzwi się otwierają i ukazuje się w nich bardzo gruby, bardzo biały nastolatek ubrany w bardzo krzykliwą kangurkę we wzorek w jarzenioworóżowe małpki-roboty. Pociera sobie nos grzbietem dłoni, ma czerwone oczy, smród prochów przesączył się przez jego kangurkę aż do porów skóry. Mruczy pod nosem:

– Słuchajta, ludzie, musicie się, teges, wyczilować, bo jeszcze rada mieszkańców dostanie... O w pyte jeża! – Nabiegłe krwią oczy dostają wytrzeszczu na widok Marabuta. Chłopak zatacza się z powrotem w głąb domu, omal przy okazji nie zaliczając gleby, po czym niezdarnie umyka w

brudnych skarpetkach, wydzierając się: – Ja pitole, dzieje się! Oni tu, kurna, są, człowieku! Chowajcie sprzeczior! O w dupe!

Marabut wchodzi długimi krokami do domu, tuż za nim. Też zamierzam wejść, ale Mark kładzie rękę w poprzek framugi drzwi, na podobieństwo szlabanu, i nieznacznie kręci głową. Z wnętrza słychać odgłos strzałów, dziwnie głuchy, a potem kanonadę wrzasków.

– Bierzcie broń! Bierzcie broń, pedały! – skrzeczy grubas.

Kolejny głos, wkurzony, zaskoczony (zamulony?):

– Hej! Was tu wcale nie powinno być...

I jeszcze trzeci, zmęczony:

– No ja cię, tu nie ma żadnej broni...

– Nie, nie, nie, ty, kurna, nawet mi tu nie podchodź... – wydziera się grubas.

Słychać głuchy chrzęst, potem czyjś skowyt.

Mark podnosi rękę, zaprasza mnie do środka teatralnym gestem. Wchodzę, czujnie się rozglądając. Wnętrze zostało urządzone na chłopięcą modłę, której przyświeca hasło „właśnie wyniosłem się od starych”. Ci tutaj nawet się postarali. Klasyczne plakaty filmowe: *Ojciec chrzestny*, *Potwór z bagien*, *Kill Bill*, wszystkie oprawione w ramy. Japońska katana nad ogromnym płaskim telewizorem zawieszona na kołkach rozporowych, zdobyczne

puszki po piwie ustawione w idealnie równym szeregu, markami do przodu.

Na kanapie obitej czerwonym pluszem siedzą dwaj chłopcy. Jeden ma na sobie tylko dzinsy, z rozpiętym rozporkiem. Do tego schludne, krótkie dredy, małe, złote kółko w uchu oraz nadąsana mina, jakby zamówił sobie striptizerki na urodziny, a dostał klaunów.

Drugiego rozpoznaję z teledysku, który gdzieś mi tak mignął. Chłopięca połowa ijusi posiada wielkie oczy pozeracza serc, zadarty, perkaty nosek i dołki w policzkach. Wyrośnie z tego, może nawet już za pół roku, ale ma w sobie coś uroczo dziecięcego i nawet to jego pozerstwo nie jest w stanie skazić powabu, który wali z niego jak opary z bagien. S'bu jest, można wręcz rzec, smakowity.

Obaj trzymają w rękach kontrolery do PlayStation – źródło tych strzałów, teraz to do mnie dociera – i obaj gapią się na Marabuta i grubasa, który obiema dłońmi trzyma się za zakrwawiony nos. Bocian wyciąga szyję, żeby trącić dziobem jej dłoń. Marabut przygląda się krwi na swoich kłykciach ze zniesmaczoną miną eksperta medycyny sądowej i wyciera dłoń o bok kanapy. Gruby chłopak w oszołomieniu zwała się na kanapę z La-Z-Boy.

Mark stawia Psiaka na podłodze, bierze do ręki jeden z siedmiu pilotów leżących na stoliku – przypadkiem ten właściwy – i wyłącza wieżę.



Pólnagi chłopak otwiera usta, żeby wygłosić skargę:

– Łe, to jest...

Pies wydaje z siebie urywany, piskliwy jazgot.

– Zamknij się – rzuca Mark. – Nikt do ciebie nie mówił. – Przysiada na krawędzi niskiego stolika z czarnego teku, odpychając na bok wymyślną, nieśmierdzącą srebrną popielniczkę w kształcie latającego spodka, i podwija pod siebie nogi. – No cóż, chłopcy, niezła scena.

S’bu wstaje i podchodzi do popielniczki.

– Wiem, wiem – mówi tym patentowanym tonem nastolatków znużonych światem. Naciska czubek UFO, które otwiera się z towarzyszeniem brzęku i migotania światełek, po czym wypluwa z siebie jointa.

– Ona złamała mi noza... – rzezi grubas.

– Zamknij dziób, Arno. Zarobiłeś, debilu – warczy pólnagi chłopak z dredami.

– Wiesz, że nie wolno ci palić, S’bu – strofuje go Mark.

– No chyba już powiedziałem, że wiem, nie?

– Czy ci dwaj mogliby stąd zjechać?

Wzrusza ramionami.

– Arno i Des to moi kumple.

– Musimy pogadać o twojej siostrze.

– Co nie dag z dwoją ziorą, gozdeg? Nic nie mówiłeś o zwojej ziorze. Co jezd z dwoją ziorą?

– Zamknij się, Arno – mówią Des i S’bu jednym głosem.

– Bo jej du nie ma. Giedy ją wizieliźmy ozdadnio?

– Facet. Kiedy ostatni raz widziałeś swoją dupę?

Arno wygląda na zranionego, aczkolwiek trudno orzec, czy ta mina zbitego psa to u niego norma, czy tylko efekt tego, że ma załzawione oczy.

– To jedyna kontrabanda? – pyta Amira.

– Des jest skarbnikiem. – S’bu wskazuje kumpla, który kuli się, po czym wyciąga działkę ziola i ostrożnie wręcza ją Amirze.

– Co jest nie tak, skarbie? – mówi Mark.

– Nic, my tylko... myśleliśmy, że jesteście... – zaczyna Des – ... glinami.

– ... zombi – mówi Arno w tej samej chwili.

– A czemuż to boicie się glin?

– Nie wiem. No tego. No bo tak. – Macha niejasno ręką w stronę popielniczki. Obok niej leży kilka pudełek z gramami wideo, z udziałem żywych trupów uprawiających kanibalizm i kosmitów. Okładka jednej z nich, *Grand Theft Auto VI: Zootopia*, przedstawia jakiegoś zbira w kangurce, ładującego strzelbę, z warcząca Panterą u boku.

– Wiesz, że to znaczy, że będziemy musieli przeszukać dom. Znowu.

– Mam to gdzieś – mówi S’bu i uwała się z powrotem na kanapę, biorąc do ręki kontroler i

wracając do gry. Odgrywa w niej rolę dziewczyny w miniówce, z zielonymi włosami postawionymi na sztorc i bronią maszynową, która zмага się z człapiącymi hordami nad wyraz potworzastych kosmitów.

– Chcesz wrócić na odwyk, S’bu?

– To mnie nie boli – mówi, ale zauważam, że się wzdryga, do tego stopnia, że źle oddaje strzał. Obcemu na ekranie udaje się pożyć mu rękę, przez co zdrowie spada mu do osiemdziesięciu dziewięciu procent.

– To jest Zinzi December. Chce z tobą pogadać. Bądź dla niej grzeczny – mówi Mark.

– Piszę artykuł do czasopisma „Credo” – blefuję.

– Tak? – S’bu nie jest ani trochę zainteresowany, ale za to Des ożywia się dramatycznie.

– „Credo” jest zajebiste, bro – orzeka, trącając ramię S’bu. – Jak jesteś w „Credo”, to jesteś gość. Zarabicie, pani December. Mój kolega ma doła.

– To świetnie – odpowiadam.

– Mam to w pompie, ty sobie z nimi o tym gadaj – mówi S’bu nadał zajęty grą.

– A więc mamy doła – cedzi Mark. Gwiżdże na Psiaka, który zeskakuje z czerwonej pufy i natychmiast z wielkim przejęciem zaczyna węszyć po pokoju, merdając przy tym ogonem.

S’bu zadziera nogi, kiedy Pies wodzi nosem pod kanapą.

– Tylko nasiona, człowieku – mówi Des.

Pies wychodzi za wskazaniem swego nosa z pokoju, Mark i Amira za nim. Słyszymy, jak wchodzi po schodach. Chwilę później zaczynają nas dobiegać odgłosy rozrzucania jakichś przedmiotów.

– Ja bruje, człowieku! Co będzie, jag ona zabierze mi dowar? – mówi Arno.

– To ci kupię więcej tego towaru. Zamkniesz paszczę? Nie pozwalasz mi się skupić.

Wszyscy milczą przez chwilę. Des i Arno przyglądają mi się, jak się przyglądam S’bu zabijającemu obcych. Na górze wciąż łomotanie. Impulsywnie strząsam Leniwca na świeżo zwolnioną pufę, przyklejam się do S’bu i biorę do ręki wzgardzony kontroler Desa.

– To jest na dwóch graczy, tak?

– Tak, ale...

– Zabijanie kosmitów z S’bu Radebe. Żyła złota, jeśli idzie o pisanie artykułu biograficznego. „Credo” będzie zachwycone.

– To są Cthulmici.

– Niech im tam. Wszyscy krwawią tak samo. – Z ekranu gracza wybieram postać czarnego olbrzyma z wytatuowanym Mikiem Tysonem na twarzy i dwoma biczostkami wspartymi na przedramionach. Miło stwierdzić, że twórcy gier wciąż się trzymają stereotypów.

– Jesteś w tym choć trochę dobra? – S’bu

obrzuca mnie spojrzeniem z ukosa.

– Żenująca. Tu idzie tylko o ciebie.

– To super. – Uśmiecha się nieznacznie.

– Gdoż wchozi w browar? – pyta Arno, biorąc azymut na kuchnię.

– Przynieś go tu, zanim skonfiskują! – woła za nim S’bu.

– Ja chcę! – krzyczę, patrosząc biczo-ostrzami szczególnie ohydneho osobnika o odrażających szczękach i długiasných paluchach. Moje zdrowie już spadło do czterdziestu sześciu procent. Dopiero gdy wraca Arno otwierający butelki windhoeka zębami, i ustawia jedną, całą oblaną pianą przede mną na stoliku, dociera do mnie, co powiedziałam. – Dzięki, ale chyba sobie odpuszczę. – Ledwie udaje mi się uskoczyć, kiedy jakiś pająkowaty stwór z trzęsącą się, żelowatą masą na głowie, taki bękarci owoc miłości meduzy i pająka, wyrzuje na mnie chmurę mechanicznych owadów. Na szczęście S’bu jest na miejscu, żeby je upłynnić, i większa część chmary ginie w postaci rozwrzeszczanych iskier.

– Jesteś za dobra, żeby pić nasze piwo?

– Nie, po prostu też nie mam ochoty wracać na odwyk.

– Ja cię chrzanię, człowieku – mówi Des. – To miejsce jest chore. Same rozjęczane ćpuny z trzęsawką.

– I zombi – dodaje Arno z nadzieją.

– Wy dwaj nie macie jakiegoś swojego miejsca?  
– odgryza się S’bu.

– Nie, człowieku. Jesteśmy tu na czas trwania.

– Poważnie, wasze mamunie was wołały, sam słyszałem.

– Człowieku, wyluzuj.

– *Madoda*. [*madoda*, *hamba*, *gijima* (język zuluski) - odpowiednio: ludzie, odejdźcie, biegać] Zrozumcie aluzję i *hamba*\*.

– Super. Chodź, Arno, idziemy zapolować na ibisy przy czternastym dołku.

– Ja lubię ibizy.

– *Gijima*\*, durne pały. Nie widzicie, że udzielam wywiadu?

Des chwyta komplet kijów golfowych oparty o ścianę obok lodówki i wychodzi, nie racząc przywdziać koszulki, a przy tym pokazuje S’bu środkowy palec. Arno idzie za nim, powłócząc nogami, ale zabiera z sobą piwo.

– Jakoś nie sprawiacie na mnie wrażenia miłośników golfa – mówię, jak oszalała starając się zdeptać pozostałe nakręcane owady. Niestety, jeden zdążył mnie ukąsić. Ekran z mojego punktu widzenia zachodzi czerwoną mgłą. Zostałam zarażona i potrzebuję antybiotyków. – Gdzie jest apteczka?

– Już, nie ma sprawy. Ja wolę sobie pograć, a nie robić za Tigera Woodsa i takie klocki. Apteczki to te czerwone plastikowe kwadraty, z białym krzyżykiem.

Moje zdrowie się zmniejsza, jeden punkt mniej za jednym zamachem. Mam już tylko dwadzieścia dwa procent.

– To gdzie byłeś na odwyku?

– Słuchaj, fakt, że oboje wyzdrowieliśmy, wcale nie znaczy, że jesteśmy zaprzyjaźnieni czy coś.

– Ja miałam swój w więzieniu. Niedobrowolny.

– Tam dostałaś Leniwca?

– Tuż przedtem. Ale tak, prawie zgadłeś. Pomógł mi przez to przejść.

– O, jest!

– Co?

– Apteczka.

– Mam. – Kieruję nieziemsko umięsnionego czarnego faceta do apteczki poręcznie zawieszanej na ścianie obok alarmu pożarowego. Ledwie trafiam przez czerwone pulsowanie mojej infekcji. – A twoja siostra?

– A moja siostra?

– Była tam też przez ciebie?

– Przeze mnie? – Zerka na mnie z ukosa, ale to mu nie przeszkadza w zabiciu stwora zbudowanego z mgły i obdarzonego paszczą z macek, który spełza ze ściany. – Song tam była ze swojego powodu.

– Więc tylko paliłeś trawkę? Trochę przesada, żeby wysyłać cię za to na odwyk.

– Ha. Powiedz to panu Huronowi.

– Ano tak... – Na podstawie jego poprzedniej

reakcji wywnioskowałam, że pewnie był w Donkerpoort albo w podobnym fundamentalistycznym piekle, gdzie w leczeniu uzależnień stosują terapię typu „nastraszcie ich biciem i Biblią”. Tam się rzuca z dnia na dzień. Nastolatki powiązane łańcuchami i wygonione na dwór, nagie, drżące i zalane potem. Metadon jest dla słabeuszy. A jak jesteś naprawdę niegrzeczny, to wyprowadzają psy.

– Nie było tak źle, chyba. Ale teraz zabija mnie ten detoks, do którego stary mnie zmusza. Soczewica, lewatywy i inne gówna – mówi S’bu. – Boss!

W naszą stronę toczy się groteskowy, wrzecionowaty tors. Robię wymach biczo-ostrzem, tnąc na wskroś jego klatkę piersiową. Rozcięte połowy podrygują obscenicznie, usiłując się na powrót połączyć. A potem popękane końce żeber zaczynają się wydłużać i w końcu rozpołowiona pierś przeobraża się w usta pełne zgrzytających zębów.

– Ohyda. A jak Songweza to znosiła?

– A jak Song wszystko znosi?

– Ty mi powiedz.

– Jej tam pasowało. Wiesz, co mówią? Że jestem tu tylko dzięki niej. Że to ona ma talent.

– Nie kupuję tego... o ja cię! Przepraszam.

Umarłam, nabita na kolczaste zęby, mój trup wyrzuca wielkie fontanny krwi, podczas gdy boss zatacza się w kółko, próbując odszukać punkową



uczennicę S'bu.

– Nie przejmuj się. Wczytam zapis. – S'bu rozwija menu i w jednej chwili cofa się w historii gry do momentu, w którym oboje mieliśmy się świetnie.

– Szkoda, że nie mają funkcji „odzyskaj zapis” dla prawdziwego świata.

– No co ty nie powiesz – odparowuje z pogardą.

– Do jakiego byś punktu wrócił, gdybyś mógł?

– Ty pierwsza.

– Do tego punktu przed tamtym dniem, kiedy przeze mnie zabili mi brata.

– Ciężka sprawa – mówi S'bu, ale widzę, że zrobiłam na nim wrażenie.

I oto do czego doszłam: spowiadam się ze swej największej, osobistej tragedii, żeby otworzyć jakiegoś nastolatka. Gdybym nie osiągnęła kompletnego dna już wcześniej, to byłaby moja kandydatura numer dwa.

– A ty?

– Do tego sprzed podpisania kontraktu.

– To jest ta najgorsza rzecz, jaka ci się przytrafiła. *Seriaas?* [*seriaas* (afrikaans) – poważnie]

– Nie wiem, może trzeba było podpisać z kimś innym.

– Odi to dość ekstremalny facet.

– Ano.

– Odwyk ci pewnie dał w dupę.

– Ano. – Zaczyna się wiercić. – Ale nie gorzej

niż ta cała jego filozofia. Straight Edge to przy tym pikuś. No że zero zabawy.

– Ale wydaje się, że jakoś sobie żyjesz.

– Jasne. – Przewraca oczami, komentując łomotanie dobiegające z góry. – Ten gościu powinien sobie wziąć jakieś piguły na wstrzymanie, wiesz? Może dosłownie.

– Myślisz, że zaszedłbyś tu, gdzie jesteś, gdyby Odi cię nie wspierał?

– Kiedy ja to doceniam, ale mi się rozchodzi tylko o te pieprzenie, że „muszę być czysty”. Przecież ja mam piętnaście lat. Już nie jesteśmy małymi dziećmi. I nawet nie jestem taki zły. To przez Songwezę cały czas pakujemy się w gówno.

– Jak myślisz, gdzie jest twoja siostra?

– Nie wiem. Imprezuje ze znajomymi?

– Z jakimiś konkretnymi znajomymi?

– Hej, a właściwie to o czym jest ten wywiad?

– O zespole.

– Bo tak to brzmi, jakby to było o niej.

– Mogę ci się zwierzyć? – mówię, skacząc w przepaść.

– Jasne.

– Najęli mnie, żebym odszukała twoją siostrę. Ten wywiad to tylko przykrywka.

– Kurwa! – Ciska kontrolerem, który ledwie się mija z telewizorem i rozbija o ścianę obok katany. Spód odpada, rozsiewając baterie po całej podłodze.

- Ja tylko jestem z tobą szczerą.
- Aha. Teraz jesteś ze mną szczerą? Więc te wszystkie inne bzdety to było tylko takie... pitolenie?
- Ma taką minę, jakby zaraz miał się rozplakać.
- Nie, naprawdę byłam na odwyku. Naprawdę zabiłam swojego brata – mówię spokojnie.
- Jak sobie chcesz. A przyszło ci, kobieto, do głowy chociaż raz, że może Song nie chce być znaleziona?
- A może to ty nie chcesz, żeby została znaleziona?
- Jesteś zwykłą, walniętą suką. Że niby co, że ja... że ja ją zabiłem czy jak?
- A zabiłeś? Nie. Nie wydaje mi się. Ale jeśli uciekła z chłopakiem, czy coś w tym stylu, wychodzi na to, że nie miałbyś nic przeciwko, gdyby się nie spieszyła z powrotem.
- S’bu kręci głową.
- Laluniu, lada dzień rzucamy na rynek płytę. – Chwyta kurtkę wiszącą na krześle i rusza w stronę drzwi, wycierając oczy.
- Dokąd idziesz?
- Tam, gdzie poszła Song. Gdzieś.
- Leniwiec trzepie mnie w rękę z przyganą. Jakbym specjalnie doprowadziła tego chłopaka do płaczu.
- S’bu wypada jak bomba z domu, obok Marka i Amiry, którzy siedzą na schodkach i najwyraźniej

podszuchują.

– Wy też idźcie się pieprzyć.

Trzaska drzwiami.

– Czyli nie poszło najlepiej, co, cukiereczku? – mówi Mark. Jego Pies dyszy radośnie, drwiąco.

– Robiłam już gorsze wywiady. – To prawda. Na przykład tamten z Morganem Freemanem, na który poszłam nawalona. – Ciągłe jeszcze przetrząsacie lokal czy mogę się sama rozejrzeć?

– Zaharowujesz się.

– Interesujący wybieg z tą dziennikarką – stwierdza Marabut, gładząc pomarszczony łeb Ptaka.

– Ludzie się otwierają, kiedy im się wydaje, że ktoś ich słucha. Byłabyś zdziwiona, jak bardzo się otwierają. Wiecie co? Nie czekajcie na mnie. Strzełę sobie jeszcze partyjkę golfa i wrócę taksówką na rachunek.

Maltańczyk robi szyderczą minę.

– Dopiero jeden dzień w pracy i już jej się wydaje, że jest dla nas za dobra.

Odprowadzam ich do drzwi, a potem zaczynam węszyć. Omijam kuchnię, która, o dziwo, jak na dom pełen nastolatków, nie domaga się interwencji Ministerstwa Zdrowia, i wchodzę na górę, przestępując przez wzmacniacz na szczycie schodów. W korytarzu potykam się o kolejne urządzenia. Gitara basowa, płatanina kabli mikrofonowych. Przez ile dróg musi przejść każdy z nas... Nie jest wcale

jasne, czy to wszystko zawsze tak tu leży, czy też jest to efekt prac remontowych Marka i Amiry.

Pierwsze wnętrze jest anonimowe jak w hotelu. Nad łóżkiem wisi motyw z czarno-białym nadrukiem przedstawiającym stokrotkowe pola z wyżyny Namaqua. Pewnie pokój gościnny. Przechodzę do następnego: dwa pojedyncze łóżka ustawione przy przeciwległych ścianach. Po całym pokoju walają się ciuchy, poduszki pozrzucono na podłogę, materace są wywrócone do góry nogami, wielka pufa obszyta tkaniną moro leży na boku. Na ścianach wiszą przyklejone taśmą plakaty przedstawiające Megan Fox i Khanyi Mbau, oprócz nich wkładki z czasopism, wszystkie z reklamami męskiej odzieży, oraz biznesplan przyczepiony do białej tablicy pod szkicem przedstawiającym staromodną konsolę do Nintendo i napisem „War Room”.

*Promocja marki odzieżowej podczas Tygodnia Mody, ostatni tydzień sierpnia (realistyczne???)*

*Spotkanie w sprawie logo z Adamem Robotem  
Przygotować wytyczne do projektów T-shirtów na 10 i 5.*

*Gorata Mugudami do kampanii reklamowej?*

*Dystr. III! Skrzyżować ze sklepami muzycznymi?*

*Wpr. ?*

*Wybrać ścieżki do dzwonków. Remiks?*

*SOLO?!?!?! Heather Yalo Możemy ukręcić perfumy?*

*Badanie rynku.*

Robię notatki. Idę dalej.

Łazienka nr 1. Kłębowisko chłopięcych ubrań. Dezodoranty o pięciu zapachach, świeże elektryczne maszynki do golenia, elektryczne szczoteczki do zębów, krem do golenia, balsam nawilżający, krem peelingujący, krem na worki pod oczyma – wszystko dla piętnastolatków. Prysznic z zasłonką ozdobioną pleśnią i hawajskimi kwiatami. Mokre ręczniki tworzące kałużę na włoskich płytkach. Ale poza tym wybitnie czysto. W klozecie żadnego podejrzanego nalotu. W wannie żadnych żywych istot. Spore zapasy papieru toaletowego.

Łazienka nr 2. Drastycznie mniejsza. Pierwszy ślad po Song. Flakon z perfumami na blacie. Czarna, punkowa buteleczka z nazwą Lithium wypisaną na biało, przypominającą bazgroły wykonane kredą. Niebieski lakier do paznokci. Kredka do oczu. Jeszcze jedna kredka do oczu. Cztery różne rodzaje tuszu do rzęs: grafitowy, czarny, ultraczarny i zielony. Cień do powiek w perłowych odcieniach. Zestaw upiększający dla Barbie w wersji gotycko-punkowej. Szprycuję powietrze perfumami. Pachną benzyną i umarłymi kwiatami. Leniwiec wacha z zadowoleniem. Najwyraźniej są w tym zapachu nuty, których ludzkie nosy nie są w stanie należycie docenić. Widzę szklany słoik z ususzonymi, zielonymi liśćmi. Rozcieram kilka w palcach. Pachną. To nie trawka. Pewnie jakieś *muti*. Tylko na co? Gdyby tak tylko tradycyjni healerzy opatrywali swoje prochy

nalepkami. Zawijam trochę tych liści w chusteczkę i chowam do kieszeni.

Bardziej przydatny okazuje się nieotwarty pojemnik z tabletkami z nalepioną kartką, na której napisano: „Songweza Radebe, Flurazepam, dawkowanie: raz dziennie podczas jedzenia”. Sprawdzam w swoim telefonie. Lek generyczny, stosowany przy stanach lękowych albo bezsenności, zwłaszcza u ludzi z psychozą maniakalno-depresyjną. Na naklejce napisano też datę: piątek, 18 marca. A zatem pewnego pięknego dnia dostaje receptę na pancerne tabl. etki przeciwlękowe.

I potem ucieka, nie zabierając ich. Z czego tak jakby wynika, że ta recepta to nie był jej pomysł. Interesujące.

Za sąsiednimi drzwiami kryje się wypasiona sypialnia połączona ze studiem nagraniowym, ze ścianami wyłożonymi wytłoczkami od jajek, stołami mikserskimi, komputerem ustawionym naprzeciwko najmniejszej kabiny dźwiękowej świata, ale co najmniej w połowie profesjonalnej, jeśli potrafię oceniać po kosztownym wyglądzie. A potrafię.

Z tym studiem sąsiaduje ostatnia sypialnia, urządzone nader kreatywnie. Do pewnego punktu ma zaledwie metr w poprzek, ponieważ na samym środku wzniesiono prowizoryczną ściankę działową, tworzącą tył kabiny nagraniowej w pokoju obok. Pozostałą przestrzeń zajmuje podwójne łóżko, pod

naklejonym na grubą płytę plakatem z Barbarellą gapiącą się w głębinę kosmosu, takim wzrokiem, że sprawia wrażenie jednocześnie stęsknionej i śmiałej. Drzwi szafy zostały pootwierane i ubrania wyrzucono beztrąsko na łóżko, obok porozkładanych komiksów. Komiksy wypełniają wszelką dostępną przestrzeń na długim, niskim regale biegnącym pod oknem. Przerzucam kilka z brzegu. Potwory z bagien i teleportujące się domy, umięśniony facet ubrany we flagę amerykańską.

Na całej długości najwyższej półki regału stoi kolekcja filmowych monstrów. Odruchowo biorę do ręki tego, który przypomina kosz na śmieci postawiony do góry nogami, z rzędami ćwieków biegnących wzdłuż jednego boku. W momencie, kiedy to robię, figurka mówi głośno: „Eksterminuj!”, przez co omal nie wypuszczam jej z ręki. Główna odskakuje i w środku znajduję *bankie*. [Slangowe określenie na działkę marihuany.] I to wysokiej jakości, na ile się znam na różnych substancjach. A znam się.

Nasadzam główkę robota na miejsce, nie ruszając prochów, i odstawiam figurkę między Arnolda Schwarzeneggera, z metalową konstrukcją przebłyskującą spod podartej plastikowej skóry, a dziewczynę z mangi z grzywą jarzenioworóżowych włosów i cyckami wyskakującymi z bikini z lamparcim nadrukiem ładnie harmonizującym z jej ogonem i uszami. Biorę za to jeden z kilku zeszytów



formatu A5 w miękkiej okładce, które udaje mi się wygrzebać spod komiksów. Na okładce widnieje napis: *Teksty*. Oraz ©*S'bu Radebe*. Zwijam zeszyt w trąbkę i chowam go do torby.

Kiedy idziemy z powrotem w stronę schodów, Leniwiec zaczyna ćwierkać.

– Dokładnie to samo sobie pomyślałam – mówię, wchodząc jeszcze raz do anonimowego pokoju hotelowego, który bynajmniej nie służył tu za pokój gościnny. Otwieram szafkę i omiatam wzrokiem rzędy ślicznych ubrań dla licealistki. Białe sukienki na upał, kreacje w stylu „afrykański szyk” takich marek jak Sun Goddess, Darkie i Stoned Cherrie. Idealne dla królowej hip hopu *kwaito*. Ale już nie dla gotpunkowej Barbie. Widzę też puste wieszaki jak szczerbaty uśmiech. Gdziekolwiek, z kimkolwiek poszła Song, miała czas, żeby się spakować.

Przetrząsam pokój w poszukiwaniu zaginionych rzeczy, kopiąc pod materacem, w czeluściach szafy. Znajduję tylko kłębki kurzu, garść drobnych, gumkę do włosów. Nic zaginionego. Nic, co by mnie doprowadziło do Song. A to oznacza, że na razie utknęłam w roli dziennikarki śledczej.

– O-o. Dżerwony alarm – mówi nosowo Arno, kiedy do niego podchodzę. Sprawia wrażenie znacznie mniej naćpanego, zapewne dzięki bólowi nosa, aczkolwiek oczy wciąż ma nabiegłe krwią.

– Nie zwracaj na nią uwagi. Może zajarzy. – Des

przymierza się do uderzenia, po czym wali kijem z całej siły, gładko odrywając grudę ziemi, która przyłącza się do innych grud zgromadzonych dookoła jego tenisówek. Nie są to przepisowe buty do gry w golfa, ale moje też nie są. Zostawiłam wyraźne ślady między trzema dołkami: ślady obcasów pospolitej dziwki.

– Grasz nie tylko w *Krwawe nieba*, ale i w golfa? – cedzi drwiąco Des.

– Nie. Nienawidzę golfa. To dżentelmeńska wersja polowania z pałkami na foki, tyle że nie taka zabawna.

– Czego chcesz?

– Jakiegoś tła. Koloru.

– Jagiś dowcib białasów? – jeży się Arno.

– Potrzebuję do portretu życia ijusi. Ludzie, z którymi trzymają, zdarzenia.

– O zbrawie z gnatami nabizesz? – Arno wygląda na zmartwionego.

Śmieję się.

– Co to było?

– To od zioła. Dostaje od niego megaparanoi. Cipa. – Des wali Arno w czółko.

– Nie przejmujcie się. To było między nami, ten incydent. – Wyjmuję notatnik i długopis, patrzę na nich wyczekująco. – No to opowiedzcie mi o sobie, koledzy. Skąd znacie S’bu?

Patrzą na siebie niespokojnie.

– O ile to dobry moment. Nie chciałabym wam przeszkadzać w... – Spoglądam na porytą ziemię – ... pracach polowych. – Są na tyle grzeczni, że robią zawstydzone miny. – No chodźcie, postawię wam drinka w klubie.

W klubie okazuje się, że Des i Arno mają już ustaloną reputację.

– No nie – mówi kelner, w muszce i rękawiczkach, jakby to była elitarna Inanda, a nie Mayfields. – Bez koszuli nie ma obsługi. I żadnych zwierząt.

– Witam – mówię, wyciągając dłoń w jego stronę. – Zinzi December, redakcja „The Economist”. Mam nadzieję, że słyszał pan o „The Economist”? Robię wywiad z tymi młodymi ludźmi do artykułu o południowoafrykańskim przemyśle muzycznym i byłabym doprawdy wdzięczna, gdyby nas pan jednak obsłużył. Nie cierpię pisać o żenującej obsłudze w Mayfields.

– Ma pani wizytówkę?

– Nie przy sobie. – Obdarzam go swym najlepszym z udawanie tolerancyjnych uśmiechów.

Kelner poddaje to pod rozwagę, po czym obdarza mnie swoim najlepszym z udawanie służalczych uśmiechów.

– Tędy, szanowna pani. Ale proszę poinformować tych młodych dżentelmenów, że im nie podamy napojów alkoholowych. Ostatnim razem,

kiedy złożyli nam tutaj wizytę, musieliśmy skonfiskować ich podrabiane dowody osobiste.

Siadamy w ogródku z widokiem na łagodnie pofałdowany, zielony krajobraz pola golfowego. Naszemu stolikowi przygląda się uważnie dzierzba, w poszukiwaniu odpadków. Znana także jako ptak rzeźnik, ma zwyczaj nabijania swoich ofiar na płoty z drutu kolczastego. Ludzie zwykle uważają, że zwierzęta są lepsze od ludzi. Ale ptaki też mają swoich seryjnych zabójców. Szympany także mordują. Jedyna różnica między nami jest taka, że zwierzęta nie mają z tego powodu poczucia winy.

– Ilu z tych ludzi naprawdę gra w golfa? – pytam, machając szklanką z sokiem jabłkowym w stronę domków.

– Dwóch? – zgaduje Arno.

– Maksymalnie trzech – mówi Des. – Tu każdy się zapisuje i chodzi przez jakiś miesiąc, a potem już nigdy nie wraca.

– No to kto wy jesteście, chłopcy? Opowiedzcie mi o sobie.

– Hm. Arno Wedelinghaze. Mój ojciec jezd har-chi-dek-dem – zaczyna sylabizować, zaglądając do mojego notesu.

Zbiera mi się na płacz, kiedy go słucham.

– Mieszkaś w Redelinghuys. Rozumiem. – Puszczam oko. – Ile masz lat, Arno?

– Piętnaście.

- A ty, Des?
- Dwadzieścia dwa. I nazywam się Desmond Luthuli.
- Chodzisz do szkoły razem z S’bu?
- Ja chodzę! – wtrąca radośnie Arno. – Ale Dez i on mieżgają razem. Ja się du dylgo gręcę i dżazem du brzekimam.
- A skąd się przeprowadził?
- Z Doliny Dyziąca Wzgórz. W Kwa-Zulu Naddal? Oni dorazdali razem, najlepsi gumble.
- Potrafię mówić za siebie, Arno.
- W Desie jest coś wygłodniałego. Mam uczucie, że przebywanie w cieniu sławy to dla niego za mało.
- Sorry, zdary. Ożeż.
- No więc S’bu i Arno kumplują się od jakichś dwóch lat. Obaj chodzili do Crawford – mówi Des. – Ale ja i S’bu wychowywaliśmy się razem. W wiosce o nazwie KwaXimba w Dolinie Tysiąca Wzgórz. *Ja*, i kiedy ijusi podpisali kontrakt, a potem S’Bu z Song przeprowadzili się tutaj...
- Jak doszło do tego podpisania? – przerywam mu.
- Nie wiesz?
- Chcę znać twoją relację. Opowiedz swoimi słowami. – Faktycznie, Maltańczyk z Marabutem już mnie po drodze wtajemniczyli w sprawę. Wokół rodzeństwa zrobiło się głośno podczas wstępnych eliminacji do Gwiazdzbiorów Coca-Coli, bo mieli

zaledwie czternaście lat i byli najmłodszymi uczestnikami konkursu, jacy się kiedykolwiek zakwalifikowali, i to z tak rozpaczliwie nędznym pochodzeniem, które niemal natychmiast sprawiło, że stali się największą nadzieją tej imprezy, podbudowującą morale narodu. Ale niestety musieli się wymiksować przed półfinałem, ponieważ ich babka zmarła na toczeń, niecałe dwa lata po tym, jak utracili oboje rodziców, których dopadły powikłania wywołane przez AIDS.

Byli uroczy. Byli tragiczni. Byli co najmniej w połowie utalentowani. A piosenką, którą zdecydowali się zaśpiewać, był wzruszający cover przeboju Brendy Fassie *Za późno dla mamy*. Czy opinia publiczna mogła się oprzeć? Zgromadzili wokół siebie masowe poparcie. Radio 702 rozpoczęło zbiórkę na pokrycie kosztów pogrzebu babci i ustanowienie funduszu powierniczego dla świeżo upieczonych sierot. Coca-Cola umieściła ich w hotelu na czas konkursu, załatwiła dla nich opiekunów i dawała im tyle darmowej coli, ile byli w stanie wypić. I miejmy nadzieję, że później płaciła również za ich dentystów.

Całe tabuny sponsorów chciały ich przyjmować pod swe skrzydła. Song i S'bu dostawali darmowe ubrania, darmową pomoc lekarską i darmowe bilety na rozgrywki rugby, podczas których musieli śpiewać na rzecz drużyny Springboks i prezydenta. I dostali

kontrakt jeszcze przed emisją półfinału, a odpadli z konkursu za radą swojej nowej wytwórni, Moja Records.

Des podsumowuje to wszystko zwięźle:

– Byli w Gwiazdozbiorach, potem dostali kontrakt i Odi zapłacił za ich przeprowadzkę.

– Właściwie do da borąbana baba z bdakiem i facet od bza brzychodzili gadać z nimi już wcześniej.

– Przed Gwiazdozbiorami?

– Mówili o zobie, że są łowcami dalendów.

– Tak, ale ja im tłumaczyłem, że mają nie brać pierwszej lepszej oferty, nawet jeśli wychodzi z nią taki ktoś jak pan Odi Huron – przerywa mu Des. – Kazałem im za to zgłosić się na eliminacje do Gwiazdozbiorów. Udało się. Bardziej się pokazali, a i tak wylądowaliśmy u Odiego.

– I oni po prostu robili to, co im kazałeś?

– Ano. Jestem tak jakby menedżerem S’bu.

– Masz dwadzieścia dwa lata.

– I?

– Jego madka jest ich obiegunem brawnym – wciska się Arno.

– No, to też. Kiedy przyjechali do Joburga, ściągnęliśmy tu za nimi.

– Pani Luthuli. Racja. No to gdzie jest twoja mama? Nie przeszkadza jej, że palicie trawkę i pijecie piwo?

– Nie, ona jest spoko. I w ogóle zarobiliśmy na

to.

– Chyba chceź bowiedzieć, że S’bu zarobił – poprawia go Arno.

– A gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Songwezy? Mnie się ten dom wydał bardzo... męski.

– Zong to zimna zuka – mówi Arno, z całym jadem kogoś, kto hoduje sekretne zadurzenie w piwnicy swego serca, a potem spotyka się z uroczym protekcjonalnym klepieniem w policzek w chwili, gdy wyciąga to zadurzenie na słoneczny blask swego obiektu. Kiełkująca roślinka mogła się zwarzyć, ale to nie znaczy, że umarła.

– Zamknij dziób, Arno. Song ma własne sprawy. Spędza tu tylko kilka nocy w tygodniu. Jeśli w ogóle.

– A w pozostałe dni?

– Kto to wie? Kogo to obchodzi?

– Waszej mamy nie powinno to obchodzić? Biorąc pod uwagę, że jest opiekunem prawnym?

– A właśnie, że ją obchodzi. Opiekuje się tą dwójką lepiej niż własną rodziną.

– Ach tak?

– To banda wampirów wysysających kasę. Ale to prywatna opinia. Nieoficjalnie, tak? – Des wystawia palec w moją stronę, zupełnie jak prawdziwy menedżer, ktoś zupełnie dorosły.

– Nie ma sprawy – ugłaskuję go. – No to powiedz mi coś o tej posadzie menedżera. Z czym to się wiąże?



– Sprawy z klubami, jakieś umowy sponsorskie, a poza tym ja i S’bu pracujemy nad marką odzieżową dla mężczyzn. Kontroluję sytuację.

– Ale bez Song?

Ignoruje mnie.

– To są T-shirty i akcesoria, wszystko wysokiej jakości. Żadna tandeta, za którą z ciebie zdzierają. Już zainteresowaliśmy kilka sklepów. Space. Nawet YDE. Tu już nie biega wyłącznie o muzykę, tylko o markę. Trzeba mieć spryt. CD-eki już się nie liczą. Najważniejsze są pobrania na komórki.

– Bomba. Może zostaniesz też moim menedżerem?

– Zależy. – Ocenia mnie z powagą, po raz pierwszy. – A co masz?

– Niewiele, tak ci powiem. A ty, Arno?

– Ia?

– Nie, inny biały grubas, ty ofermo z głównem zamiast mózgu. – Des uśmiecha się do mnie ironicznie, jakbyśmy w tej kwestii przemawiali jednym głosem.

– Ja dylko, no wiesz, gręcę się dudaj.

– Co ci się w nim podoba najbardziej?

– Um. Że jest naprawdę zabawny? I w ogóle wporzo. I że jest superdobry w grach.

– Ale jest dość nerwowy, jeśli idzie o siostrę, mam rację?

– Ag. Dużo się kłóca, ale też się kochają. Tyle że

każde ciągnie w swoją stronę i S'bu jest tak jakby... drażliwy – odpowiada Des, wkurzony, że już nie jest w centrum uwagi. – Skończyliśmy na tym?

– Tak. Okay. Ale może chciałabym się z wami spiknąć, panowie, jeszcze kiedyś, jeśli to wam nie robi? Oto moja wizytówka.

Wręczam każdemu po starej wizytówce, jeszcze z PŻ. Widnieje na niej koszmarne durny napis:

**ZINZI DECEMBER**  
**KATORGA TEKSTÓW**

Taką wtedy byłam zarozumiałą idiotką. „Autorka tekstów” brzmiało mi zbyt tandetnie. Tylko dlaczego nie poprzestałam na „pisarce” albo „dziennikarce niezależnej”, to już wie tylko moje zarozumiałe, skretyniałe ja z PŻ. W każdym razie udało mi się zachować stary numer telefonu.

- Jaka katorga tekstów?
- No że takie intelektualne sado-maso.
- Ale porąbane.
- Zamierzam zamówić sobie nowe wizytówki.
- Jako twój menedżer powiedziałbym, że to bardzo dobry pomysł.
- A ja bym do... olał – mówi Arno.
- Przyjmę to pod rozwagę. Dzięki.

Kiedy wracam do domku, widzę zaparkowaną przed nim czerwoną toyotę conquest, z otwartym

bagażnikiem, jakby gotowym pożreć kobietę, która wyciąga z niego torby z zakupami.

– Pomóc?

– *Ngiyabonga, sisi* [Dziękuję, siostró (język zuluski).] – mówi Prim Luthuli, wyłaniając się z samochodu. Udaje jej się ukryć spóźnioną reakcję na widok Leniwca, i wyciąga w moją stronę ręce, w których trzyma po trzy torby wypakowane dwulitrowymi napojami, mrożonymi minipizzami i chipsami. Dobiega pięćdziesiątka, jest potężnie zbudowaną mamą ubraną w kwiciastą spódnicę i białą bluzkę wybielaną nieskończenie wiele razy.

– Niech zgadnę. Nastoletni synowie?

Uśmiecha się blado, ale w twarzy ma jakieś napięcie.

– Staram się gotować dla nich zdrowo, ale *hei*, nastolatki są trudne.

Otwiera po omacku zamek, balansując czterema torbami, po czym popycha drzwi biodrem, ujawniając lustrzany rozkład H4-303. Ściany są pomalowane na ciepły, żółty kolor, prowadzą do jasnoczerwonej kuchni z korkową tablicą oblepioną rodzinnymi fotografiami i wycinkami z gazet o ijusi.

Stawiam torby na blacie, omal przy okazji nie przewracając wazonu z białymi różami; pani Luthuli ratuje go bez słowa komentarza.

– Mieszkasz, kochanie, na tym osiedlu? – pyta, otwierając lodówkę i układając na półkach truskawki,

mleko, marchewki, filety z kurczaka, pomidory. – Nie pamiętam, żebyśmy wcześniej rozmawiały.

– Nazywam się Zinzi December. Odysseus Huron przysłał mnie tutaj, żebym porozmawiała z panią o Songwezie.

Zamyka drzwi lodówki i siada ciężko na jednym z barowych stołków stojących przy kąciku śniadaniowym. Zaciska dłonie w ukryciu fałd kwiciastej spódnicy. Jest zdenerwowana, to się rzuca w oczy.

– Ciebie? A czemu nie zadzwonił na policję?

– Niech pani mi to powie.

Wzdycha ciężko.

– Jego zdaniem ona coś kombinuje. Kombinuje czy nie, coś jej może grozić! Nikt nie wie, gdzie ona jest. Nie ma jej od czterech dni. – Zaczyna siąkać nosem.

Już po raz drugi w ciągu zaledwie godziny udaje mi się doprowadzić kogoś do płaczu. Za poduszczeniem Leniwca podchodzę do niej i niezdarnie obejmuję ją ramieniem.

– Wszystko będzie dobrze – mruczę. – Wszystko się dobrze skończy. Proszę posłuchać, to, co teraz powiem, zabrzmii trochę dziwnie, ale czy przypadkiem ma pani coś, co się zgubiło Songwezie? Coś o sentymentalnej wartości? Nie wiem, ulubiony kolczyk, który wpadł za kanapę? Książkę albo list? Choćby skarpetkę? – Tonący czasem się chwyta

brzytwy, a czasem rzeczy przeznaczonych do prania.

– Nie. Nie rozumiem, o czym mówisz. Nie mam niczego takiego. – Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym była wariatką.

– Okay. A może numer jej telefonu?

– Próbowałam codziennie. Odzywa się tylko poczta głosowa.

– Mogę spróbować? – Czy to nie byłby totalny obłąd, gdyby odpowiedziała? Trudno o łatwiejszą kasę. Ale jak należało przewidzieć, przerzuca mnie na pocztę głosową.

– *Wiesz, kto mówi. Odezwe się do ciebie, jak mi się zachce.* – Głos jest impertynencki, seksowny. Nawet pod tą powłóczką z udawanego znudzenia brzmi prowokacyjnie.

Po nim słyhać automatyczne nagranie z sieci, zdecydowanie mniej kusicielskie: „Ta skrzynka głosowa jest pełna. Spróbuj zadzwonić później. Ta skrzynka głosowa jest pełna. Spróbuj zadzwonić później”. Okay, a więc nie będzie tak łatwo. Oczywiście to, że odzywa się skrzynka głosowa, nie oznacza jeszcze, że Song nie używa tego telefonu do rozmów.

– Wie pani może, gdzie mogła się podziać? Ma jakichś krewnych? Albo znajomych, u których mogłaby się zadekować?

– Dzwoniłam do jej koleżanek ze szkoły. Do Nonkuleko i Pryi. Nie widziały jej.

- A co ze znajomymi spoza szkoły?  
Patrzy na mnie pustym wzrokiem.
- Nie, ja...
- Nieważne. Od jak dawna jest pani opiekunką bliźniąt?
- Ich babka przed śmiercią zapisała w testamencie, że chce, żebym to ja się nimi zajęła. Byłyśmy sąsiadkami. Ale i tak bym to zrobiła. Tradycja każe opiekować się sierotami.
- Czadowy spadek.
- Jest ciężko. Mam dużo stresów. Cały ten nonsens z Gwiazdozbiorami. Miasto, te imprezy, *warra warra...* [Fragment hasła z kampanii reklamowej południowoafrykańskiej sieci komórkowej Vodacom.] Joburg ma zły wpływ. Ale to dobre dzieci.
- Odniosłam wrażenie, że chłopcy nie wiedzą o Song. Powiedziałam im, że jestem dziennikarką, proszę się nie bać.
- Des wie. Mój syn. Czy wspominał... – Patrzy na mnie w poszukiwaniu potwierdzenia, że jestem za więzami rodzinnymi. – Powiedział, że mam im nic nie mówić. Są młodzi. Emocjonalni. Zwłaszcza S’busiso. Bierze wszystko do serca.
- Zauważyłam.
- Chyba znęcają się nad nim w szkole. Nic mi nie mówi, ale czasami wraca do domu posiniaczony. A jeśli coś jej się stało? Jak oni sobie z tym poradzą? Lepiej, że nic nie wiedzą. Nie powinni się martwić.

Powiedziałam im, że pojechała odwiedzić koleżankę.

– Jaka jest Songweza?

– Jest bystra, bardzo bystra. W szkole same dobre stopnie. Ale nie jest taka jak S’bu. Dziewczęta ją lubią. Chłopcy też – mówi z nieznacznym grymasem zaniepokojenia.

O to bym się założyła, jeśli ten nagrany głos stanowi odzwierciedlenie reszty opakowania.

– Ma chłopaka?

– Ależ gdzie tam. – Wygląda na zszokowaną. – Song by mi powiedziała. Mamy umowę. Żadnych chłopaków, dopóki nie skończy liceum.

– Powiedziałyby pani, że jest szczęśliwa?

– Songweza tak się czasami zachowuje, jakby była obrażona na cały świat. Ale nie robi tego specjalnie. Po prostu ma swoje złe i dobre dni.

– Dlatego bierze leki?

Pani Luthuli chyba nie rozumie, o czym mówię.

– Nie, raczej nie.

– Nic? Nawet homeopatycznych? *Muti*?

– O tak. Widuje się z sangomą raz w miesiącu. Oboje do niego chodzą. On im wyznacza kurację, która ma im pomóc ze stresem. Z całym tym stresem wywołanym sławą.

– Poniekąd... obawiam się, że może nie wie pani tyle o tych dzieciach, ile się pani wydaje.

– Dużo z sobą rozmawiamy. Codziennie gotuję im obiady. Szykuję im lunch do szkoły. W niedziele

chodzimy do kościoła.

– Czy pani wie, że oni piją piwo? Że palą trawkę?

Wzdryga się, a potem patrzy na mnie ze szczerym błaganiem.

– Po prostu odreagowują. To dobre dzieci. Proszę nie mówić panu Huronowi. Proszę. To dobre dzieci.



## 12

Każę taksówkarzowi zatrzymać się w Rosebank i znaleźć najbliższy płatny telefon. Działający automat telefoniczny w galerii handlowej to anachronizm, ale domniemywam, że zaspokaja potrzeby handlarzy z tutejszego targowiska oraz nastolatków, którym skończyły się impulsy. Względnie osób, którym zlecono jakieś podejrzone zadania, czyli takich jak ja. Nie chcę tym razem używać swojej komórki, bo a nuż w ostatniej chwili postanowię się jednak rozłączyć, a ten, do którego dzwonię, wciąż może mieć zapisany mój numer w swoim aparacie.

Bo prawda jest taka, że nie mam pojęcia, czy sobie poradzę z tą sprawą. Jeśli Prim Luthuli nie dokopie się do jakiejś przydatnej zagubionej rzeczy, będę potrzebowała planu B. A plan B wiąże się z wzywaniem demonów z Poprzedniego Życia. Leniwiec nie pochwała mojego planu.

– Dziewiąte piętro, wydawnictwo Publishing & Print – mówi recepcjonistka tonem podszytym pogardą. – Halo?

Odnajduję głos.

– Czy mogę rozmawiać z Gio... z Giovannim Contim? Redaktorem działu reportażu w czasopiśmie „Mach”.

Słyszę krótki urywek podniecającej melodyjki z marimbowym riffem, a potem odzywa się ten flagowy akcent.

– Lo? – Giovanni mówi pościelowym głosem, tak jak inni faceci mają pościelowe włosy, z pozoru beztróskim, ale w rzeczywistości starannie wystylizowanym, podobnie jak te jego ironiczne T-shirty oraz dzinsy rosyjskich projektantów, kultowe z jakichś niewiadomych powodów.

– Hej, Gio.

Zapada długa chwila milczenia potrzebnego na przetworzenie. Może nawet na modyfikację odpowiedzi. A potem znowu go słyszę:

– Zinzi? Ja cię sunę! Gdzie ty jesteś?

– Na dole. Mogę wjechać na górę?

– Nie. Zaczekaj. Ja zjadę na dół. Spotkamy się w „Reputacji”. To bar hotelowy po drugiej stronie ulicy.

– Wydaje mi się, że oni tam wyznają jakąś politykę – mówię, pozostawiając kwestię otwartą.

– Och. Tak, racja – słyszę w odpowiedzi.

I takim oto sposobem spotykamy się pod jarzeniówkami w miejscowym lokalu należącym do sieci Kauai, przyciągając uwagę grupki wniebowziętych, potężnie upiercingowanych nastolatków siedzących wokół plastikowego stolika obciążonego koktajlami o wyglądzie zielonkawej żółci. Podczas gdy inni przechodnie,

małomiasteczkowi hipstersi, galerianki i goście w gangach, raczą mnie jedynie ukradkowymi spojrzeniami zarezerwowanymi dla ludzi na wózkach inwalidzkich i ofiar poparzeń, te szczony wystrojone na gotycko nie mają wstydu. Praktycznie nabijają mnie na pal. Podnoszę jedną rękę, w stylu aresztowanej celebrytki, przyznając, że tak, to naprawdę ja, a teraz, proszę, zostawcie mnie w spokoju, na rany Chrystusa. Czym w żaden sposób ich nie odstręczam. Pewnie w tym ubieraniu się od stóp do głów na czarno jest coś, co ci nadaje poczucie społecznej nietykalności. Kusi mnie, żeby to sprawdzić, ale przecież oni tylko się bawią w outcastów.

Gio kładzie mi rękę na ramieniu.

– Zinz? – Pospiesznie cofa rękę, bo Leniwiec usiłuje go chapnąć zębami.

– Spodziewałeś się kogoś innego?

Nachyla się niezdarnie, żeby mnie objąć, ale po chwilowym namyśle rezygnuje i uwala się na przeciwległe krzesło.

– Podoba mi się ta bródka – mówię. – I ta nowa fryzura. Dobrze wyglądasz.

– Dzięki. – Machinalnie pociera wnętrzem dłoni wiotką szczecinę na swojej czaszce.

Tak naprawdę mam na myśli to, że wygląda inaczej. Nabrał ciała, zwłaszcza na twarzy, a koszula zapinana na guziki zdradza zarys brzucha.

Zastanawiam się, czy przestał nosić ironiczne T-shirty, czy też jest to po prostu dzień na zapinaną koszulę. Podwinięte rękawy odsłaniają tatuaż na prawej ręce: prosta linia myślników wyznaczająca trajektorię papierowego samolociku, który chowa się pod rękawem – hołd złożony idealizmowi, absurdalnej kruchości lotu. W zamierzchłych czasach spacerowałam czubkami palców dłoni po tej linii myślników. A jej właścicielowi to się podobało, w zamierzchłych czasach.

Zdaję sobie sprawę, że on bierze mnie pod lupę w taki sam sposób, porównując tę Zinzi z obrazami z jego bazy danych. Jak w zabawie w znajdź dziesięć szczegółów. Zaznacz zmarszczki pod oczyma. Zaznacz oddarte lewe ucho, gdzie dosięgła mnie kula. Zaznacz Leniwca z dziwnie nieproporcjonalnymi łapami, którymi mnie obłapia niczym futerkowy plecak.

– No tak. Jezu. Dobrze cię zobaczyć. A co ty... jak... no bo w gazetach pisali o dziesięciu latach...

– Dostałam warunek. Za dobre zachowanie. Nie słyszałeś?

– Nie, ja...

– Nie ma sprawy. Ja też nie śledziłam twojego życia.

– No raczej nie przysyłałaś uaktualnień swojego statusu. Słuchaj, chcesz coś? Koktajl? Drinka? Albo... A ta bestia co pije?

– Wode, Gio. Oboje niczego nie chcemy. Nie napinaj się tak. Dobrze cię widzieć.

– Tak, tak owszem. – Chłopięco przekrzywia głowę, ale efekt rozmywa się z braku zmierzwionej grzywki. Płyty tektoniczne tego, czym dawniej byliśmy, nieważne czym, uległy przesunięciu – nazwijcie to dryfem kontekstualnym. I uważajcie na powstały rów Przed ryzykiem bycia tym pierwszym, które przekroczy wyrwę, ratuje nas gotycka dziewczyna i jej komando.

– Przepraszam – mówi z tą odmianą śmiałości, która oznacza, iż nic jej to nie obchodzi, że spod czarnej farby już jej wyłażą odrosty koloru blond (aczkolwiek nadal stara się maskować piegi grubą warstwą podkładu).

– Nie ma tu nic do oglądania. Uciekajcie, dzieci.  
– Gio wykonuje gest przeganiania.

– Nie mówię do ciebie. Palant. – Dziewczyna wykrzywia twarz z nastoletnią pogardą, a potem dotyka mojego rękawa, tak lekko jak kicha motyl, jakbym była świętą albo ewentualnie krewną Dity Von Teese. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że to, co zrobiłaś, to się w ogóle nie liczy.

– A właśnie, że się liczy, niestety – mówię. Jednak moja riposta odbija się od niej jak piłeczka pingpongowa od opancerzonego wozu.

– My i tak uważamy, że jesteś cool.

– Okay. Dzięki. – Raz-aligator. Dwa-aligator.

Trzy-aligator.

Pozostali przyglądają się z czią i kiedy staje się jasne, że nie powiem nic więcej ani też nie udzielię jej błogosławieństwa, czy czegoś tam, dziewczyna kiwa głową i prowadzi swój oddział w kierunku zasadniczo kinowym.

– To było dziwne – stwierdzam, przyglądając się, jak czarna sfera wjeżdża windą na górę.

– To przez Slingera, tego rapera z Hieną. Dzięki niemu zoolusi są teraz cool. Aspirujesz do kontrkultury, mała.

– Moja życiowa ambicja. – Ta interakcja przynajmniej pomogła przełamać między nami lody.

– Wciąż jadasz sushi? – pyta i przemieszczamy się za róg, do lokalu z przenośnikiem taśmowym.

– No więc o co biega, Zinz? – pyta, wsuwając do ust kalifornijską roladkę z łososia, za pomocą pałeczek, dlatego roni część ziarenek ryżu do sosu sojowego.

Kiedyś widziałam w jakimś czasopiśmie obrazy sushi wykonane metodą rezonansu magnetycznego. W przekąskach wykonanych przez mistrza sushi ryż układa się poprzecznie, dzięki czemu prawdopodobieństwo, że dane coś się rozpadnie, jest mniejsze. Niezła filozofia życiowa. Nie podnoś głowy i trzymaj się czegokolwiek kurczowo, to się nie rozpadniesz.

– Co cię sprowadza do tej części miasta? –

indaguje mnie Gio, rozszarpując *maki* pałeczką i wsuwając kęs do ust. Zawsze miał w sobie pociąg do brutalności.

– Zbieram materiały – rzucam na odczepne, żeby nie ściągnąć na siebie jazgotu pytań, z którymi w tej chwili wolałabym się nie mierzyć. – Pracuję nad czymś i pomyślałam, że może mógłbyś mnie jakoś ukierunkować.

– Autobiografia? – Zarzuca wędkę.

– Ach, nie. To artykuł, a właściwie książka – improwizuję. – To na razie wczesny etap. Na temat ijusi, tego zespołu *kwaito*.

– A nie jest to aby afropop?

– To jest to samo.

– Niezupełnie. I czy nie za wcześnie, żeby unieśmiertelnić cudowne dzieci od jednego hitu? Nie utrzymają się na rynku dłużej niż pół roku.

– Okay, posłuchaj, ten artykuł chcę sprzedać „Credo”, dzięki czemu mogłabym z tego upichcić książkę o muzyce i kulturze młodzieżowej Jozi, [Kolejna slangowa nazwa miasta Johannesburg.] po części album do oglądania, po części biblia trendu. Coś, na czym dałoby się zarobić. – Już nawet sama zaczynam to kupować.

– A więc to jest to – mówi, poszczekując z emfazą pałeczkami.

– Co?

– Wielki Comeback Zinzi December.

To od Giovanniego nauczyłam się mówić wielkimi literami. I od niego też nauczyłam się posługiwać fajką do kraku.

– Mam nadzieję. Tyle że oczywiście jestem upośledzona. – Przekrzywiam głowę w stronę Leniwca, który przysnął na moim ramieniu. – Podejrzewam, że ten mały drań utrudni mi trochę załatwianie wywiadów.

– Zdziwisz się – mówi Gio, obdarzając mnie krzywym uśmiechem.

Domyślam się, że zaraził się nim ode mnie.



## 13

Ludzie, którzy beztrąsko zaiwaniąją przez Zoo City za dnia, nie zaplątują się tutaj nocą, nawet jeśli starają się unikać policyjnych blokad. Mają za dużego stracha, ale ten strach dopada ich w porze, kiedy Zoo City staje najbardziej frontem do człowieka. Przychodzi szósta wieczór, schodzą się ci, którzy mieli jakąś robotę od rana, i wszyscy otwierają drzwi na oścież. Dzieci gonią się po korytarzach, a dorośli wyprowadzają swoje zwierzęta, żeby poniuchały świeżego powietrza, ewentualnie przyjaźnie poobwąchiwały sobie wzajem tyłki. Zapachy gotowania – przeważnie jedzenia, ale także amfy – choć na trochę przygaszają smród zgnilizny i moczu na klatkach schodowych. Kokainowe dziwki opuszczają swoje nory, żeby zająrać na schodach pożarowych, pogwarzyć, zagadywać do ludzi, którzy schodzą na dół, do postoju taksówek.

Wracam do siebie z egzemplarzami wszystkich magazynów muzycznych dostępnych na tej planecie, a w każdym razie dostępnych w księgarni CNA. Nie widziałam Benoita od rana. Miał znowu pracować w zastępstwie Eliasa, ale kiedy wychodziłam, jeszcze był zbetoniony i śmierdział piwskim.

Elias dzwonił z prośbą o przysługę już cztery razy w tym tygodniu. Powalony chorobą wypluwa

płuca w nędznej kanciapie, którą dzieli z sześcioma innymi obywatelami Zimbabwe. Może to gruźlica. D'Nice nie przestaje się naprzykrzać Eliasowi, usiłując wydebić od niego plwocinę; chciałby ją sprzedawać na czarnym rynku tym, którzy mogliby dzięki niej starać się o tymczasowe granty od rządu. Ale przecież choroba płuc Eliasa może być równie dobrze reakcją na azbest albo czarną pleśń. Prawidłowe diagnozy są tutaj czymś równie rzadkim jak prawdziwi lekarze.

Za to innych lekarzy są tu legiony. Nyanga, sangomowie i specjaliści od leczenia wiara, o rozmaitych stopniach umiejętności bądź talentu, zachwalający swoje usługi na słupach telefonicznych i murach. Niektórzy z nich to szarlatani i macherzy, twierdzący, że leczą wszystko, od kłopotów finansowych przez nieodwzajemnioną miłość po AIDS, za pomocą *muti* przyrządzanych ze sproszkowanych jaszczurzych jąder i aspiryny. Zgadnijcie, który z tych składników pracuje tu najciężej?

*Muti* dla przedmiotu przyrządzić łatwo, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z prostymi przeciwieństwami. Pod kluczem albo nie pod kluczem. Zgubione albo znalezione. Przedmioty pragną mieć cel. Są szczęśliwe, kiedy im się mówi, co mają robić. Hakerskie zaklęcie, dzięki któremu możesz zrobić jajecznicę z SMS-ów w telefonie

swojego rywala biznesowego – bułka z masłem. Za to rzucenie takiego zaklęcia, aby druga osoba (nieważne, czy obiekt twej szczenięcej miłości, czy mąż, który cię bije) znalazła dla ciebie cieplejsze uczucia – o, to już wymaga większego sprytu. Badania laboratoryjne wykazały, że niektóre zaklęcia polegają na manipulowaniu poziomem hormonów, to znaczy w ten sposób, że potęgują wydzielanie serotoniny, oksytocyny albo testosteronu. Proste włącz/wyłącz. A jednak magia przeważnie działa bardziej abstrakcyjnie. Wręcz kapryśnie.

Lubi wywoływać skutki uboczne. Natomiast te cuda, które obiecują tamci – lekarstwa na AIDS, powiększanie penisów albo zaklęcia śmierci – to są tylko placebo i nocebo, czyli błogosławieństwa i przekleństwa, które się rodzą w twojej głowie. Zresztą podobne rzeczy serwują pisemka drukowane na błyszczącym papierze; one też obiecują, że będziesz mieć lepsze życie seksualne, lepszą pracę, że w ogóle będzie z tobą lepiej. Wierzcie mi, kiedyś smażyłam takie teksty za pieniądze. I patrzcie, gdzie wylądowałam.

Są ludzie, którzy posiadają prawdziwe *mashavi* do uzdrawiania, i są ludzie, którzy potrafią sporządzać autentyczne *muti*. Ale ci należą do rzadkości i zazwyczaj znajdują się poza zasięgiem cenowym dla takich jak Elias. I dlatego tacy jak Elias muszą sterczeć w kolejce do kliniki, dzień za dniem,

od piątej rano po nieskończoność, w nadziei, że dotrą na przód tuż przed wybiciem dwunastej w południe, kiedy limit przyjęć zostaje wyczerpany, by dzięki temu wykroić sobie siedem i pół minuty z wypalonymi pielęgniarzkami, które już to wszystko widziały. Ani trochę to nie sprzyja przychodzeniu do pracy na czas.

Dlatego właśnie jestem bardziej niż zdziwiona, kiedy dociera do mnie, że jeden z zapachów gotowania płaczący się po budynku emanuje z mojego mieszkania. Otwieram drzwi i widzę Benoita, nadal w kusym uniformie Eliasa, stojącego przed kuchenką, na której robi hot dogi, *pap* i fasolę. Całe mieszkanie zostało zamiecione i wytarte na mokro, nawet łóżko jest posłane. Prądnica mruczy pogodnie, obok stoi kanister z benzyną.

– Wyglądasz nadzwyczaj rześko jak na ofiarę legendarnego kaca. I w ogóle co jest grane?

Całkiem podstawna podejrzliwość, jak się jeszcze okaże.

– Nie wolno mi zrobić dla ciebie czegoś miłego?

– Och, sama potrafię wymyślić kilka miłych rzeczy, które mógłbyś dla mnie zrobić. Albo ze mną.

– Więc widzisz, jak by to wyglądało, gdybyś dała mi klucz.

– To była jednorazowa transakcja, proszę pana, zawarta tylko dlatego, że jeszcze pan spał, kiedy wychodziłam. Nie przyzwyczajaj się.

– Nie jesteś zadowolona? – pyta Benoit.

Mięknę, zarzucam ramiona na jego barki i opieram się o jego plecy.

– Jest dobrze. Chyba.

– Złóż, kobieto. Gotuję – mówi ze śmiechem, strząsając mnie. Ale potem wykrzywia głowę w tył, żeby mnie pocałować.

– Ty gotujesz czy raczej starasz się wywołać pożar? – drocę się z nim.

– *Merde!*

Upiera się, że mamy zabrać nasze lekko zwęglone hot dogi na dach i pozostawić zwierzaki w mieszkaniu. Kupił nawet papierowe talerzyki i serwetki, a także dwie butelki piwa. Zabiera swój aparat fotograficzny, obtuczony i beznadziejnie przestarzały koreański model bez marki, ledwie megapikseli, który trzyma się kupy dzięki taśmie klejącej. Ten aparat dużo widział. Jest wart tyle, ile wszystkie dokumenty tego świata razem wzięte. Ale Benoit pokazuje mi tylko te zdjęcia, które robi sobie samemu.

Ma na tym punkcie obsesję. Zarejestrował kolejne etapy swojej podróży z Kinszasy do Joburga, obfotografował wszystkie główne punkty orientacyjne, wszystkie znaczące skrzyżowania i miejsca, w których się zatrzymał na noc, każdą osobę, która potraktowała go życzliwie. Nie wystarcza mu jednak, że robi zdjęcia jakimś ludziom

albo miejscom, sam też musi się znaleźć w kadrze. Jakby to nie miał być wyłącznie dowód na to, że gdzieś tam był, tylko że w ogóle istnieje.

Kiedy wreszcie wychodzimy na dach, brakuje mi tchu. Ludzie nie przychodzą tu często, zwłaszcza od czasu, gdy windy pozdychały, na ogół po to tylko, żeby wywiesić pranie w słoneczne dni. Czasami na dachu jest impreza, z okazji czyjegoś wesela, urodzin albo kiedy członkowie któregoś z miejscowych gangów mają ochotę kupić sobie nieco przychylności w dzielnicy za pomocą jagnięcia pieczonego na rożnie i grillowanych flaków. Bywa niesympatycznie, kiedy ludzie się popijają, zwłaszcza w Nowy Rok; niemal tradycją jest, że ktoś zrzuca stąd naczynia na ulicę, z wysokości tylu pięter. Z takich powodów gliniarze i karetki pogotowia reagują opieszale na „incydenty” w Zoo City – jeśli w ogóle reagują.

Benoit zgięty wpół przechodzi pod sznurem z praniem; prześcieradła, sukienki i koszule łopoczą jak latawce na uwięzi. Na piętnastym piętrze wszystko wydaje się jakby przygłuszone. Odgłosy samochodów przeobrażają się w jednostajny szum, klaksony brzmią jak nawoływania mechanicznych kaczek. Linia nieba jest idealnie widoczna, zachodzące słońce skąpało miasto w różnych odcieniach rdzy i miedzi, a wiotkie obłoki pokryło smugami koloru krwi. Zachody słońca Wysokiego

Weldu bywają takie spektakularne od pyłu, którym przesycone jest powietrze, od drobniutkich, żółtawych osadów mineralnych unoszących się w górę od przykopalnianych hałd, od wyziewów z rur wydechowych w samochodach. Kto powiedział, że złe rzeczy nie mogą być piękne?

– Może powinniśmy przychodzić tu częściej? – mówi Benoit, z mało dla niego typową zadumą w głosie.

– Za dużo tych schodów.

Patrzy na mnie z przyganą i czuję się źle, że popsułam nastrój.

– Tutaj. Siadaj. – Ściąga ze sznura czyjaś kołdrę, nie zwracając uwagi na gwałtowne, pokrzywowe ukłucie zakłęcia zabezpieczającego, wplecionego ręcznie w tkaninę przez specjalistyczną ekipę krawiecką prowadzącą swój biznes na dole, i rozkłada ją na cemencie pod wieżą wodną. Siadam posłusznie. Kołdra jest jeszcze mokra i pokryta patchworkiem z podróbkowych animków aspirujących do stania się bohaterami z Disneya. To niepodobne do Benoita, że jest taki niedbały.

– Nie boisz się, że się pobrudzi? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Brud nie jest stanem permanentnym. Wyjdzie z tego.

Czuję, że on nie mówi o kołdrze.

– Chodź tu.

Podchodzę do niego prędko, a wtedy obejmuje mnie ramieniem i podnosi aparat wysoko w górę, ustawiając obiektyw na nas dwoje.

– Powiedz „Józi” – mówi.

I wtedy do mnie dociera, że on odchodzi.

Kiedy obraca aparat, żeby sprawdzić, co mu wyszło, na zdjęciu widać dokładnie jego uśmiechniętą promiennie twarz, ja natomiast jestem rozmazana, ustawiona profilem i tak jakby rzucam się na niego.

– Nic z tego – stwierdza Benoit, ale nie kasuje zdjęcia. Wyciąga rękę, żeby zrobić jeszcze jedno. – Nie ruszaj się tym razem. Postaraj się patrzeć na aparat. – Dotyka mojego podbródka kciukiem, delikatnie ustawiając moją szczękę, przez co gapię się teraz na nasze maleńkie, dalekie odbicie w obiektywie.

– Nie możesz zaczekać?

– Chyba nie, Zinzi – odpowiada cichym głosem.

– Dwa tygodnie – mówię. Z rozpaczą. – Tydzień.

– Nie mogę obiecać.

– Przecież musisz się spakować. Zorganizować transport.

Są przemytnicy ludzi, którzy przerzucają cię przez kolejne granice, przecisną potajemnie pod ogrodzeniami z drutu kolczastego, splawią wodami rojącymi się od krokodyli, przekupią strażę graniczne skrzynkami piwa albo kul. Ale rzadko kiedy trasa



przebiega w tamtym kierunku. Nie ma dużego popytu na wymykanie się z RPA. Oczywiście Benoit mógłby po prostu polecieć samolotem, ale wtedy miałby stemple w paszporcie, z których musiałby się wytłumaczyć ludziom z Home Office, bo oni uważają, że jak zostajesz uchodźcą, to już więcej nie wracasz do domu.

Wzdycha, opuszcza aparat, patrzy na mnie.

– Pracuję nad tym. D’Nice mówi, że zna jakichś ludzi.

– Nie wątpię. Jak ty za to zapłacisz?

– Nad tym też pracuję.

– Jak?

– Ciagle te pytania, *cherie*. Mogłabyś przez chwilę nie robić za dziennikarkę? – Całuje mnie, jakby to starczało za odpowiedź, i znowu zaczyna mnie zamięczać, podnosząc w górę aparat: – A teraz się nie ruszaj, dobrze?

Nie, to ty się nie ruszaj, myślę.

Telefon odzywa się później. O drugiej w nocy – o tej godzinie bezsennych rozmyślań.

– Ona próbuje mu zrobić zabodaż – mówi z przejęciem ten głos, bez żadnego *hola* albo *unjani* na wstępie. Rozpoznaję go tylko dzięki nosowemu brzmieniu.

– Arno?

– Ona to zbiebrzy. Song i den jej chłobak.

Bowinni być w studiu. A ona zniknęła. Bo do egoistka. Dla niego chce do niżdżyć.

Przełyka łyzy, a do mnie dociera, że się pomyliłam w kwestii przedmiotu jego zadurzenia. Arno nie zadurzył się w Songwezie, tylko w S'bu.

Poranek spędzam na wydzwanianiu do znajomych Songwezy, których nazwiska wydebiłam od pani Luthuli oraz bardziej od niej pomocnego Desa. Generalnie kłapa, mimo że szkolne koleżanki Song otwierają się przede mną jak ostrygi, kiedy słyszą te dwa magiczne słowa: „Jestem dziennikarką”. Wszelkie, nawet nieoczywiste zbliżenie do sławnej osoby sprawia, że ludzie wprost stają na uszach, żeby się pokazać, zwłaszcza nastolatki. No i te wylewały z siebie wszystko, co im leży na wątrobie, o pierwszej miłości Song, o tym, jak oszukiwała na teście z matmy w siódmej klasie i została przyłapana, przez co cała klasa musiała powtarzać test, jak bardzo kocha muzykę, jaka jest utalentowana, że wiecznie gada na lekcjach i że dużo też gada przez telefon albo przez czat na MXit, że ubóstwia imprezować. Że czasami obraża się na świat, że „zarabia dużego doła, ale nie, żeby chciała się zabić”, tłumaczy mi dziewczyna o imieniu Priya.

Na podstawie swoich notatek uzyskuję tylko ogólny zarys. Brakuje szczegółów, jak na polaroidowym zdjęciu, które jeszcze nie całkiem się wykluło. Połapuję się, że na liście od pani Luthuli brakuje kilku nazwisk, nazwisk, których mogłaby nie zaaprobować, na przykład tego chłopaka, o którym w

ogóle nic nie wie.

Sprawdzam ludzi wypisanych na tablicy Desa. Projektant i laska od publicity to ślepe uliczki, zwyczajny biznes; są lekko zdziwieni i nie rozumieją, po co do nich dzwonię. Jediną interesującą osobą jest Heather Yalo, która przypadkiem okazuje się menedżerem takich meganazwisk jak Leah i Noluthando Meje. Kiedy się przedstawiam, mówi:

– Na tym etapie rozmowa z mediami byłaby czymś niestosownym.

I odwiesza słuchawkę. Zastanawiam się, czy Huron wie, że Des planuje zamach stanu.

Z pomocą Gio, który „zna ludzi”, załatwiam sobie coś na najbliższy wieczór. Wysyłam także wiadomość do Vuyo.

»Kahlo999: Chcę cię prosić o przysługę.

»Vuyo: Słyszałem o twoim mkwerekwere. Mogę pomóc. Ty napisz list. Ja załatwię papier z oficjalnym nadrukiem.

Jestem zbyt zajęta zmaganiem z dokuczliwymi zrywami nadziei w swojej piersi, by mnie to obchodziło, skąd Vuyo się dowiedział. Firma ma więcej oczu niż system kamer śledzących miasto, gdy przychodzi do ochrony jej interesów. I mam swoje podejrzenia co do tego kogoś, kto na mnie donosi. Nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że nazywa się D’Nice Languza.

»Kahlo999: O czym ty gadasz?

»Vuyo: „DRC i Czerwony Krzyż informują z przykrością, że uzyskano błędne informacje. Żona i dzieci pana Benoita Bocangasa nie żyją”.

»Kahlo999: Jesteś zboczonym GÓWNEM, a nie człowiekiem.

»Vuyo: Mogę nawet dostarczyć zdjęcia ciał. Tylko załatw mi pliki do obróbki w Photoshopie.

»Kahlo999: Zamknij ryja, Vuyo. To nie jest opcja.

»Vuyo: Jaka drażliwa.

»Kahlo999: Nie słuchasz mnie. Potrzebuję trzech rzeczy: muszę się dowiedzieć, czy pewien numer komórkowy był używany w ciągu ostatnich czterech dni. Muszę mieć dostęp do konta na MXit. I muszę się dowiedzieć, czy pewna polisa na życie została zarejestrowana na pewną konkretną osobę. »Vuyo: To cię będzie kosztowało.

»Kahlo999: 5000 R. Dodaj do mojego rozliczenia.

»Vuyo: 12. Z odsetkami. Przyślij szczegóły.

»Kahlo999: Z ciekawości. Czy Firma zajmuje się handlem? »Vuyo: Na pewno nie siedzi obok ciebie policja?

»Kahlo999: Raczej nie.

»Vuyo: Nie zainstalowałaś firewalla.

»Kahlo999: Już i tak siedzisz w moich sprawach. No dalej, Vuyo. Dilerka? Niewolnictwo seksualne?

»Vuyo: Firma ma szerokie zainteresowania.

»Kahlo999: A gdybym chciała się dowiedzieć, czy ktoś został porwany? Przez dilerka? Zmuszony do prostytucji?

»Vuyo: To nie jest porwanie, jeśli przychodzą z własnej woli.

»Kahlo999: Myślę, że nasze definicje pojęcia „z własnej woli” mogą się różnić. Mogę podać nazwisko?

»Vuyo: To kosztowna przysługa. Na to, co stanie się potem, jest cena.

»Kahlo999: Chyba znam kogoś, kto zapłaci.

Okazuje się, że zakradanie się do Poprzedniego Życia jest równie łatwe jak wkładanie sukienki. Moda to tylko różne skóry, które wdziewasz w zależności od tego, jak smakujesz danego dnia. Ja dzisiaj jestem brzoskwiniowym schnappsem. Nerwowa jak nastolatka, która po raz pierwszy próbuje się wślizgnąć do klubu nocnego. Powiedziałam „sukienka”? Chciałam powiedzieć „dziewięć sukienek”. Tyle dokładnie posiadam.

Leniwiec ponuro posapuje z podłogi, na której się rozciągnął razem z pękiem liści manioku; kupiłam te liście na targowisku, żeby go ugłaskać (również pudełko stonóg dla Mangusty). Gdybym mogła rozstać się z Leniwcem, zrobiłabym to. Ale sprzężenie zwrotne wywołane lękiem przed rozdzieleniem robi z ciebie kalekę. Głód narkotyczny jest niczym w porównaniu z rozstaniem się ze swoim zwierzęciem.

Po przymierzeniu wszystkich dziewięciu sukienek, dwa razy, z chwilą przerwy spędzoną na próbie wyłapania stonóg, które uciekły z pudełka przewróconego przez Leniwca, decyduję się na obcisłe dzinsy i zaskakująco gustowny czarny top na ramiączkach, który pożyczam od prostytutki z trzeciego piętra, po tym, jak z odrazą daję sobie spokój z własną garderobą. Kiedy mówię o pożyczce,

mam na myśli wynajem. Sąsiadka twierdzi, że top jest czysty. Mam wątpliwości w związku z tymi trzydziestoma dolarami, ale top zdaje test na wachanie, więc olał to.

Łapię taksówkę do Auckland Park, tak jak inni członkowie niewidzialnego plemienia ukrytego za kulisami zdarzeń – nocni sprzątacze, pielęgniarzy i restauracyjne pomywaczki. Wsiadam za Media Park i idę pieszo do Siódmej Ulicy z labiryntem restauracji, barów i kawiarenek internetowych. Przed mozambijskimi delikatesami skrzyżowanymi z kawiarenką internetową uliczny sprzedawca usiłuje mi wcisnąć latarenkę w kształcie gwiazdy wykonaną z drutu i papieru, a kiedy odmawiam, oferuje mi marihuanę.

Kiedyś przychodziłam się tu nawalić. Raz mnie aresztowali za to, że ubrana w łatwo identyfikowalny szkolny uniform paliłam zioło na tamtejszym *koppie*, i potem zostałam zawieszona w prawach ucznia na dwa tygodnie. Swoją pierwszą kreskę robiłam w toalecie „Buzz 9”. Uprawiałam seks na podjeździe przy Ósmej Ulicy, dopóki właściciel domu nie ściągnął interwencji zbrojnej. Dlatego ta dzielnica nie powinna tak mnie onieśmielać. A jednak czuję ulgę na widok Gio, który siedzi na krawężniku przed „Biko Bar” i majstruje z przejęciem w swoim telefonie.

– Hej.

Zawstydzony, jakbym go na czymś przyłapała, zadziera głowę i chowa telefon do kieszeni kurtki.

– Cześć, mała, dotarłaś! Idziemy, tamci już są. – Prowadzi mnie w stronę grubych sznurów z aksamitu, które widziały już lepsze czasy, i niskiego, żyłastego bramkarza, który ma na sobie T-shirt z napisem: TYLKO SPRÓBUJ, GNOJKU.

– Ona jest ze mną – mówi Gio i mimo że facet nie patrzy chętnym wzrokiem na Leniwca, to jednak obdarza nas najbardziej nieznacznym z możliwych skinień głowy, wskazując, że tak, spoko, a co tam.

„Biko Bar” tak się ma do Steve’a Biko jak chamskie nadruki na T-shirtach do Che Guevary. W lokalu spogląda na nas ze swoich licznych portretów wykonanych w najdziwniejszych i kompletnie bezczelnych interpretacjach. Na przykład z ręcznie malowanego szyldu zakładu fryzjerskiego z całym szeregiem głów Biko ustawionych z profilu i prezentujących różne fryzury i nakrycia głowy: wygolony na *chiskop*, z plerezą, w ręcznie malowanym górniczym hełmie zwanym *makarapa*. Jest też Biko z twarzą, której wyraz to charakterystyczne połączenie determinacji z romantycznym heroizmem; w tle symbol Kongresu Panafrykańskiego przedstawiający mapę Afryki poprzecinaną promieniami słońca. Jest też Steve z lwią grzywą jako główny element herbu utworzonego z symboli walki, zaciśniętych pięści, piłek nożnych



oraz cytatu wypisanego kursywą: „Najpotężniejszą bronią uciskających jest umysł uciskanych”. Mój ojciec, wykładowca akademicki, nie ścierpiałby tego. Tej redukcji do marki za pomocą ironii i ikonografii.

– Widzę, że sprzedają T-shirty – rzucam. – Czy rozmiar dziecięcy jest wstępnie nasączony kwasem?

– Bardzo śmieszne, Zinzi – mówi Gio, prowadząc mnie na tył lokalu. – Nie przejmuj się, oni też są nerwowi przed spotkaniem z tobą.

Ze strachu ściska mnie w żołądku, dokładnie tak jak w momencie pokonywania punktu startowego rollercoastera. Nigdy nie lubiłam rollercoasterów. Gio pociąga mnie w stronę stolika, przy którym siedzi troje boleśnie bohemistycznych ludzi z kosztownymi fryzurami: mocno poprzekłuwana i usmarowana tuszem kobieta o gniewnie czerwonych włosach i oczach Bettie Page oraz dwóch mężczyzn, jeden w koszuli w ohydny orientalny wzorek i z włosami postawionymi żelam w kolce, drugi po czterdziestce, ubrany w kamizelkę fotoreportażysty wojennego i kunsztownie wykreowaną powłokę cynizmu. Wszyscy zebrali się wokół wielkiego aparatu fotograficznego z budzącym respekt obiektywem, wpatrują się z uwagą w ekranik zamontowany z tyłu.

– Obrzydlistwo – mówi kobieta, odpychając aparat w momencie, gdy stajemy przy stoliku. – Czemu mi to pokazujecie? – Uderza fotografa w

ramię, ale to żartobliwy kuksaniec, który mówi: „Naprawdę cię lubię, mimo że pokazujesz mi jakieś makabryczne zdjęcia, może nawet właśnie dlatego, że pokazujesz mi makabryczne zdjęcia”.

– Co wam tym razem pokazał Dave? – pyta Gio.

– Zdjęcia bezdomnego, który został zabity – mówi Lakoniczny Fotograf, czyli rzeczony Dave.

– Oooo, super – mówi Gio. – Zajebicie chciałbym je obejrzeć. Wiecie, robimy ten nowy ohydny numer „Macha”. Stopy z gangreną. Ukąszenia żmii sykliwej. W miarę możliwości wszystko, co się wiąże z jakąś ekstremalną przygodą, która skończyła się koszmarem.

– Średnia przygoda, jak cię pobiją i podpalą. Tego porządnie pochlastali. Zwłaszcza po twarzy. Palce też mu odcięli.

– Dalibyście to do „Macha”? – pyta Ten od Brzydkiej Koszuli, najwyraźniej podjarany projektem.

– Jesteśmy magazynem dla mężczyzn. – Gio wzrusza ramionami. – Mężczyźni są brutalni. – Po czym dodaje pospiesznie: – Wcale nie chcę powiedzieć, że kobiety nie są.

– Po prostu lepiej to ukrywają – odzywam się. Wszyscy podnoszą na mnie wzrok, a potem jednomyślnie skupiają uwagę na Leniwcu. Brzydka Koszula uśmiecha się sarkastycznie. Podnoszę rękę jak uczennica, która zgłasza się do odpowiedzi. –

Cześć, jestem Zinzi.

– Sorry, no właśnie, ludzie, to jest ta znajoma, o której wam opowiadałem. – Głos Gio wprost ocieka niedopowiedzeniami. – Zinzi December. Kiedyś razem pracowaliśmy.

Kiedyś razem sypialiśmy. I razem braliśmy prochy. Razem sypialiśmy, razem biorąc prochy i razem pracując. To był naprawdę prosty związek.

Maniaczka Piercingu przesuwają się, żeby zrobić nam miejsce na obitej pluszem ławie, tymczasem Gio przedstawia nas sobie – *creme de la creme*, jeśli idzie o melomanów w kręgu jego najbliższych znajomych, plus Brzydka Koszula, znana bliżej jako Henry. Dave jest faktycznie fotografem, pracującym dla „The Daily Truth”, ale robi też zdjęcia na koncertach – głównie jazzowych, a poza tym już czwarty rok z rzędu obsługuje festiwal Oppikoppi oraz okazjonalnie realizuje zamówienia od magazynów lajfstajlowych. Henry zajmuje się mediami społecznymi dla jakiejś niszowej agencji i przedmiotem sporej części jego zleceń jest scena muzyczna. Gio zależało szczególnie na jego obecności.

– On i Songweza to przyjaciółki – powiedział mi zawczasu przez telefon. – Jeśli chcesz, żeby ktoś obrzucił błotem twoją dziewczynę, to Henry zrobi to najlepiej.

Maniaczka Piercingu to dziennikarka

specjalizująca się w muzyce hardcoreowej, kiedy nie jest matką dwulatka, którego nazywa Szkrabozaurusem.

– Juliette pisze dla wszystkich – tłumaczy Gio. – Nie tylko dla prasy krajowej, ale też dla „Billboarda”, „Spin” „Jukę” i „Clash”.

Maniaczka Piercingu/Juliette przewraca oczami z pełną zadowolenia udawaną skromnością, z której mam wyczytać, że to wszystko prawda.

– A co ty teraz robisz, Zinzi? – pyta współczująco, pochylając się i pozwalając mi się skapać w pełnym blasku jej uwagi. Jest tylko w trzech czwartych protekcyjnalna.

– Znajduję utracone rzeczy.

– Czyli na przykład skradzione towary? – wtrąca się Henry. – Bo u moich rodziców był włam w zeszłym tygodniu i zabrali zegarek. Z dewizką, na łańcuszku, sto lat z okładem...

– Utracone, czyli zagubione. Kluczyki do samochodu. Zaginione testamenty.

– Za pieniądze? – Podnosi brwi, jakby to było jeszcze śmieszniejsze niż opiekacze do grzanek z wbudowanymi odtwarzaczami MP3.

– Pobieram stosowne opłaty za mój czas.

Idea wyraźnie go nakreca.

– Wiesz co? Mogłabyś się zatrudnić na etat w jakimś domu starców, gdzie mają, no tego, demencję, czy jak się tam nazywa ta choroba z zapominaniem?

– Alzheimer – wspomaga go Maniaczka Piercingu.

– O właśnie. Założę się, że oni gubią rzeczy na potęgę. Ty mogłabyś im to odnosić i kasować, a oni by zapominali, że już ci zapłacili, i wtedy kasowałabyś jeszcze raz.

– To chyba nie tak działa – mówi Maniaczka Piercingu, która najwyraźniej zdecydowała, że mnie przygarnie jak bezpańskiego pieska. – Mam rację, Zinzi?

– A kto wie, jak to działa? – Wiem, że jestem nastawiona antagonistycznie.

– Nie ma na to testów? Myślałam, że ci robili pełną analizę.

– Ludzkie szczury laboratoryjne! – entuzjazmuje się Henry. – Ale pewnie czasami to są prawdziwe szczury, dobrze mówię? To pewnie mylące.

– W USA, Australii, Iranie i innych tego typu miejscach robią ci pełne badania, od stóp do głów, tomografię, skany mózgu, badania hormonów i takie tam. W RPA chroni nas konstytucja.

Oraz zaporowe koszty tych wszystkich inwazyjnych badań. Są lepsze rzeczy, które mogą być finansowane przez rząd, jak na przykład łodzie podwodne o napędzie atomowym, względnie oficjalne smarowanie łap. Robią kilka podstawowych pomiarów, żeby jakoś z grubsza oszacować twoje *shavi*, ale głównie opierają się na sprawozdaniach

pracowników socjalnych i policji, uzupełnione o bazowe prezentacje tego, co potrafisz robić.

– A jak się miewają twoi rodzice? Ty dalej... ? – Gio zawiesza głos, czując, że zabrnął za daleko.

– Nie ma sprawy, Gio. Co jakiś czas wrzucam ich do Googlea. Jakoś tam sobie przędą. Wciąż są rozwiedzeni. Mama mieszka teraz w Zurychu. Tato jest w Kapsztadzie, wykłada teorię filmu bogatym smarkaczom, którzy interesują się bardziej efektami specjalnymi niż podtekstami.

– Nie wiedziałem, że oni... no tak.

– Na kilka miesięcy przed procesem.

Krępujące milczenie przeciąga się. Rozpędza się, osiąga śmiertelną prędkość i wciąż gna w najlepsze.

– Ale Giovanni mówił, że znowu piszesz – sufleruje mi Maniaczka Piercingu. Jako profesjonalistka w dziedzinie przeprowadzania wywiadów prawdopodobnie nauczyła się wskrzeszać rozmowy, które zdechły. – Jakiś tekst o muzyce. Że dlatego tu dzisiaj przyszedłeś.

– Pracuję nad książką. Biblia trendu łamane przez popowa historia młodzieżowej kultury Jozi. Muzyka, moda, technologia. – Im częściej to mówię, tym bardziej wiarygodnie to brzmi. Może nawet wykonywalnie. Albo i wręcz opłacalnie.

– Masz już wydawcę?

– Wstępnie piszę artykuł do „Credo”. A potem zobaczymy, jak to się potoczy.

– „Credo”? Już coś dla nich robiłam. Są fantastyczni. Zwłaszcza Lindiwe, jest świetna.

– Jest wspaniała – zgadzam się. Jeszcze się nie zżyłam ze swoją przykrywką na tyle, żeby się autentycznie skontaktować z szefową działu zamówień czasopisma, ale odnotowuję ten pomysł na mojej liście rzeczy „do zrobienia”. Tak czy owak, nasze spotkanie toczy się teraz bardziej gładko. Wyjąwszy moment, kiedy przyłapuję Henrygo na obwąchiwaniu futra Leniwca.

Dave nie mówi wiele, ale proponuje, że mi pokaże zdjęcia, i wtedy wybucha kłótnia na temat tego, czy to moralne bankructwo publikować takie koszmarne obrazy. Przelatuję po nich wzrokiem, przewijając je jak najszybciej. Są tak paskudne, jak należało się spodziewać, zrobione z perspektywy śledczych sądowych; mężczyzna został nawet skadrowany w otoczeniu zaszokowanych gapiów, ot, żeby było bardziej nastrojowo.

– Wiadomo, kto to był? – pytam, oddając aparat.

– Włóczęga. Sypiał, gdzie popadnie. Do teraz nie mogą ustalić, jak się nazywał. Mógł być zoolusem, nie są pewni. Zgodzisz się? – pyta, podnosząc aparat.

– Atmosfera i te sprawy.

– Uhu.

– Grupowe zdjęcie! – wydziera się Maniaczka Piercingu i Dave strzela kilka niezdarnie upozowanych fotek, a zaraz potem oddala się w

stronę sceny, bo wreszcie pojawia się na niej zespół, spóźniony o zaledwie półtorej godziny: same dziewczyny, posługujące się językami afrikaans i sotho. Wykonują utwór w stylu glam-punk-elektrorock zatytułowany *Wołanie o pułapkę*.

*Do swojej kryjówki weź mnie, weź mnie  
Będę twoim współnikiem, sumieniem, zenem  
Wpuść mnie, nie pytaj o nic,  
Wpuść mnie, alibi będę twoim.*

– Niezłe są! – przekrzykuje monotony gitarowy łoskot i altowe charkotanie solistki. Leniwiec przysnął, olewając hałas.

– To jest waga lekka! – odkrzykuje Maniaczka Piercingu. – Zaczekaj na Tsotsis!

– Tak? To ci, którzy noszą kominiarki?

– Są genialni! Oczywiście nie wierz w to, że utrzymują swoje tożsamości w całkowitej tajemnicy. Jak Mzekezeke, ten, co też występuje w masce i uprawia *kwaito*. Ale te twoje dzieciaki z ijusi też są w porządku! Mają talent. Tylko że powinny spieprzać z Moja.

– Czemu tak mówisz?

– Zły wpływ!

– Co zły wpływ?

– Za dużo komercji!

– To coś złego? Wsparcie takiego starego



fachmana jak Odi Huron?

– Co?!

– Powiedziałałam, że Odi to fach... – krzyczę głośniej, ale to ginie w tłumaczeniu, zagłuszone przez wrzaskliwy refren:

*Zabij mnie – podnieć mnie!*

*Zabij mnie – podnieć mnie!*

*Zabierz mnie stęęę!!!*

– Właśnie, jest właścicielem „Kontrewolucjonisty”! – odwrzaskuje Maniaczka Piercingu.

A to ci niespodzianka. „Kontrewolucjonista” to aktualnie najmodniejszy klub w Jozi. „Modny do bólu i nowoczesny do krwi ostatniej” według „Oll Magazine”, który według swego Uchometru dał cztery gwiazdki duetowi ijusi za ich hit *Iskra*, twierdząc, że to „piekielnie energetyczny afropop małolatów”.

– Car barów! – wydziera się Maniaczka Piercingu.

Gio klepie ją w ramię i skinieniem głowy wskazuje toalety. Juliette wstaje, i idzie za nim, już wyciągając z przedniej kieszeni džinsów zwitek papieru i pozostawiając mnie sam na sam z Henrym Brzydka Koszula.

– Gio mówił, że jesteś blisko z Songwezą –

wrzeszczę do niego.

– Tak! Dużo się razem włóczyliśmy po mieście!

– Skąd ten czas przeszły?

Henry odkrzykuje coś, co brzmi jak: „Ostryg działa”.

– Możemy wyjść na zewnątrz? Nic nie słyszę.

Na zewnątrz znajdujemy schody pożarowe, już zatarasowane przez palaczy.

– Co mówiłeś?

– Powiedziałem, że Song to spryciara. Na przykład chciała zagrać w tym serialu telewizyjnym, tak? Ale spytali ją, czy umie pływać, bo to miało być o chłopakach z marynarki, i ona im na to, że oczywiście potrafi.

– A nie potrafi?

– Nie potrafiła, czas przeszły. Zasadniczo nauczyła się w weekend. Poszliśmy do klubu i zwyczajnie zanurkowała jak kloc do głębokiego końca. Omal się nie utopiła.

– Dostała rolę?

Kręci głową.

– Skłamała w kwestii wieku. Potrzebowali dziewczyny od osiemnastu lat, żeby mogła zagrać w scenach z seksem. Nie wiem, jakim cudem nie połapali się od razu, że ona ma tylko piętnaście. Niesamowita aparatka.

– Wydajesz się trochę za stary, żeby się włóczyć

z piętnastolatkami.

– Ag, Song włóczyła się ze mną. Poznałem ją na scenie, ona jest zawsze tam, gdzie coś się dzieje. Chodzi do „Carfax” i do „Serif”. Zaprzyjaźnia się z bramkarzami.

– A co jest z tym jej chłopakiem?

– Z którym? Przychodzą i odchodzą. Ta dziewczyna to za duży motyl, żeby się z nią wiązać.

Widzę jednak, że potrafiłam właściwą strunę.

– Nikt specjalny?

– No był Jabu. Ale okazał się totalnym fiutem.

– Ach tak?

– Rzucił ją przez SMS-a. Uwierzyłabyś? Ale to akurat wcale nie było dziwne, poznali się w końcu na odwyku. Godzinami wypłakiwała się na mojej kanapie. Ale znasz Song, wyrzuciła sprawę z systemu, otarła oczęta i poszła dalej.

– Miała potem kogoś na stałe?

– Hmm. Wiem, że się całowała z jakimś perkusistą w zeszłym tygodniu, z tym, no z kapeli Papercut. To skrecz metal. Znasz ten dowcip prawda? Co robi dziewczyna rano ze swoim perkusistą? Bierze go za pałkę. Hej, mogę go potrzymać? – prosi znieńacka, wyciągając rękę do Leniwca.

Widzę, że się skicha, jeśli mu nie pozwolę.

– On gryzie.

– Będę delikatny, obiecuję. Mogę? Chociaż na pięć minut.

– Udostępniam go razem z wyrzeczeniem się odpowiedzialności.

– *Ja*, nie ma sprawy.

Lekko szczypię Leniwca, żeby był grzeczny, i podaję go Henryemu. O dziwo, wtula się w niego radośnie i trąca pyskiem jego kark.

– O ja cię! Ale on jest ciężki!

– Wiem.

– I niesamowicie miękki. Super.

– Też o tym wiem. – Nie ostrzegam go, że Leniwiec przeżuwa kołnierzyk jego ohydnej koszuli.

– Myślisz, że mogła iść w długą razem z tym perkusistą? Albo że Jabu wrócił przypadkiem?

Potrząsa głową.

– Nie, kiedy Song idzie dalej, to idzie dalej. Nigdy nie wybaczy Jabu, nigdy nie przyjmie z powrotem jego skunksowatego tyłka. Mowy nie ma. A perkusista był nie z jej bajki.

– Ktoś jeszcze?

– *Ag*, ostatnio zasadził się na nią bramkarz z „Kontrewolucjonisty”. Ciągłe z sobą tokowali. A gość ma co najmniej trzydziechę. – Przewraca oczami na myśl o takiej degrengoladzie. – Ale niczego nie osiągnął. Song może i jest dziwką, ale nie jest głupia.

– On się jakoś nazywa?

– On? To superciacho? Bicepsy wielkości twojej głowy. Nie wiem, czy dużo pakuje na siłowni, czy

szprycuje się sterydami albo czy jest po prostu wybrykiem natury. Nie przeoczysz go.

– Kiedy ją widziałeś po raz ostatni?

– Jakiś tydzień temu. Była w „Informatorze”. To bar w Newtown.

– Czegoś tu nie rozumiem. Skoro lubi metal i punk, bo kręci się przy scenie rockowej, to w takim razie dlaczego śpiewa w kapeli afropop?

– A ty czemu piszesz tekst do „Credo”? Bo to krok w górę, tak? Dzisiaj „Credo”, jutro na przykład „Dazed and Confused”, czy co tam cię kręci.

– Masz jakąś teorię, dlaczego nie odbiera telefonu? Miewa takie odpały?

– Jak chce z tobą gadać, to odbiera. A z tobą chciałyby pogadać, uwierz mi. Jest głodna rozgłosu.

– Bo rozgłos to krok w górę.

– Jasne. Możesz już go zabrać? – mówi płaczkliwym głosem, wpychając mi w objęcia Leniwca. Wreszcie do niego dotarło, że orientalne wzorki nie pasują do zoo.

Kiedy wracamy do stolika, okazuje się, że Gio i Juliette też już tam są i że miejsce dziewczyn zajął kwartet złożony z młodzieńców w kominiarkach. To mogą być tylko Tsotsis.

– Dobrze się bawisz? – pyta Gio, trzymając usta tuż przy moim uchu, bo Tsotsis drą się jak obdzierani ze skóry: ryzykowny hip-hop *kasi* akrobatycznie czerpiący riffy z folkowego *maskandi*.

– Jest pouczająco – odkrzykuję.  
– Chcesz stąd iść? – Gio obdarza mnie swym najlepszym z niecnych uśmiechów. – Mieszkam siedem i pół minuty stąd.

– Wolałabym, żebyś mnie podrzucił do Zoo City.  
– Uśmiecham się szeroko na widok jego miny. – Nie martw się. Ryzyko, że cię postrzelą, wynosi tylko jeden do trzech. – I w tym momencie oślepia mnie lampa błyskowa, bo znowu pojawia się Dave i robi nam zdjęcia z przybliżenia.

– Powiedzcie „paparazzi” – mówi.

Spotkanie przeobraża się w grupowe wyjście. Wycieczka z przewodnikiem to coś, z czego Dave nie zrezygnuje.

– Często bywasz w Zoo City? – pytam go.

– Nasza redakcja jest w sąsiedztwie. I raz, jakieś siedem lat temu, podwiozłem Lily Nobomvu, bo szła pieszo od swojego dilerka przy Kotze Street – mówi Dave. – Cała posiniaczona, bo jej menedżer ją pobił. Ale sprawiała wrażenie całkiem szczęśliwej. Poprosiła, żebym jej pożyczył sto dolców, kiedy ją dowiozłem do Parktown.

– Tym menedżerem był przypadkiem Odi Huron?

– O właśnie ten. Wszawy sukinsyn, z tego, co mówią. – Dave pochyla się między siedzeniami, żeby móc robić zdjęcia przez przednią szybę; interesują go szczególnie drzewa obwieszane plastikowymi

torebkami na podobieństwo bożonarodzeniowych dekoracji oraz prostytutki przed Joubert Park: pozują mu wdzięcznie pod latarniami, przynajmniej te, które akurat są w pracy.

– Wiesz, że nigdy nie znaleźli jej ciała? Może dalej gdzieś tam jest.

– Lily? Chcesz powiedzieć tak jak Elvis? Wyobrażam ich sobie oboje, jak się włóczą po knajpach dla kierowców przy drodze numer 66 i bawią się w pijackie gry z ufoludkami. – Gio rechocze. – Hej, czy ten cały Odi nie miał przypadkiem baru? Pamiętasz, Zinz? Nazywał się „Bass Station”.

– Pamiętam, że byłam za bardzo napruta, żeby coś zapamiętać z pobytu w „Bass Station”. Tak jak nie pamiętam nic z pobytu w „206” ani „Alcatraz”.

– „Bass Station” zamknęli wieki temu – mówi Dave. – Było włamanie, które źle się skończyło. Kilku ludzi zginęło, jeśli mnie pamięć nie myli. Może dlatego Huron tak długo się nie objawiał.

– Powinniśmy przejść się kiedyś do „Kontrewolucjonisty”. Spodobałoby ci się – wtrąca się Gio.

– Jakieś hipsterskie piekło.

– Może i tak, ale uznałabyś, że to interesujący lokal. Pod względem antropologicznym.

– Skręć w lewo i zatrzymaj się pod Jego Wyznawcami – mówię, wskazując billboard tego

charyzmatycznego kościoła.

– Ty to powinnaś robić – mówi Dave, zniecała bardzo ozywiony. – Dlaczego piszesz o zespołach popowych, skoro mogłabyś pisać o Zoo City od środka?

– Ktoś by to czytał? O wałkach psów i zgubnych nałogach?

– Co to jest walka psów? – wtrąca się Gio.

– Użyj swojej wyobraźni.

– Ja tu widzę kicz i krew, zero ściemniania, futro na ringu, na widowni gangsterzy obwieszeni luksusowymi modelkami.

– Odejmij luksus i kicz, dodaj potężną dawkę nielegalnych substancji i już to masz.

– Do krwi ostatniej?

– Nie, chyba że sprawy przybiorą naprawdę niemiły obrót. Staramy się unikać Cofki, jak to tylko możliwe.

– Chyba niezły pomysł na wieczorny wypad. Najpierw zaliczamy „Kontrewolucjonistę”, potem walki psów.

– Albo nie.

Dave nie odpuszcza.

– Taki materiał od środka. Uliczne sceny, jak tu się mieszka.

– Dave, to jest *kak*. [*kak* (afrikaans) – gównno] Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

– Przemyśl to chociaż.



– To jak, mogę wejść na górę? – pyta Gio, kiedy się zatrzymujemy pod moim blokiem.

– W tej dzielnicy lepiej nie zostawiać samochodu bez opieki.

– Nie ma sprawy, ja zostanę – zgłasza się na ochotnika Dave.

– Możesz mnie doprowadzić do bramki. Jeśli pójdziesz dalej, to nie będę mogła odpowiadać za bezpieczeństwo Dave’a.

Jest tam mała grupka mężczyzn, właściwie nastolatków; siedzą na stopniach Aurum naprzeciwko. Nadmiar czasu i piwa czyni z nich zagrożenie. W oknach bloków zajętych przez skłotersów migoczą świece, bo już dawno temu odcięli tam prąd. Z dziupli, czyli sklepu, w którym sprzedają części kradzionych samochodów, dobiega łomot melodii wygrywanej na basie. Testowanie sprzętu dźwiękowego. W oddali słychać wycie syren, co chwila ktoś strzela. Gio wzdryga się, udaje, że nie słyszy. Docieramy do bramki, odwracam się, żeby go pożegnać. Robi nadąsaną minę.

– To nie zapraszasz mnie na górę?

– Następnym razem. Może.

– Dobrze cię było zobaczyć.

– Było jak dawniej. – Czyli niekoniecznie dobrze.

– To co? W sobotę w „Kontrewolucjoniście”?  
Uznaj, że to też zbieranie materiałów.

– Może jutro?

– Stoi.

Próbuje mnie pocałować. Odsuwam głowę, tak by udaremnić realizację zamiaru.

– Co ty robisz, Giovanni?

– O-ho – mówi. – Ochrzan na całego. Poważna sprawa. Naprawdę nie dasz się odprowadzić na górę? Nie dasz się nawet pocałować?

– Zerwaliśmy z sobą. W nieciekawych okolicznościach.

– Cztery lata temu. Wszystko się zmienia. Ludzie się zmieniają. Ty się zmieniłaś.

– A ty nie. Ani trochę.

– Jeden pocałunek – mówi. – Prędko, zanim mnie zgwałcą i zamordują źli zoolusi.

– Ależ ty jesteś marudny.

Chwytam w garść jego koszulę i przyciskam usta do jego ust. Ma ciepłe wargi. Jest zaskoczony, dlatego reaguje dopiero po upływie milisekundy, a potem całujemy się jak dwoje głodomorów, którzy koniecznie chcą się wzajem pożreć, jak ludzie, którzy dobrze się znają i zarazem ledwie co się poznali. I właśnie wtedy Leniwiec pochyla się i gryzie go w ucho. Gio podnosi wrzask, a gówniarze na schodach przerywają libację, żeby popatrzeć.

– O Jezu! Zabierz go. Kurwa! Aua!

– Leniwiec!

Leniwiec odrywa zęby i ukrywa głowę na moim

karku. Gio chwyta się za zakrwawione ucho i warczy, podnosząc pięść. Przekrzywiam głowę, by cios w razie czego trafił najpierw mnie.

– Masz szczęście, że to roślinożerca – mówię spokojnie.

– Szczęście, ja chrzanię! Ten, kurwa, stwór omal mi, kurwa, nie uchapał, kurwa, ucha! – Dotyka ucha, które jest ledwie skubnięte, i przygląda się smużce krwi na czubkach palców.

– Słysząc, że żyjesz ze słów.

– Nie teraz, Zinzi. Aua. O kurwa! Myślisz, że potrzebuję zastrzyku przeciwko tęźcowi? Będę musiał iść na pogotowie, kurwa!

– Nic ci nie będzie. Dziękuję. To był cudowny wieczór.

– Zaiste wspaniały. Nie, okay, naprawdę tak uważam. Pomijając tego Hannibala Lectera na twoich plecach.

– Do zobaczenia jutro.

Kiedy samochód odjeżdża, ginąc w nocnym mroku, D’Nice odłącza się od grupy po drugiej stronie ulicy i podbiega do mnie, wymachującą butelką po lengolongoli. Jego Werweta ściska go za szyję, żeby nie stracić równowagi.

– Co taka miła, czarna dziewczyna robi z takim *umlungu*? [Pogardliwe określenie przedstawiciela białej rasy, „białas” w języku zuluskim.] – pyta D’Nice.

– Może to mój dawno temu zaginiony mąż –

odszczekuję.

– Aha – mówi D’Nice i widzę w tych zapitych oczkach coś agresywnego i wrednego.

„Credo”, sierpień 2010

## **Był sobie raz na zawsze król...**

*Twórca przebojów z Moja Records ukrywa się przed światem już od prawie dziesięciu lat, a jednak Evanowi Miltonowi udało się go namówić na wywiad, pierwszy od niepamiętnych czasów, podczas którego rozmawiali o nastoletnich wykonawcach muzyki pop, o nowej kulturze klubowej i o comebacku Odiego Hurona.*

„Wierzę w drugą szansę”, mówi Odysseus Huron, siedzący za stołem mikserskim analogowo-cyfrowego studia, urządzonego w przepastnym bunkrze wbudowanym w *koppie* na tyłach jego domu, który stanowi główny ośrodek wszelkich działań Moja Records. Z konieczności tam, jako że słynący z unikania kontaktów Huron w 2001 na dobre zaszył się w swej rozległej posiadłości o nazwie Westcliff.

Niechętnie opowiada o sobie, pewnie dlatego, że ten okres to jego trzecia albo i czwarta próba dotarcia na sam top. Bo mimo że przez czterdzieści lat

tworzenia muzyki prześladowały go problemy i tragedie, ten człowiek jakimś sposobem wciąż się odradza na nowo, niczym – feniks z popiołów. Podchodzi zresztą lekceważąco do swej przeszłości i swego ostatniego powrotu do sławy. „Nie sądzę, by ktokolwiek mógł działać w tym przemyśle bez szwanku dla siebie”, stwierdza z zadumą. „Jedyne, co naprawdę można zrobić, to dobrze się zawczasu uzbroić”.

Każda epoka ma swojego samotniczego, muzycznego geniusza; każdy gatunek muzyki ma swojego zakulisowego twórcę gwiazd, za którym wlecze się zapach kontrowersji. Brian Wilson zniknął na wiele dziesiątków lat, zanim objawił się na nowo ze swoimi *Pet Sounds*, James Brown zawsze kręcił się odrobinę za blisko wymiaru sprawiedliwości i powiedzmy sobie szczerze, że nazwa Death Row Records, wytwórni płytowej z imperium rapu, nie była tak zupełnie przypadkowa. Możemy też pogrzebać na naszym własnym podwórku: gwiazdy świata afrykańskiej muzyki były oskarżane o handel ludźmi, malwersacje i związki z krwawymi diamentami. Albo wspomnijmy Fele Kutiego, nie tylko muzyka, ale i działacza walczącego o prawa człowieka, którego rząd nigeryjski spoliczkował swym rapem o rzekomym handlu walutą.

Mzansi, czyli RPA w tubylczym języku xhosa, ma Odysseusa Hurona, producenta wielu

platynowych płyt, który kryje się za takimi nazwiskami z czołówek list bestsellerów, jak Lily Nobomvu, Detective Wolf oraz Moro, i który otworzył cieszący się złą sławą nocny klub „Bass Station”.

W zamierzchłej przeszłości było tak, że Odi Huron tworzył hity i kreował gwiazdy bez wysiłku. Stanowił element południowoafrykańskiej, nieustannie ewoluującej tkanki kulturowej od czasu mrocznych dni apartheidu, przez tęczową rewolucję, aż do epoki post-Born Free. Jest również człowiekiem, który zniknął niemal całkowicie z życia z towarzyszeniem pogłosek o złym stanie zdrowia i depresji po tragedii w „Bass Station” i śmierci Lily Nobomvu.

Nie jest człowiekiem, z którym łatwo się spotkać, a tym bardziej porozmawiać. W rzeczy samej w Odim Huronie nie ma prawie nic łatwego. Przede wszystkim musiał najpierw skonsultować się z sangomą w kwestii wyznaczenia pomyślnego terminu niniejszego wywiadu. Potem było sprawdzanie referencji, które mogłoby rywalizować ze staraniem się o wizę. I wreszcie trzy tygodnie później James, jego bodyguard i jednocześnie facet do wszystkiego, wprowadza mnie do domu, wręczając mi jednocześnie listę zakazanych stref. „O tych sprawach on nie chce rozmawiać”, przestrzega mnie James.

„Wejdz, wejdz, no kto ty jesteś, czaisz się w tych drzwiach jak jakiś oprych”. Huron niecierpliwym gestem zaprasza mnie do hallu. To taki jego żartobliwy sposób na ustawianie ludzi, na pokazywanie im, gdzie ich miejsce.

Odi mieszka sam w tym przepastnym domu. Zakupy robi przez Internet. Kandydaci na przyszłe sławy przysyłają mu swoje dema pocztą elektroniczną. Od pozostałych spraw jest James.

Dom ma już za sobą dni świetności. Nie jest to pałac Ahmeta Erteguna, pałac magnata muzycznego, arbitra elegancji i dyplomaty w swojej dziedzinie, ale z kolei człowiek, który założył potężne amerykańskie Atlantic Records, nie zaangażował się w epoce apartheidu w przemyt broni do RPA dla walczących działaczy. Przeszłość Odiego jest pstrokata, mówiąc najogólniej.

W latach 80. należał do dosłownie garstki białych producentów (by wspomnieć Gabi le Roux i Roberta Trunza), którzy byli gotowi zaryzykować z czarnoskórymi artystami, mimo że apartheidowy rząd krzywił się na takie „mieszane” projekty. A jednak Odi dostrzegł w czarnych artystach potencjał nie tylko muzyczny, ale również komercyjny. I jak się okazało, było to nad wyraz sprytne posunięcie na drodze do kariery.

Wnętrze domu nie jest ani trochę rockandrollowe. Na brzeżku krzesła przycupnęła



dama w średnim wieku; trzyma torebkę na kolanach i wydaje się wybitnie nie na miejscu pośród tego wystroju z tanecznych lat 70. Wstaje, żeby się ze mną przywitać, mówi, że nazywa się Primrose Luthuli; z trudem dobierając słowa, tłumaczy, że jest prawną opiekunką bliźniąt.

To właśnie z powodu bliźniąt tu jestem. Bliźnięta to inaczej S'busiso i Songweza Radebe, czyli iJusi, czyli najnowszy przebłysk muzycznego geniuszu Odiego, czyli najnowsi odbiorcy platynowej płyty. A poza tym są również przykładem tej „drugiej szansy”, o której mi opowiedział, rodzeństwem obdarzonym wrodzonym talentem, które pierwotnie wzgardziło jego ofertą jako producenta i menedżera, a zamiast tego wolało wziąć udział w Gwiazdozbiorach.

„Totalny śmietnik, uwłaczający prawdziwym artystom”, mówi o programie Odi. I być może ma rację, biorąc pod uwagę coraz to bardziej żenujące występy zwycięzcy konkursu, Sholaine'a Pietersa. Odi nawiązał kontakt z rodzeństwem tuż przed półfinałem i tym razem podpisali kontrakt na trzy płyty.

W całej RPA nie znajdziesz czującej duszy, która by nie słyszała *Iskry-ze* statystyk pobrań wynika, że odzywa się w milionie telefonów komórkowych. Zaraźliwie wpadająca w ucho melodia to jedna rzecz (robak?), ale status gwiazdy

wymaga czegoś więcej i rękę Odiego widać w tak mistrzowskich posunięciach marketingowych, jak sprzedaż utworu do kampanii reklamowej chevroleta spark. Taki szum jest przydatny, ale zapowiada się, że nowy singiel, *Miłość z samochodu*, popchnie ich jeszcze wyżej.

Tymczasem nasi młodzi bohaterowie dokazują w przydomowym basenie, z nieką pomalowaną na ciemny, bezdenny granat, dzięki czemu zachowuje ciepło. S'bu siedzi na brzegu, w podwiniętych szarych spodniach od szkolnego uniformu; czarne, sznurowane buty leżą obok, bose stopy majtają w wodzie. Songweza szaleje w wodzie, z jaskrawozielonymi motylkami przypiętymi do ramion. W wodzie jest raczej entuzjastką niż adeptką; płynie pieskiem w stronę brata, by opryskać tego młodego idola, którego twarz uśmiecha się ze ścian pokojów niezliczonych nastolatek.

Przysłowiowa zmiana na lepsze to jedno, ale zobaczyć zmienionego człowieka to coś innego. Nie ma już tego Odiego, który promował mroczne, emanujące groźbą popisy zespołu Assegai, albo medytacyjne, seksualne podteksty zasilające największe hity Zakesa Tsukudu. Teraz mamy do czynienia z cudownym, rozjarzonym słońcem i dwojgiem dzieci pluskających się w basenie.

– Sooo-ooong, co ty wyprawiasz! – krzyczy S'bu do swojej tryskającej życiem siostry bliźniaczki.

– No weeeejdź! – droczy się z nim Songweza.

S’bu ciska butem w stronę głosu, tego samego głosu, który słychać w narkotycznym refrenie *Iskier*. Song uchyla się. But wpada do wody i tonie bez śladu.

– Tsha! – irytuje się pani Luthuli, z miejsca przystępując do działania. – Kto za to zapłaci?

– Kto powiedział, że nie powinno się pracować z dziećmi ani ze zwierzętami? – ripostuje Huron. – Wystarczy przecież, że mają Prim u swego boku. – Wystawia głowę na zewnątrz i woła: – Ej, wy dwoje, przyjdźcie się przywitać!

Rodzeństwo wchodzi do domu, ociekając wodą, a pani Luthuli biegnie szukać ręczników.

– *Heita* – odzywa się radośnie Songweza. – Mam na imię Song, oboje tworzymy iJusi i będziemy wielcy.

S’bu trąca ją w ramię, wyraźnie zawstydzony.

– Song! Nie przechwalaj się tak.

Song marszczy czoło.

– Dlaczego? Przecież to prawda.

Prawdopodobnie tak.

Niby gwiazdami są bliźnięta, a jednak to show Odiego Hurona, który zaprasza na przechadzkę po ogrodzie, w stronę nowo urządzonego studia, gdzie obiecał mi „potajemny rzut ucha” na nowy singiel iJusi *Miłość z samochodu*.

„iJusi to dla mnie coś więcej niż zespół” – mówi

– to symbol przyszłości. Song i S’bu uosabiają dokładnie to, czym jest wytwórnia Moja Records. A nam nie chodzi o to, by zarabiać nowymi rytmami w kontraktach, nie chodzi o to, by wszystkie smartfony na południe od Sahary pobierały piosenki iJusi. Tu chodzi o coś zupełnie innego. Ludzie mówią, że kiedy bliźnięta śpiewają, to bije od nich blask. Ja twierdzę, że od nas wszystkich powinien bić blask, że od nas wszystkich może bić blask, pod warunkiem że się po prostu skupimy, że się po prostu wyniesiemy ponad to, co nas trzyma przy ziemi”.

Żeby podkreślić sens swojej wypowiedzi, upija łyk witaminizowanej wody. To element jego programu odwykowego. I wielki przeskok od trzech porannych szotów tequili, które stanowiły dzienną normę w czasach, gdy Odi był producentem zespołu Detective Wolf.

Najwyraźniej zdrowy i najwyraźniej wciąż ostry jak brzytwa Odi promieniuje zadowoleniem człowieka odmienionego, a iJusi reprezentuje tę nową muzykę, która być może sprawi, że kolejne dzieło z kuźni talentów o nazwie Moja Records przyćmi znaczące osiągnięcia JumpFisha, który swym genialnym wskrzeszeniem cukierkowego afropopu wdarł się jak huragan na listy przebojów, tak urbanistyczne, jak i poprockowe, oraz Keleketli, z jej diabelsko sprytną fuzją elektropopu i *kwaito*, która zdawała się tętnić na każdym ulicznym rogu w 2004

roku, zanim zespół rozstał się z Moja z powodu „różnic artystycznych”.

I chyba Odi naprawdę zasługuje na odrobinę spokoju po tym wszystkim, przez co przeszedł. „Czyja czegoś żałuję? Psiakrew, oczywiście, że tak”, mówi i dodaje: „Żałuję też, że James nie dał ci jasno do zrozumienia, że o tym nie mam ochoty gadać”.

Naciskam. Ludzie chcą usłyszeć jego wersję całej historii. Ofiary śmiertelne w „Bass Station”. Lily. Ugina się, skubiąc dolną wargę, niezadowolony.

„Musisz zrozumieć. To było rozwydrzone pierwsze dziesięciolecie nowego milenium, a nie te softowe dziewięćdziesiąte, które upływały pod znakiem «każdy śpi z każdym». Przejmowaliśmy się, że ludzie przychodzą, a nie, że ktoś odchodzi”. W tym momencie jego niekonwencjonalny styl bycia zaczyna go zawodzić. „Słuchaj, nie ma dnia, żebym nie myślał o tamtej bramie zamkniętej na kłódkę, nie żałował tego, co się wtedy stało”.

A stało się to, że uzbrojeni rabusie wtargnęli do „Bass Station” w listopadzie 2001 roku, pół godziny po zamknięciu. W owych czasach bar przyciągał spore rzesze, tyle że wtedy była to bardziej podrzędna, bardziej znarkotyzowana klientela niż dwa lata wcześniej, kiedy otworzono go jako najmłodniejszy lokal w mieście.

Kiedy napastnicy nie mogli się dostać do sejfu z opóźnieniem czasowym, odegrali się na menedżerze

lokalu, partnerze biznesowym Jayanie Kurianie i na barmanie Preciousie Ncobo, który pomagał mu zamknąć lokal. Obaj próbowali uciec przez wyjście awaryjne, ale w związku z naruszeniem przepisów brama nie chciała się otworzyć. Zostali zastrzeleni z zimną krwią.

„Straszny szok. Jak mogli ot tak się włamać, jak mogli zrobić coś takiego? I to właśnie mi? Straciłem poczucie bezpieczeństwa. Nie umiałem sobie z tym poradzić. Po prostu rzuciłem to wszystko. Odszedłem. Odszedłem z biznesu. Skończyłem z nim”. Patrzy na stół mikserski w studiu, na odbicie własnej twarzy w dźwiękoszczelnym szkłe. „Lekarze zdiagnozowali zespół stresu pourazowego”.

Odi praktycznie z dnia na dzień zniknął ze sceny muzycznej i usunął się z życia towarzyskiego. Zamknął się w domu, gdzie powoli osuwał się w spiralę depresji i chorób. Krążyły pogłoski, że to rak albo nawet AIDS. Na zdjęciach z tamtych czasów, zrobionych w jego studiu razem ze świeżo wylansowaną Lily Nobomvu, bez wątpienia widać człowieka, który się marnuje.

„Lily była moim aniołem, zbawieniem”, mówi Huron. To tajemnica poliszynela, że muzyczna strona biznesu Odiego waliła się od połowy lat 90. „Klub za bardzo rozpraszał. Scena Hillbrow zrobiła się brutalna. Gangsterzy, narkotyki, handel bronią – do tego scena gejowska i wszechobecny seks. Straciłem

ostrość spojrzenia. Muzyka ucierpiała”.

Lily była punktem zwrotnym dla Odiego. Po dwóch latach „obijania się tutaj bez celu, wiecznego uzalania się nad sobą”, przeobraził się i przyjął nową „mantrę życiową” – własną filozofię życia. „Podjąłem decyzję: Zero ingerencji. Zero prochów. Zero alkoholu. Czyste życie”, mówi Odi. „Tylko dobra muzyka, która będzie docierała do ludzi, która będzie dotykała ich dusz”, ciągnie, przykładając sobie dłoń do tyłu głowy. „Ludzie chcą czegoś, co zostaje na zawsze. Szukają czegoś duchowego. Są tego głodni”.

Z pomocą swoich łowców talentów odkrył kogoś, kto mógł zaspokoić ten głód. Liii Nobomvu, samotna matka i członkini chóru kościelnego z gminy Alexandra, zadebiutowała w lutym 2003 roku *Do serca królestwa*, zgrabnie skomponowanym, wpadającym w ucho singlem, nienadawanym zbyt często przez radio, ale który dobrze się sprzedawał na płytach CD prosto z bagażników samochodowych. Odi uparcie promował muzykę gospel, w czasach, gdy na listach przebojów królowało *kwaito*.

Po tym, jak Brenda Fassie zmarła w wyniku przedawkowania w 2004 roku, uczynił z Lily czystą alternatywę dla tego prędkiego życia wypełnionego seksem, narkotykami i dyskotekowymi rytmami, które zabiło „Madonnę małych miast”. Po miesiącu Lily zdobyła platynową płytę.

Ale 18 czerwca 2006 roku, dwa lata i dwie płyty później, Lily zjechała samochodem z mostu. Miała zaledwie trzydzieści lat. Dopiero potem rozeszły się pogłoski o depresji. „Co ja ci mogę powiedzieć?”, mówi Huron. „Przeżyliśmy wstrząs. Nie dlatego, że nie wiedzieliśmy; my tylko nie wiedzieliśmy, jak bardzo jest źle. Ten przemysł pożera swe ofiary na różne sposoby”.

Dziewiętnastoletnia obecnie córka Lily, Asonle Nobomvu, ostatnio zatrudniona jako świeży talent do Lady B, marki odzieżowej inspirowanej hip hopem, uważa inaczej. „[Huron] za dużo od niej wymagał”, powiedziała w ostatnim wywiadzie dla „Sunday Timesa”. „Rozpaczliwie chciał, żeby stała się drugą Brendą, tylko jak ona mogła z tym żyć?”

Osierocona córka to nie jedyny krytyk Odiego. Moro, który w 2007 roku zdezerterował do Sony BMG, nie szczędził słów krytyki, kiedy pytano go o człowieka, którego dawniej nazywał swoim mentorem. „Ten facet ma kolosalne wymagania. Nie odpuszcza, dniem i nocą wysiadujesz w studiu nagraniowym, a on i tak nie przestaje cię żyłować. To jego obsesja. I niby że teraz siedzi na okrągło w tym wielkim, starym domu, sam jak palec, zdycha i targa prochy? Ja to mówię, że on powinien się otrząsnąć, zacząć żyć normalnie”.

Odi szydzi z tej rady. „A myślisz, że co ja robię?” I fakt, wszystko idzie po myśli dawnego i



przyszłego twórcy hitów. Tajemnicza choroba najwyraźniej jest w remisji i to mu pozwala planować wielkie rzeczy dla rodzeństwa. „Będą więksi od Michaela Jacksona!”

W ramach swojego comebacku właśnie otworzył nowy klub, „Kontrrewolucjonista”. Tak to się odbyło, że nawet nie obejrzał lokum, ale prędko wskazuje, że osobiście zatwierdził plany sporządzone przez architektów i podpisywał się pod wszystkimi decyzjami, w tym nawet „Jakie sfluczki do którego kibla”.

O dziwo, nowy lokal już przyciąga prasę ze względu na kontrowersyjną decyzję zatrudnienia zanimalizowanych tancerek. Odi uśmiecha się szeroko, kiedy opowiada o trzech różnych grupach zaniepokojonych obywateli, które protestowały przed klubem, nakłaniały do podpisywania petycji na Facebooku i zalewały skargami redakcje gazet. Pomysł jest prowokacyjny, ale przecież „każdy zasługuje na drugą szansę”, by zacytować wyzywające stwierdzenie Odiego.

Podjął jeszcze jedną ważną decyzję: dwa razy w tygodniu przyjmuje u siebie psychiatrę pomagającego mu uporać się z tym wyniszczającym lękiem, który przez długie lata skazywał go na życie w odosobnieniu. „Daj nam kilka miesięcy na wymyślenie właściwego lekarstwa, a wtedy, kto wie, może spotkamy się w dyskotecce”.

„Jesteś gotów posłuchać?”, pyta, zwracając się w stronę stołu mikerskiego. Zwiększa głośność i uruchamia plik zatytułowany „Miłość”.

To nadzwyczaj rytmiczna piosenka, która wpada w ucho, świeża, kipiąca życiem, z ukłonami w stronę brudnych, grunge’owo-hiphopowych rytmów w refrenie. Songweza ma rację. Będą wielcy. Odi również, po raz kolejny.

*IJusi to główna gwiazda koncertu „Jednocz się, Mzansi!”, organizowanego w sobotę, z udziałem takich wykonawców, jak HHP, Joz’11 (z Da Lesem, Ishmaelem i Tashą Baxter), Lira, PondoLectro oraz sensacja R&B/pop JonJon (z Mandozą i Dannym K). Imprezę prowadzą didżeje Chillbite, Tzozo, Jullian Gomes i MP6-60. Na bocznej scenie Zjednoczony Świat wystąpią Mix in Blend, Krushed n’ Sorted, Animal Chin, Spoek Mathambo, Dank oraz HoneyB.*

*(Grand Parade Fan Park, otwarcie imprezy o 16. 00, rozpoczęcie koncertu o 19. 00, bilety – WebTickets. co. za)*

Mój nowy samochód to ford capri rocznik 78 koloru spalonej pomarańczy, w niezłym stanie, jeśli nie liczyć kilku plam rdzy i paskudnej rysy na drzwiach od strony pasażera. Nie tylko on jest z lekka zardzewiały. Od trzech lat nie siadałam za kółkiem i samochód w moich rękach zachowuje się jak wózek sklepowy na Rohypnolu.

Ochroniarz Hurona, James, wręczył mi kluczyki bez słowa. Nie raczył odpowiedzieć, kiedy spytałam o zapasowe. Nie było go pod ręką, kiedy pięć razy próbowałam uruchomić silnik i za każdym razem towarzyszyło temu najpierw zduszone rżenie, potem napad płucia i wreszcie chorobliwy ryk.

**PRZYSTAŃ** to ośrodek, który może się pochwalić 22-letnim doświadczeniem w dziedzinie leczenia uzależnień i innych zaburzeń kompulsyjnych, w którym nasi specjaliści wykorzystują podejście interdyscyplinarne uwzględniające m. in. terapię indywidualną, program 12 kroków oraz terapię poznawczo-behawioralną.

Ośrodek mieści się w spokojnej i odosobnionej wiejskiej posiadłości w pobliżu jaskiń zwanych Kolebką Ludzkości; stworzone w nim bezpieczne i przyjazne środowisko pomaga pacjentom na nowo

*poczuć się sobą.*

Wyruszam w drogę, kierując się na tamę Hartbeespoort, ulubiony cel weekendowych, wodniackich wypadów dla mieszczuchów ze stałego ładu. Beładnie rozlana zabudowa miejska rzędzie w miarę pogarszania się stanu drogi; skupiska domków do samodzielnego montażu, centra handlowe oraz kasyna urządzone na pseudowłoską modłę ustępują miejsca pensjonatom, stajniom, fabrykom mebli z kutego żelaza i wiejskim restauracjom. Handlarze sprzedający gigantyczne plastikowe młotki, względnie naiwne tanzańskie obrazy przedstawiające liście bananowca oraz faceci rozdający ulotki reklamujące nowe kompleksy mieszkaniowe są tym bardziej natrętni, im bardziej wydłużają się przestrzenie między kolejnymi światłami. Jakiś posiwiasty MacGyver siedzi pod pochylnią z zardzewiałego żelaza, skręcając papierosa i wypatrując klientów, których miałby przyciągnąć namalowany ręcznie szyld reklamujący rury wydechowe. Przydrożna knajpka chwali się, że jest **KOLEBKĄ PRAWDZIWEGO PLACKA Z KURCZAKIEM!** Potem cywilizacja zostaje gdzieś w tyle. Droga zwęża się do pojedynczego pasa i otwiera na pożółkłe, zapyłone łąki oraz farmy zabezpieczone kordonami z elektrycznych płotów pod jadowicie niebieskim niebem pełnym puchatych cumulusów,

które zwiastują popołudniową burzę.

O mały włos, a byłabym przeoczyła zjazd do Przystani, mimo bardzo szczegółowych wskazówek, których mi udzielono, kiedy tam zadzwoniłam i nałgałam, że zbieram materiały potrzebne do artykułu dla czasopisma „Mach”, poświęconego odwykowemu safari.

„Kiedy pani zobaczy znak parku lwów, proszę skrócić w prawo, w bitą drogę. Zobaczy pani nasz znak”, powiedział mi ciepłym głosem tamtejszy recepcjonista. Gdyby jeszcze nazwa ośrodka nie została umieszczona na dyskretnym słupku, wśród dziewięciu innych, równie dyskretnie wypisanych nazw opatrzonych strzałkami, wśród których znajduje Chatę Myśliwską Shongolo, Spa Moyo, Country Hotel Vulindlela oraz Majątek „Park Traw”.

Zawracam (dwukrotnie) i wreszcie zauważam właściwy drogowskaz; chwilę później zatrzymuję się przy onieśmielającej, czarnej bramie ujętej w ramę z drutu pod napięciem. Naciskam przycisk interkomu i podaję swoje nazwisko. Brama rozsuwa się – czarymary. Wjeżdżam na podjazd swoim capri, które zachowuje się teraz jak nosorożec na rolkach szykujący się do walki. Kompensuję to dodaniem gazu; samochód wznieca tumany pyłu, kiedy tak ścina zakręty i pruje obok jakiegoś zagajnika, połyskującego niebiesko klina tamy i kormoranów w trzcinach.

Pokonuję ostatni zakręt i widzę przed sobą wielkie, wiejskie domostwo. Przystań to przykład nowoczesności połączonej z rustykalną elegancją: stajnie i spichlerze przerobiono na budynki mieszkalne, sądząc po równych szeregach okien obrzeżonych słonecznymi, żółtymi zasłonkami. Od frontu założono ogród aloesowy, w którym w tej chwili pracuje dwudziestokilkuletnia dziewczyna w dżinsowym kombinezonie, z włosami ułożonymi w zawadiackie skręty. Podnosi wzrok, osłaniając oczy przed porannym słońcem, i machnięciem ręki każe mi jechać w stronę samotnej akacji i rzędu białych kresek namalowanych na żwirze, które wyznaczają parking dla gości. Zatrzymuję się między bentleyem w kolorze brytyjskiej wyścigowej zieleni oraz białym minivanem z przyciemnianymi szybami i napisem „Przystań” naklejonym na boku.

Kiedy idę z chrzęstem przez podjazd, dziewczyna grawituje w stronę Leniwca, z kawałkiem aloesu w wyciągniętej dłoni.

– Cześć, maluszku – mówi dziecięcym głosem. – Och, jaki on słodki.

Leniwiec pochyła się, żeby powąchać liść aloesu. Gryzie na próbę, dorabiając się mlecznej kropli na gardle, i marszczy nos, bo to gorzkie.

– Aloes dobrze działa na skórę – tłumaczy dziewczyna. – Tam za domem hodujemy też miejscowe zioła i organiczne warzywa.

– Żadnego kiosku z cheeseburgerami?

Dziewczyna pohamowuje złośliwy uśmiezek. Jej zaginione rzeczy przypominają aureolę z puchu dmuchawca.

– Jesteś pensjonariuszką czy gapiem? – pyta.

– Gapiem – odpowiadam bez wahania. – A ty?

– Jestem klawiszem. A w każdym razie członkiem personelu. Byłam kiedyś pensjonariuszką. Recydywa. Przesłania przeciwko własnemu ciału. Anoreksja, heroina i znowu anoreksja.

Byłabym zdziwiona jej szczerością, ale uzależnieni już tak mają. Otwierają się pod wpływem programu dwunastu kroków i potem już nie potrafią się zamknąć.

– Powinniście hodować kaktus *hoodia* – sugeruję. – Nie jest to zdrowszy sposób na pohamowanie łaknienia?

– Znacznie bardziej naturalny – zgadza się Przesadnie Otwarta Dziewczyna. – Ale jakoś nigdy nie uznałam tego argumentu. No bo przecież jad żmii też jest naturalny. Umieranie na chorobę dziąseł po trzydziestce jest naturalne. Wiesz, dlaczego Hotentoci stosowali *hoodia*? Żeby móc udawać przed sobą, że wcale nie umierają z głodu. Jak to się ma do ćpunów?

– Interesująca teoria. – Wypytyuję ją dalej, żeby sprawdzić, co z tego wyjdzie: – To dobry ośrodek?

– Jest okay. Nastawiony na rozpuszczonych

bogatyh gówniarzy i megalomanów, ale na czym to polega, zrozumiesz, dopiero gdy znajdziesz się po drugiej stronie. Przynajmniej jedzenie jest dobre. Organiczne. Masz może papierosa?

– Sorry, zazwyczaj sępię. Jest tu ktoś interesujący?

– Pytasz o megalomanów? Jest gwiazda brytyjskiego Big Brothera, ta Pakistanka. Melanie... jakaś tam. Jest przemiła, autentycznie. Zupełnie nie taka, jak by się człowiek spodziewał. Twierdzi, że to oni przy montażu programu postarali się, żeby z niej zrobić modelową sukę. Hmm. I jest jeszcze syn jakiegoś ważnego polityka. Ministra od parkingów, czy kogoś takiego. Niektórzy ludzie po prostu odsiadują tu wyrok, wiesz?

– Ty też tylko odsiadujesz wyrok?

– Jasne. Tak już zapisane w gwiazdach, prawda? Zabawne, bo kiedyś dużo się zajmowałam astrologią. Widywałam się raz w miesiącu z jedną kobietą, czasami dwa razy. Była fajna, mimo że połowę to chyba zmyślała. Ale naprawdę chciałam wierzyć, że istnieją magiczne ciała niebieskie, które pokierują moim życiem, powiedzą mi, co robić, ale jak się okazuje, to nie gwiazdy, tylko kawałki popieprzonego DNA. Jestem po prostu mięsem z wadliwym oprogramowaniem.

– Dlatego postanowiłaś utknać tutaj?

– Widzisz bramę, przez którą tu wjechałaś? Jest



jak drzwi obrotowe. Kiedy wychodzisz, to wracasz. Może ci to zabrać lata, może zabrać godziny. To nieuchronne. Mówią ci te różne rzeczy o zachowaniu poznawczym, przełamaniu schematu i uważaniu na to, co się robi. A tak naprawdę to słyszę tylko, że nie istnieje coś takiego jak wolna wola.

– Dają ci tu popalić?

Wzrusza ramionami.

– Raz bardziej, raz mniej.

– Mam znajomego, który tu był. Znasz S’bu? On w ogóle nie chce o tym rozmawiać.

– S’bu Radebe? Był kochany. I strasznie nieśmiały. Naprawdę wiele przeszedł. Chłopak z zadupia. Moim zdaniem to w ogóle nie miało sensu, że tu trafił, to po pierwsze, nawet Veronica to stwierdziła, a musiał słuchać wynurzeń tych wszystkich hardcoreowych ćpunów o szambie, w które wleźli, o tym, jak się prostytuowali, o tym, jak porzucali własne dzieci...

Jak zabijali własnych braci, dodaję do tej listy, ale tylko w głowie.

– Nie powinien się tutaj znaleźć? – to pada z moich ust.

– *Ag*, no wiesz. Problemy są jak chwasty. Każdy je ma. Możesz je wyrywać, możesz je zatruwać, a i tak w końcu odrastają. S’bu jest za bardzo wrażliwy na ten świat. Musi po prostu trochę stwardnieć i będzie z nim dobrze. Ale jego siostra? Ta to była

wariatka.

– Chyba jak my wszyscy?

– Ona i jej chłopak. *Hei wena*. [Hej, ty! (po zulusku)]

– Mówisz o Jabu?

– Przepraszam! Halo! Mogę w czymś pomóc?

Rozpoznaję ciepły, profesjonalny głos, z którym rozmawiałam przez telefon.

– Chciałabym jeszcze z tobą porozmawiać – mówię do dziewczyny, kiedy krzepki mężczyzna w kraciastej koszuli rusza w naszą stronę. Ma nadzwyczaj szczery uśmiech. – Pogadamy później?

– Wątpię. Pensjonariusze mają wycieczkę i ja ich wiozę. – Posyła Leniwcowi całusa. – Pa, cudeńko!

Recepcjonista prowadzi mnie do chłodnego wnętrza domu. Ten, kto go urządzał, ma niezły gust, jeśli idzie o sztukę, czy raczej psychodelia. Drewniana podłoga w hallu recepcyjnym została nakryta ręcznie tkanym, radosnym kilimem, pomarańczowo-czerwono-niebieskim. Nad biurkiem recepcjonisty, hotelowym pod względem stylu, wisi obrazek wykonany w technikolorze; przedstawia kwiaty z obłąkańczo uśmiechniętymi buziami.

Przed biurkiem zaparkowano dwie kremowo-złote walizki z logo Louisa Vuittona; na ogromnej kanapie pod ścianą siedzi chłopak, który raz po raz wzdycha dramatycznie, zmienia pozycję i dynda niecierpliwie stopą.

– Zaraz do ciebie przyjdę – mówi mój

przewodnik w stronę chłopaka, prowadząc mnie w głąb korytarza, do biura oznakowanego tabliczką „DR VERONIQUE AUERBACH – DYREKTOR ADMINISTRACYJNY”. Pod spodem wisi druga tabliczka z przestrożą: „PROSZĘ PUKAĆ”.

Mężczyzna ignoruje nakaz, otwiera drzwi, za którymi ukazuje się rzeczona doktor Auerbach; siedzi na parapecie wykuszowego okna z widokiem na ogród i czyta jakieś czasopismo.

– O, dobrze – mówi, wsuwając buty, i wstaje, żeby się ze mną przywitać.

Widzę przelotnie okładkę czasopisma. „Podwójna diagnoza zdrowia psychicznego i uzależnień od substancji psychoaktywnych”. Rzut oka na półkę z książkami wbudowaną w podstawę okna pozwala dostrzec podobnie powalające naukowe tytuły. Widzę też ciężkie, drewniane biurko zawałone papierzyskami i teczkami; po części przykrywają płaskiego, srebrnego laptopa na samym środku, przywodzącego na myśl oko cyklonu. Nad biurkiem wisi obraz przedstawiający płonąca chatę zuluską, z fallicznym korzeniem wrośniętym głęboko w ziemię i postaciami wijącymi się w środku w boleściach.

– Ciężka lektura – zauważam, kiedy potrząsa moją dłoń. Ma uścisk jak zawodowy golfista, niby luźny, ale całkowicie panujący nad sytuacją.

– Praca domowa – mówi w odpowiedzi, ze

swobodnym uśmiechem, od którego dostaje zmarszczek wokół oczu. Jest niska, zaledwie pięć stóp na obcasach, ale ma ostro zarysowany podbródek i równie ostre, zaciekawione spojrzenie – widać, że chętnie zagląda w nie swoje sprawy. Jest ostrzyżona na krótko i ufarbowana w pasemka, rdza przepleciona szarością. Odnoszę wrażenie, że lubi kupować dzieła sztuki. Przez te buty od Mary Janes, niebieskie z żartobliwymi detalami – fioletowe i czerwone kwiatki na paskach. – Oczywiście to ja jestem Veronique. Cieszę się, że pani przyjechała.

Jakbym to ja robiła jej przysługę.

– Dzięki za wyznaczenie mi spotkania w tak krótkim czasie.

– Tytuł przyciąga uwagę. Odwykowe safari. Brzmi tak luksusowo.

– To ma być wyłącznie o uzależnieniach.

– Mandla Langa – mówi, zauważając, że się zainteresowałam płonąca chatą. – Jego wczesne prace były związane z wątkiem obrzezania. W swojej sztuce opowiada o kulturze i tradycji, o rytuale przejścia, o tym, jak trudno być człowiekiem. I o byciu okaleczonym.

– To ma coś wspólnego z waszymi klientami?

– My tutaj nazywamy ich pacjentami. Ale owszem, z niektórymi chyba tak. Chodźmy, oprowadzę panią. – Cała tryska entuzjazmem. – Zacznę od tego, że od piętnastu do dwudziestu

procent naszych pacjentów to obcokrajowcy – ciągnie, a ja, jak przystało na dobrą dziennikarkę, sumiennie to notuję. – Wielu pochodzi z Wielkiej Brytanii. To ostatnia deska ratunku dla rodzin, które stosują to staroświeckie podejście: „Stwarza kłopoty? No to wysłać go do kolonii!”. Ale mamy też ludzi z Nigerii, Angoli, Zimbabwe. Na przykład Naisenya, ta młoda kobieta, z którą pani rozmawiała na zewnątrz, to Kenijka. Przeważnie należy to tłumaczyć kwestią pieniędzy. Trzy miesiące u nas kosztują tyle samo co tydzień w podobnym ośrodku w UK.

Otwiera drzwi do przestronnego hallu z krzesłami ustawionymi w luźny łuk, naprzeciwko ogromnego kominka z otwartym paleniskiem – jest tak duży, że dałoby się w nim piec dzieci. Nad nim wisi podświetlany kaseton z pleksi z namalowanym naiwnym obrazkiem przedstawiającym zawadiackiego, eleganckiego diabła rozwalonego w fotelu i palącego fajkę. Na przeciwległej ścianie wisi litografia przedstawiająca kozła z pochylonym łbem i łańcuchem na karku.

– Między diabłem a kozłem ofiarnym? – mówię.  
– To tylko sztuka, pani December – odpowiada pani doktor, dając do zrozumienia coś zupełnie przeciwnego. – My tutaj zajmujemy się przede wszystkim analizowaniem mechanizmów wyparcia u pacjentów i odbieraniem im alibi, dzięki którym pozwalają sobie na potknięcia.

– Słowem posyłacie ich grzechy do dziczy, żeby tam umierały – To oczywiście jedna z teorii tłumaczących, dlaczego animalizuje się ludzi – mówi.

– Ta mi się nigdy nie podobała. Co innego teoria toksycznej reinkarnacji.

– Tej chyba nie znam.

– Ta dotyczy tu i teraz. Globalne ocieplenie, zanieczyszczenie środowiska, toksyny, BPA z plastiku przeciekające do środowiska naruszyły wspólnie królestwo ducha, czy jakkolwiek chce pani to nazwać, więc jeśli ktoś jest hinduistą i doznaje jakiejś straszliwej traumy, to część jego ducha odłącza się i powraca jako zwierzę, w które ten ktoś miał zostać inkarnowany.

– A co pani o tym myśli?

Widzę, że pani doktor stoi znieruchomiała, żeby móc jak najlepiej mnie psychoanalizować.

– Sesja terapeutyczna jako darmowy dodatek do wycieczki?

– Przepraszam, to nawyk. Już przestaję. – Podnosi ręce w geście pokonania. – Zdaje się rozmawialiśmy o sztuce? Ta lampa to dzieło Conrada Botesa i Brett Murraya. Kozła ofiarnego namalowała Louisa Betteridge.

– To zdecydowanie wyższa liga w porównaniu z odwykiem, na którym ja byłam. Tam jedyną sztuką były graffiti na ścianach toalet.

– Przechodziła pani odwyk w więzieniu? Zawsze chciałam opracować program dla więźniów. Musi pani wiedzieć, że prowadzimy zewnętrzny projekt w dzielnicy Hillbrow i dobrze nam idzie. Dużo aposymbiontów. Powinna tam pani wpaść.

– Może to zrobię. – Uśmiecham się blado, by dać jasno do zrozumienia, że dojdzie do tego, jeśli piekło stanie się kurortem wakacyjnym dla rodzin. – Taki sam dii?

– Ta sama taktyka, inna strategia. Tu nie chodzi o złamaną nogę, to długotrwała rekonwalescencja. Nie chce pani przypadkiem napisać czegoś na ten temat? Narobić wrzawy? Mamy kilku sponsorów zaangażowanych w nasz projekt w Hillbrow, ale to trudna sprawa.

– Niestety, to nie do końca pasuje do tematu. Ale może kiedyś się tym zajmę.

– Rozumiem. Chodźmy, pokażę pani pokoje.

Przechodzimy przez dziedziniec, po którym pałęta się grupka opętańczo pięknych chłopców; palą papierosy i gadają o niczym. Spory odsetek seksownie wysokich kości policzkowych *per capita*.

– Widać, że goście tu wielu męskich modeli – mówię, kiedy wchodzimy na piętro z sypialniami. Dwuosobowe pokoje, jasne, wesołe i bogate w osobiste szczegóły.

– Mamy też muzyków. Didżejów. Dziennikarzy. Ludzi reklamy. Istnieją takie style życia, w których

zachowania o podwyższonym ryzyku są endemiczne dla kultury.

– Jakieś znane nazwiska?

– Wyznajemy politykę prywatności i traktujemy ją bardzo poważnie, pani December. Mam nadzieję, że pani nie poluje na skandal związany z jakimś celebrytą. Uznałam, że nie jest pani dziennikarką z tabloidu.

Niestety, dziennikarka z tabloidu to oczko wyżej od tego, kim naprawdę jestem.

Postanawiam nie pytać jej wprost o Song ani S’bu. Zamiast tego pokazuję jej zawartość zwiniętej chusteczki – zasuszone zioła, które znalazłam w łazience Song.

– Umiałaby pani powiedzieć, co to takiego?

Bierze szczyptę w palce i wacha.

– Nie jestem ekspertem od ziół, ale domyślałam się, że to afrykańska bylica. Jest powszechnie stosowana przy oczyszczaniu, zarówno w naturopatii, jak i w tradycyjnych rytuałach oczyszczania. Wśród naszych pacjentów zdarzają się zwolennicy bardziej alternatywnych metod leczenia.

– Ale pani ich nie aprobuje?

– Lubię porządną, staromodną medycynę. Metadon to bardzo skuteczny lek. Niemniej jednak sporo specyfików jest opartych na ziołach. Nie należy też gardzić efektem placebo.

– A magia?



– Nie przeprowadzono dostatecznej liczby badań, aby mnie uwolnić od wątpliwości co do skuteczności zaklęć.

Zmieniam taktykę, starając się dojść do celu określonymi drogami.

– Więc jakie są wyzwania?

– Z pacjentami z innych krajów? Niekiedy bariery językowe. Pokusy związane z kursem wymiany walut. W Johannesburgu narkotyki kupuje się bardzo łatwo i bardzo tanio. Oczywiście nie tutaj. Problem rodzi się później, podczas trzeciego etapu, w zewnętrznym świecie, kiedy się mieszka w ośrodku przejściowym.

– A co z romansami? – poluję.

– Pyta pani o uzależnienie od seksu?

– Pytam raczej o związki.

– Są czymś absolutnie nie na miejscu. Staramy się je odradzać. Mówię to, ponieważ często jest to szukanie substytutu odlotu, jakiegoś innego punktu zaczepienia, co ostatecznie nie pomaga pacjentowi.

– Ale zdarza się.

– Kwitnie jak chwasty na łące. To bardzo ciężki okres. Niektórzy pacjenci budują intensywne więzi, które nie są w stanie przetrwać świeżego powietrza realnego świata. Pani wyszła z nałogu, więc powinna to wiedzieć. Ludzie potrafią manipulować. Z czasem wzajemnie sobie ułatwiają powrót do dawnych nawyków. I nawet jeśli tego nie robią, większość

takich związków nie jest w stanie przetrwać w zewnętrznym świecie.

– Jest jakaś szansa, że mogłabym pogadać z którymś z waszych klien... hm, pacjentów? Na przykład z Naisenayą?

– Z przyjemnością umówię panią na kilka rozmów. Jeśli zechce mi pani zostawić wizytówkę. – Wyciąga rękę.

Udaje, że szukam w portfelu.

– No tak. Właśnie mi się skończyły.

Home»Południowoafrykański Portal  
 Psychologiczny»Terapia aposymbiotyzmu +  
 materiały»Wchłonięcie przez osobisty cień  
 Maski egzystencji: Demistyfikacja zjawiska  
 wchłonięcia przez osobisty cień

## ABSTRAKT

Niniejszy artykuł to wprowadzenie w temat różnych metod terapeutycznych stosowanych w odniesieniu do osobników aposymbiontycznych, u których stwierdzono objawy urazu psychicznego związanego z lękiem przed zjawiskiem znanym w psychologii jako wchłonięcie przez osobisty cień, a nazywanego potocznie Cofką.

Wśród terapeutów, zarówno tych z organizacji religijnych, jak i świeckich, zdarzają się tacy, którzy pracują z osobnikami aposymbiontycznymi, a jednak psychologowie jako tacy niesłusznie lekceważą zjawisko nieustającej, religijnej stygmatyzacji aposymbiontów tak w społeczeństwie, jak i w samej wspólnotce terapeutycznej. Terapeuci, którzy sami, albo milcząco, albo (w rzadkich przypadkach) jawnie, podpisują się pod przekonaniem, że aposymbionci to ludzie „zanimalizowani” albo „zoolusi”, że wchłonięcie przez osobisty cień to „Piekielna Cofka” albo „Czarny Sąd”, utrwalają ową

stygmatyzację i bardzo często nie dostrzegają tej nad wyraz realnej traumy, jakiej doświadczają aposymbionci, przez całe życie spodziewający się wchłonięcia przez osobisty cień.

Owa trauma, najczęściej doświadczana w formie nieodpartego i nasilającego się systematycznie poczucia, że ulegają wymazaniu z egzystencji, powszechnie przejawiającego się jako silna obsesja na punkcie autodestrukcji, która z kolei manifestuje się w postaci skrajnego hedonizmu i zachowań przestępczych względnie traktowania autodestrukcji jako fetyszu seksualnego, czego przykładem mogą być dobrze udokumentowane bachanalia uprawiane przez takie ugrupowania jak Krew za Odcięcie, które masowo odstrzeliwują swoje zwierzęta, aby aktywnie przywołać śmiertelny strach przemieszany z uniesieniem wobec perspektywy wchłonięcia przez osobisty cień.

O ile sensacyjne aspekty zwierzęcego seksu i śmierci prowokują media do coraz częstszego opisywania egzotyczności „zoolusów”, o tyle społeczeństwo przeważnie lekceważy prawdziwe znaczenie tych aktów: ten desperacki krzyk aposymbiontów, którzy pragną przejąć kontrolę nad swoją egzystencją, zamiast czekać, aż ich poprowadzą jak przysłowiowe owce, kaczki albo lamy na boską rzeź.

Lekarze psychiatrzy są obowiązani wziąć pod

uwagę takie wołanie i zmienić swoje nastawienie na rzecz bardziej obiektywnego, empatycznego i naukowego zrozumienia zjawiska wchłonięcia przez osobisty cień, rozumienia, które ostatecznie da początek bardziej skutecznym formom terapii.

Aktualna myśl naukowa zazwyczaj pojmuje „Cofkę” jako nagłą manifestację nieistnienia, psychiczny ekwiwalent ciemnej materii, który w rzeczy samej stanowi kontrapunkt i zarazem kamień węgielny istoty egzystencji. Proces wchłonięcia przez osobisty cień jest w istocie tak integralną częścią życia, jakim je znamy, że fizyk Nareem Jazaar w swojej książce *Ciemna materia, Czarny Sąd* (2005) stwierdza: „gdyby we wszechświecie znaleziono inteligentne życie, nie można by sobie wyobrazić takiego społeczeństwa bez jakiejś formy Cofki”.

Ta odmiana rozumienia „Cofki”, nie jako boskiego sądu, tylko raczej jako niezbędnego elementu tkanki fizycznego wszechświata, może służyć jedynie uwolnieniu osobników aposymbiotycznych od wielkiego brzemienia poczucia winy, które zdarza im się dźwigać.

Van Meer oraz Reeves i in. (2002) w rzeczy samej dokumentują ogromne różnice w funkcjach behawioralnych między religijnymi i świeckimi ugrupowaniami aposymbiotycznymi oraz ich reakcjach na terapię. Podczas ich dwuletnich badań wyżej wymienione ugrupowanie religijne wykazało

się znacząco wyższym poziomem poczucia winy, agresji i ideacji samobójczej w porównaniu z grupami świeckimi i kontrolnymi.

Tego typu badania stanowią punkt wyjścia do zmiany w klinicznych i etycznych podstawach, które ułatwiłyby terapeutom i ostatecznie społeczeństwu jako takiemu właściwe interakcje z aposymbiontami.

Vuyo koniecznie chce się ze mną spotkać w kawiarni „U Kaldiego” w Newtown, stolicy naszego wewnętrznego miasta, jeśli chodzi o sztukę, teatr, design i modę. Na początku lat dwudziestych spalili tę dzielnicę, żeby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się epidemii dżumy, i uważam, że powinni to powtórzyć, żeby usunąć zgubny wpływ chcących dobrze hipstersów, rozpaczliwie starających się przemalować Newtown na tęczowo. Ale doprawdy nie powinnam być aż taka cyniczna.

Przeciskam się między stolikami, przy których siedzą tłumy aktorów, tancerzy, ludzi z modnych nowych mediów, kapitaliści korzystający z programu BEE [Skrót od Black Economic Empowerment (Umocnienie Gospodarcze Czarnoskórych); program wprowadzony przez rząd RPA w celu likwidowania nierówności dla grup obywateli (zasadniczo wszystkich niebiałych), którym odbierano wszelkie przywileje w czasach apartheidu.] W garniturach, ale za to bez krawatów, i przyszli kapitaliści (także w garniturach, ale za to z krawatami), którzy mają ambicje, tyle że brakuje im przestrzeni biurowej i przychodzą tu użyć darmowego Wi-Fi.

Vuyo się spóźnia. Sprawdzam swoje e-maile w telefonie i podsłuchuję grupkę aktorów przy sąsiednim stoliku, którzy wiedą bardzo ożywioną i

najwyraźniej superwesolą debatę o proponowanej konfrontacji między Davidem Mametem a Atholem Fugardem. Albo ćwiczą kwestie ze sztuki na ten sam temat.

Dostaję kolejne 312 odpowiedzi dla Elorii, w tym jedną od francuskiego dziennikarza, który planuje napisać o niej artykuł i dlatego rozpaczliwie chce przylecieć do Konga, żeby się spotkać. Vuyo wydoiłby z niego kasę na opłaty za podanie o wizę, może nawet starałby się go przekonać, żeby ustanowił fundusz ratunkowy na rzecz ewakuowania Elorii. Prędko go usuwam.

I znowu znajduję wiadomość, która osobliwie odbiega od normy. Znowu bez adresu zwrotnego.

Powiedziałaś, że będziesz mnie kochać, czy z brodawkami, czy bez.

Przekierowuję wiadomość na swój osobisty adres, żeby ją dołączyć do tamtej pierwszej, i w tym momencie prawie zostaję staranowana przez Vuyo, który uwala się na krzeselko stojące naprzeciwko.

– Coś interesującego? – pyta. Nie przeprosza za spóźnienie.

– Admin – mówię.

Zamawia czarne americano, czeka, aż kelnerka odejdzie, i dopiero wtedy przystępuje do rzeczy.

– Jeśli ktoś ma ten obiekt, którego szukasz, to



my nic o tym nie wiemy – mówi. – Ale z kolei taki obiekt trudno przeoczyć. Bo trudno go ukryć. Musiałabyś być tępą.

– Nawet sławnych ludzi spotykają czasem złe rzeczy.

– No tak, ale wtedy ktoś musiałby o to zadbać. Wystawiono polisę ubezpieczeniową na to nazwisko, opłaconą przez Moja Records. Jeden przecinek pięć.

– Mówimy o milionie?

– I wystawiono ją na przedmiot z kompletu. Stanowią parę?

– Tak już jest z bliźniętami. Okay, a co z kontem na MXit?

– Sorry. Nie dałem rady wejść.

– Jakich ty hakerów zatrudniasz, jakieś niedojdy?

– Hakerzy to cwaniaczki z bloku wschodniego. Firma opiera się na dobrym, staromodnym afrykańskim biznesie, którego nas nauczyli kolonialni władcy.

– Łapówki i korupcja?

– O ileż bardziej skuteczne.

– A telefon?

– Tak, mój znajomy z Vodacomu sprawdził dla mnie za niewielką opłatą. Z tego numeru ani nie wykonano, ani nie odebrano telefonu od niedzieli dwudziestego, godzina druga trzydzieści sześć.

– Masz zapisany ten ostatni numer?

– Tak, ale za ekstraopłatą. Na szczęście przewidziałem, że będziesz chciała wiedzieć. – Podsuwa mi kartkę papieru złożoną na pół. – Jeszcze jedno – dodaje przed wypuszczeniem kartki z rąk. – Mam znajomego, z którym powinnaś się spotkać. Mieszka przy targowisku Mai Mai. Dumisani Ndebele. To sangoma. Być może zdoła ci pomóc w inny sposób.

– Za to też zapłacę ekstra?

– Rozłóż kartkę.

Rozkładam ją. Jest na niej jedenastocyfrowy numer. Pod spodem dopisano coś ręcznie i potrzebuję chwili, żeby to odczytać. Dopisek brzmi: „Format: Luksusowe Apartamenty Haniego” oraz „Dostosuj się”.

– Co do... – zaczynam, ale Vuyo już wstaje, żeby się przywitać ze spoconym japońskim salarymanem z teczką umocowaną kajdankami do przegubu, którego kelnerka skierowała do naszego stolika.

– A, pan Tagawa! – mówi Vuyo, przedstawiając swój urok na jedenastą. – Mam nadzieję, że zmiana strefy czasowej nie daje się panu we znaki. To moja partnerka inwestycyjna, Lebo Hani, córka wielkiego przywódcy komunistycznego. Ale proszę się nie przejmować, jest stuprocentową kapitalistką. I proszę nie zwracać uwagi na zwierzaka.

– Przegięłaś. – W głosie Gio na drugim końcu

linii słycać podziw przemieszany z wkurzeniem.

– Ja też się cieszę, że cię słyszę.

– No więc właśnie miałem telefon.

– Ach tak.

– Dr Veronique Auerbach. Na temat dziennikarki z „Macha”. Potwierdziła, że załatwiła ci kilkoro rozmówców. O ile rzeczywiście piszesz ten artykuł. Wydawała się sceptyczna. Wręcz podejrzliwa.

– Tak, jestem właśnie w trakcie wstukiwania do kompa swojej śpiewki. Seks, narkotyki, złota młodzież.

– Nie miałbym nic przeciwko. Ani trochę. Mógłbym się spodziewać po tobie czegoś mniej? – pyta Gio.

Ten jad w jego głosie jest uzasadniony. Ostatecznie jestem dziewczyną, która ukradła jego kartę do bankomatu i osiem tysięcy z konta, po czym zwała winę na sprzątaczkę.

– Tyle że ona nie rozmawiała ze mną, rozmawiała z Montle, kierownikiem mojego działu. Musiałem się nieźle zwijać przy wyjaśnianiu. Tak więc moje gratulacje.

– Dostałam tę pracę?

– Prawie na koszt mojej. Piekielny sposób na dostanie zlecenia, Zee. Do dwudziestego trzeciego kwietnia chcę widzieć w swojej skrzynce odbiorczej tysiąc sześćset słów. Zdobądź jakieś brudy. Coś seksownego.

- Uwielbiam seksowne brudy.
- I na odwrót, o ile pamięć mi służy. No więc co się dzieje z Leniwcem, kiedy uprawiasz seks?
- Chcesz, żeby cię ugryzł w jakieś inne miejsce?
- Niezła jazda – mówi, ale słyszę, że wciąż cały się gotuje. – Może kiedyś mi pokażesz. No to nara, słoneczko. Muszę lecieć.
- Tak, ja też – mówię, skręcając niespiesznie capri pod wiaduktem autostrady, w stronę Anderson Street i parkingu przy Mai Mai.

Nawet rynek uzdrowicieli nie jest tak popularny jak targowisko *muti* przy Faraday Street, z którym dogodnie sąsiaduje spory postój taksówek. Z zewnątrz sprawia wrażenie taniej atrakcji turystycznej, z tymi murami koloru błota i ziołami schnącymi na słońcu na chodniku przed głównym wejściem. Pod słomianym dachem, przed małą urną na otwartym ogniu przykucnął mężczyzna; rozdmuchuje gryzący dym po parkingu. Z toalet wynurza się niemiecki turysta, który zapomniał zapiąć rozporek. Zatrzymuje się, żeby pogadać z facetem, który tnie starą oponę na kawałki, by potem robić z nich sandały.

Niebo zrobiło się mętnie świetliste, co zazwyczaj wróży burzę z piorunami. Zmieniło się ciśnienie powietrza. Na horyzoncie przewalają się chmury, cumulonimbusy przygważdżające miasto swoim ciężarem. Moja matka zawsze się domagała, abyśmy

zakrywali lustra podczas burz, żeby nie przyciągać błyskawic; zawsze na widok pierwszej kłębiastej chmury biegła po domu z ręcznikami i prześcieradłami. Co tatę doprowadzało do szału. „Durne zabobony”, powtarzał, wsadzając nos z powrotem do swoich książek o kinematografii. „To właśnie uwstecznia ten kontynent”. Zawsze stosował drastycznie wąskie definicje odnośnie do tego, czym jest współczesna Afryka.

Nigdy nie trafił nas żaden piorun. Ale żadne środki zapobiegawcze mojej matki – zarżnięcie kozła dla przodków w podziękowaniu za narodziny Thanda, specjalna ceremonia, kiedy dostałam wyniki egzaminów na studia, kretyńskie prześcieradła na lustrach – nie pomogły przeciwko kulom.

Kiedy wysiadam z samochodu, jakiś chudy chłopak, w wieku mniej więcej od dwunastu do dziewiętnastu lat, wyłania się z cienia zalegającego pod wynędzniałym eukaliptusem na skraju parkingu i pędzi w moją stronę, już z daleka prowadząc intensywną kampanię marketingową: „Pani, hej, pani, trzeba dbać o samochód. Mogę go umyć?”. Ma pożółkłe owadzie oczy i starą bliznę od noża przecinającą linię włosów, tak że przypominają boczny przedziałek. Leniwiec wzdryga się, gdy czuje jego oddech.

– Nie dzisiaj, dzięki.

– Dla ciebie tanio, siostrze! Promocja!

– Następnym razem, kolego.

Chłopak zaczyna się wycofywać za pień drzewa, gdzie najwyraźniej sypia na gołej ziemi. Na dolnych konarach wisi kawał brezentu, pod jednym z filarów podtrzymujących wiadukt leży sterta gruzu, za którą dostrzegam skulone, cieniste sylwetki.

– Czekaj, mały. Wiesz może, gdzie znajdę Babę Ndebele?

Żółtooki natychmiast odzyskuje energię i pędzi w stronę wejścia na targowisko.

– Tędy, siostró. Chodź ze mną. Pokażę ci.

Za kanciastym łukiem roztacza się widok na rzędy domków z czerwonej cegły, całych obrośniętych bluszczem i obwieszonych skrzynkami, w których w równych proporcjach rosną kwiaty i chwasty. Wśród walającego się gruzu buszuje czarna kura poszukująca okruchów. Kobieta ubrana w biało-czerwony sarong z nadrukiem w zuluskie tarcze i szeregi paciorków, które przecinają jej piersi jak bandolety, patrzy groźnie z otwartych drzwi, ale nie jestem pewna, czy to na mnie, czy na mojego towarzysza, wyraźnie chorowitego z wyglądu.

W każdym oknie, nad każdymi drzwiami widzę przerażające, miniaturowe gabinety osobliwości. Skorupy żółwi, czaszka antylopy gnu z ułamanym rogiem, zasuszone truchła padłych zwierząt albo może roślin, trudno właściwie powiedzieć, czego, i do tego słyszę strzępy magicznych zaklęć,

przypominające szum statyczny w powietrzu, doskonale dostrojone do monotonnego brzęczenia pojazdów mknących po autostradzie. Leniwiec ukrywa łeb na moim karku.

– Tutaj, pani, tutaj – mówi chłopak.

Daję mu pięć randów i Żółtooki zaciska dłonie w porażająco służalczym geście, czeka jeszcze, aż zostanie wpuszczona do środka, po czym gna w głąb alejki, robiąc po drodze wymach stopą w stronę czarnej kury.

Stoję na progu maleńkiej poczekalni skrzyżowanej z apteką. Na wąskiej ławie siedzi kobieta i coś szyje. Omiata mnie raz spojrzeniem, bez zainteresowania, i wraca do robótki bez słowa komentarza. Pokój jest obwieszony półkami, na których stoi mnóstwo słoików z mętnego szkła, wypełnionych niezidentyfikowanymi substancjami. Z sufitu zwisają zasuszone zioła, kołysząc się lekko w podmuchach wentylatora przywiązanego kablem do kraty na oknie. Łopatkami rzeżą i skrzypią, jakby to urządzenie dopadł atak astmy. Wejście do wewnętrznego pomieszczenia przesłania zasłona.

– *Sawubona*, [Słowo na powitanie w języku zuluskim.]  
Mama. Przyszłam się zobaczyć z Babą Ndebele – mówię do szyjącej kobiety.

Ta przykładła palec do ust, łypie na mnie z ukosa i od nowa zabiera się do szycia. Naszywa paciorki na pomarańczowo-białą spódnicę. Siadam obok niej i

czekam. Do środka wlatuje mucha, podążając niewidzialną, romboidalną ścieżką, zgodnie z owadzią geometrią. Na zewnątrz, kilka drzwi dalej, rozlega się radosny, kobiecy śmiech, który natychmiast cichnie, wtapiając się w konwersacyjny pomruk. Odgłosy pojazdów przeobrażają się w rytmiczny szum przyboju, co jakiś czas przerywany przez *wrum-wrum-wrum* motocykla albo ryk z dziurawej rury wydechowej. Wentylator zniecka zaczyna podrygiwać, jakby chciał się wyrwać na wolność, po chwili znowu dostaje ataku astmy. A kobieta szyje, jak szyła, metodycznie mocując paciorki do spódnicy.

Kładę sobie Leniwca na kolanach i opieram głowę o chłodną ścianę. 281-aligator. 342-aligator. 719-aligator. 953-aligator.

Przytomnieję, kiedy zza zasłony wyłania się młoda kobieta. Na głowie ma przepaskę z frędzlem z koralików na przedzie i zasuszonym koźlim pęcherzem z tyłu. Przez jej pierś i wokół kostek oraz nadgarstków biegną rzędy czerwonych i białych paciorków. Jest piękna, włosy koloru ciemny blond wiją jej się na ramionach, ale jej twarz to pusta maska. Klęka na progu, wstaje, kłania się i przytrzymuje zasłonę, żeby mnie wpuścić do środka. Szyjąca kobieta znika. Trącam Leniwca. Mruczy z niezadowoleniem i stara się wcisnąć z powrotem w moje kolana, by znów zasnąć.



– No dalej, koleś – mówię, dźgając go pod żebra.  
– Ruszamy się. – Czuję się przymulona jak na kacu i kiedy wstaję, świat na chwilę odpada. Albo to ta nadciągająca burza, albo te cholerne czary.

Zarzucam sobie Leniwca na plecy i wciskam dwa randy w dłoń młodej kobiety, bo ona to twaza, czyli nowicjuszka, i nie wolno jej się odezwać, dopóki nie dostanie czegoś srebrnego. To może być nawet kawałek cynfolii, ale ogólnie się przyjęło, że pieniądze są lepsze dla ugłaskania przodków, nawet jeśli ma się do czynienia tylko z nowicjuską.

– Zdejmij sandały, proszę – mówi dziewczyna.

Wysuwam stopy z sandałów i wchodzę do gabinetu lekarskiego. Czuję ostrą woń *imphepho* – palonych ziół.

– Baba Dumisani Ndebele, sangoma – dziewczyna przedstawia ogromnego mężczyznę, zbudowanego jak zawodowy gracz rugby, który klęczy na macie z trzciny na samym środku cementowej posadzki. Jest ubrany w białą kamizelkę i czerwony fartuch, opasane skórą lamparta; na czole ma przepaskę z takiej samej skóry. Jego wygolona czaszka lśni od potu; tu nie ma wentylatora, więc jest znacznie goręcej. Zauważam logo D&G na jego kamizelce, bardzo subtelne, ani trochę nie wyglądało na podrabiane. Dobra z Fongkongu zazwyczaj wrzeszczą kradzionymi logo jak najgłośniej. To tyle, jeśli chodzi o proste życie związane ze służbą na

rzecz duchów przodków.

– *Thokoza khehla* – mówię na przywitanie duchów, bardziej z jakiegoś szcątkowego szacunku wobec mojej matki niż z powodów osobistych.

– *Thokoza* – odpowiada Dumisani i kicha kilka razy. – Moje *dlozi* opowiadało mi o tobie. – Znacząco macha swoją komórką, nowiuteńkim iPhoneem. – Mówi, że ty nie chcesz tu być.

– Nie wiedziałam, że przodkowie już SMS-ują.

– Nie, on do mnie dzwoni. Duchom jest łatwiej dzięki technologii. Nie jest taka ograniczona jak ludzkie umysły. – Puka się w głowę, żeby to podkreślić. – Duchy wciąż najbardziej lubią rzeki i oceany, ale dane są jak woda, duchy mogą się w nich poruszać. Dlatego właśnie masz to uczucie mrowienia przy wieżach przekaźnikowych.

– A ja myślałam, że to promieniowanie. – Wiem, że nie okazuję należytego szacunku, ale nie potrafię się powstrzymać. – Czy w takim razie jest jakiś operator świata duchów? Jakie tam są taryfy? Założę się, że dostajesz mnóstwo „Proszę, oddzwoń”.

– *Hayibo*, [Słowo w slangu południowoafrykańskim wyrażające niedowierzanie albo niesmak.] *sisi*. Taka cyniczna, a przecież masz *shavi*. Co by powiedziała twoja matka?

Wzdrygam się. Celny strzał.

– Moje *dlozi* mówi, że będziesz potrzebowała czytania. *Amathambo* pomoże cię poprowadzić.

– Proszę, połóż pieniądze na macie – odzywa się

cicho nowicjuszka. – Pięćset randów.

Robię, co mi każe, i *twaza* cicho wycofuje się z pokoju, opuszczając za sobą zasłonę.

– Wstydź się, *sisi* – mówi Dumisani. – Nosisz swoje duchy przy sobie. Taki jest stan świata, moja siostró. Siedem miliardów ludzi to mnóstwo duchów. Czasami te duchy się gubią. Ale duchy są ciężkie, ne? Obciążają cię. Powinnaś uwolnić swoje *shavi*.

– Bardzo śmieszne.

– To nie dowcip. Są na to sposoby. To jak z piłką nożną, potrzebujesz tylko rezerwowego gracza.

– Leniwiec dotychczas skutecznie mi tu pomagał, więc dziękuję. Możemy przejść do rzeczy?

– Widzę, że jesteś kobietą przedsiębiorczą i szczerą. Tak, możemy przejść do rzeczy. Proszę, weź to ode mnie. – Pakuje w moje dłonie muszle ślimaków i kamyki, poszczerbioną skamielinę z nautilusem, kostki domina (w tym jedną ułamaną), sznurek białych koralików nawinięty na patyk, kulkę, kartę sim do sieci MTN – domyślam się, że to jest ta preferowana sieć – oraz maleńką, plastikową figurkę przedstawiającą brzydkiego, fioletowego potworka z szopą splecionych, pomarańczowych włosów, niewykluczone, że swego czasu dodatek do Happy Meal.

– A teraz dmuchnij na swoje dłonie i rozrzuć to wszystko.

Zwyczajnie rozprostowuję dłonie i wypuszczam

ich zawartość. Dumisani sprawia wrażenie zirytowanego.

– W szkole nie uprawiałaś żadnego sportu, co? – Przygląda się konstelacji przedmiotów, z powagą. Leniwiec kicha znienacka, jeden raz, drugi, trzeci. Sangoma obwieszcza z triumfem: – Sama widzisz, są z nami!

Uśmiecham się, ale nachodzi mnie myśl, że skłonność Leniwca do opróżniania nosa jest nie tyle znakiem z drugiej strony, ile raczej znakiem, że dym kadzidła wdarł się w głąb jego nosa. Wyraz mojej twarzy zapewne odzwierciedla tę myśl.

– Musisz wiedzieć, że w poprzednim życiu byłem aktuariuszem – mówi Dumisani. – Audi S4. Dom z czterema sypialniami w Morningside, po remoncie. Ze wszystkimi gadżetami. Trzy różne panie, którymi się opiekowałem i które opiekowały się mną. Dwoje dzieci od dwóch różnych matek. Prywatne szkoły. Apartamenty. Samochody. I pewnego dnia odebrałem wezwanie. To znaczy w sercu, nie przez telefon.

*Amadlozi* [*amadlozi* (język zuluski) - l.mn. od *dlozi*; duchy przodków] nie chciały mnie zostawić w spokoju. Cały czas nic, tylko *hacking, hacking*. [*hacking* (slang południowoafrykański) - nękanie kogoś, irytowanie] Jak pies sąsiada o trzeciej w nocy. Te straszne sny, w których cały czas śniło mi się to samo: moja babka niesie węża i ten wąż spleza jej z rąk, zbliża się do mnie i wnika w

moją pierś jak w waginę. Zachorowałem. Byłem taki chory, że moja dziewczyna myślała, że to AIDS. Wszyscy mnie zostawili. Bali się. Nie obwiniam ich. Straciłem czterdzieści kilo w dwa tygodnie. Skóra zwisała ze mnie jak tym ludziom po źle zrobionej liposukcji. Wiem, co mówię, jednej z moich przyjaciółek zrobili źle liposukcję. To wygląda bardzo brzydko.

– I co było potem? – Czuję, że między łopatkami, gdzie przywarł swoim brzuchem Leniwiec, mam coraz większą kałużę potu. Chętnie zrzuciłabym go na podłogę, ale wiem, że on się donikąd nie wybiera, bo tak się wpił w moje ramiona.

– Przestałem z tym walczyć. – Dumisani wzrusza ramionami. – Zresztą to wcale nie jest takie inne od analiz danych statystycznych i wykonywania długich, skomplikowanych obliczeń. Z kośćmi jest zupełnie tak samo. Też trzeba wiedzieć, jak je odczytać. Sama zobacz, jak tutaj. – Obraca muszlę, która wylądowała na jednej z trzech kostek domina. To ta ułamana kostka, w połowie pusta, w połowie z trzema oczkami, przy czym jedno oczko rozpadło się przy złamaniu. – Na przykład to. To oznacza pecha. I to też. Pokazuje trójkąt utworzony z figurki trolla, kulki i ułamanej kostki domina. – Bardzo niedobrze. Nosisz na sobie cień.

– Wierz mi, zauważyłam. – Leniwiec posapuje, dmucha mi gorącym oddechem prosto w ucho. Ale

tak naprawdę to mam na myśli Cofkę. Świadomość jej nieuchronności jest przygniatająca. Czasami budzę się w samym środku nocy, walcząc o oddech, i wydaje mi się, że moja klatka piersiowa została zmiażdżona w wyniku wypadku samochodowego. Może właśnie tylko do tego służy talent: dzięki niemu masz się czym zająć, dopóki nie napłynie potok czerni.

– A tutaj? – Sangoma trąca palcem muszlę w kształcie wachlarza w czerwone paski. Widać, że jest pod wrażeniem. – Uuu! Dziewczyno, albo się naraziłaś bardzo złej *umthakathi*, [Zuluska wiedźma.] albo jesteś magnesem dla *imoya emibi*. [Złe duchy w wierzeniach Zulusów.] Nie wiem, czy tu wystarczy kura. Do tego możemy potrzebować byka.

– Nie jestem specjalnie zainteresowana składaniem ofiar z kur, krów, czarownic, złych duchów czy cieni. To bardzo proste. Ja czegoś szukam. Vuyo powiedział, że możesz mi pomóc.

– Czegoś? Czy kogoś? – pyta chytrze. – Bo ten mały kamyk tutaj – trąca kciukiem odłamek kwarcu – mówi, że nie jesteś ze mną szczerą.

– Kogoś – przyznaję niechętnie.

– I to dwóch – mówi, kiwając prędko palcem między dwoma praktycznie identycznymi, wypolerowanymi kawałkami bursztynu. – Chodzi o bliźnięta? Bliźnięta mają bardzo dużą moc. W kulturze zuluskiej mieliśmy kiedyś obyczaj zabijania

jednego z pary, żeby unicestwić złe fatum.

– Czy wolno mi dodać ludzi do listy tego, czego nie chcę składać w ofierze? – A jednak jestem zdumiona i odrobinę wstrząśnięta. I on o tym wie. Ulegam. – Przepraszam, *baba*.

Nie chciałam okazać braku szacunku, ani tobie, ani *amadlozi*.

Zbыва te przeprosiny machnięciem ręki.

– Dla mnie to nieważne, czego ty chcesz albo nie chcesz. Masz jakiś przedmiot należący do nich?

– Na tym właśnie polega mój problem.

Krótkim, gwałtownym ruchem wystawia palec w górę.

– Jedna chwila. – Chwyta swój telefon, jakby on dzwonił, i udaje, że odbiera. – Tak, wiem. Ale bezczelna. W jej torbie? *Ngiyabonga*. [*ngiyabonga* (zuluski) – dziękuję] – Wsadza komórkę między ramię a ucho, jakby wciąż słuchał, i kiwa palcem w kierunku mojej torby. – W torbie masz coś, co nam pomoże.

– Czy to może mój portfel?

– *Hei*. Jeśli nie chcesz mojej pomocy, *vaya*. Idź sobie.

– W porządku. – Wytrząsam bebechy mojej torby, moją prywatną konstelację przedmiotów wyposażonych w znaczenie. Kluczyki do samochodu. Notes wypchany artykułami na temat ijusi wyciętymi z magazynów muzycznych oraz folder autobusów Greyhound z cennikiem biletów do Zimbabwe i

Botswany, oba jako przystanki w drodze do Kinszasy. Cztery tanie długopisy, z których działa tylko jeden. Portfel zawierający tysiąc osiemset randów, czyli około tysiąca trzystu więcej, niż widywał od długiego czasu. Szminka do ust (odcień „macierzanka”, matowa, w połowie roztopiona), pudełko miętowych tic-taców, zeszyt z tekstami S’bu, nowiuteńka, biała wizytówka (należąca do Maltańczyka i Marabuta), plik zmiętych wizytówek związanych gumką do włosów (należące do mnie), zmięty papieros, z którego wysypują się okruchy tytoniu, zmięte saszetki ze sztucznym słodzikiem, luźne drobne.

– Sprawdźmy. – Błyszczące czoło sangomy pokrywa się zmarszczkami skupienia, kiedy zgodnie ze wskazówkami, które otrzymuje przez telefon, bierze do ręki zeszyt z piosenkami i mój notes. – Dobrze – mówi, Wytrząsa wycinki i odrzuca notes na bok. Wsuwa telefon do kieszeni, a potem, trzymając wycinki i zeszyt w jednym ręku, wyciąga zapalniczkę zippo i zapala ją.

– Co ty wyprawiasz? – Chwytam zeszyt, ale on go wyrywa, trzymając wysoko nad głową, podczas gdy róg kartek zaczyna brązowieć i skręcać się od liżących je płomieni.

– Pomagam ci. – Płomień w jego dłoni ma pełną wysokość; jarzy się, gorący, jaskrawy i żółty, siejąc w krąg spalone kawałki papieru jak płatki śniegu. –



Ach, ta dzisiejsza młodzież. Żadnego szacunku dla własnej kultury.

Na podłogę sfruwa większy fragment: „Zabawmy się, spotkajmy się, *siyagruva*, mała, uwolnijmy się”, potem nadpalone zdjęcie Song i S’bu na rozdaniu nagród SAMA, oboje pozują w prążkowanych garniturach a la lata osiemdziesiąte, z szelkami i dopasowanymi kapeluszami.

Dumisani krzyczy i otrzepuje palce w miejscu, gdzie liznął je płomień. Skrawki papieru spadają na trzciniową matę, pomiędzy rozsypane tam śmieci i zawartość mojej torby, wciąż się paląc. Gasi płomienie, po czym zgarnia strzępki i większe fragmenty, zaciskając je w dłoniach.

Wchodzi nowicjuszka, niosąc drewniany móźdierz pełen zmielonych, cuchnących ziół, blaszany kubek, strzykawkę w plastikowym opakowaniu i dwulitrową butelkę po coli pełną podejrzanego, żółtego płynu. Kłania się i wychodzi, a sangoma wrzuca do móźdierza spalone szczątki. A potem robi wielki pokaz z ich ucierania. Na końcu podaje mi strzykawkę.

– Potrzebuję odrobiny krwi. Nie bój się, jest idealnie sterylna. Wystarczy kropla. – Kiedy jednak odpakowuję strzykawkę i zabieram się do nakłucia palca, powstrzymuje mnie. – Nie twojej. Zwierzęcia.

Leniwiec chowa się ze skowytem za moimi plecami.

– Ja to mogę zrobić, jeśli się boisz – proponuje ze słyszalnym zniecierpliwieniem.

– Nie, w porządku. No, chodź, koleś, tylko małe ukłucie.

Leniwiec wyciąga łapę i odwraca głowę, gdy tymczasem ja wkłuwam igłę w grubą skórę przedramienia. Po upływie sekundy przez futro przebija się paciorek jasnoczerwonej krwi. Sangoma podaje mi zasuszony liść, ja ścieram nim krew; liść zostaje roztarty w moździerz, a potem jeszcze zmieszany ze sporym glutem mlecznożółtej substancji, która jest albo ropą, albo śluzem, albo niepasteryzowanym kwaśnym mlekiem – nie umiem stwierdzić, która z tych możliwości jest najgorsza. Podejrzewam, że zależy od źródła pochodzenia. Sangoma wlewa to do blaszanego kubka.

– *Muti?*

– To nie jest lekarstwo, tylko część twojej diagnozy. Wypij to.

Swego czasu zdarzało mi się pijać najdziwniejsze, podejrzane kokkokty, ale teraz mam w głowie wizję plutonu egzekucyjnego. A tak w ogóle, to kiedy miałam piętnaście lat, pociągnęłam spory łyk spirytusu metylowego ukradzionego z magazynu z artykułami dla artystów; nie będziemy wnikać ani w to, ani w wymioty, którymi to się skończyło.

– Jeśli myślisz, że ja to wypiję, to jesteś

walnięty.

– Musisz przestać się stawiać – odpowiada sangoma i przystawia kubek do moich ust, z taką siłą, że przecinam sobie wargę zębami.

Kiedy mimo woli krzyczę z szoku, część tego obrzydlistwa wlewa mi się do gardła. Płyn jest ciepły, oślizgły, gorzki i słodki jednocześnie, przywodzi na myśl zmiażdżone larwy, które żywiły się truchłem zgniłego szczura z kanałów ściekowych. Skrzyżowanie gówna, śmierci i rozkładu. Leniwiec zsuwa się z moich pleców, nagle bezwładny jak wór z utopionymi kociećtami. Padam na czworaki, dławiąc się wymiocinami, ale udaje mi się wykaszleć tylko długie nitki śliny. A potem zaczynają się konwulsje.

*Mam trzy lata, siedzę w parku i jem te małe różowe kwiatki koniczyzny. Są strasznie kwaśne i wzdrygam się za każdym razem, kiedy miażdżę taki w zębach. I zrywam kolejne, żeby znowu to robić. Thando spada z huśtawki. To do mnie prawie nie dociera, jestem taka zajęta żuciem kwiatów. A on podbiega, żeby mi z dumą pokazać swoje otarte kolano. Krew ścieka mu po nodze, lepka jak miód.*

*Mężczyzna w gumowych rękawiczkach i masce; wyjmuję kawałki mózgu i czaszki Thanda z kepy bylicy.*

*Nieobecność moich rodziców na procesie. Kiedy próbuję do nich zadzwonić z więzienia, z płatnego automatu, elektroniczne sygnały monitorujące, ile mi zostało sekund, zanim skończą się pieniądze, odliczają także ciszę rozciągającą się między nami.*

*Chodzę nerwowo przed wjazdem dla karettek przy wejściu na ostry dyżur szpitala im. Charlotte Maxeke, paląc jak wściekła, praktycznie żując papierosy. Pochwycona w pętlę mantry „proszę cię nie umieraj nie umieraj proszę cię nie umieraj nie umieraj” i wciąż nawalona, nie zauważam, że od drzew, osi kół i innych ciemnych miejsc zaczynają się odrywać cienie i że te cienie krzepną. Śluzówce robią to samo we właściwych warunkach: zbierają się razem, żeby uformować jedną ogromną społeczność owładniętą pojedynczym celem. Ale takim śluzowcom nie towarzyszy odgłos wycia, ssania, przeciągłego cmokania, przywodzącego na myśl niebo rozpruwane przez samolot. Śluzowiec nie przychodzi do ciebie, żeby cię wciągnąć w mrok.*

*Śmieję się i przeklinam, kiedy Thando – ten zakichany biały rycerz – wlecze mnie w dół schodów Belham Luxury Apartments, które nigdy nie były luksusowe i raczej nie zasługiwały na miano apartamentów. Kilku innych ćpunów sterczy na progu swojego mieszkania; gapią się mętnym*

wzrokiem, ale nie ruszą dupy, nie będą się wtrącać. Jeszcze inni nie ruszą dupy nawet tylko po to, żeby chociaż się gapić. Tak jak moi rodzice nie ruszą dupy, żeby się zaangażować, nie po tym, kiedy postawiono mi główne zarzuty.

„Zostaw mnie, kurwa, w spokoju!” Śmieję się, a potem wrzeszczę, atakuję, kopię i młóczę rękami, kiedy mój brat wpycha mnie do błyszczącego, nowego VW polo, które towarzyszyło jego błyszczącemu, nowemu awansowi. „No czemu ty mnie nie zostawisz..

Songweza maluje paznokcie na fioletowo w swojej anonimowej sypialni. Kiedy kończy, rozkłada nogi i maluje wąskie paski po wewnętrznej stronie ud. Te paski wyglądają jak rany od noża. World Trade Center. Tylko samoloty krążące nad bliźniaczymi wieżami mają ciemne pióra przeplecione pasmami bieli i długie, ostre dzioby.

Później na kępie bylicy widać zachowany odcisk ciała Thanda. Wyobrażam sobie postać z kreskówki, idealną sylwetkę Kojota ze Zwariowanych melodii, z szeroko rozrzuconymi ramionami. Ale to tylko zmiądzony krzak. Połamane gałązki. Poniszczone i podarte liście. Plamy na białych płatkach, jakby od deszczu rdzy.

*Gdzie są wasi rodzice?, pyta kobieta w supermarkecie, pochylając się nade mną. Ma dobre oczy, ale na plakietce zamiast nazwiska widnieje Morderczyni! Morderczyni! Morderczyni!*

*Kiedy rodzice wychodzą ze szpitala, żeby mnie odszukać, powiedzieć mi, obejmują się kurczowo, jakby opuściła ich siła ciężenia i teraz starali się znaleźć nową metodę na poruszanie się po świecie; widzą, że ja już wiem. Siedzę na chodniku w czerwono-niebieskim pulsowaniu światła karetki, trzęsąc się i wydając z siebie czkawkowe, zdławione odgłosy śmiertelnego przerażenia. Leniwiec obłapia moją klatkę piersiową, jego ramiona oplatają moje ramiona jak judaszowy uścisk. Cofka zatrzymała się tylko na chwilę. Ale zaraz potem czuję suchy żar jej oddechu.*

*Na scenie występują Tsotsis w maskach Mzekezeke. Ściągają maski. Każdy z nich jest Songwezą. A potem ściągają twarze.*

*E-mail. Rok, producent i numer modelu. Licencja i rejestracja. Czas i adres. Nie czuję się winna. Firma ubezpieczeniowa zapłaci za samochód. Zostanę rozliczona z moim dilerem. Porwania są na porządku dziennym. Nie liczę już na białego rycerza.*

*Idę z pluskiem przez kałuże w naszym ogrodzie w kaloszach w czerwono-czarne kropki biedronki z uśmiechniętymi buziami owadów na czubkach. W kałużach brodzą różowe flamingi, jak w tym filmie dokumentalnym o jeziorze Etosza, który kiedyś widziałam. A może to była Okawango? Biegnę z zachwytem w tamtą stronę, wymachując rękami i krzycząc, żeby je spłoszyć. Ale następna kałuża nie jest kałużą i wsysa mnie całą. Kiedy tonę, patrzę w górę, w stronę powierzchni i dociera do mnie, że to wcale nie były flamingi. I coś ciągnie mnie w dół.*

## BIBLIOZOOLOGIKA: ENTYMOLOGIA TERMINÓW ODNOSZĄCYCH SIĘ DO ZANIMALIZOWANYCH

### M

*Mashavi* – słowo pochodzenia południowoafrykańskiego (jęz. shona) stosowane jako określenie nadprzyrodzonych talentów nadawanych zarówno przez aposymbionta, jak i aposymbiotyczne zwierzę.

Termin, w formie „mashave”, w druku pojawił się po raz pierwszy w książce niezwiązanej z samym tematem (*Mity i legendy Afryki Południowej* Penny Miller, wydane przez TV Bulpin, Kapsztad), która jednakże dostarczyła wytłumaczenia na jego użycie i znaczenie we współczesnej Afryce Południowej.

„*Mashave* to duchy cudzoziemców albo wędrowców, którzy zmarli daleko od swoich rodzin i klanów i nie otrzymali właściwego pochówku. Z tego powodu nie zostali nigdy «wezwani do domu», tylko nadal błakali się niespokojnie po buszu. Takie bezdomne duchy budzą strach, bo zawsze szukają żywego gospodarza, w którym mogliby zamieszkać;



nie mogą wrócić do ziemi przodków, dlatego poszukują ciała kogoś, kto by je przyjął do siebie.

Jeśli dany człowiek jest niechętny, dopada go choroba, której nie wyleczy żadne europejskie lekarstwo, tylko kuracja u wróżbity. W przypadku wykrycia opętania przez *mashave* pacjent musi zdecydować, czy chce je przyjąć, czy odrzucić. Jeśli nie zaakceptuje *mashave*, wróżbita przeniesie je do ciała jakiegoś zwierzęcia (najlepiej kury albo czarnego kozła) poprzez położenie na nim dłoni. Potem wygania zwierzę do dziczy w dokładnie taki sam sposób, w jaki izraeliccy kapłani w zamierzchłych czasach wypędzali «kozła ofiarnego» na pustynię po uczynieniu go składnicą grzechów ich ludu.

Każdy, kto jest na tyle nierozsądny, że da się opętać przez takie przeklęte zwierzę, staje się jednocześnie gospodarzem ducha *mashave*.

Jeśli dana osoba zaakceptuje swoje *mashave*, choroba natychmiast ją opuszcza i podczas specjalnej ceremonii zostaje przyjęty do kultu utworzonego przez ludzi posiadających podobne *mashave*. Jedni są akuszerami, inni potrafią wróżyć bądź dysponują wiedzą o ziołach. Często istnieje przekonanie, że niektórzy opętani przez *mashave* potrafią dzielić się umiejętnościami w tak dziwacznych dziedzinach, jak piłka nożna, wyścigi konne czy też uzyskiwanie dobrych ocen na egzaminach!”

Otwieram oczy. Siedzę na wąskiej ławie w poczekalni. Leniwiec zwinął się w kłębek na moich kolanach. W zaciśniętej kurczowo dłoni trzymam buteleczkę po syropie na kaszel, bez nalepki. Nowicjuszka stoi obok mnie, trzyma moją torbę.

– Co to jest? – pytam, przyglądając się szklanemu słoikowi po dzemie, który mam w rękę. Chlupoczący w środku lepki płyn ma niezdrową barwę siarki.

– *Muti*. Dzięki niemu oczyścisz się ze złych energii.

– Na przykład z tego, czym mnie właśnie zatruliście?

– Pomoże ci na ten ból głowy. Zwierzęca magia jest bardzo potężna. Może będziesz odczuwała jakieś następstwa. Użyj tego, tak trzeba.

– Dziękuję – odpowiadam jej z całym sarkazmem, na jaki mnie stać. Wrzucam słoik do torby, z zamiarem wylania jego zawartości do zlewu, gdy tylko wrócę do domu.

Po niebie przetacza się piorun, wprawiając framugę okna i blaszany dach w grzechotanie. Wychodzę chwiejnie na zewnątrz, tuląc Leniwca do piersi. Wszystko wydaje się jakby spłaszczone. A może tylko nadal czuję skutki tego, czym mnie zatrul

sangoma. Leniwiec wierci się i postępuje, więc odwijam przepaskę z głowy i robię z niej coś w rodzaju temblaka, żeby móc go nieść.

Na chodniku obok mojego samochodu lśni szkło. Boczna szyba jest rozbita. Dociera do mnie, że wśród przedmiotów, które wytrząsnęłam z torby na trzciniową matę, nie było mojej komórki, że pewnie zostawiłam ją na fotelu pasażera po zakończeniu rozmowy z Gio.

Mam migrenę, która rozpruwa mi głowę jak na jakimś koszmarnym kacu. Cykady świergola. Samochody buczą i warczą. Grube krople deszczu rozpryskują się jak smar na asfalcie. Idę chwiejnym krokiem w stronę mężczyzny tnącego gumę; widzę, że właśnie zaczyna się pakować. Nawet turyści umykają przed burzą, parking pustoszeje.

– Przepraszam. Widział pan może, kto rozbił moją szybę?

Mężczyzna odwraca wzrok.

– Był pan tutaj. Musiał pan to widzieć.

Ciska obrzynek gumy pod moje stopy. Gest pogardy równie wymowny jak splunięcie.

– Spadaj, zoolusko.

Rozglądam się w poszukiwaniu żółtookiego strażnika mojego samochodu. Kamień w wodę. Deszcz przechodzi w ulewę. W powietrzu czuć wyrazisty, słodkawy zapach, który prowadzi mnie do brezentu zawieszzonego pod konarami drzewa.

Wsuwam głowę pod płachtę i mimo że mój wzrok musi się dopiero przyzwyczaić do mroku, widzę, że ta kryjówka jest całkiem spora, że ten, kto tu mieszka, zrobił podkop pod stertą gruzu. Przykucam, a potem w takiej pozycji pełzną w stronę chmury dymu, cięższej niż od palonego metakwalonu lub *tiku*, i do tego z kwaskowatą nutą, no chyba że to tylko smród niemytego ciała. I czuję jeszcze jeden zapach, aż nazbyt znajomy – ścieki. Widzę trzy postacie siedzące w półprzysiadzie; podają sobie fajkę.

– Ty! Sperdalaj! Czego tu? – skrzeczy dziewczyna, zazdrośnie przyciskając do siebie fajkę, kiedy gramolę się w ich kierunku. Jest dość młoda, na oko dwadzieścia kilka lat, ale styl życia wżarł się w jej wygląd; twarz ma pooraną bliznami i siniakami. Podbródek szpeci ponura buła, a wśród skołtunionych włosów widać zaognione, łyse place, jakby ktoś jej te włosy wyrywał garściami.

– Chcę tylko swój telefon.

– Łe Jezu. Mówiłem wam, mówiłem – mówi Żółtooki, zdziczały i przestraszony.

Widzę jeszcze jednego chłopaka, starszego; przemieszcza się w moją stronę i cały buzuje agresją. Żółtooki to zwyczajny zaćpany męt, ale ten to wyjątkowo wredna jednostka. Za nim w mroku porusza się ktoś jeszcze, wydając odgłos grzechotania. Bardzo to wszystko źle oceniłam.

– Nie ma tu żadnego telefonu, kobieto. A teraz sperdalaj – mówi Żółtooki.

– Chociaż kartę sim. Ma dla mnie wartość w pieniądzach.

– Ile? – pyta dziewczyna.

– *Thula*, [*thula* (zuluski) – cicho] Busi! – syczy starszy chłopak i Busi kuli się, jakby już ją uderzył.

– Dwieście R za kartę sim – oferuję. – Trzysta, jeśli razem z telefonem.

– Czteryście.

– Zgoda. – Otwieram portfel, starając się, by nie zobaczyli, ile jeszcze tam mam, wyciągam cztery banknoty sturandowe i podnoszę je w górę.

– A jak se je weźmiemy bez niczego? Kto nam zakaze? – pyta Busi z szyderczą miną, znowu pełznąąc w moją stronę.

– Ja. – Odsiadka w Sun City nauczyła mnie jeszcze innych rzeczy oprócz czekania. Na przykład tego, jak pokonać kogoś spojrzeniem. Moje oczy przyzwyczały się już do mętnego światła i widzę na tyłach spadek do czegoś w rodzaju dużej jamy. Ci gówniarze rozkopali kanał burzowy, albo może on już był uszkodzony, kiedy wieszali swój brezent. Prawdopodobnie tam sypiają, splątani z sobą jak szczury w gnieździe. Słyszę, że ktoś tam jest, że człapie wte i wewte. Odgłos sprawia wrażenie suchego i płochliwego.

– A co ty jesteś, jakaś ninja czy jak? – pyta

Wredny, uśmiechając się jadowicie do pozostałych.

– Chcesz sprawdzić? Chcesz wiedzieć, jakie jest moje *shavi*? Jakie *muti* właśnie kupiłam na targowisku?

– Pięćset R – mówi Busi.

Tym razem rzeczywiście obrywa od Wrednego, który wali ją na odlew wierzchem dłoni. Dziewczyna skowycze, a potem patrzy na mnie spode łba, jakby to była moja wina. Może zresztą i była. To coś, co tak szurało za moimi plecami, ustaje na chwilę, po czym znowu zaczyna szurać, słabowicie i zarazem nerwowo. Krople deszczu bębnią o brezent.

– Tyle proponuję. Bierzcie albo nie bierzcie. To kupa kasy. – Macham niebieskimi banknotami i Żółtooki próbuje mi je wyrwać, ale nie trafia. – O nie, nie, nie. Najpierw telefon. I powiedzcie temu, kto się tam skrada od tyłu, żeby wyszedł i się pokazał.

Wredny ma rozbawioną minę. Klepie się po nodze, jakby przywoływał psa, i z mroku wyłania się Jeżozwierz; kuśtyka na trzech łapach i grzechocze kolcami. Trąca włochatym ryjkiem kolano Wrednego w lękliwym uwielbieniu. Z pyska zwisają mu grube sznurki śliny. Ma mętne oczy i brakuje mu tylnej łapy. Kikut źle się zrósł, tkanka jest zszarzała, kolce są usmarowane zaschniętą krwią i ropą. Cuchnie od niego wilgocią i zgnilizną, tak samo jak od tego popękanego betonu, z którego wypełzł.

– Ożeż! Co wyście zrobili z tym zwierzakiem?

– To kupa kasy – wdzięczy się Wredny, przedrzeźniając mnie. – Chcesz trochę? Za tego Leniwca dużo dostaniemy. To rzadkie zwierzę. Zaczniemy od palca. Albo od łapy.

– Od całego ramienia – mówi ośmielona Busi, ostrożnie idąc do przodu. – Nie będzie ci go brakowało. Nawet nie zauważysz.

Jeżozwierz przygląda mi się paciorkowatymi oczkami i wbrew sobie, wbrew Zasadom Sun City, zaczynam się powoli wycofywać. Pieprzyć telefon. Odiego stać na kupienie mi nowego. Ale Wrednemu udaje się zająć mnie od tyłu i zablokować drogę ucieczki.

Deszcz leje jak z cebra, hałas przypomina ryk tłumu na stadionie. Na zewnątrz grudy gradu walą w beton. Wredny wyjmuje z kieszeni śrubokręt, z końcem wyostrzonym w szpic. Śrubokręt jest brudny – jak cię dźgną czymś takim, to teżec będzie najmniejszym z twoich zmartwień. Widywałam już paskudne skutki ran kłutych. Taka jedna w więzieniu zarobiła dziurę w nerkach dzięki uprzejmości swojej dziewczyny. Po kilku tygodniach umarła na zakażenie krwi.

– Nie odchodź jeszcze, małpeczko – mówi Wredny, podnosząc głos, żeby dać się usłyszeć przez kanonadę deszczu.

– Gdybym wiedziała, że czeka mnie impreza, to przyniosłabym ciastka – mówię. Rozprostowuję palce

i wypuszczam banknoty, słusznie się spodziewając, że dziewczyna padnie na kolana, żeby je pozbierać. Dzięki temu zyskuję sekundę ich nieuwagi.

Chwytam Leniwca za ramię i przejeżdżam jego pazurami po twarzy Wrednego, zanim ten zdąży podnieść śrubokręt. Wredny podnosi wrzask i zatacza się do tyłu, ściskając się za nos i oczy. Nie zagrzewam miejsca, żeby ocenić zniszczenia.

Obracam się i taranuję całym swoim ciężarem Żółtookiego, przewracając go na dziewczynę, która wciąż na klęczkach zbiera banknoty. Słyszę bolesny łomot, kiedy jej głowa zderza się z podłożem. Nie mam czasu, żeby poczuć się winna. Zasady Sun City: eliminuj lidera i spieprzaj, nieważne jaką drogą. Przechodzę obok Jeżozwierza, czując, że jego ostre kolce zahaczają się o moje dzinsy, i ruszam dokładnie w przeciwnym kierunku, niż się tego spodziewa Wredny, bo wskakuję do jamy i mroku kanału burzowego.

Pełzną na kolanach w głąb tunelu, obok płataniny koców śmierdzących dymem, potem i moczem, jedną dłonią obmacując szorstki beton. Moje tenisówki klaskają w strumyku zgniłego błota. Nic nie widzę, ale czuję obmywającą mnie wodę.

– Mam nadzieję, że pilnujesz, dokąd idziemy – mruczę i Leniwiec, wciąż zszokowany, zdobywa się na pisk w odpowiedzi.

Tunel powinien niedługo się otworzyć na



główny strumień. Tam będą studzienki, przez które wyjdę wprost na ulicę. Muszę się stąd wydostać, zanim mnie złapią.

Słyszę zniekształcone echo gniewnych głosów za plecami. Mam nadzieję, że na razie jeszcze dyskutują, czy poszłam w lewo czy w prawo. I że może się rozdziela, wtedy będzie łatwiej sobie z nimi poradzić. Brnę w ciemnościach, już nie na kolanach, ale muszę się garbić. Woda wlała mi się do butów i z początku jestem przekonana, że to dlatego, że tunel się rozszerza, ale tak jest, bo poziom wody się podnosi z powodu ulewy. Kolejny powód, by przyspieszyć ucieczkę.

Leniwiec chrząka ostrzegawczo sekundę za późno, kiedy tunel otwiera się na ustabilizowany poziom, bardzo szeroki i ze śliskim dnem; zjeżdżam poza jego skraj, spadam dwa metry niżej i ląduję twardo na kości ogonowej, na krawędzi jakiegoś stopnia. Boli mnie tak, jakby wielki gwóźdź wbił mi się w kręgosłup. Tracę oddech. Leżę tam ogłupiała, podczas gdy Leniwiec skowycze i jęczy, że mam wstać.

Leżę na skraju wielkich schodów ciągnących się w dół, każdy stopień jest nachylony pod kątem trzydziestu stopni. Kiedy podnoszę wzrok, widzę kilka dopływów spotykających się na tych stopniach, z każdego wylewa się ciemna masa wody. Za nimi sklepiony sufit rozciąga się jak w katedrze. Widzę to

tylko dzięki jasnemu owalowi przypominającemu świetlik, dostrzegam też wąską, metalową drabinę prowadzącą do studzienki, która jest jak drwina, bo znajduje się o jeden poziom wyżej, poza moim zasięgiem.

Głosy są coraz bliżej. Żółtooki wystawia głowę z jednego z bocznych tuneli, metr albo dwa nade mną, i świeci w dół latarką.

– Tutaj! Ona jest tutaj! – krzyczy, niemal popiskując z podniecenia. Odpowiada mu jakiś głuchy głos, jakby ktoś mówił pod wodą. – Pomóż! Pomóż mi zejść! – wydziera się Żółtooki.

Leniwiec szarpie mnie za ucho, ciągnie za ramię, żebym wstała. Gramolę się z bólem na czworakach, zatrzymując się tylko po to, by wyrwać kolec Jeżozwierza z goleni, a potem spełzam w dół, do następnego stopnia i jeszcze kolejnego.

Stopnie rozplaszczają się, tworząc arterię o szerokości metra. Próbuję iść wąskim brzegiem kanału, ale cement się kruszy i jest śliski. Nie mam czasu, by balansować na skraju, więc zsuwam się do potoku rwącej wody. Sięga mi do bioder i jest strasznie ciepła, jakby ktoś do niej nasikał. Gdzieś za sobą słyszę plusk, ale akustyka tunelu zniekształca wszelkie odgłosy, dlatego nie mam pojęcia, czy dochodzi do mnie z oddali czy z bliska. Ryzykuję i oglądam się za siebie, ale widzę tylko mrok.

Woda wpływa do niszy, a arteria pokonuje

zakręt. Otoczenie się zmienia, nowoczesny cement ustępuje miejsca staroświeckim cegłom, wiktoriańskiemu relikтови ze złotej epoki miasta. Wyłazę ze strumienia i chowam się, przyciskając plecami do muru, przykucając wśród gruzu, starając się zrobić jak najmniejsza, i jednocześnie sprężam się, by w razie czego natychmiast poderwać się do biegu. Leniwiec leży skulony na mojej piersi, nadal w temblaku. Gwałtownie się trzęsie. Czuję na plecach łaskotanie jakichś płochliwych stworzeń. Nie zamierzam o nich myśleć. Mam nadzieję, że to nie karaluchy.

– No już, cip-cip, cip-cip! – woła Wredny z jakiegoś miejsca w tunelu. Słysząc, że jest wkurzony.

Odpowiada mu tylko nerwowy chichot dziewczyny. Co oznacza, że albo Żółtooki się zamknął, albo znają tunele lepiej niż ja, rozdzielili się i teraz on czeka gdzieś tam w przedzie. Muszę się dostać do drabiny.

Odgłosy pluskania przeobrażają się w Żółtookiego z latarką, po nim w ostrożnej odległości podąża Wredny, który brnie samym środkiem kanału; w uniesionej ręce trzyma śrubokręt, a na twarzy ma podwójną szramę. Mam nadzieję, że dostał zakażenia. Rany zadane przez Zwierzęta czasami jątrzą się na dziwne i straszne sposoby.

Przywieram do muru, Leniwiec garbi ramiona, żeby zrobić się mniejszy, i wtyka łeb w moją szyję.

Oboje wstrzymujemy oddech. Tamci mijają nas w bardzo bliskiej odległości, Żółtooki nuci coś bez melodii. Jeśli zajdą dostatecznie daleko, będę mogła zawrócić.

Gdzieś za nimi dziewczyna piszczy ze zdumieniem.

– Nie brechtaj! – wydziera się na nią Wredny, nie oglądając się w jej stronę.

Busi ukazuje się chwilę później; sunie ostrożnie brzegiem kanału, używając mojej komórki jako źródła światła. Potrząsa stopą jak kociak i podnosi przemoczoną tenisówkę, ze sznurowadłami umazanymi błotem.

– Tumiii – skomle, usiłując wyżyć but. – Tu jest ślisko.

– No to idź środkiem – odwarkuje Wredny z głębi tunelu.

Dziewczyna pochyła się, żeby włożyć mokry but na bosą stopę. Potem podnosi wzrok, patrzy prosto na nas. Przykładam palec do ust, błagalnie. Busi wytrzeszcza oczy. Raz-aligator. Dwa-aligator. Trzy-aligator. Cztery-aligator. Pięć-aligator. Sześć-aligator. I potem zaczyna się drzeć:

– Tutaj! Tumi! Ona jest tutaj, ona jest tutaj, ona jest tutaj!

Cholera. Tyle jeśli chodzi o solidarność ofiar. Wpycham ją do kanału. Jej słaby krzyk urywa się zniecka, kiedy idzie pod wodę. Wyłania się

sekundę później, dziko się miotając i parskając, bez buta i bez mojego telefonu.

– Wstawaj! – wydzieram się na tę idiotkę, do której nie dociera, że woda sięga jej zaledwie do pasa, może do piersi.

Wredny Tumi brnie w moją stronę, szczerząc się w uśmiechu. Żółtooki idzie tuż za nim, hałaśliwie pluskając.

– Może zechcesz pomóc swojej dziewczynie. – Zostaję tam, gdzie jestem, oparta plecami o mur; jedną ręką macam dookoła swoich stóp, szukając jakiegoś odłamka gruzu. – Woda się podnosi.

– Da radę – mówi, ale Żółtooki przystaje i podnosi ją. Dziewczyna przewraca się na niego, łkając, niemalże wciągając go z powrotem do wody.

– A co z tobą? – pytam Tumiego. To tylko granie na czasie. Znalazłam to, czego szukałam. Zaciskam dłoń na kawałku cegły, podnoszę się i ciskam z całej siły, nie w jego głowę, tylko w dłoń.

Tumi wrzeszczy i upuszcza śrubokręt, który wpada do wody i znika, wartki nurt wymiata go razem z innymi śmieciami. Busi wydziera się z przerażeniem.

Tumi gramoli się z wody i rzuca w moją stronę, ale zamiast mnie chwyta ramię Leniwca, wydzierając go z temblaka i wrzucając do kanału. Zwierzak wpada do wody, zbyt zaskoczony, żeby wydać jakiś dźwięk.

– I co teraz? – szydzi Tumi. Nie widzi ani tego, że Leniwiec wychynął na powierzchnię, ani tego, że płynie już do brzegu, elegancko prując wodę długimi ramionami. Niestety, przegrywa walkę z prądem, który go znosi.

– Chrzań się – mówię i dźgam Wrednego w szyję ułamanym kolcem Jeżozwierza. Nie czekam na rezultaty, tylko przyciskam do siebie torbę i rzucam się do kanału śladem Leniwca.

Wyływamy wiele kilometrów dalej, sklejeni z sobą, mocno poobijani, bo ciskało nami o betonowe mury, a oprócz tego odnieśliśmy kilka pomniejszych obrażeń w wyniku niespodzianych kolizji z ułamanym konarem zaklinowanym pod wodą, który podrapał nas po rękach i nogach.

Zbieranie sił, by wstać i iść dalej, trwa długo, a kiedy nasadzam sobie Leniwca na ramiona, jest tak przemoczony, że waży jakby dziesięć kilogramów więcej. I złowieszczo milczy. To dowód na to, w jak wielkim szambie się znaleźliśmy, bo normalnie jest pierwszy do narzekania albo pobekiwania mi do ucha, kiedy chce mnie ochrzanić.

Najgorsze jest to, że nie mam fioletowego pojęcia, gdzie wylądowaliśmy. Bynajmniej nie jestem światowym autorytetem w dziedzinie kanałów burzowych Joburga, ale bywałam tu dostatecznie często w poszukiwaniu zagubionych rzeczy, by znać

podstawowy układ terenu. A tu niczego nie rozpoznaję. Tunele to czarny jak węgiellabirynt przypominający wewnątrz kopca termitów, niektóre tunele zwężają się i zniecka kończą, jakby ten, kto je wykopywał, znudził się i poszedł w długą. Niewykluczone, że kiedyś to były odkrywki złota, gdy po Johannesburgu wciąż szalały hordy poszukiwaczy babrzących się w błocku. Kto wie, może przyniesiemy do domu samorodek wielkości głowy Leniwca.

Leniwiec prowadzi mnie przez mrok, ściskając moje ramiona jak kierownicę roweru. Gdyby tylko udało nam się znaleźć coś zagubionego, to wtedy znalazłabym też połączenie z domem, coś w rodzaju szlaku z okruchów.

A jednak mija wiele godzin, a my nie natykamy się na nic – ani na nic zgubionego, ani na wyjście, nawet nie na korytarz, który prowadziłyby dokądkolwiek; w tej wilgoci i ciemnościach pokonujemy tylko jedną ślepą uliczkę za drugą. Leniwiec wydaje pojedynczy pisk, hałaśliwy bek, kiedy osuwam się bezwładnie na mur. Strasznie bołą mnie nogi i ściska mnie w brzuchu, jakby głód był cukierkiem, którego da się ssać.

– Nie ciskaj się, koleś. Wydostaniemy się stąd – mówię. – Nie ma problemu.

Ale on widzi, że sama sobie nie wierzę. Tutaj jest tak czarno, że moje oczy wymyślają duchy, fale

czerni na czarnym tle, w ten sposób nadrabiając za deprivację zmysłów. I jest cicho jak w jakimś czyścú.

Nagle Leniwiec zaczyna ćwierkać i gwałtownie zadziera głowę. Pływanie to nie jedyna czynność, którą wykonuje lepiej ode mnie. Nadstawiam uszu. I serce wpada mi do żołądka.

– To oni?

Słysząc głucho dudnienie, niemal niesłyszalne, ale ono narasta, jak houseowe granie urastające do crescendo. Podnoszę się pospiesznie.

– Woda?

Media stale donoszą o nastolatkach utopionych w kanałach ściekowych, porwanych przez powodzie, które pojawiają się praktycznie znikąd, akurat gdy oni zabawiają się w tunelach, paląc marychę albo szukając żółwi ninja.

Leniwiec kląska jednak z irytacją, każąc mi się zamknąć: to jest coś innego. Bije mnie po twarzy łapą, tak jak wtedy, gdy zdarzy mi się zasnąć.

– No dobra, dobra – mówię, podnosząc się chwiejnie, idąc tam, gdzie mi każe, w stronę epicentrum hałasu. Lepiej, żeby to nie była ściana wody.

Dudnienie wibruje w głębinach tuneli, narastając jak trzęsienie ziemi, powodując, że dzwoni mi w zębach. Daleko w przedzie majaczy jakaś łuna, być może łuna cywilizacji. Czuję w trzewiach rozbłysk



nadziei. Brnę dalej, mijam zakręt i wchodzę prosto w oślepiające, sztuczne światło. Na ścianach tunelu widzę teraz ogromne, metalowe żebra, przez co mam wrażenie, że znalazłam się w brzuchu wieloryb-roboty. A potem w odległości kilku cali od mojej twarzy przelatuje szklany bicz i słyszę poszczykiwanie metalu.

Zza okna wygląda czyjaś zamazana różowa twarz, z ustami otwartymi w idealne „O” zdziwienia; Zinzi December cudem uniknęła śmierci w zderzeniu z pociągami linii Gautrain i ta zszokowana twarz to jedyny świadek tego zdarzenia.

## 21

Dzielnica Brixton nie dorównuje tym najlepszym, ale od czasu powstania „House of Nsako” i teraz „Kontrewolucjonisty” ten teren zdecydowanie robi furorę, do czego należy dorzucić zirytowanych mieszkańców skarżących się na hałas i samochody blokujące dojazd do ich domów. Podchodzę do wejścia, utykając tylko nieznacznie. Zmywanie smrodu ścieków z futra Leniwca zabrało mi kilka godzin i musiałam włożyć w koszulkę z długim rękawem pod bezrękawnik z lat sześćdziesiątych, żeby ukryć najgorsze zadrapania. Ale poza tym oboje jesteśmy w dość niezłym stanie, jeśli wziąć pod uwagę traumy doznane tego dnia: to, że musiałam przekonać strażników kolei Gautrain, żeby mnie przepuścili, i to, że musiałam długo szukać w Sandton takiej taksówki, która zechciała zabrać brudną, mokrą i cuchnącą zooluskę do miasta. Przynajmniej odzyskałam swój samochód.

Numer, który dał mi Vuyo, należał, jak się okazało, do zrzeczenia taxi. Operatorowi udało się sprawdzić zapis zlecenia o drugiej czterdzieści sześć w niedzielną noc.

– Tak, odebraliśmy telefon – potwierdza zrzędlawie. – Taksówka miała podjechać na adres Highbury Road 14 w Brixton. To jakiś klub.

„Kontrewolucjonista” czy jakoś tak. Miał być stamtąd kurs do Morningside. No to zapłaci pani?

– Za co?

– Klient się nie pokazał. Nasz kierowca czekał dwadzieścia minut. Mógł w tym czasie odbyć dwa kursy. To stracony dochód. To...

Już się rozłączam.

Drzwi do „Kontrewolucjonisty” są dramatycznie duże, lśniące i czarne, z ogromnymi, posrebrzanymi uchwytyami w kształcie odwróconych C i R. Ze środka dudni hip hop, rzeźkie teksty do mocno złowieszczych melodii. Bramkarz nosi ciemne okulary i czerwono-czarną marynarkę ze złotym hełmem przypiętym do klapy, do tego trzeba dodać masywnie zbudowane ramiona i potężną dawkę agresji. Kiedy jednak ociągam się na zewnątrz, porzuca to niedobre podejście i unosi aksamitny sznur.

– Wchodzisz?

– Czekam na kogoś – mówię. – Dzięki. – Ów ktoś ma się zjawić dopiero za godzinę. Jestem opętańczo wcześnie, ale spotkanie z Gio nie jest najważniejszym punktem tego wieczoru.

– Lepiej zaczekać w środku, będzie cieplej – radzi bramkarz. – Ja tylko mówię.

– Niby tak, ale w środku nie wolno palić. – Wystukuję papierosa z paczki lightów kupionych specjalnie na tę okazję. – Pamiętasz, jak leciało w tej

piosence? „Walczyłem z prawem”.

– „I prawo wygrało” – dopowiada bramkarz, pstryka tanią, plastikową zapalniczką i przykłada ją do mojego papierosa. Palenie: wciąż numer jeden na liście łamaczy lodów znanych ludzkości. Bramkarz omiata wzrokiem sińce na moim przegubie.

– Będzie problem z Leniwcem?

– Ty mi powiedz.

– Ale nie ma jakiejś obowiązującej polityki?

– Możemy zakazać wstępu.

– Kto o tym decyduje?

– Ja.

– Nie jesteś specjalnie wymowny.

– Nie za to mi płacą.

– Więc kogo nie wpuszczasz?

Odlicza wykroczenia na palcach. Kłykcie ma pokryte delikatnymi bliznami, a dwa palce ujęte w łubki. Domyślam się, że uprawia boks amatorski. Nie ma to jak praca w takiej miłej dzielnicy; żaden inny bramkarz nie ma okazji napatrzeć się na tyle scen akcji.

– Źle ubranych. Pijanych. Znanych dilerów. Ludzi ze złym nastawieniem.

– Ja jestem dobrze ubrana?

– Tak.

– Moje nastawienie ci odpowiada? – Ciskam na ziemię peta i miażdżę go czubkiem buta.

Jego zachowanie zmienia się zniecka.

– Ej, jesteś jedną z tych nowych dziewczyn? – pyta ostrym tonem.

– Może chciałabym być. – Takiego obrotu spraw się nie spodziewałam.

– Bo wejście dla personelu jest od tyłu. Joey wie, że tu jesteś?

– Nie jestem pewna.

– Lepiej idź sprawdź. I zabierz stąd tego peta. – Dopiero po sekundzie dociera do mnie, że mówi o moim papierosie, a nie o Leniwcu.

– Dzięki. A jak ci na imię, bo nie dosłyszałam? – mówię, podnosząc peta i chowając go do kieszeni.

– Ronaldo.

Wejście dla personelu prowadzi do kuchni. Mężczyzna rozpakowujący gotowe rulony *maki* z lodówki każe mi wejść na górę. Zapamiętuję, że w tym lokalu sushi należy sobie odpuścić. Idę w głąb korytarza, mijając szeregi szafek dla pracowników i otwarte drzwi toalety, w której grupka pięknych i przerażająco młodych kelnerek poprawia makijaż, a potem na górę, w stronę drzwi z tabliczką KIEROWNIK. Pukam i wypełniam rozkaz, kiedy słyszę opryskliwe: „Wejść!”.

Drzwi otwierają się na surowe biuro z widokiem na salę taneczną poziom niżej, przy czym widok uzupełnia monitor połączony z CCTV, które przełącza obraz z kamer co jakieś dwadzieścia sekund, w tym również z zawieszonych w toaletach

nad umywalkami. Nad rozłożonym arkuszem papieru siedzi kobieta gigant, jeśli można tak wnioskować na podstawie odbicia w oknie. Kobieta ze znużeniem podnosi wzrok i ściąga okulary, jakby nie była przyzwyczajona do ich noszenia. Albo nie była przyzwyczajona, by ją w nich oglądano.

– *Ag* nie. Nie-nie-nie – mówi Joey na mój widok. Ma popielatoblond włosy, ułożone tak równo jak wojskowy koc, a na powiekach srebrzysty cień, który akcentuje różnicę między jej oczyma, bo jedno jest niebieskie, a drugie orzechowe. Jest ubrana we frak z gorsetem, który z jakiegoś powodu kielżna jej bujne kształty, ale nie cycki, które robią, co mogą, żeby uciec i przejąć panowanie nad światem. W Poprzednim Życiu zapewne zrobiła majątek, jak podejrzewam, na ocieraniu się o rurę, połączonym z mnóstwem okrążeń.

– Nie wiem, kto ci kazał do mnie przyjść, moje dziecko. Ale jesteś o wiele za stara. Przykro mi.

– Nie mogę być nawet kelnerką? – ryzykuję.

– Sorry, mój aniele. To trochę za dużo egzotyki, nawet jak na naszą klientelę. Ale może na przykład w „Lisiej norze” przyjmą tak dojrzałą dziewczynę jak ty.

– Ojej, tak strasznie się napaliłam na pracę tutaj – jęczę chwilę i próbuję robić błagalną minę. – Odi powiedział, że mogłabym tu pracować.

– Co ty powiesz? No to masz pecha, *skattebol*,

[*skattebol* (afrikaans) - pieszczotliwe określenie, skarbie, kotku] ale niestety, daleko ci do małej Carmen. Jakby co, to przekaz Odiemu, że może się wtrącać do spraw personelu, pod warunkiem że raczy się tu pokazać osobiście, nie inaczej. – Jej uwaga przenosi się z powrotem na komputer, jakby to był magnes. – Jesteś tu jeszcze? – pyta, nie podnosząc wzroku.

Pojmuję aluzję i ruszam w stronę baru.

„Kontrewolucjonista” z zewnątrz to dekadencja lat dwudziestych skrzyżowana z elektrogłazem: taki Wielki Gatsby w poetyce Lady Gagi, w odcieniach bieli i srebra. Nad owalnym barem z niskim, białym kontuarem miękko podświetlonym od spodu wisi masywny żyrandol z przezroczystej pleksi w abstrakcyjnych kształtach. Odi nie poskąpił grosza, ten lokal to daleki krzyk w porównaniu z grungeową salą muzyczną „Bass Station”. Sala do tańca jest obrzeżona przegrodami obitymi chłodną, kremową skórą; te przegrody zakrzywiają się pod takim kątem, że każdy może mieć minimum prywatności, a jednocześnie maksymalnie dużo widzieć i być oglądany. W górze, naprzeciwko siedzeń, na podwyższeniach zamontowano budki dla didżejów w kształcie trzech wielkich łuków dodatkowo odgradzonych białymi bambusowymi poprzeczkami przeplecionymi wstążką.

– Jesteś nową dziewczyną? – pyta barman, wskazując skinieniem głowy klatki z tancerkami.

Byłby piękny jak jakiś model, gdyby nie ten przydługi nochal i zbyt blada skóra w białej poświacie neonów.

– Nie, tylko stałym bywalcem. Dasz mi Dż z T? Bez Dż.

– Nie ma sprawy – mówi, nalewając tonik.

– A właściwie to daj mi pełne równanie. – Ignoruję syka Leniwca. – Chyba sobie zarobiłam.

– Skoro tak mówisz. – Nalewa mi podwójnego drinka.

Leniwiec wyciąga łapę i próbuje zmieścić szklanekę z baru.

– Ej, tylko mi tu nie brykaj! – upominam go, chwytając jego łapę w połowie wymachu. – Sorki, nie daje sobie rady z alkoholem.

– Tak, słyszałem o tym – mówi barman. – Masz wpływ na to zwierzę?

– No jest problem – przyznaję. – Masz tu jakieś miejsce, gdzie mogłabym go przechować? Może jakaś szatnia?

Barman kręci głową rozbawiony, ale pytanie tak naprawdę nie było skierowane do niego. Od strony galerii na moim karku nie ma więcej prób przeszkodzenia mi w picciu. Czuję się beztroska. To miły stan.

– Jestem za wcześnie, prawda? – pytam, lustrując terytorium.

– Impreza się rozkręca około jedenastej,



dwunastej. Nawet w środku tygodnia.

– A kto tu przychodzi?

– Bogaci. Trendy. Piękni. Stada lepszych ludzi.

– Pewnie co noc sypiasz z innym towarem. Jak ci na imię?

Autentycznie się czerwieni.

– Mam dziewczynę. I mam na imię Michael.

– Co robisz, kiedy nie stoisz za barem, Michael?

– Jestem studentem. Biologia morza na University of Johannesburg.

– Biologia morza? To chyba jesteś w złym mieście.

– Słowo daję!

– Czy mogłabym się dołożyć do transferu do jakiejś placówki na wybrzeżu? – Wtykam pięćset randów pod swoją podkładkę pod szklanę.

– A to za co?

– Tylko za nazwisko bramkarza, który był blisko z Songwezą Radebe.

– Jesteś z „Heat”?

– Z czegoś w tym guście.

– Oberwę za to potem?

– Zlituj się, Michael. Nawet nie znam twojego nazwiska.

Zsuwa podkładkę z baru, pięćsetka znika razem z nią bez śladu.

– Ronaldo. Ro. Ale zdaje się niewiele z tego wyszło.

– To zazdrosny typek?  
– Nie, naprawdę miły facet. Zawsze się nią opiekował. Nie lubił, kiedy tu przychodziła, bo jest taka młoda. Rozumiesz, zły wpływ.

– Och, wiem.  
– Kilka miesięcy temu stłukł na miazgę jednego gościa, który próbował podrasować jej drinka. Tak się czasami dzieje. W zeszły piątek znaleźliśmy w toalecie nieprzytomną dziewczynę. Joey się mocno wkurzyła, bo musieliśmy wyważyć drzwi kabiny. Byłaś już w toalecie?

– Jeszcze nie.  
– To żałuj. Chłuba lokalu. Te drzwi kosztowały dziesięć patyków za sztukę.  
– Ludzie dużo tu targają prochów?  
– Oficjalnie nie. – Robi się chłodny, nagle bardzo go pochłania kruszenie lodu do koktajli.

Podejrzewam, że drag o nazwie *skinder* nie jest wliczony w obsługę. Większość regulaminów klubowych to takie gadanie bez pokrycia albo w najlepszym razie system służący do barykadowania się przed dilerami, którzy nie mają ustalonej pozycji, takimi, którzy handlują trefnym towarem albo nie chcą się podzielić z lokalem zyskami. Prawie wszystkie nocne kluby mają własnych dostawców usług. Nietrudno ich znaleźć, jeśli się wie, gdzie szukać.

Popijam mój Dż z T i przyglądam się, jak klub

zaczyna się zapełniać. Mówiąc o „lepszych ludziach”, barman miał na myśli starszych facetów w niezliczonych odmianach garniturów oraz towarzyszące im młode dziewczyny w małych czarnych. Siadają w przegrodach i zamawiają szampana z górnej półki albo whisky single malt. Młodszy, bardziej klubowy tłum jest ubrany swobodnie, w projektanckie dżinsy i tenisówki; ci zazwyczaj walą prosto do baru. Nie ma w tych ludziach nic interesującego.

Rzeczywiście wyłuskuję tutejszego dilera, albo raczej to on wyłuskuje mnie. Feromony ćpunka przyciągają go jak pedofila, który zasadził się na żłobek. Podchodzi tanecznym krokiem, żeby się do mnie dosiąść, ot, zwyczajny chłopak, który podrywa samotną dziewczynkę z Leniwcem. Jest facetem o urokliwym wyglądzie, z lokami piaskowej barwy, ubranym w koszulę licealisty i bawełniane spodnie. Gość tego pokroju, który wzbudziłby zadowolenie w twoim tatusiu, gdybyś go przyprowadziła do domu.

– Cześć, kiciu – mówi. – Jeszcze cię tutaj nie widziałem.

– Pierwszy raz.

– Dobrze się bawisz?

– Jasne.

– Mike powiedział, że być może czegoś szukasz...

Michael jest zajęty po drugiej stronie łuku, bo

obsługuje watahę szykownych dziewczyn w topach wysadzanych kamykami i czarnych biznesowych spódniczkach; zwykły drink po pracy powoli przeistacza się w całonocną imprezę, dlatego już zaczynają się robić wyluzowane i rozmemłane.

– Tak powiedział?

Leniwiec garbi się i syczy na faceta.

– Hej, ja tylko powtarzam. Jeśli uważasz, że ci się narzucam, to mogę sobie iść.

– Dzięki, dzisiaj poprzestanę na tym.

Jego swobodny uśmiech nie gaśnie nawet na chwilę.

– No to może później, laleczko. – Mruga, nikt nie w tłumie i jakiś czas potem zauważam go, jak tańczy z dziewczyną w satynowym topie i dżinsowych biodrówkach, które zjechały trochę za nisko, ujawniając majtki w gwiazdki i spory fragment przedziałka jej dupki.

– Tu jesteś. – Gio opada na stołek obok mnie. Sądząc po tonie głosu, jest nadal wkurzony, ale też wziął się trochę w garść. Spryskał się bardzo subtelną, bardzo drogą wodą kolońską. – Dlaczego nie odpowiadasz na telefon? Dzwoniłem do ciebie całą noc.

– Moje drogi i drogi telefonu się rozeszły. Nazwij to taktycznym wycofaniem się.

Nie słucha mnie.

– Ten gość cię molestował? W tym lokalu bywa

jak na targu mięsem.

– Chcę cię prosić o przysługę.

– Hola, hola, proszę pani. Nie chcę nic mówić, ale ty już masz krechę, jeśli chodzi o urzędowe przysługi.

– Pokłóć się ze mną. Na zewnątrz.

– Zmierzamy w tym kierunku, zapewniam cię. Tylko w jakim celu?

– Kiedyś wspaniale się kłóciliśmy, pamiętasz?

– Sąsiedzi trzy przecznice dalej pamiętają do dzisiaj, Zee.

I to, co było potem.

– Nie pamiętam, żebyś się skarżył na pojednawczy seks.

– Za bardzo się bałem – mówi z szerokim uśmiechem. Ta rozmowa go rajcuje. Kiedyś uprawialiśmy różne gierki w łóżku i nasze wrzaskliwe sprzeczki były zawsze grami o władzę.

– No już. Wychodzimy. Może będziesz musiał trochę mnie sponiewierać.

– A to coś nowego. To w pierdłu uczą takich zbereństw?

Posłusznie idzie za mną, kiedy zmierzam do wyjścia. Modlę się w duchu, żeby Ro go nie zabił przy okazji.

Kiedy już prawie jesteśmy przy drzwiach, popycham go z całej siły i zaczynam się wydierać:

– Powiedziałaś, zostaw mnie, kurwa! – I

wypadam na ulicę, teatralnie utykając.

Chwyta mnie za ramię, cały ogłupiały.

– Że co?

– Wbij to sobie do łba, Giovanni. To już koniec!

– Niewykluczone, że przesadzam, ale to ten dżin śpiewa w mojej głowie. – Między nami nigdy nic nie było! I przestań za mną łązić, bo już mi się chce od tego rzygać!

– Ach tak? – odparowuje Gio, wchodząc w rolę.

– No dobra... a co z dzieckiem?

– Nie było twoje – improwizując, cedzę jadowicie.

– Suka! – Podnosi rękę, udając, że chce mnie uderzyć, ale jego ręka więźnie w połowie wymachu, pochwycona w mocarny uścisk dłoni, która zaciśnięta w pięść dorównuje wielkością głowie Gio.

– Wieczorne uroczystości doszły do przedwczesnego końca, przyjacielu – mówi mężczyzna umocowany do pięści. – Więc może już stąd zmykaj. – Ronaldo wykręca nadgarstek Gio, przez co Gio jest zmuszony się skulić śladem ruchu swojego ramienia.

– Aua! To nie tak, jak myślisz! – skrzeczy Gio. – Aua!

– To ci właśnie powtarzam, ty namolny zboczeńcu! – mówię, podnosząc głos. – To koniec. Zostaw mnie w spokoju!

– Słyszałeś ją. Zabrałeś wszystko z lokalu? –

Ronaldo nie przestaje ścisnąć jego nadgarstka, aż w końcu zmusza Gio do padnięcia na kolana.

Gio przytakuje.

– To w takim razie życzę przepięknego wieczoru, sir – mówi Ronaldo, uwalniając jego rękę. Gio gramoli się z ziemi. – Nie chcę cię tu oglądać przez jakiś czas.

– Jezu. – Gio obdarza mnie tak plugawym spojrzeniem, że rynsztok by się przy nim zarumienił. – Mam, kurwa, nadzieję, że jesteś uszczęśliwiona. – Idzie marszowym krokiem w głąb ulicy, gimnastykując nadgarstek i klnąc bezgłośnie.

– Dziękuję ci. Nie uwierzysz...

– I ciebie też nie chcę tu oglądać przez jakiś czas. – Ujmuje mnie silnie za ramię i ciągnie cichym głosem: – Nie wiem, w co ty się bawisz, ale mnie w to nie mieszaj.

– Okay, przepraszam... – mamrocze, postanawiając jakoś się z tego wyłgać. – Próbowałam ściągnąć na siebie twoją uwagę. Wiem, że pomagałeś Song Radebe i...

– I sama zobacz, co z tego mam – przerywa mi, zdejmując lustrzanki i pochylając się blisko, dzięki czemu mam pełny obraz. Ktoś mu mocno przywalił. Ma posiniaczoną twarz, jego prawe oko to zażawiona szczelina w fioletowym worku. Na wnętrzach przegubów są ślady po przypaleniach papierosami. Niewykluczone, że te palce w łubkach

to wcale nie jest kontuzja boksyrska.

– Muszę wiedzieć, gdzie ona jest.

– Nie powiedziałem im tego – mówi, prowadząc mnie siłą do rogu ulicy. – Dlaczego miałbym powiedzieć tobie?

– Bo ja próbuję jej pomóc.

– Ja nic o tym nie wiem. I może ty sama też o tym nie wiesz.

– Przynajmniej powiedz mi, kim są ci oni.

– Mam was powyżej uszu, zasrane zoolusy.

– Czeka, to znaczy, że to był Marabut? I Maltańczyk?

– To znaczy, że masz tu nie wracać. – Popycha mnie z taką siłą, że wykręcam sobie nogę w kostce i przy okazji gubię obcas. Odwraca się i idzie w stronę drzwi, skąd wylewa się światło i basowe brzmienia, pozostawiając mnie pod latarnią, z jednym butem nieco mniejszym od tego, w którym tu przyszedłem. I również nieco mniejszą godnością.

Leniwiec otwiera pysk, żeby westchnąć tonem „a nie mówiłem?”

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegam go, wrzucając do ust miętówkę, by zamaskować woń dżinu.



– Nie możemy dłużej tego robić – oświadcza Benoit, podnosząc moją rękę z płataniny prze poczonej pościeli. Obraca dłoń i dotyka ustami opuszki palców, każdy po kolei, całując je tak lekko, że już lżej nie można.

– Aha. Stwierdzasz oczywistość? A jaka to różnica dla twojej żony jeszcze ten jeden raz? Ona będzie cię miała już do końca życia. Albo dopóki nie weźmiecie rozwodu z powodu jakiejś bzdury, jak na przykład wyciskanie pasty do zębów od góry tubki. Albo, no wiesz, okaże się, że po tych pięciu latach jesteście sobie totalnie obcy.

– Dla mnie to jest różnica.

– Ty siebie też będziesz miał do końca życia. – Przewracam się na brzuch, żeby go dosiąść. – I co? Będziesz mógł z tym żyć?

– Złaż, więdźmo.

– Wcale tego nie chcesz. – Pochylam się, żeby go pocałować, przywierając do jego piersi i gładkiej, martwej tkanki blizn, które niczego nie czują.

– Czy ja nie zasługuję na jakiś okres regeneracji? – pyta, odciągając mnie za nadgarstki, jakby chciał uprawiać ze mną zapasy. Ale wcale nie ma takich intencji.

– Już ja ci pokażę, na co zasługujesz – mówię,

opuszczając się niżej.

Później siadam na skraju łóżka, na podwiniętej stopie, i zmagam się z tanią, plastikową zapalniczką, którą ukradłam Ronaldowi; zapalniczka klika radośnie jak w zabawie w rosyjską ruletkę.

– Wiesz już, dokąd jedziesz?

– Do Burundi. Są na wschodzie, w obozie o nazwie Bwagiriza, niedaleko miasta Ruyigi. Podobno jest tam bezpiecznie, jeśli chodzi o działania wojenne. Konsolidują się, przenoszą ludzi w jedno miejsce. Tak jest lepiej.

– Ale nadal niezupełnie ośrodek wypoczynkowy.

– To prawda, surferzy mają zagrodzoną drogę do plaży. – Uśmiecha się, ale to udawany uśmiech, jak projektanckie metki na pchlim targu Bruma Lake.

– Zepsuła się maszyna do waty cukrowej. I baloniki odfrunęły. Rebelianci zabrali z sobą wszystkie pluszaki. Rozmawiałeś z nią?

– Jest tylko jeden telefon satelitarny.

– Więc tak naprawdę wcale nie masz pewności, że to rzeczywiście oni. – Udaje mi się skrzesać iskrę, ale jej żywot jest zbyt krótki, żeby zapalić papierosa. Psiakrew. *Pstryk-pstryk*.

– Pracownik ONZ zeskanował kopię jej *carte d'identite*.

– Mogła zostać ukradziona. Ktoś mógł sobie przywłaszczyć jej tożsamość. W brytyjskich ośrodkach dla uchodźców robią teraz testy

genetyczne, żeby sprawdzić, czy jesteś rzeczywiście tą osobą, za którą się podajesz. Czy zwracałeś się o porównanie DNA tej osoby z DNA twojej prawdziwej żony? Mają dokumentację dentystyczną?

*Pstryk. Pstryk.*

– Dla mnie to też nie jest łatwe – mówi.

– Och, odwal się, Benoit – odpowiadam mu, nie przestając pstrykać.

– Cieszę się, że znalazłaś sobie kogoś innego.

– Ten szpiegujący wieprz D’Nice też się może odwalić. – *Pstryk. Pstryk. Pstryk.*

– To dobrze, Zinzi, tego ci właśnie trzeba.

Ciskam cholerną, zasraną, bezużyteczną zapalniczką w zasraną ścianę. I natychmiast tego żałuję. Teraz będę musiała zejść po zasranych schodach i kupić kolejną zasraną zapalniczkę w zasranej *spaza*, która o tej zasranej porze prawdopodobnie będzie i tak już zamknięta. Szukam na podłodze pod ścianą, w końcu znajduję zapalniczkę. Ten mały, plastikowy nosek się ułamał. Zdechła na amen.

– Cokolwiek jest między mną a Giovannim, ty już nie masz prawa się wtrącać do mojego życia, Benoit.

– Nie wiedziałem, że kiedykolwiek miałem takie prawo. – Patrzy na mnie, jakbym to ja była złym facetem. – Chcesz obejrzeć ich zdjęcia?

– Po co miałabym oglądać zdjęcia ludzi, dla

których mnie zostawiasz?

– Bo chciałybym ci je pokazać.

– Rany boskie. A niech ci będzie.

Potrzebuje kilku minut na przyniesienie zdjęć ze swojego mieszkania na górze. W międzyczasie udaje mi się pozyskać pudełko zapalek od kobiety wnoszącej na górę wiadro wody na głowie.

Po powrocie Benoit wyjmuje papierosa z moich ust i zaciąga się. Nigdy wcześniej nie widziałam go palącego. Potem siada obok mnie na łóżku, na kolanach ma plastikowe zawiniątko owinięte gumkami. Zaczyna zdejmować gumki i układać je schludnie obok siebie. Niektóre są praktycznie przegniłe. Jestem zaciekawiona, mimo trującego kwiatu wykwitającego w mojej piersi.

– Kiedy ostatni raz je oglądałeś?

– Wczoraj. A przedtem, nie wiem. Rok temu? Dwa lata? Kiedyś oglądałem je codziennie.

Odwija pierwszą warstwę ceraty. W środku jest jeszcze jedno zawiniątko, które skrywa ciasny zwój papieru owinięty kawałkiem wojskowego płaszcza przeciwdeszczowego i obwiązany sznurkiem.

To mieszanina prawdziwych zdjęć i komputerowych wydruków; wszystkie zdążyły już spłowieć, a papier zmiękł od zbyt częstego miętoszenia w rękach i trudów podróży przez cały kontynent. Benoit, jakaś kobieta i troje dzieci w wieku tak na oko od dwóch do siedmiu lat, stoją na

tle niewysokiego muru, formalnie upozowani, bez uśmiechów. Rysy ich twarzy są niewyraźne. Wyprane. Już przypominają duchy.

Ta sama kobieta, mocno zmęczona, owinięta w jaskrawożółte prześcieradło; trzyma noworodka o skurczonej twarzy i mocno zaciśniętych powiekach, bo razi go światło; na samym dole widać głowę małej dziewczynki, która jakby nie mogła znieść, żeby ją pominięto, i dlatego wcisnęła się w kadr.

Ta sama mała dziewczynka trzyma dziecko w ramionach, huśta je zamazyście.

Mały chłopiec siedzi w kartonowym pudle, uśmiecha się szeroko, chwając się, że ma już jeden ząb.

Rodzina znowu pozująca formalnie przed fontanną w jakimś mieście.

To samo tło, ale tym razem Benoit trzyma chłopca do góry nogami, jakby zamierzał wrzucić go do tej fontanny, podczas gdy reszta rodziny pęka ze śmiechu.

I jeszcze zdjęcie, które autentycznie wpycha moje serce do żołądka. Przedstawia bojaźliwie uśmiechniętą kobietę, z twarzą częściowo skrytą pod fartuchem; wyraźnie uprawia jakąś grę z aparatem. Czy raczej z mężczyzną, który trzyma ten aparat.

– Celvie – mówi Benoit. – Armand. Ginelle. Celestin. Celestin jest najmłodszy. Dwa i pół roku. Ma. mnóstwo energii. Trzeba go brać na smycz, bo

inaczej się go nie utrzyma.

Przeprowadzam obliczenia.

– Więc teraz ma sześć albo siedem lat.

– Siedem. Urodziny obchodzi w kwietniu. W przyszłym tygodniu. Siódme urodziny. Praktycznie jest już dorosły. Będę musiał zacząć zbierać na jego czesne. – Kącik jego ust podryguje ponuro, nawet nie w sztucznym uśmiechu. Oboje rozmyślamy o niebotycznym czesnym, o uniwersytetach ogólnie, o tym, dokąd może cię zawieść dyplom uczelni. Mój licencjat. Trzy lata na budowie maszyn w przypadku Benoita.

Zaczyna chować zdjęcia, ponownie pakując je w plastik, ściągając gumkami.

– Co im powiesz?

– Że tato się zgubił, ale tylko na chwilę.

– A co z Mangustą?

– A tam. – Benoit macha ręką. – Przyzwyczai się do nich. Może będą ją ciągnęli za ogon, ale nic jej nie będzie. Jest wredna tylko dla niegrzecznych dziewczyn z Leniwcami – mówi, dźgając mnie wymownie w bok.

– Uf. No cóż, w ogóle nie będę za tobą tęskniła.

– Ja nie pomyślę o tobie nawet przez sekundę.

– Wcale nie będę o tobie pamiętała, bo taka będę zajęta rżnięciem innych facetów. Będę jak... no właśnie, Benoit, jak kto?

– Przypomnisz sobie Mangustę, kiedy wylegną

się pchły.

– Nie przypomnę sobie. Nie będę cię pamiętała. Nie będę za tobą tęskniła. Nigdy cię nie kochałam. Nigdy cię nawet nie lubiłam. I głupio pachniesz. I te twoje stopy, te dupiaste stopy z nagniotkami... Są obrzydliwe. Będę zadowolona, że zniknęły z mojego łóżka.

– Ty też głupio pachniesz – mówi Benoit i całuje mnie w kość policzkową, w pobliżu zrujnowanego ucha.

Kładę głowę na jego ramieniu. Przez długi czas siedzimy w milczeniu.

*Pływam w basenie klubu sportowego Old Ed's. Tam i z powrotem, z idealnymi nawrotami – których nigdy wcześniej nie umiałam robić poprawnie – na każdym końcu, tam i z powrotem.*

*Jestem jedyną osobą w basenie. Stąd wrażenie, że jestem jedyną osobą w klubie. Młóczę rękami wodę, tworząc kanciaste, małe falki. Czyjś gwizdek nadaje rytm, którego muszę się trzymać, ale zostaję z tyłu. Nie jestem w stanie utrzymać tempa.*

*A z głębin pode mną, z tak wielkich głębin, jakby ten basen był zawieszony nad samym szelfem kontynentalnym, coś się podnosi, płynie w moją stronę. Coś z zębami.*

## 23

Budzę się z dreszczem, łomocze mi w głowie. Benoit śpi głęboko za moimi plecami, przez co jesteśmy skręceni jak dwa znaki zapytania. Jego wzwiedziony penis wpija się w moje plecy z niewinną uporczywością, niewtajemniczony w naszą decyzję, by zrzec się wzajemnego świadczenia sobie rozkoszy. To nie był sen. Te hałasy rozległy się naprawdę.

Siadam, uważnie nasłuchując. Odgłos biegnących stóp. Krzyk docierający z ulicy. Trzask drzwi. Kolejne krzyki. Strzały. Zupełnie bez sensu przychodzi mi na myśl Songweza. Dźwięki są stłumione, dlatego wydaje się, że mogą dobiegać od strony Twist Street. Wyglądam przez okno, żeby sprawdzić, ale na ulicy jest cicho, nie słyhać nawet szelestu żadnej reklamówki, która by uwięzła wśród drzew.

Na końcu łóżka pojawia się pysk Mangusty, która stoi na tylnych łapach i przygląda mi się w takiej pozycji. Pociąga nosem, wężąc.

– Tak to wygląda, jakbyśmy istnieli tylko ty i ja.  
– Wyślizguję się z łóżka, narzucając jakieś ciuchy i japonki. – Nieświęte przymierze.

Benoit ani drgnie.

Pałają się światła pod 608. Pukam delikatnie do



drzwi i pan Khan, ten mały krawiec, którego żona ma talent do wplatania antyzłodziejskich zaklęć do jego wyrobów, otwiera drzwi chwilę później. Kiedyś miał niewielką pracownię przy Plein Street, ale teraz stara się robić biznes za Wzgórzami Elizejskimi. Jego żona, pani Khan, uzupełnia swój wyrób zaklęć o doradzanie mieszkańcom w kwestii starania się o granty rządowe. Ma to szczęście, że może bez trudu ukryć swojego Czarnego Skorpiona w torebce, kiedy idzie na jakąś imprezę dobroczynną, żeby pomagać z podaniami i dowodami osobistymi.

Pan Khan gestykułuje, że mam szybko wejść, po czym natychmiast biegnie do okna i rozwijającego się dramatu. Przeszczępnę ponad belami tkanin, a potem przeciskam się obok maszyny do szycia do okna, przy którym swoje stanowiska zajęli już pani Khan, ich dwunastoletnia córka, sąsiadka z drugiej strony korytarza, świadcząca usługi seksualne, oraz jakiś mężczyzna, który, jak zakładam, jest jej alfonsiem. Wszyscy wyglądają na ulicę. Nie jesteśmy jedynymi mieszkańcami bawiącymi się drobnym dramatem o czwartej nad ranem. Vis a vis z okien też wychylają się ludzie, też patrzą, paląc papierosy i gawędząc.

– Wszystko przez te gangi – stwierdza z dezaprobatą pani Khan, balansując niemowlęciem, które śpi przy jej biodrze. – I jeszcze ta nic niewarta prywatna ochrona.

Policja to dowcip z puentą, którą już się kiedyś słyszało. Oddziały reagowania dozoruują Zoo City i tereny w centrum miasta w taki sam sposób, w jaki psy obsikują swoje terytorium. Interesuje ich wyłącznie dozór nad własnymi budynkami. Jeśli po przeciwnej stronie ulicy dochodzi do jakiegoś przestępstwa, to jest tak, jakby do niczego nie doszło. Tracą zainteresowanie, gdy tylko coś nie podpada pod ich jurysdykcję. Niestety, i Wzgórza Elizejskie, i Aurum nie mieszczą się w granicach sprywatyzowanego prawa. Właściciel naszych domów jest zbyt *snoep*, [*snoep* (afrikaans) - „skąpy”] żeby wykładać kasę na ochronę.

Znowu słycać trzask wystrzałów. Odbłysek lufy odbija się w popękanych szybach narożnego budynku. Potem jakiś mężczyzna wybiega na oślep spod osłony drzew rosnących przy alejce, ostrzeliwując się przez ramię. Jego adidasów poświsują na mokrym asfalcie jak na korcie tenisowym. Za nim sunie niezdarnie Niedźwiedź; rozgląda się w obie strony, jakby sprawdzał, czy coś nie nadjeżdża.

Nie jest to najbardziej osobliwa rzecz, jaką widziałam na naszej ulicy. Była na przykład przerwana próba gwałtu – pani Khan obudziła co większych mężczyzn z naszego piętra, którzy tak zbili niedosłego gwałticiela, że zapadł w śpiączkę. Była też taka jedna noc, kiedy D’Nice został dźgnięty

nożem, niestety nie śmiertelnie. Kilka dni temu na klatce schodowej popełniono morderstwo. Najdziwniejsza jednak była tamta noc, kiedy właścicielka lokalnego burdelu kazała swoim dziewczynom i ich menażerii paradować nago po ulicy, w nadziei, że to jej pomoże w interesach.

– Walki psów skończyły się źle – mówi jeden z facetów wychylających się z okien przy numerze 610, z wielkim przekonaniem.

– Jeszcze zdążysz porobić zakłady – mówi jego kumpel z bródką.

Ich śmiech brzmi pusto.

– A co wy tam wiecie! – zacha się pani Khan, wyraźnie zirytowana. – To na mur-beton wojna gangów. Ci spod 207 zaatakowali Kameruńczyków dwa tygodnie temu. To jest zemsta, sami zobaczycie.

Pan Khan stara się zagnać córkę do łóżka.

– No chodź, dziecko, musisz się wyspać przed szkołą.

Dziewczyna ani drgnie. To lepsze niż telewizja. I prawdopodobnie też lepsze niż szkoła, jeśli chodzi o edukację w dziedzinie życia.

Z ulicy dobiega nas kolejny strzał. Niedźwiedziowi gwałtownie opada ramię. Ryczy z bólu, prostuje się, a potem tak jakby dociera do niego, że lepiej jednak tego nie robić. Mężczyzna ciągnie Niedźwiedzia, starając się go poderwać z miejsca. A ten tylko znowu ryczy, a potem pada na

cztery łapy. Mężczyzna podrywa się do biegu, gestykulując nerwowo w stronę Niedźwiedzia, który jednak rusza za nim posłusznie. Ale już jest za późno.

Kolejne strzały to serie z AK-47, które rozpruwają zwierzę, przewracając je na bok. Mężczyzna krzyczy przeraźliwie, zaczyna biec w stronę Niedźwiedzia, po chwili przystaje niepewnie. Niedźwiedź wstaje niezdarnie, wykonuje jeden chwiejny krok i znowu pada na bok z zaskoczonym sapnięciem. Próbuje się podnieść, wyraźnie niczego z tego wszystkiego nie rozumiejąc. Znowu słysząc jakaninę AK-47. Przednie łapy Niedźwiedzia wyjeżdżają spod jego cielska; zwierzę uderza szczęką o krawężnik ze słyszalnym traskiem. Ludzie w oknach krzywią się. Łeb Niedźwiedzia bardzo powoli opada na bok. Mężczyzna obraca się i biegnie, jakby samo piekło deptało mu po piętach.

Ono mu będzie deptało po piętach.

Wszyscy zbiorowo wstrzymujemy oddech. *Tsotsi* z ulubioną bronią rewolucjonistów, przestępców i rewolucjonistów, którzy stali się przestępcami, wychodzi ostrożnie spod drzew; AK-47 przy biodrze jest gotowe do strzału. A nad jego ramieniem widać plamę wibrujących w miejscu skrzydeł. To Nektarnik. Mężczyzna podchodzi do Niedźwiedzia i trąca go stopą. Zwierzę nie rusza się. Ale on i tak opróżnia w niego jeszcze jeden magazynek. Nektarnik dopada do trupa, żeby

popatrzeć, i zaraz odfruwa.

W oddali słyhać syreny. Prywatna ochrona, nie policja. Słyhać to po natężeniu wycia. *Tsotsi* podnosi wzrok i widzi, że połowa mieszkańców budynku stoi w oknach, że mu się przyglądają. Macha do nas radośnie i kryje się za drzewami, Ptak frunie nad jego głową.

Wiemy, co teraz będzie. Nikt z nas nic nie mówi. Mangusta z drżącymi wąsikami spaceruje po gzymsie. Syreny zawodzą coraz głośniej. Niedźwiedź leży bez ruchu na chodniku, obok metalowej ramy licencjonowanego ulicznego straganu.

Ciśnienie powietrza spada jak przed burzą. Lamentliwy odgłos wzbiera miękko i cicho, jakby zawsze tu był, tuż poza zasięgiem ludzkiego słuchu. Narasta do wycia. A potem spomiędzy drzew zaczynają wypadać cienie, jak krople deszczu po burzy. Mrok skrapla się i gromadzi, a potem przelewa.

Japończycy wierzą, że to są głodne duchy. Scjentolodzy twierdzą, że to fizyczna manifestacja toksycznych śladów pamięciowych. Niektórzy naoczni świadkowie opisują zęby, które coś gryzą i rozszarpują w cieniach. Na nagraniach wideo widać jedynie nieprzeniknioną ciemność. Osobiście wolę o tym myśleć jako o czarnej dziurze, zimnej i bezosobowej jak kosmos. Może po drugiej stronie staniemy się gwiazdami.

Odwracam się, nie patrząc, kiedy tamto zaczyna mknąć w stronę uciekającego człowieka. Pan Khan zakrywa oczy córce, mimo że powinien chronić jej uszy. Wrzask trwa jedynie kilka okropnych sekund, potem zniecka się urywa.

– Ciii – mówi pani Khan, żeby przerwać milczenie, kto re na nas ciąży, jakby ktoś podkreślił grawitację. – Ach, to miasto...

Mi jednak przychodzi do głowy coś innego.

– Gdzie są twoi rodzice? – mruczę, przypominając sobie trujące halucynacje, tamtą sprzedawczynię z napisem „Morderczyni! Morderczyni! Morderczyni!” na plakietce, pochylającą się nad moim pięcioletnim „ja” ze snu.

– Rodzice? Ktoś będzie musiał im powiedzieć – zgadza się pani Khan. – No chodź – mówi do córki, odganiając ją od okna i wszystkich nas gapiów też.

Rano, kiedy wstaję zamroczone i marudna z powodu niedostatecznej ilości snu, ekipa miejskich sprzątaczy zdążyła już zrobić swoje. Krew została zmyta wodą z węży. Truchło Niedźwiedzia zniknęło. Jedynym dowodem na to, że coś tu się w ogóle stało, jest ciemna plama na asfalcie, jak ślad po wybuchu, i żółta taśma policyjna odgradzająca ten odcinek ulicy.

Gdybyż tylko ekipa sprzątająca potrafiła zrobić to samo z moim samochodem. Benoit gapi się na niego, nic nie mówiąc. Nie jestem jedynym bytem, który oberwał poprzedniego dnia – capri też dostało łomot. I to wszechstronny. Ktoś kopniakami wbił drzwi do wewnątrz, porozbijał reflektory i wyrył w lakierze słowo, niemal nieczytelne, ale jak na nie spojrzeć spod zmrużonych powiek, wydaje się, że ten ktoś wyrył słowo „dupa”; litery mają wysokość czterech cali. Wycieraczki uginają się pod fraktalnymi pajęczynami powstałymi od wielokrotnych ciosów zadanych jakimś metalowym narzędziem, jak, no powiedzmy, łom, który znalazłam na tylnej kanapie i który został użyty także do zrobienia bruzd w tapicerce. Wisienką na tym torcie było rozsmarowane gówno – ludzkie, sądząc po zapachu – na karoserii. Podejrzewam, że powinnam być wdzięczna, że ten, kto to zrobił, nie

zrobił tego na tapicerce.

– Ryzyko zawodowe – mówię Benoitowi.

Teraz łatwo być mi beztroską. Poprzedniego dnia, kiedy taksówka, która zechciała wywieźć mnie i moje *eau de chambo* z Sandton, zatrzymała się przed Mai Mai, targowisko było już zamknięte, wieczorne cienie rozciągały się po parkingu, całkiem opustoszałym, jeśli nie liczyć ruin mojego capri. Zmusiłam taksówkarza, żeby zaczekał, dopóki nie uruchomię wozu. Nie miałam pojęcia, czy oni jeszcze tam są, czy obserwują, skuleni pod brezentem, albo może biegają gdzieś po mieście, ale i tak pokazałam im palec. Należało zostawić tam ten samochód, ale ja jestem uparta. Poza tym: nie dam się zastraszyć bandzie zaćpanych szczurów ściekowych.

Benoit przygląda się sińcom i zadrapaniom na mojej ręce, kiedy prowadzę. Dzisiaj wyglądają gorzej. Gdybym pomyślała zawczasu, nie wkładałabym sukienki bez rękawów.

– Trzeba było wezwać policję – mówi.

– Policja ma to w pompie, Benoit.

– No to należało pozwolić mi jechać tam z tobą.

– Nie masz własnej pracy?

– I tak ją rzucam.

– I musisz zorganizować sobie podróż.

– Wystarczyło powiedzieć „nie, dziękuję”, *cherie*.

– Mógłbyś mi wyświadczyć jedną przysługę. Ale



to niebezpieczne.

Wzdycha.

– Nie oczekuję od ciebie niczego mniej.

– Hej, D’Nice jest o wiele gorszy ode mnie.

– Ale ani trochę taki uroczy.

– Powtórzę twojej żonie – odparowuję, ale to już na autopilocie. Nasze swobodne przekomarzenia są teraz zaprawione żyletkami.

– Moja oferta poligamii jest wciąż otwarta – mówi, rycersko utrzymując fasadę.

– Mogłabym ją rozważyć, gdybyś zechciał mi zdobyć adres domowy niejakiego Ronalda, bramkarza z „Kontrewolucjonisty”, nazwisko nieznane. Pracuje dla Sentinel, ma ten sam durny hełm na plakietce. – Pstrykam w plakietkę z nazwiskiem Eliasa.

– Zobaczę, co da się zrobić – mówi, kiedy zatrzymuję się przed rozlewnią, którą dzisiaj Benoit ma patrolować. Sentinel lubi przerzucać swoich pracowników, żeby nie było im zbyt wygodnie, żeby się za bardzo nie znali na wejściach i wyjściach i żeby nie opylali informacji komuś takiemu jak D’Nice, który na mur-beton sprzedałby je gangowi uzbrojonych rabusiów.

– Nie muszę tego robić – mówi Benoit, zostając w samochodzie. – Przeżyją jeden dzień bez ochroniarza.

– Co? Ryzykujesz pracę Eliasa? – Zaciskam

dłonie na kierownicy, żeby go tylko nie dotknąć.

– Przynajmniej weź mój telefon.

– Poradzę sobie. Będę się trzymała z daleka od kanałów burzowych i ćpunów ze śrubokrętami. Obiecuję.

Ma zboląłą minę.

– To do zobaczenia później, *cherie* – mówi i pochyla się, żeby mnie bogobojnie pocałować w policzek.

Dopiero pół godziny później, kiedy się zatrzymuję pod polem golfowym Mayfields, dociera do mnie, że skorzystał z okazji, żeby wsunąć telefon pod hamulec ręczny. Podstępny drań.

Niestety, smród ścieków wciąż się unosi w samochodzie i lepi się do mnie, co czuję, kiedy wchodzę do domu pani Luthuli. Jest na tyle uprzejma, że nic nie mówi i bez proszenia robi mi mocną herbatę, z mlekiem i cukrem. Piję ją, kiedy ona poluje na górze.

Po jakichś dziesięciu minutach wraca z pudełkiem po butach. Wkłada okulary i zaczyna wyjmować zdjęcia, jedno po drugim.

– A czego konkretnie szukasz?

– Powiem, kiedy to zobaczę. Można? – Wysypuję zawartość pudła na blat i przetrząsam zdjęcia. Większość z nich jest zimna i martwa.

Wybieram jedno. Typowa ślubna fotografia. Mężczyzna i kobieta – rodzice Song i S’bu – mrużą

oczy w słońcu u dołu schodów, które prowadzą albo do jakiegoś ratusza, albo bardzo zwyczajnego kościoła. On ma na sobie biały garnitur z szerokimi klapami, ona trzyma niezdarnie bukiet z różowych róż i onetek. Spłowiałe, wytarte, ale jest tutaj. Nigdy wcześniej nie pracowałam z fotografiami, chyba że to właśnie fotografia była poszukiwaną, zaginioną rzeczą. Nigdy nie przyszło mi do głowy, by starać się do czegoś dotrzeć przez obraz. Znowu w głowie mam przelotną wizję World Trade Center, co jest przygnębiająco absurdalne.

– To nie fair – wzdycha pani Luthuli. – Stracili ich tak młodo.

– Mogę je sobie pożyczyć?

– Nie wiem, czy mam negatywy... – Robi niepewną minę, ale ja już jestem za drzwiami, idę za tą wątlą nicią jak Tezeusz i jego kłębek sznurka. Należy tylko mieć nadzieję, że na drugim końcu nie ma Minotaura.

Okazuje się, że Minotaur byłby czymś zdecydowanie lepszym w porównaniu z tym, co tak naprawdę znajduję, bo nie znajduję nic. Telefon Benoita dzwoni, kiedy krążę bez celu, starając się chwytać duchy nici, które nieustająco blakną, jak słabe sygnały radiowe. Beznadzieja. Songweza może być w dowolnym miejscu w mieście: popija mochaccino w jakiejś kawiarni w Parkhurst albo jest przywiązana do krzesła w jakimś brudnym garażu w

Krugersdorp. Gdybym była dostatecznie blisko, może zdołałabym odnaleźć właściwy wątek, tylko z którego miejsca miałabym zacząć, do jasnej cholery? Zerkam na telefon Benoita, który ryczy pierwszymi dwudziestoma sekundami *Oh Yeah* Gang of Instrumentals. Na ekranie wyświetla się komunikat, że dzwoni ktoś z zastrzeżonego numeru. Pozwalam, żeby dzwoniący skorzystał z poczty głosowej, ale ten ktoś dzwoni kolejny raz, uporczywie, rozkojarzając mnie tak bardzo, że nie zauważam znaku ślepej uliczki i stamtąd wyrzuca mnie na jakieś rondo. Po raz trzeci już lepiej odebrać – nawet jeśli to dzwoni jego cholerna żona z Burundi – niż znów słuchać *O Yeah*.

– *Hola* – mówię, przyciskając telefon ramieniem do ucha i jednocześnie zmagając się z samochodem.

– Nie znam dokładnego adresu – mówi Benoit – ale mogę ci powiedzieć, że on mieszka w Hillbrow.

– Nie masz pojęcia, ile to w tej chwili dla mnie znaczy – zapewniam go, kierując capri z powrotem w stronę autostrady.

– Nawet gdybym to wyciągnął od D’Nice’a? – pyta.

– Nic mnie nie obchodzi, skąd to wyciągnąłeś, najdroższy.

– Niech ci tam. Twierdzi, że jesteś mu winna dwieście randów za informację.

To mi psuje nastrój, ale tylko trochę, bo kiedy

zblizam się do centrum, czuję się tak, jakbym się wreszcie dostrajała do właściwego kanału. Smuga nici krzepnie, wciąż delikatna, ale teraz naprawdę dokąds prowadzi, zamiast zwięzać się w nicość.

Widzę to i tak się w tym momencie czuję, jakbym dostała na odlew w twarz. Nie żadne World Trade Center, tylko High Point w Johannesburgu. I wątek biegnący od ślubnej fotografii prowadzi prosto do niego. Tak blisko, że mogłabym się o niego potknąć – gdyby mi się chciało zadrzeć głowę, gdyby mi się chciało potraktować trujący sen na poważnie.

Znajduję parking dwie przecznice dalej. Strażnik samochodu reaguje z opóźnieniem na stan, w jakim znajduje się capri.

– *Hayibo, sisi.*

– Chcę tylko mieć pewność, że będzie tu stał, kiedy wrócę – mówię i idę w stronę bliźniaczych wież apartamentowca.

Jeśli Hillbrow było kiedyś luksusową koroną Johannesburga, to High Point był diamentowym zwieńczeniem tiary, z kawalerkami i luksusowymi apartamentami dla młodych ambitnych profesjonalistów i zurbanizowanych, kosmopolitycznych rodzin.

Wejście jest usytuowane we wnętrzu nieskazitelnie czystej galerii handlowej na otwartym powietrzu, wyspy uświęconego konsumeryzmu pełnej sklepów odzieżowych i punktów z fast

foodem, z chodnikami, z których można jeść, i klientami nie aż tak zdesperowanymi, by tego próbować. Jest prawie normalnie – praktycznie jak na przedmieściach. Niebawem przekonuję się dlaczego. Granice galerii są starannie strzeżone przez wygolonych na zero chłopców w kamizelkach kuloodpornych; jeden w drugiego są zbudowani jak buldogi i uzbrojeni w gaz łzawiący.

To model egzekwowania prawa oparty na wybijaniu okien, model, który zaduszając iskry społecznej entropii, pomaga zdeptać żar, który potrafi nagle rozgorzeć i przeobrazić się w poważne przestępstwa. Żadnego wałęsania się, żadnego śmiecenia, żadnego nagabywania – aczkolwiek wygląda na to, że ci elegancko ubrani dilerzy, którzy gawędzą sobie spokojnie na rogu, dysponują immunitetem dyplomatycznym, rzecz jasna pod warunkiem że trzymają się na dystans, podobnie jak ci bezdomni, którzy śpią w przegniłych śpiworach po drugiej stronie ulicy.

Wchodzę do środka, wjeżdżam windą na górę i przeprowadzam zwiady w wejściu do apartamentowca. Widzę czworo mocno uczęszczanych, ale chronionych drzwi, które otwierają się wyłącznie za pomocą identyfikatora. Obok tych drzwi znajduje się klatka z biurem ochrony; testuję swoje szczęście.

– Cześć, jestem gościem. Mieszkanie numer

sześćset dwanaście – mówię, zmyślając ten numer.

– Nazwisko, jeśli można prosić. – Znudzony ochroniarz to kompletnie inna rasa w porównaniu z młodzianami na zewnątrz.

– Zinzi December.

– *Cha, sisi.* Na tej liście nie ma żadnej Zinzi December.

– Nie? To przykre. W każdym razie nazywam się Zinzi December. – Strzelam na oślep. – Chcę się zobaczyć z Ronaldem.

– Z jakim Ronaldem?

– Z Ronaldem z mieszkania sześćset dwanaście.

– Nie podała pani jego nazwiska.

– Bo go nie pamiętam.

– To w takim razie musi pani do niego zadzwonić. Poprosić, żeby tu po panią przyszedł.

– Nie mam impulsów – błagam żalosnym tonem.

Ochroniarz wzrusza ramionami i wraca do lektury brukowca. Nagłówek z pierwszej strony mówi: KOLEJNE MIEJSCA PRACY PRZEPADŁY! Mord popełniony na Niedźwiedziu nawet nie zasłużył sobie na pierwszą stronę.

– Pójdę poszukać płatnego aparatu – mówię.

Zjeżdżam na dół, szukając tylnego wejścia, drogi pożarowej, czegokolwiek. Zamiast tego przyuważam jednego z młodych buldogów. Podchodzę do niego, starając się wyglądać nieszkodliwie i niewałęsająco.

– Przepraszam, czy może mi pan pomóc?

Chłopak obraca się czujnie w moją stronę. Ma co najwyżej dziewiętnaście lat i niebieskie oczy, które płoną szczenięcym zapalem tego typu, który z równą łatwością mógłby towarzyszyć albo merdaniu ogonem, albo paskudnemu chapnięciu.

Ważę za i przeciw zagrania kartą dziennikarstwa. I ostatecznie chowam ją z powrotem do talii ze sztuczkami.

– Szukam zaginionej dziewczyny.

– Nie ten adres, szanowna pani. Ten budynek jest czysty. Powinna pani spróbować po drugiej stronie ulicy. Niech pani wypyta tych ludzi – mówi, wskazując skinieniem głowy facetów w garniturach, którzy sterczą na rogu. – Oni wiedzą mnóstwo o zaginionych dziewczynach, niech mi pani wierzy.

– Jestem pewna, że wiedzą. Ale moja dziewczyna jest w tym budynku. Wiem to na sto procent i muszę się dostać do środka.

– Pani jest z policji?

– Nie. Jestem kimś w rodzaju... prywatnego śledczego. Znajduję zagubione rzeczy. Ludzi też. Zazwyczaj to nie tyle śledztwo, ile raczej znajdowanie.

Cały się rozjaśnia, mając w perspektywie jakąś akcję.

– Sprawdzę tylko, czy można. – Mówi coś niezrozumiałego do radia wiszącego obok pojemnika z gazem.



Uprzejmie odwracam głowę, obserwując dilerów. Mam nadzieję, że Song jest w tym budynku, a nie w tamtej ponurej, obłazącej z tynku ruderze po drugiej stronie ulicy, gdzie w środku ranka zasłony są jeszcze zasunięte. Większość handlarzy żywym towarem nawet się nie para przemytem w zalakowanych kontenerach. Zamiast tego się ogłaszają. To nigdy nie jest prostytutka. To praca w charakterze sekretarki albo sprzedawczyni, która z niewyjaśnionych powodów jest sownie wynagradzana. A ludzie kierują się nie tylko desperacją, ale także naiwnością. Dziewczyny, jak już wpadną w ich ręce, są poddawane zbiorowemu gwałtowi, żeby zobaczyły, gdzie ich miejsce, potem przyzwyczajane do narkotyków i wreszcie zaganiane do pracy.

– *Ja*, nie ma sprawy – mówi chłopak, wracając do mnie. – Ale ja idę z panią i nie będzie żadnych scen, które by zdenerwowały mieszkańców. To porządny dom – dodaje uroczyście.

– Nie ma problemu.

Podprowadza mnie do windy i przepuszcza przez bramkę. Strażnik w klatce nawet nie podnosi głowy znad gazety.

– Znasz kogoś o imieniu Ronaldo? Naprawdę duży facet. Jest bramkarzem w barze.

– Nie. Sorry. Tu mieszka jakieś tysiąc dwieście ludzi. Czasami więcej, jeśli uda im się przemyć

gości na noc, co tutaj jest wykroczeniem. Sorry, ale winda wysiadła, więc będziemy musieli wejść na górę. To przez mieszkańców. Mamy tu kłopoty z dostawami wody. Ludzie odkręcają kurki, nic nie leci, więc zapominają je zakręcić i kiedy woda wraca, robi się powódź. Zalali szyb windy. Naprawa będzie kosztowała milion.

– A co robią ci, którzy mieszkają na dwudziestym szóstym piętrze?

– Wchodzą pieszo. Nawet z zakupami i wózkami. Ale to nic takiego, powiedzieliśmy im, że dopóki winda nie zostanie naprawiona, mogą wyrzucać swoje śmieci przez okno, załatwimy kogoś, żeby to posprzątał. To nie jest miłe, ale trzeba być uczciwym wobec mieszkańców. No to na którym piętrze mieszka pani znajoma?

– Jeszcze nie wiem.

– No to miejmy nadzieję, że ma pani kondycję – mówi, otwierając drzwi wychodzące na ponurą, cementową klatkę schodową. – Wchodzę po tych schodach osiem, dziesięć razy dziennie. Ktoś się popije i zakłóca spokój. Albo jakieś drzwi się zatną. Jesteśmy ochroną i ekipą remontową. Już kiedyś zdarzyło się coś podobnego.

– Podobnego?

– Jak z pani znajomą. Zgwałcili jedną kobietę. Wiedzieliśmy, że to mieszkaniec. No to zaczailiśmy się na zewnątrz. Ja i ona, staliśmy przez dwa dni przy

drzwiach, aż wreszcie facet wyszedł. I wtedy go aresztowaliśmy.

Staje z boku, żeby przepuścić staruszka niosącego dwie wyładowane, zniszczone torby na zakupy. Piętra nie są oznakowane numerami, ale według mojego rozeznania pokonaliśmy jakieś siedemnaście albo osiemnaście. Nagle Leniwiec zaczyna z całej siły ścisnąć mnie za ramię.

– Wiem, koleś. – Czuję nic ciążącą mnie jak podekscytowany czymś mały dzieciak.

I właśnie wtedy drzwi na najbliższym piętrze otwierają się gwałtownie i wypada z nich jakaś rozszalała dziewczyna. Zderza się z Chłopakiem z Ochrony, próbując go staranować i w ten sposób usunąć z drogi, ale ten przyciska ją do piersi i opasuje rękami.

– No już, już, już – mówi, powstrzymując ją. – Nic ci nie jest?

– Puszczaj, kutasie!

Mylłam się. Songweza nie jest gotpunkową księżniczką, tylko rockmenką w stylu indie skrzyżowanym z latami osiemdziesiątymi. Tyle samo kreski wokół oczu, za to odzienie bardziej pstrokate. I jest wyjątkowo ponętna.

– Song Radebe? – Pytanie jest bezsensowne: wygląda dokładnie tak jak na zdjęciach w czasopiśmie. Może odrobinę bardziej niechlujna, z

burzą warkoczyków związanych fioletową przepaską i kowbojkach z węzowej skóry ufarbowanej na fioletowo do kompletu. Wytrzeszcza oczy na mój widok, a raczej na widok Leniwca.

– O psiakrew. – Wywija się z uścisku Chłopaka z Ochrony i pędzi na górę, biorąc po trzy stopnie za jednym zamachem.

Wychodzimy z klatki schodowej na zalany słońcem korytarz i tu impas: Songweza stoi pochwycona w pułapkę między nami a Marabutem z Maltańczykiem. Drzwi do mieszkania numer 1904 za nimi są otwarte na oścież.

– Okay, ludzie – mówi Chłopak z Ochrony, z dłonią krążącą obok gazu, gotową po niego sięgnąć.  
– Dogadajmy się.

– Patrzcie, kto tu jest – cedzi Maltańczyk.

– Spóźniłaś się na imprezę – mówi Marabut. – I zdaje się nie odpowiadałaś na telefon.

– Co wy tu robicie?

– Nie sprawdzasz poczty głosowej, kiciuniu? Twoje usługi nie są już potrzebne. Znaleźliśmy ją własnymi rączkami.

– Ukradli mi telefon.

– Bardzo nieprofesjonalnie – strofuje mnie Maltańczyk.

Song przenosi wzrok ze mnie na nich i z powrotem. A potem opada do przysiadu, przykładając dłoń do uszu i zaczyna wrzeszczeć tak głośno, że

słysząc ją pewnie aż w Kapsztadzie. Niewiele wiem o jej śpiewaniu, ale cała ta nauka śpiewu bez wątpienia przynosi owoce. Wrzask, perfekcyjnie podtrzymywana jedna nuta, uaktywnia Psiaka, który zaczyna ujadać z histerycznym szałem.

Chłopak z Ochrony otwiera kaburę, w której trzyma pojemnik z gazem.

– Ja nie żartuję. Co się tu, kurde, dzieje?

– Nie pozwól, żeby mnie zabrali – mówi Song, szlochając. Przypada do niego, wczepia się kurczowo w nogawki jego spodni.

Nieco dalej w drzwiach od numeru 1910 pojawia się szpara; Chłopak z Ochrony krzyczy w głąb korytarza:

– Proszę zamknąć te drzwi. Proszę się zająć swoimi sprawami!

– Ty też powinieneś się zająć swoimi sprawami – zwraca mu uwagę Marabut.

– Oni próbują mnie porwać! – wydziera się Song, klęcząc, wisząc na pasku Chłopaka z Ochrony, wpatrzona w niego ogromnymi oczyma obrzeżonymi czarną kredką.

– Od tygodnia nie brała leków – mówi Maltańczyk, powoli rozpinając swój blezer, by zademonstrować: Ja tu nie mam broni. – Dostała jakichś urojeń.

– Zaraz. Proszę chwilę poczekać. – Chłopak z Ochrony jest zaskoczony.

– Mam tu list od jej lekarza. – Maltańczyk sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciąga kartkę papieru. Starannie ją rozkłada, pokazując nagłówek Przystani.

– No zaczekajcie! Zacznijmy od początku. Kto wy jesteście, ludzie?

– To list z kliniki, który wyjaśnia szczegółowo, jaki jest jej stan. Poważne urojenia paranoidalne. Zaginęła wiele dni temu. Przyjechaliśmy zabrać ją do domu.

– Proszę. To podstęp. Nie słuchaj ich! – skowycze Song.

Maltańczyk podaje list. Kiedy Chłopak z Ochrony sięga po niego, Song chwyta jego gaz, wrywa go z kabury i pryska mu nim w twarz. Chłopak skręca się, krztusząc i wciskając sobie pięści w gałki oczne.

Leniwiec zaczyna wyć, bo również do nas dociera odrobina gryzącej mgiełki. Zaczynają mnie piec oczy i nos, ale nie jest aż tak źle, żebym nie dała rady doskoczyć do ramienia Song i pociągnąć jej w tył. Siła uderzenia obraca nią, przez co całym ciałem uderza w okno z towarzyszeniem straszliwego trzasku. Przez jedną mdlącą sekundę przeraźliwie się boję, że okno się rozpadnie pod wpływem jej ciężaru i wyrzuci ją dziewiętnaście piętér w dół. Ale szyba wytrzymuje.

– Aua! *Msunu!* – przeklina.

– Uspokój się. Nikt ci nic nie zrobi – próbuje załagodzić sytuację.

– Nabijasz się ze mnie? Właśnie mi zrobiłaś. Pieprz się. – Usiłuje zmiażdżyć moją stopę obcasem kowbojki, ale zdążam usunąć nogę.

Chłopak z Ochrony na poły klęczy, z jedną dłonią przyciśniętą do oczu, bełkocząc do swojego radia, że wzywa posiłki. Marabut i Maltańczyk przyglądają się temu z rozbawieniem.

– Może jakoś pomóc?

– Ależ skąd. Na swoje wynagrodzenie trzeba zarobić – mówi Marabut. Jej Bocian odchyła łeb w tył i wykonuje jakieś okropne ruchy przełykiem, być może się zaśmiewa.

Song walczy i wije się, jakby właśnie dostała napadu padaczki. Kiedy odrzuca głowę z zamiarem rozbicia mi nosa, chwytam ją za włosy, przytrzymuję jej głowę i zmuszam do marszu przed siebie. I mniej więcej takim to sposobem pokonujemy dziewiętnaście piętér w dół, przy czym ona przez całą drogę wyrywa się i klnie. Chłopak z Ochrony brnie za nami, sunąc dłonią po ścianie, bo nie widzi drogi. Próbuję do niej mówić, cicho, żeby Maltańczyk z Marabutem mnie nie słyszeli.

– Dlaczego uciekłaś?

– Odwal się.

– Odi coś ci zrobił?

– A jest coś, czego mi nie zrobił?

– Próbuje ci pomóc, ty mała gówniario.  
– Zabierając mnie tam z powrotem? Niezła pomoc.

– A ty co tutaj wyprawiałaś? Bawiłaś się w dom ze swoim chłopakiem bramkarzem?

– On nie jest moim chłopakiem i to nie jest jego mieszkanie. Ro mieszka trzy piętra niżej. To jest moje mieszkanie. Kupiłam je sobie. – Dodaje z emfazą: – Za własne pieniądze. Które zarobiłam.

Próbuje innej taktyki.

– Naprawdę zmartwiłaś panią Luthuli.

To jej się każe zamknąć, ale tylko na chwilę.

– Przepraszam – mówi scenicznym szeptem. – Oni mnie zabijają, zrozum.

– Absolutnie to rozumiem. Sama chciałabym cię zabić w tej chwili.

– Spytaj ich, co się stało z Jabu.

– Kto to jest Jabu?

– Spytaj ich. Spytaj ich, gdzie on teraz jest. – Imię roznosi się echem po klatce schodowej, kiedy wykrzykuje je na głos. – Jaaaabulaaaaani Nkutha! – Przewraca oczyma. – Spytaj ich.

Kiedy jesteśmy już na dole, widzimy na ulicy wóz policyjny, a wokół niego niewielką grupkę ochroniarzy High Point, przyglądających się z dezaprobatą. Dowódca, starszy mężczyzna z twarzą zniszczoną przez słońce i dzioby po trądziku, polewa mlekiem twarz Chłopaka z Ochrony, żeby



zneutralizować gaz.

Marabut pakuje Songwezę do mercedesa zaparkowanego po drugiej stronie ulicy i zamyka drzwi na zamek. Maltańczyk podchodzi pogadać z gliniarzem i łagodzi sprawę, posługując się oficjalnym listem z Przystani, który Tłumaczy Wszystko. Przez sekundę miga mi zwitek niebieskich banknotów sturundowych wsuniętych w środek.

– No to kto to jest Jabu? – pytam niewinnie Marabuta.

– Jabu? Jakiś okropny chłopak, którego poznała na odwyku. Ukradł jej pieniądze, złamał serce i zwiął.

– Po prostu zniknął?

– Może wrócił do rodziców. Skąd mam wiedzieć? Nie posłałam za nim psa tropiącego.

– Czy ona normalnie...

– Hormony jej wariują. Depresja maniakalna. Czy jak to się tam nazywa. Powinna brać leki.

– A jak ją właściwie znaleźliście?

– Zadzwoiła do koleżanki. I koleżanka zadzwoniła do nas. Nie bój się, dostaniesz swoją zapłatę, pod warunkiem że zachowasz dyskrecję. – Obdarza mnie szacującym spojrzeniem. – Bardzo bym się zdrzaźniła, gdybym przeczytała taki materiał na czyimś blogu. – Ptak znowu robi to potworne połączenie połykania i śmiechu. Nie mam pojęcia, o czym ona mówi.

– Kiedy dostanę swoje pieniądze?

– Ojej, ależ to my się spieszymy. Przekażemy ci je za kilka dni. Zakładam, że przyjmujesz gotówkę?

– Przyjdę po nie jutro. I będę chciała wiedzieć, jak się miewa Songweza.

– Twoja troska jest wzruszająca – mówi beznamiętnie.

Patrzę na jej zaginione rzeczy. Mają dziwnie ostre krawędzie. Może to ona albo jej bliskość. Rękawiczki i książka wciąż tam są, ale rzuca się w oczy brak broni.

– Widzę, że odnalazłaś swój pistolet – mówię.

– Co? – Obraca głowę w moją stronę. Ptak klekocze na mnie dziobem.

– Jakiś Vektor?

– A tak. Jedna z moich „zaginionych rzeczy”? Rzeczywiście go znalazłam, dzięki za pamięć.

– Masz na niego licencję? – Oglądam się na gliniarzy.

– Gdybyś rozumiała, przez co przeszłam, tobyś wiedziała, że będę potrzebowała czegoś do samoobrony.

– Zastanawiałam się nad tym. Twoja opowieść o tuńczykach.

– Tak?

– Tak na moje oko nie jesteś typem tuńczyka. Jesteś bardziej rekinem. Naprawdę płynęłaś w kontenerze, Amira? Czy raczej byłaś na zewnątrz,

organizowałaś podróż? Albo miałaś jakieś inne zadanie?

– A ja to myślę, że jesteś durną dziewczuchą, która ma same durne pomysły. – Wystawia palec w moim kierunku i długimi krokami idzie w stronę samochodu.

Odprowadzam wzrokiem mercedesa odjeżdżającego w stronę przedmieść.

Dryfuję teraz, tuż obok sieci na rekiny.

## 25

Witają mnie gwizdy i małpie pohukiwania ze strony D'Nice'a i jego zidiociałych kumpli, rozwalonych na stopniach przed Wzgórzami Elizejskimi, już w większości pijanych.

– Hej, Zee Zee na topie! – wydziera się D'Nice.  
– Możesz mnie przelecieć na odwróconą kowbojkę, mała! – Wypina biodra i udaje, że kołysze lassem.

– Powinieneś poszukać sobie jakiejś pracy, D'Nice. Piwo ci gnije w mózgu.

– A właśnie że już mam pracę. Patrzysz na nowego Eliasa. Zaczynam we wtorek.

Na górze znajduję przypięty pineską do moich drzwi wydruk, który tłumaczy zachowanie D'Nice'a, a także sarkastyczną uwagę Marabuta. To wyjątek z blogu „Macha”, potajemny rzut oka na zapowiedź artykułu (cały artykuł w majowym wydaniu!) zatytułowany: „Czy zoolusce się podobało?”

Są zdjęcia.

Niektóre z nich mają pięć lat. Zrobione potajemnie. A przysiągł, że je wymazał.

Niektóre z nich zostały zrobione kilka dni temu. Pocałunek pod ścianą jakiegoś nędznego budynku. Taniec w barze „U Biko”. Ja z żalospną miną na tylnym siedzeniu samochodu, w tle światła miasta rozmazane na szybie. Nie pamiętam, kiedy Dave je

zrobił.

Nagie zdjęcia wcale nie są najgorsze. Najgorsze są słowa.

Ten wydruk to mieszanina prawdy i wymysłów. Gio wylicza wszystkie sposoby, na jakie uprawiamy seks. W tym na odwróconą kowbojkę. To akurat jest oparte na doświadczeniach z przeszłości, ale resztę zmyślił. Że Leniwiec drży i skowycze, kiedy szczytuje, bo jesteśmy połączeni. I Gio twierdzi, że jest nieco przeczulony w tej kwestii. Nazywa tę sytuację swoją bestialską trójcą. A właściwie to nawet zbiorowym gwałtem, bo cień morderstwa, mojego grzechu, jest z nami w łóżku jak ktoś na czwartego.

Mama zawsze mu powtarzała, że niedobrych dziewczyn należy unikać, ale on przecież chce tylko wyznać, że kiedyś mnie kochał.

– Zaszrań Świnia, skurwiel i luj! – Kopię w drzwi, żeby to dodatkowo zaakcentować, pozostawiając jedno złowieszcze wgłębienie i kilka pęknięć w farbie.

Zaniepokojona pani Khan wytyka głowę zza drzwi do numeru 608.

– Wszystko w porządku, kochanie?

– W jak najlepszym – odwarkuję i idę na górę, do mieszkania Benoita, bo o tej porze miał już być z powrotem. Może jeszcze tego nie widział, modłę się w duchu, ale dobrze wiem, że D’Nice na pewno

zrobił dodatkowe kopie, żeby wcisnąć mu je w twarz.

Benoit siedzi na środku podłogi, porządkując nędzną kolekcję ubrań, przed zapadającą się, pożółkłą od nikotyny kanapą, którą on i Emmanuel przywlekli razem aż z Parktown, gdzie ktoś ją wyrzucił na chodnik.

Rwandyjczyk zauważa mnie pierwszy. Jest zajęty zaklejaniem taśmą podartych kartonowych pudeł wyszabrowanych ze spożywczaka. Wszystko, co Benoit posiada na tym bożym świecie. Sama dałabym się zakleić taśmą w jednym z takich pudeł i czekałabym tak na jego powrót.

– Benoit – odzywa się Emmanuel ostrzegawczym tonem, tonem, który mi mówi, że wszystko się zmieniło.

Benoit podnosi wzrok i widzi mnie stojącą na progu. Bez słowa komentarza odwraca się z powrotem do swojej pracy, ale wydaje się zdeptany jak mocno zniszczony dywan. Mangusta obdarza mnie złym spojrzeniem – nasze chwilowe zjednoczenie przy oknie ubiegłej nocy poszło w niepamięć.

– To nieprawda – mówię i rozdrażniona dodaję:  
– Emmanuel, zechciałbyś może stąd zjechać?

– Umm... – Emmanuel patrzy na Benoita, żeby usłyszeć potwierdzenie, ale niczego nie słyszy; Benoit wciąż składa i roluje swoje T-shirty. Emmanuel zawsze trochę się mnie bał. Odkłada

taśmę i wychodzi, przeciskając się obok mnie w drzwiach. – Przykro mi – mówi, ściskając moje ramię. Jakby to był czyjś pogrzeb.

Benoit wreszcie kończy rolować i teraz schludnie układa kiełbaski z koszulek obok jednej z tych cholernych plastikowych toreb w kratę. Klękam na podłodze obok niego.

– Proszę, nie bierz tych toreb. Mam plecak, mogę ci pożyczyć.

Ignoruje mnie.

– Dzięki za telefon. I za wskazówkę. Znalazłam ją. Nie zrobiłabym tego bez ciebie. Jutro dostanę kasę. Będę mogła zapłacić za fałszywe papiery, kupić ci bilet na samolot.

– Nie chcę twoich pieniędzy – mówi, zbierając zrolowane koszulki i zaczynając je rolować od nowa.

– No weź przestań. Posłuchaj, Giovanni i ja kręciliśmy z sobą wiele lat temu. Resztę dośpiewał. Sam chyba widzisz, że to jakieś kosmiczne bzdury. Te obscena, że Leniwiec szczytuje w tym samym momencie...

– Ach to? – mówi Benoit. – To mnie akurat nie obchodzi, Zinzi.

– Dokąd idziesz?

– Do metodystów. Tylko na kilka dni, dopóki nie wyjadę.

– I będziesz się bił o kawałek betonowej podłogi, żeby mieć gdzie spać, o skrawek klatki schodowej?

Zlituj się. Jeśli już masz się stąd wprowadzać, to możesz zatrzymać się u mnie. Nawet nie będę próbowała uprawiać z tobą seksu.

– To raczej nie jest dobry pomysł.

– Nie mieści mi się w głowie, że pozwalasz, by te ohydne, gówniarskie kłamstwa stanęły między nami. Kilka godzin temu było między nami dobrze, a teraz to? Z powodu jakiejś starożytnej historii? – Leniwiec mruczy mi do ucha uspokajająco. Nie cierpi, kiedy krzyczę.

– To nie o niego chodzi. – Benoit stawia torbę na kanapie i wstaje z podłogi, by stanąć twarzą do mnie. – Chodzi o ciebie, Zinzi. Użyłem twojego komputera. Musiałem wysłać e-maila do Michelle. To ta kobieta z organizacji humanitarnej – wyjaśnia, bo moja twarz wyraża niezrozumienie.

– Aha. – Siadam ciężko na kanapie obok jego torby.

– Natrafiłem na twoje przekręciarskie listy. Nie szukałem ich. Ale miałaś odpowiedzi w skrzynce odbiorczej. Mnóstwo odpowiedzi.

– No i co? Gdybyś znał okoliczności...

– A czy ty z n a s z ich okoliczności? Tych ludzi, których okradasz?

– Ja tylko piszę formaty, Benoit. Myślisz, że to dla mnie łatwe? Życie za kasę wyżebraną za to, że tu znalazłam kompiet kluczy, a tam paszport? Mam długi do spłacenia. – Moja obrona brzmi infantylnie,



zdaje sobie z tego sprawę.

– Wszyscy mamy długi do spłacenia! – Benoit po raz pierwszy podnosi głos i gestykuje w stronę otwartych drzwi. – My wszyscy tutaj.

– Moje okazują się nie tylko finansowe, ale także moralne.

– Nie miałem pojęcia, że jesteś aż taką egoistką.

– Jestem narkomanką! Nie można nią nie być, jeśli się mieszka na tym zaszranym terenie! Strasznie mi przykro, że nie jestem taka doskonała jak twoja zakichana żona. I przez wzgląd na ciebie mam nadzieję, że ona jest wciąż taka doskonała, jak ją zapamiętałeś. Że jeszcze nie ma własnego zwierzaka. Pięć lat to dużo, Benoit. Skąd wiesz, że ona w ogóle jeszcze cię chce?

– Dostałem od niej wiadomość.

– A ja mam całą skrzynkę wychodzącą pełną wiadomości obiecujących niewysłowione bogactwa. Skąd wiesz, że nie jesteś tylko jeszcze jednym *moegoe*, zawieszającym wszystko na marzeniu, które jest nie do spełnienia za żadne skarby świata?

– Nie wiem. Po prostu muszę pojechać i sprawdzić, jak jest, sprawdzić, czy coś z tego będzie.

– Świetnie. Niech ci będzie. Jedź, żyj własnym życiem. Tylko co cię obchodzą ci idioci, którzy rozdają na lewo i prawo własne pieniądze?

Kanapa trzeszczy żałobnie, kiedy Benoit siada obok mnie.

– Obchodzą mnie, bo kiedyś znałem takiego chłopaka jak Felipe. Tego, któremu strzelono w plecy w twoim liście od Elorii.

– Nie wiedziałam. Skąd mogłam wiedzieć? To nie było specjalnie, Benoit. To nie było po to, żeby cię zranić.

– A co z innymi ludźmi? Ich też nie miały ranić? Ciebie nikt nie obchodzi oprócz samej siebie, Zinzi.

– Oczywiście, że mnie obchodzi, jak myślisz, po jaką cholere wzięłam tę pracę polegającą na szukaniu zaginionych ludzi? I na razie ona okazuje się bardziej niebezpieczna niż te wszystkie przekręty, w które byłam zaangażowana. Wzięłam ją, żeby się z tego wyplątać. Nie bierzesz tego odrobinę za bardzo osobiście?

– Zastrzeliłem Felipe.

– Co?

– Sypialiśmy w jednym kościele, to znaczy dzieci i my też, ci starsi, którzy się nimi opiekowaliśmy. Miałem dziewiętnaście lat. Miało być bezpiecznie. Ale i tak nas zabrali. *Armee de resistance du Seigneur*. Armia Oporu Pana. Jeszcze przed obecnymi zawirowaniami dokonywali najazdów z Ugandy, przez granicę. Może to zresztą był jakiś odłam. Powybijali okna. Kolbami karabinów rozbijali głowy dzieciom tak małym, że jeszcze nie umiały chodzić. Każdemu, kto stawiał opór. W lesie robili rzeczy, które miały nas

doprowadzić do szaleństwa. *Muti*. Narkotyki, Gwałty. Zabawy w zabijanie. Nie miał na imię Felipe. Ale był moim przyjacielem. I zastrzeliłem go, bo taki dali mi wybór.

– Boże.

Uśmiecha się blado.

– *Nzambe aza na zambe te*. W lesie nie ma Boga. Może jest zbyt zajęty opiekowaniem się drużynami sportowymi albo zamartwianiem o nastolatki, które uprawiają przedmałżeński seks. Zdaje się, że zajmują mu dużo czasu.

– Nie wiedziałam.

– To ta twoja polityka. Żadnych pytań. Nic w tym złego, Zinzi, i tak bym ci nie powiedział. Nie powiedziałem mojej żonie, kiedy się pobraliśmy. Są obozy dla dzieci-żołnierzy, gdzie próbują cię nauczyć, jak znowu być człowiekiem. – Jego usta drgają, bardziej z żalem niż w uśmiechu.

– Wtedy właśnie dostałeś Mangustę?

– To było w 1995 roku. Przed *mashavi*. Ale ona czekała na mnie. Czekala na mnie całe jedenaście lat. Byliśmy w drodze na pogrzeb ojca Celvie. Wiedzieliśmy, że to niebezpieczne, ale to był przecież jej ojciec. Ale nie należało zabierać dzieci. Napadli na nas ci z FLDR. Zacząłem się z nimi bić. I dwóch zabiłem. Dlatego mnie podpalili.

– FLDR? – pytam wstrząśnięta. Jakby rozplątywanie akronimów mogło pomóc w

znalezieniu w tym wszystkim jakiegoś sensu.

– To skrót od *Forces democratiques de liberation du Rwanda*. Myślałem, że wojnę zostawiłem już za sobą. Przez wiele lat żyłem innym życiem, Zinzi. Poznałem Celvie. Urodziły nam się dzieci. Poszedłem na uniwersytet. Ale wojna w Kongu jest jak zwierzę. Nie uciekniesz od niej. – Przejeżdża dłonią po bliznach na swoim gardle.

– Co teraz będzie?

– Teraz muszę żyć nadzieją, że uda mi się uniknąć wojny. I tym razem powiem żonie. A ty zrozum, dlaczego nie chcę twoich pieniędzy.

W mojej piersi rozkwita trujący kwiat. Eksplozja trujących nasion. Wyobrażam sobie, że państwo Barber przeżyli coś podobnego, kiedy do nich dotarło, że akcje są sfałszowane.

To śmierć nadziei.

# CZEŚĆ DRUGA

## 26

Powinnam użyć literackiego porównania, że to żółte światło przecina moją poduszkę jak nóż, ale wolę stwierdzić, że ono jest jak kret, który boruje sobie drogę do czaszki przez moją prawą gałkę oczną. W moim łóżku leży jakiś chłopak. Albo tylko mi się wydaje, że to jest chłopak. Trudno określić płeć na podstawie tyłu czyjejś głowy. Niemniej mam swoje podejrzenia, oparte na lokach piaszczystej barwy i strzępach ubiegłej nocy, którą mój mózg zaczyna właśnie defragmentować.

*Mężczyzna zbudowany jak czołg, w czerwono-czarnym smokingu, obok aksamitnego sznura; za nic w świecie nie byłam w stanie iść do Maka, żeby zafundować tam sobie publiczną rozwałkę.*

*– Ro ma dzisiaj wolne?  
– Chcesz mu przekazać wiadomość?  
– Mogę ci dać mój numer telefonu?  
– Mała, zdecydowanie możesz mi dać swój numer telefonu.*

– Wynocha. – Po części wypycham, po części wywlekam stworzenie obdarzone kędzierzawą głową z mojego łóżka, trzymając je za kostkę. W końcu udaje mi się zwalić je na podłogę.

*„To wyjątkowy towar”, mówi Diler o Twarzy Dziecka, siekając na masce swojego samochodu kolejną kreskę, ziarnistą jak kryształki soli. Technicznie jego rola nie polega na tym, że będzie dogadzał swoim klientom. Ale ja potrafię być bardzo przekonująca.*

*Przy wciąganiu to świństwo piecze, jak amfa ożeniona z trutką na szczury. On twierdzi, że to po prostu magia. Leniwiec skomli nieszczęśliwy. A potem wewnątrz mojej głowy rozjaśnia się jak bożonarodzeniowa wystawa w galerii handlowej, serce szaleje w piersi i świat odlatuje, zwolnionymi ruchami pełnymi wdzięku.*

– Co jest, do cholery? – Diler o Twarzy Dziecka szarpie za prześcieradło oplątane wokół jego nóg.

*W jednej ze zwieńczonych tukami klatek tańczy dziewczyna z pytonem albinosem; wciąga go sobie między nogi i wypina biodra. Pożądanie sprawia wrażenie namacalnego prądu płynącego przez tłum na parkiecie do tańca. Może to przez te prochy, może przez jej shavi.*

Na jego zwiędłym kutasie wciąż dynda zużyty kondom.

*„Specjalność zakładu”, mówi w łazience Diler o Twarzy Dziecka, krojąc kolejną kreskę. „Import na zamówienie”.*

*„Odysseus Ohydus”. Parskam chichotem, a on mnie ucisza, ale nie jestem pewna, czy to dlatego, że się boi, że go zgarną, czy dlatego, że mam nie wymieniać imienia Odiego.*

– Było cudownie. Byłeś wspaniały. A teraz wynoś się z mojego domu.

*Na scenie zawodzi jakiś śpiewak z Mali. Też importowany na specjalne zamówienie. A może ktoś go pozyskał.*

– Raczej trudno nazwać to domem – mówi Diler o Twarzy Dziecka. Wciąga posłusznie spodnie, nie zdejmując nawet zmarszczonego kondoma. – Prawda, najdroższa?

*Daję studentowi biologii morza, który jest barmanem, napiwek z mojego ostatniego tysiąca randów. „Kup sobie oceanarium, misiu”.*

– Nie pozwól, żeby ci ktoś przywalił, kiedy będziesz stąd wychodził – odwarkuję.

Diler o Twarzy Dziecka zatrząskuje za sobą drzwi. Wbrew dowodom zastanawiam się, czy nie iść



do apteki po pigułkę „po”. Ewentualnie po zastrzyk z retrowirusów. Leniwiec nie odzywa się do mnie. Za nic nie chce zleźć ze swojej grzędy w szafie, a kiedy próbuję go stamtąd ściągnąć, zdzielił mnie łapą, rozdrapując mi policzek. Zarobiłam sobie na to.

Zdejmuję pościel, zwijam ją w tobołek i wyrzucam za okno. Więźnie w gałęziach drzew i wisi tam jak trup. Albo jak sflaczały duch. Albo moja osobista, biała flaga.

Chyba już kiedyś tu byłam. Na zasranym, kamienistym dnie.

No i nie dało się tego uniknąć. Tej nędznej sali w podziemiach kościoła, opatrzonej nędzną tablicą, na której widnieje napis: NOWA NADZIEJA. Tych wynędzniałych mężczyzn i kobiet z wynędzniałymi zwierzętami, którzy skandują jakąś smętną litanie o swoim nędznym życiu, w tym również moim. Podobno wszystko jest względne. Również stopnie okropieństw, które kontekstualizują twoje cierpienie. Ale cierpienie tak naprawdę jest boleśnie monotonne. I tylko tyle istnieje sposobów na spieprzenie sobie życia. Wykorzystujemy większość z nich podczas pierwszych dwudziestu minut.

Nawet wtedy, gdy w połowie nabożeństwa dołączają do nas bogaci smarkacze z Przystani, jedyna różnica polega na szczegółach. Czuję się jednak normalniejsza dzięki temu, że się przyłączyłam. Rozważałam także Phoenix, Nowy Początek i nawet Narconymous, ale udało mi się pozyskać opinie o programie Nowej Nadziei. Te same zasady co w jej siostrzanym pluszowym ośrodku, aczkolwiek jest tu mniej wystających kości policzkowych *per capita* i podejrzewam, że jedzenie nie jest równie dobre.

Lunch składa się z kanapek z poprzedniego dnia, oklejonych nalepkami, które dumnie obwieszczają

ich proweniencję jako „dar Delikatesowej Quchni opartej na samych organicznych produktach”. Lepiej by się je jadło za pomocą prawdziwych sztucców, a nie plastikowych, ale co tam, klienci tego dwunastostopniowego przybytku są nieco bardziej prymitywni niż ci, którzy nawiedzają Przystań.

Dosiada się do mnie ładniutka czarnoskóra dziewczyna, która przyjechała razem z bogatymi smarkaczami.

– Cześć, włochaty tyłku, chyba się znamy – mówi na powitanie do Leniwca.

Leniwiec wyciąga ku niej rękę; dziewczyna bierze go ode mnie i przytula do siebie.

– Naisenya, prawda? – mówię, rozpoznając Przesadnie Otwartą Dziewczynę z Przystani. – Możesz go sobie zatrzymać, jeśli chcesz. Nie jest obecnie specjalnie mną zachwycony.

– To dlatego tu jesteś?

– Mogłabym cię spytać o to samo.

– Jednodniowa wycieczka. Jestem kierowcą. – Kiwa głową w stronę bogatych smarkaczy, którzy właśnie poznają obrzydliwy posmak tego, z czym się wiąże sięgnięcie prawdziwego dna. – Przyjeżdżamy tu z wizytą w każdą niedzielę.

– Domyślam się, że to ze mnie robi pasażera. Dobrze znana jazda w obrotowych drzwiach.

– Zero wolnej woli – zgadza się ze mną i zabiera się do swojej tylko trochę nieświeżej kanapki z

pastrami. Oferuje Leniwcowi gryzą.

– On je tylko liście.

– Sorki, nic z sobą nie przyniosłam. Zachowałabym dla ciebie trochę chwastów, gdybym wiedziała, moje ty ciasteczko.

– Hej, czy Songweza była tu kiedyś z tobą?

– O tak, Songweza była praktycznie stałym bywalcem. Nie powiedziałaabyś, co? Taka wypieszczona dziewczyna. Coś mi się wydaje, że takie schodzenie na psy ją rajcuje.

– Też mam takie wrażenie.

– To tutaj poznała swojego poetę.

– Przypadkiem mówisz o Jabu?

– Widzę, że jesteś obznajomiona z tym tragicznym romanssem.

– Podobno zerwał z nią przez SMS-a?

– Okropność, prawda? Bardzo się w sobie zakochali. Księżniczka popu i niedoszły powieściopisarz żyjący na granicy ubóstwa, mieszkający ze swoją matką sprzątaczką w Berea. Pisał dla niej wiersze, kiedy udawało mu się trzymać dostatecznie daleko od mandraksu, by chwytać słowa. A ona obiecywała, że je przerobi na piosenki. Aż tu nagle: *paf!* Już nigdy więcej się tu nie pojawił.

– Nie ma w tym nic aż takiego niezwykłego. To nie jest klasyczny ośrodek odwykowy. Nikt się tu nie rejestruje.

– Jasne, jedni przychodzą, drudzy odchodzą. Ale

to było prawdziwe świństwo, nawet jak na ćpuna. A tak w ogóle to skąd znasz Song?

– Powiedzmy, że kiedyś pracowałam w przemyśle muzycznym. Bardzo krótko. – Wrzucam opakowania po kanapkach Delikatesowej Quchni i plastikowe sztuce do pudła, a potem wstaję, zbierając się do odejścia.

– Zobaczymy się jeszcze? – pyta Naisenya głosem pełnym nadziei. Chyba zakochała się w Leniwcu.

– Musisz po prostu przyjechać. – Wrzucam pudło do miejskiego kibla na śmieci. – Dalej tu pracować i tak dalej.

To dziwne, że można wystukać numer Songwezy i połączyć się z nią, aczkolwiek Songweza odbiera dopiero po dwunastu sygnałach. Czuję ukłucie winy za to, że ją zaniedbałam.

– Lo? – Jej głos dryfuje, jakby rozmawiała ze mną z Atlantydy – tonący, rozmarzony głos, zupełnie inny od głosu tamtej przemądrzałej diwy, przez co omal nie nabieram przekonania, że wybrałam zły numer. Co jest niemożliwe. Przełączam ją na szybkie wybieranie.

– Song?

– Tak?

– Tu Zinzi. Ta kobieta z Leniwcem.

– Och. A tak. Nie byłaś dla mnie zbyt miła. –

Przez podmorskie głębiny przebija się ślad rozdrażnienia.

– Wszystko w porządku? To znaczy z tobą?

– W porządku. Arno jest wściekły, że wróciłam. Tak, ty *doos*. [*doos* (afrikaans) - wulgarnie „cipa”] Ale musiałam się rozmówić z Odim. Mówi, że jak już płyta wyjdzie i zrobimy trasę, będziemy mogli pogadać o rozdzieleniu się i karierze solowej. Mówi, że taki moment to dobra odskocznia. Dla nas obojga.

– No to chyba dobrze? Będiesz grała indie?

– Odi powiedział, że celebryci to mali bogowie. Trzeba karmić ludzi tym, czego chcą, to cię będą wielbili jak należy.

– A co z Jabu, Song?

– Jabulani, Jabulani, może mnie całować w *breyani*. Właśnie to wymyśliłam. Odi mówił, że on mnie oszukiwał. Próbował uderzać do Carmen. Uwierzysz w taką bezczelność? Twierdzi, że sobie z nim pogadał i że on dlatego uciekł. Mówi, że nie zrobił tego po to, żeby mnie skrzywdzić. Odi, znaczy się. Stary pierdziel dba o moje interesy. – Chichocze.

– Znowu bierzesz leki?

– Nie znowu, bo wcześniej nie brałam tych pigułek.

– Znasz ich nazwę?

– Fiku-miku coś-tam coś-tam.

– Masz coś do pisania?

– Po co?

– Zapisz sobie mój numer. Zadzwoń do mnie, jeśli coś cię zaniepokoi albo jeśli wpakujesz się w kłopoty.

– Żebyś znowu mogła mi wyrywać włosy z korzeniami?

– Żebyś mogła ci pomóc.

– Jest cool, twój numer mi się wyświetlił w telefonie.

– Proszę, żebyś go zapisała.

– A ja proszę, żebyś mnie całowała w *breyani* – skrzeczy i zanosi się obłąkańczym śmiechem. – Weź się zamknij, Arno.

– Mogę porozmawiać z twoim bratem? Albo z Desem?

– Desa już nie ma. Des był bombą, ale teraz już go nie ma. Masz, gadaj sobie z tą cipiastą gębą.

– Arno? – Słysząc szuranie towarzyszące przekazywaniu aparatu.

– Mówiłem ci. Czy może nie? – jęczy do słuchawki Arno.

– Ona bierze jakieś ciężkie leki. Gdzie jest Des? Jest tam pani Luthuli?

– Nie, wyjechali na kilka dni. Do Doliny Tysiąca Wzgórz. Na pogrzeb. Kuzyn Desa się powiesił – mówi rzeczowym tonem. – Miał dwadzieścia dwa lata. Podobno AIDS.

– A S’bu?

– Píše piosenki w swoim pokoju.

– Możesz mi wyświadczyć przysługę, Arno? Możesz mi podać nazwę lekarstwa, które teraz bierze Song?

– Jasne, tylko zaczekaj, muszę iść na górę.

W tle słyhać krzyk Songwezy.

– Ej, ty fiucie! To mój telefon.

– Zupełnie jej odbiło – szepcze do telefonu Arno.

– Jest gorsza niż przedtem, naprawdę. A S’bu niewiele lepszy. Też jest naprany lekami.

– Weź długopis. Zapisz sobie mój nowy numer. Zadzwoń do mnie, jeśli się stanie coś dziwnego.

– Ale że jak dziwnego?

– No cokolwiek dziwnego. Zadzwoń najpierw do mnie, dobrze? Nie do Odiego. A potem dzwoń na policję.

– Skitrałem się teraz przez ciebie.

– Ja się tylko o was martwię, bo nie ma pani Luthuli. Wiesz co? Będę dzwoniła codziennie, żeby sprawdzić, co u was. I pogadam z kimś z opieki społecznej, okay?

– Okay.

– Masz dla mnie nazwę tego leku?

– Zaraz. Mi-da-zo-lam. Co to jest?

– Poczekaj, sprawdzę. – Prędko szukam w swoim laptopie. – Okay, nic groźnego, tylko pigułka nasenna – mówię. Taki jeden, porządny kop. – Spróbuj ją namówić, żeby się położyła i naprawdę zasnęła. I daj mi znać, jak się nadziejesz na coś



dziwnego. Cokolwiek.

– Czy Song już do końca odbiło?

– Nie, chyba że się zachowuje szczególnie wariacko.

Dom autentycznie się zdegenerował od czasu mojej ostatniej wizyty. Sprawia wrażenie mroczniejszego, bardziej obskurnego; smród ciał starych ludzi i wody z wazonu spotęgował się. Carmen, ubrana w bikini zrobione z żółtozielonych chustek a la lata sześćdziesiąte, jest wychudzona i blada. Kiedy przynosi tacę z tą samą ohydłą herbatą co wtedy, zauważam, że ma brudne paznokcie, jakby cały ranek ryła w grzędzie z marchewkami. Jej Królik leży apatycznie pod krzeselkiem na patio.

A jednak prawdziwy szok przeżywam na widok Hurona. Wygląda wyjątkowo dziwnie w spłóviałym T-shircie upamiętniającym festiwal Oppikoppi z 1999 roku, bo ten T-shirt podjeżdża do góry, odsłaniając włochate brzuszysko. Zauważam starą bliznę, która opina ten zakręt, gdzie znajdowałoby się biodro, gdyby w paradę nie wszedł brzuch. Albo raczej serię blizn, lekko zakrzywionych, jak chirurgiczne zszywki. Albo ślady zębów. Policzki mu się zapadły i sflaczały, ale najwięcej mówi ta kroplówka na wózku na kółkach ustawiona obok krzesła z kutego żelaza. Czarny tumor z poobrzynanych macek nad jego głową jest jeszcze

bardziej tłusty i ruchliwy.

– Nie wiem, dlaczego uznałaś, że musisz się ze mną widzieć – mówi, błyskając wrogim spojrzeniem zza przesadnie wielkich okularów słonecznych.

– Tak naprawdę to chciałam się spotkać z Songwezą. Sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku.

– Po tym, jak schrzaniłaś robotę, zapomniałaś dodać. I że chciałaś sprawdzić, czy dostaniesz całą wypłatę. Jak miło, że się interesujesz.

– Miło z twojej strony, że płacisz mi tak dobrze za robotę, którą mogłeś wykonać sam.

– Co ja ci mogę powiedzieć? Wynajmuję dobrych ludzi. Oni dotarli tam pierwsi. Nie przejmuj się, dostaniesz swoje wynagrodzenie.

– Ależ ty jesteś hojny. Przypuszczam jednak, że to jest bardziej zapłata za trzymanie gęby na kłódkę niż prawdziwy zarobek.

– Traktuj to sobie, jak chcesz – mówi i hałaśliwie siorbie herbatę.

Pochylam się nad stołem.

– Zapytałabym, czy moglibyśmy pogadać prywatnie, ale zdaje się, że Carmen może to chcieć usłyszeć.

– Carmen to duża dziewczynka – słyszę w odpowiedzi.

– Tak też mi się wydaje. Sypiałeś z Song. A także z Carmen i w ogóle z każdą, na której mogłeś

położyć łapy. Song uciekła, może zamierzając cię szantażować, może planując, że zdradzi swoją historię mediom, co byłoby szczególnie pikantne, biorąc pod uwagę, że przepuszczałeś też narkotyki przez swój klub. Ja tylko zgaduję na ślepo, ale domyślam się, że wszystkim kierują Marabut z Maltańczykiem. Spece od pozyskiwania, nieprawdaż? I to ty ich wielokrotnie posyłałeś za granicę. To się wiąże z przemytem narkotyków? Bo spróbowałam trochę tych towarów przechodzących przez „Kontrewolucjonistę” i było to niezłe gówno, tyle ci powiem. Nie przez to właśnie miałeś kłopoty z „Bass Station”?

Huron otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ja podnoszę palec, żeby go uciszyć.

– Jeszcze nie skończyłam. Jabu, przyjaciel Song z odwyku, prawdopodobnie jej pomagał, może nawet zainspirował tę jej eskapadę, ale ty go odstraszyłeś, więc zdesperowana zwróciła się o pomoc do Ronalda, tego bramkarza. Ty już wcześniej kazałeś spuścić mu manto. Podejrzewam też, że Maltańczyk i Marabut wrócili na rundę drugą i tym razem wyciągnęli od niego miejsce pobytu Song. Może nawet go zabili. Ale co tam, czym jest zaginiony marokański wykidajło w wielkim planie? I domyślam się, że zrobisz to z każdym, kto jeszcze wejdzie ci w drogę.

Zapada długie milczenie. A potem odzywa się

Carmen.

– Przepraszam – mówi zduszonym głosem. Jej policzki są jaskraworóżowe. Podnosi swojego Króliczka i postukując obcasikami, idzie do domu.

– Zdenerwowałaś ją – mówi Huron, nie sprawiając wrażenia szczególnie tym przejętego.

– Bo to są niemiłe sprawy.

– Te twoje wymysły... – mówi, skubiąc grubą dolną wargę. – Jak to powinniśmy nazwać: teoria Polański-Soprano? Która jest oryginalna. Nie genialna. Nie realistyczna. Ale oryginalna. Nie boisz się przypadkiem, że wydam na ciebie wyrok?

– Lepiej mi uwierz, kiedy ci powiem, że nie zostało mi nic do stracenia.

– Więc co teraz? Pójdiesz na policję?

– Z jakimi dowodami? Z jedną, zakalcowatą teorią Polański-Soprano? Nie, ja cię tylko informuję, że jeśli coś się stanie z Songwezą Radebe – coś jeszcze, powinnam powiedzieć – to pójdę na policję. Inspektor Lindiwe Tshabalala to moja stara znajoma. Wysłucha tego, co będę miała do powiedzenia. – Mówiąc „znajoma”, mam oczywiście na myśli tamto jedno przesłuchanie, ale sądzę, że mogę tu sobie pozwolić na odrobinę swobody, jeśli idzie o prawdę.

– To są jakieś dzikie oskarżenia. Niewykluczone, że będę musiał z tym iść do mojego prawnika.

– Rób, co uważasz.

– Masz jakiś fizyczny adres, pod który będę

mógł wysłać nakaz sądowy o zaniechanie działań?

– Twoi ludzie wiedzą, gdzie mnie znaleźć. Ale dopóki Songweza będzie śpiewała, cała i zdrowa, nie będę panu zawracała głowy żadnymi, nawet najmniejszymi pierdołami, panie Huron.

– Zakładasz, że nie mam polisy ubezpieczeniowej przeciwko tobie.

– Jak te opiekujące na półtora miliona dolarów na każde z bliźniąt?

– A więc węszyłaś tu i tam, dziewczynko.

– A teraz chciałabym prosić o moje pieniądze.

Spotykam się z Vuyo w holu „Michelangelo” i wręczam mu pieniądze. To najbardziej ekskluzywny hotel, jaki mi przychodzi do głowy, wciąż jakoś tam dostępny dla takich jak ja. Ubrałam się stosownie, w letnią sukienkę i ciemne okulary słoneczne, do tego czerwona teczka z imitacji wężowej skóry, którą kupiłam specjalnie na tę okazję w Sandton City, razem z nowiuteńkim telefonem. Stać mnie na to. Bo w życiu bywają takie chwile, kiedy warto zrobić z siebie widowisko. Zwłaszcza z okazji „pocałuj mnie gdzieś”.

Siadam obok Vuyo na jednej z kanap w okazałym, lśniącym holu i otwieram teczkę, nie dbając o to, kto patrzy. Czuję się beztrosko.

– Masz tu wszystko plus zapłata za ostatnie wydatki nadzwyczajne. Chcesz przeliczyć?

– Wierzę ci – mówi Vuyo, spokojnie zamykając teczkę. – Robimy próbę do filmu – rzuca gładko do grubego faceta w T-shircie z Kapsztadu, który wytrzeszcza na nas oczy.

– Nie powinieneś – odparowuję.

– A wolno mi powiedzieć, że jest mi smutno?

– Wolno. Ale to niczego nie zmienia.

– Jest mi smutno. Dobrze nam się razem pracowało.

– To ja pracowałam. Ty urządziłaś zasadzki.  
– Ach. Ale wiedziałem, że skorzystasz z okazji. Jesteś upartą kobietą, Zinzi December, dlatego czasami trzeba cię popchnąć. – Nie sięga po teczkę. – Mam nadzieję, że to nie jest jakaś podpucha. Nie zlecaj się tu zaraz gliny?

– Zastanawiałam się nad tym – wyznaję. – Ale jestem zbyt zajęta próbami wygrzebania się z tego padołu łez, którym stało się teraz moje życie.

Przysuwa się bliżej mnie.

– A te pieniądze? Oddam ci je z zyskiem, dwa razy tyle. Za rok od dzisiaj kolejne pięćset tysięcy. Pracuj z nami. Jesteś atutem Firmy.

– Większa szansa, że Leniwiec dorobi się skrzydeł i założy własne linie lotnicze. Nie, żebym nie doceniała oferty, ale po prostu staram się być czysta.

– Ale co ty będziesz robić, Zinzi? Dalej będziesz za grosze wygrzebywała z ziemi świecidełka jakichś staruszek?

– Coś lepszego. Albo gorszego. Zależy od tego, jakie jest twoje zdanie na temat mediów. Ja mam nadzieję na coś lepszego.

– No więc jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała dentysty...

– Mam adres mailowy pani Pillay.

Wstaje, żeby podać mi rękę, i od tego momentu – ot tak – jestem wolna.

Albo nie do końca.

W mojej skrzynce odbiorczej jest 3986 nieprzeczytanych e-maili. Ustawiam autoodpowiedź na wszystkie.

To jest oszustwo.

Nikt ci nie da milionów dolarów za nic.

Zatrzymaj swoje pieniądze.

Wydadz je na lody.

Zjedz kolację na mieście.

Zabierz rodzinę na weekendowy wypad.

Spląc swoje karty kredytowe.

Zafunduj sobie jakąś przygodę.

Wydadz je na lekcje latania na lotni, na alkohol, na dziwki albo hazard.

Ale proszę, nie przysyłaj ich ani do mnie, ani do nikogo innego, kto jest zaangażowany w tę ponurą fikcję.

I już nigdy więcej nie daj się zrobić w balona.

Vuyo się wkurzy. Ale nie aż tak, żeby mnie zabić. Nie robi tego, bo jeszcze nie ma zwierzaka. A zresztą będą inni. *Moegoes* znaleźć łatwiej niż *E. coli* w byle fastfoodowej kuchni.

Dodaję jeszcze jedną linijkę. Mimo że to niewielka zemsta, znacznie skromniejsza, niż sobie na to zasłużył, mimo że na jej podstawie będzie można się domyślić, że to ja za tym stoję, albo w każdym razie osoba ukryta za anonimowym nickiem



Kahlo999.

Jakieś pytania? Proszę się kontaktować z Giovannim Conte [gio@machmagazine.co.za](mailto:gio@machmagazine.co.za)

Wysłanie 3986 e-maili trwa długo, długo trwa obserwowanie kreski statusu, która je odlicza. Wiąże się z tym jednak głęboka satysfakcja. Satysfakcja, która doznaje uszczerbku, kiedy jeden z adresów się odbija. Trzeba technicznego kretyna, żeby się dać nabrać na przekręt 419, ale ci ludzie zazwyczaj nie są aż tacy skretyniali, by nie potrafili podać poprawnie swojego adresu zwrotnego.

To jest system mailowy  
host: smtpauth01.mweb.co.za

Z przykrością informujemy, że twoja wiadomość nie mogła zostać dostarczona do jednego lub większej liczby odbiorców. Wiadomość została załączona poniżej.

W celu uzyskania dalszej pomocy napisz wiadomość do administratora serwisu pocztowego.

Jeśli zdecydujesz się skorzystać z tej opcji, prosimy, opisz swój problem. Możesz usunąć swój tekst z załącznika wiadomości zwrotnej.

*System mailowy <no-one> : host albo nazwa domeny nieznalesione. Błąd nazwy = zmyslonezoocity.com typ A: host nieznalesiony*

Zgłoszenie-MTA: dns;  
smtpauthOl. mweb. co. za  
X-Postfix-Queue – ID: D4AF5A024B  
X-Postfix-Sender: rfc822;  
Kahlo999@gmail. com  
Data przyścia: Nd, 27 marzec 2011 21:51:59  
0200 (czas płdn. afr. )

Końcowy-Odbiorca: rfc922: <nieznany>  
Pierwotny-odbiorca  
rfc822:ghost24976@limboworld. za  
Action: nie dostarczono  
Status: 5. 4. 4

Kod diagnostyczny: X-Postfix: nazwa hosta albo domeny nie znalezione. Błąd nazwy dla nazwy typ <nieznany> = A: host niezaleziony

Od: Kahlo999  
Data: Nd, 27 marca 2011 21. 51:59 +0200  
Do: <nieznany>  
Temat: RE:

*To jest oszustwo.*

Nikt ci nie da milionów dolarów za nic.  
Zatrzymaj swoje pieniądze.  
Wydaj je na lody.  
Zjedz kolację na mieście.  
Zabierz rodzinę na weekendowy wypad.  
Spłać swoje karty kredytowe.  
Zafunduj sobie jakąś przygodę.  
Wydaj je na lekcje latania na lotni, na alkohol, na dziwki albo hazard.

Ale proszę, nie przysyłaj ich ani do mnie, ani do nikogo innego, kto jest zaangażowany w tę ponurą fikcję.

I już nigdy więcej nie daj się zrobić w balona.

Jakieś pytania? Proszę się kontaktować z Giovannim Conte [gio@machmagazine.co](mailto:gio@machmagazine.co). Za

=====

Od: <nieznany>

Data: Nd, 27 marca 2011 21. 51:59 +0200

Do: <nieznany>

Temat: <bez tematu>

Długo tańczyłam, aż wreszcie nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Aż wreszcie moje buty zrobiły się czerwone od krwi. Zawsze chciałam być bohaterką bajki dla dzieci.

Zbyt dziwne, zbyt poetyckie, żeby to był spam. Otwieram plik Worda i dodaję to do mojej kolekcji.

Nie daje mi to spokoju, jak włosy łonowe między zębami. Albo duch w maszynie.

A co tam, przecież to nie jest tak, jakbym aktualnie nie miała nic innego do zrobienia ze swoim życiem. Schodzę na dół ze swoim laptopem i idę z nim cztery przecznice dalej, do kafejki internetowej „Miłe Chwile”, żeby to wydrukować. Facet z tamtejszej obsługi pakuje wydruki w torbę z szarego papieru, więc dopiero gdy przychodzę do domu i rozkładam je na podłodze, Leniwiec dostaje bzika.

Leżał na moich plecach, na poły drzemiąc, ale kiedy kartki zostają ułożone na podłodze, zaczyna

syczeć i szarpać mnie za rękę, żeby mnie od nich oderwać.

– W czym problem? O to chodzi? – Podnoszę jedną kartkę, a on wtedy garbi się i wytrąca mi ją z dłoni.

Złazi z moich pleców i wycofuje się do odległego kąta, za łóżkiem, jeżąc się, jakby te kartki były opętane. Może Vuyo miał rację i to jest złe *muti*, jakieś hakerskie zakłęcie od rywalizującego syndykatu. Może właśnie w tym kryje się przyczyna wszystkiego, ciemne cienie kładące się na moim życiu. Grzebię w swojej torbie, w poszukiwaniu butelki *muti*, którą dał mi sangoma. To chyba nie będzie trudne?

Leniwiec nie jest przekonany, że to dobry pomysł. Klęczę na środku mieszkania, paląc suszoną kocankę w stojaku do kadzidełek, w powietrzu unosi się wrzeczono wonnego dymu. Wcisnęłam zgniecione w kulki e-maile do dużego, pustego garnka.

– A masz może jakieś własne sugestie?

Otwiera usta.

– Sugestie, które nie wiążą się z ponowną wyprawą do Mai Mai – dodaję prędko.

Hałaśliwie zamyka szczęki. A potem kicha gwałtownie, dwa razy pod rząd.

– Widzisz? To znak.

Zrezygnowany wyciąga swoje długie ramię, a ja upuszczam z niego kroplę krwi za pomocą

staroświeckiej broszki znalezionej w szkatułce z biżuterią. Wcieram ile się da w najświeższego e-maila.

Leję sporą dawkę parafiny na zmięte papiery w garnku, chlustom na to oczyszczającym *muti* od sangomy z butelki po syropie na kaszel i jeszcze pociągam tęgiego łyka na szczęście. Potem podpalam e-maila umazanego krwią Leniwca i wrzucam to do garnka. *Seance flambe!*

W zamian otrzymuję płomień wysokości dwóch stóp, który osmala mi brwi. Zaskoczona odskakuję, zawadzając stopą o garnek. Płonąca parafina rozlewa się po podłodze. Przerażony Leniwiec wrzeszczy i zaczyna pełznąć do swojej grzędy, przemieszczając się zaskakująco prędko. Wspina się na słupek, wyciąga łapę, zahacza się o jedną z zapętlnych lin zwisających z sufitu i huśta się w stronę drzwi, co prawdopodobnie jest inteligentną opcją. Gdybym miała choć trochę rozumu, zrobiłabym to samo. Tymczasem ja chwytam pierwszą lepszą rzecz, jaka wpada mi w ręce, czyli przypadkiem moją marynarkę z żółtej skóry, i zaczynam tłuc nią płomienie.

Ogień stawia zażarty opór, ale w końcu udaje mi się wybić z niego życie – i uratować kurtkę. Pożar gaśnie z niechęcią, niemal z odrazą. Z garnka wylewa się i wygotowuje na podłodze tłusty, czarny dym cuchnący wrogością. Krztusząc się i dławiąc od tego smrodu, po omacku docieram do okna. I w tym

momencie odlatuję.

*Wydmy z drobnego, żółtego piasku. Unoszą się i opadają jak fale oceanu. W czymś takim można by się utopić. Z tych fal wybuchają kopce, wypływają termity na piasek. I potem je znów połykają. Fale nie przestają się toczyć.*

*Król bez głowy. Trzyma tę głowę na kolanach. Głowa z koroną na czubku przewraca oczami i szczerzy się w uśmiechu, ukazując zaplamione krwią zęby. Do swojej kryjówki weź mnie, weź mnie, weź mnie. Król jest ubrany w spłowiały T-shirt z festiwalu Oppikoppi.*

*Ptaki kołujące po niebie, wielka ptaszarnia, wszystkie możliwe gatunki, żurawie, gołębie, jastrzębie, sępy, nektarniki, wróble.*

*Krótki fragment starego filmu. Zielona Pożywka to ludzie.*

*Ogrodzenie z kolczastego drutu. Jaskrawożółty drogowskaz. Prywatna posiadłość. Intruzi będą poddawani mutilacji.*

*W kanale ściekowym leży sztuczny paznokieć, długości połowy cala; jest polakierowany rubinową*

*czerwienią i ozdobiony srebrnymi gwiazdkami. Prywatna galaktyka dryfująca w nieczystościach. Na krawężniku widać wytarte napisy, namalowane tam kiedyś przez szablon. Kotch. Kozy. Kotze. Wózek z supermarketu wypełniony po brzegi białymi, plastikowymi widelcami. Staje w płomieniach. Widelce skręcają się i topią.*

*Śnieżycą z piór. Niektóre czubki są sklezione czerwonymi grudami mięsa. Przeobraża się w deszcz żab.*

*Weź się w garść! Weź się w garść!*

Otwieram oczy i widzę Leniwca, który potrząsa mnie za ramię i popiskuje.

– Okay, już dobrze. Nic mi nie jest. – Siadam ostrożnie, rozcierając sobie tył głowy, w miejscu, w którym chyba zderzyła się z podłogą, niewykluczone, że kilka razy. Bolą mnie pięty, jakbym nimi bębniła o podłogę w ataku padaczki. Całe szczęście, że nie odgryzłam sobie języka.

Albo że nie złamałam sobie paznokcia.

- David Laslow – cedzi głos w telefonie.
- Dave? Fotograf? Mówi Zinzi December. Poznaliśmy się w „Biko”
- Byłem ciekaw, czy do mnie zadzwonisz – mówi zrezygnowanym głosem. – Podejrzewam, że masz mnie za gówno. Zrobiłem to na zlecenie Gio, zapłacił mi. Nie powiedział, z czym to się będzie wiązało.
- Zapomnij o tym. Nie dlatego dzwonię. Chcę napisać artykuł, taki porządny. I chcę, żebyś to ty porobił mi zdjęcia.
- O matko, aleś sobie wybrała tydzień. Mam rozprawę M’buli, tego poety, portret premiera, konferencję prasową w Springbok, otwarcie nowej kliniki, no i nie wiadomo, co jeszcze może się objawić w ciągu dnia.
- No to właśnie się objawiło. Poza tym masz wobec mnie dług.
- A podobno nie dzwoniłaś z tego powodu...
- Bo to prawda. Ale to nie oznacza, że nie masz wobec mnie długu. No zgódź się, będę ci podrzucała zooluskie opowieści. Nie tego właśnie chciałeś? Dostaniesz przepustkę na wszystko w Zoo City. Chcesz narkotyków, seksu, przemocy, walk psów? Mogę cię wprowadzić. Ale musisz to zrobić dla



mnie.

– Nie odpuszczasz, prawda?

– Nie.

Dave czeka przy sklepie sieci One-Stop, kiedy zajeżdżam na stację benzynową pod wieżą Ponte. Niegdyś bajerancki apartamentowiec słynący z owalnego kształtu przestał funkcjonować jako budynek mieszkalny za sprawą gangsterów, skłatersów, narkotyków i prostytucji, śmieci i samobójstwa piętrzących się w centralnej klatce schodowej, po czym znowu stał się bajeranckim apartamentowcem. Podejrzewam, że niebawem sam przejdzie przez własne drzwi obrotowe.

– Wchodź. – Otwieram mu zamek w drzwiach. Okien jeszcze nie zdążyłam naprawić. – Z samochodu raczej nas nie porwą.

Wsiada posłusznie z powątpiewającym spojrzeniem.

– Dokąd jedziemy? – pyta.

– Masz odbitki zdjęć z zamordowanym bezdomnym, o które cię prosiłam?

– Owszem. – Grzebie w kieszeni i wyciąga mały plik odbitek ksero. – Biedaczysko nie zasłużył sobie na dużą szpalnę. Masz tu wycinek z „The Star”.

„The Star”, 23 marca 2011

**Bezdomny mężczyzna spalony żywcem**

[Ellis Park] Zgodnie z oświadczeniem wydanym przez policję prowincji Gateng we wtorek pod mostem w dzielnicy Troyeville znaleziono mocno spalone ciało Patricka Serfonteina, 1. 53. Kapitan Louis du Plessis powiedział, że wcześniej bezdomny mężczyzna prawdopodobnie został pobity. Ofiarę zidentyfikowano na podstawie dowodu osobistego, znalezionego na miejscu przestępstwa. Policja otworzyła dochodzenie w sprawie morderstwa i wystosowała apel do potencjalnych świadków o zgłaszanie się.

Sapa

– A tu moja gazeta.

Odbitka przedstawia groteskowe zdjęcie twarzy mężczyzny, z poczerniałą i pokrytą bąblami skórą, z ustami odłazącymi od zębów, jakby właśnie wrócił z wakacji w Pompejach.

„Daily Truth” 24 marca 2011

## **KRONIKA POLICYJNA**

### **Mandlakazi Mabuso i jej patrol obywatelski**

#### **Usmażony Bezdomny**

Powiem wam to wprost. We wtorek jakiś śmieć spalił bezdomnego. Patrick Serfontein mieszkał sobie spokojnie pod mostem w Troyeville, w kartonowym

pudle, dopóki dwóch albo więcej *tsotsi* nie pobiło go i nie włożyło mu na głowę naszyjnika z opony; ci oprawcy wciąż pozostają niezidentyfikowani i chodzą wolni jak ptaki, ponieważ nikt nic nie widział.

Twarz tego biednego, bezdomnego *ou* [*ou* (afrikaans) - starszy facet] była tak mocno spalona, że policja musiała go zidentyfikować na podstawie szczątków dowodu osobistego, który znaleźli pośród jakichś rzeczy osobistych w starym wózku zakupowym stojącym obok ciała. Policja nie chciała spekulować odnośnie do motywów stojących za tak drastycznym morderstwem. Czy to pierwsza oznaka, że kolejny seryjny morderca jak Moses Sithole, który miał na sumieniu trzydzieści ofiar, grasuje na wolności?

Kolejna brzydka rzecz, która zdarzyła się wczoraj: w tamie w gospodarstwie rolnym znaleziono ciało zaginionego dziewięciolatka z Ventersdorp. Przynajmniej rodzice mogą się pogodzić z losem, bo znaleziono jego ciało. To takie smutne, *mense*, że w tym mieście ginie tylu ludzi, *sommer*, [*sommer* (afrikaans) - ot tak] i nikt już ich nigdy nie ogląda.

Dalszy ciąg jest oddarty. Unoszę brew.

– Dziennikarstwo najwyższej jakości.

Dave wzrusza ramionami.

– Ja tylko robię zdjęcia.

– Nie ma tu nic o tym, czy miał jakieś zwierzę.

– Nie każdy człowiek żyjący na marginesie musi mieć zwierzę. Do czego zmierzasz?

– Patrick Serfontein to przeczucie. Powiedzmy sobie tylko, że jego śmierć wiąże się z pewnym e-mailem. Czy istnieje jakieś jego zdjęcie zrobione za życia?

– Tylko to z dowodu osobistego. Mam ksero od Mandli. Mówi, że to pójdzie pod jej nazwiskiem, jeśli znajdziemy coś niezłego. Ty możesz się dopisać jako „współpraca”.

– Nie wiem, czy użyłabym tu słowa „niezły” – mówię ponuro.

– Dokąd jedziemy?

– Sfotografować ciało, które wiąże się z jeszcze innym e-mailem.

Na desce rozdzielczej leży paznokieć pomalowany rubinowym lakierem, który znalazłam na Kotze Street. Nić, która od niego prowadzi, jest czarna i zwiędła, ale nadal wykrywalna, bo wizyjny sen o żółtych wydmach wypowiedział, od jakiego miejsca należy zacząć.

– Jakiś zabójca przysłał ci e-maile? Znasz go osobiście? Jakieś przechwałki? Oni tak robią, prawda? To znaczy seryjni zabójcy.

– Nie wiem, kim jest zabójca. Myślę, że to raczej jego ofiary przysyłają do mnie wiadomości.

– Ale to są martwe ofiary?

– Nie inaczej.

– Okay, nieważne. – David mości się na fotelu pasażera i zaraz zaczyna majstrować przy aparacie.

Jadę na południe, w stronę tego miejsca, gdzie są jeszcze ostatnie hałdy pokopalniane – sztuczne wzgórza barwy siarki, porzucone na pastwę warunków atmosferycznych, obrośnięte krzaczastą trawą i eukaliptusami. Żłobiono w nich brzydkie doliny i wywożono ciężarówkami całe tony ziemi, by móc z nich odsiać ostatnie skrawki złota, które towarzystwa górnicze przeoczyły za pierwszym razem. Może tak już powinno być, że *eGoli*, „miejsce złota”, [Nazwa Johannesburga nadana przez Zulusów.] kanibalizuje samo siebie.

Wjeżdżam na bitą drogę obrzeżoną karłowatymi drzewami i pokonuję dokładnie trzy i osiem dziesiątych kilometra. Zmierzyłam ten dystans podczas drogi powrotnej. Kiedy wysiadamy z samochodu, lekki, ale wredny wietrzyk rozkopuje żwirowaty, żółty pył i wprawia drzewa w niepokojące szemranie. Ściągam ciężki koc z tylnego siedzenia i narzucam go na płot z drutu kolczastego. Tym razem przyjechałam przygotowana, bo podczas poprzedniej eskapady podarłam sobie dzinsy. Dopiero po przyjeździe do domu zauważyłam dziurę i zaschniętą krew na nodze.

– Wchodzisz na teren prywatny – zauważa Dave, kiedy przenoszę Leniwca ponad ogrodzeniem.

– Nie przejmuj się. Już tu byłam. Za drugim

razem to się nie liczy jako wejście na teren prywatny.  
– Trzymam delikatnie rubinowy paznokiec w zagłębieniu dłoni. Nic robi się grubsza. Jesteśmy już blisko.

Wdrapujemy się po zboczu hałdy, drobny piach przy każdym kroku wsysa nasze stopy po kostki. Z dala od osłony drzew wiatr jest jeszcze bardziej kapryśny. Podmuchy pyłu chłuszczą nas i owijają się spiralnie, siekąc nagą skórę. Naciągam kangurkę na Leniwca, ale to mu daje marną ochronę. Leniwiec ukrywa głowę za moją szyją i zaciska powieki.

– Psiakrew – mówi Dave. – Nie mam dobrej osłony na obiektyw.

– Tutaj. – Miałam nadzieję, że za drugim razem uczucie nie będzie takie okropne. A jednak w głębi gardła czuję tę samą mieszankę mdłości i strachu.

Dave automatycznym ruchem podnosi aparat, ale opuszcza go, nie robiąc zdjęcia.

– Jak ty to znalazłaś?

– To poniekąd znalazło mnie.

Na piasku leży chłopako-dziewczyna od Wróbla, z kończynami rozrzuconymi we wszystkie strony, wpatrzona pustym wzrokiem w niebo. W każdym dołku, w każdej fałdzie jej ciała osiadł pył, ten pył jest w zagłębieniu jej dłoni, zgromadził się pod jej dolnymi powiekami jak niewylane łzy, zasechł w krwawych cięciach na jej rękach i nogach, na brzuchu i głowie. Ma połamane paznokcie, jakby ich

użyła, żeby się bronić. Lakier. Rubinowa czerwień z cekinami. Pewnie pasował jej do butów.

Dave otwiera i zaraz zamyka usta. Nie ma nic do powiedzenia. Ukrywa się za obiektywem. Rany są na oko trzycalowej długości, zieją jak czerwone usta. Bardzo trudno jest zasieć kogoś na śmierć. Spytajcie Hutu. Ktokolwiek to zrobił, miał w sobie mnóstwo entuzjazmu do tego zajęcia.

– Zauważyłeś, by czegoś brakowało? – pytam, kiedy przystaje, by załadować nową kartę pamięci.

– Ja... nie. Nie wiem. A czegoś brakuje? Czeka. Krwi jest mało. Co by oznaczało, że została zabita gdzie indziej.

– I nie ma tu jej zwierzęcia.

– Skąd wiesz, że była zanimalizowana?

– Pracowała na mojej ulicy. Miała Wróbla.

– Wróbla? Wróbel to maleństwo. Mogłaś go z łatwością przeoczyć.

– Zaufaj mi. Jego tu nie ma. – Wiem to, ponieważ przeszukałam tę wydniętą wszczepioną i wzdłuż w poszukiwaniu trupka małego, brązowego ptaka z nóżkami jak zapałki zaciśniętymi pod piersią. Ale również dlatego, że go czuję. – Zgubił się.

Gliniarze dotelepują się zaledwie półtorej godziny po moim telefonie; są wkurzeni. Przez ten pył, wiatr i martwą chłopako-dziewczynę wpatrzoną w niebo, jakby przyglądała się obłokom. Bo ich

czeka papierkowa robota. I zbieranie dowodów. Przez fakt, że jestem w to zamieszana.

Odsyłają mnie do izby przesłuchań, na kolejną dwugodziną sesję z dobrą inspektorem Tshabalalą, która tym razem z miejsca rusza do galopu.

– Skąd wiedziałaś, gdzie szukać ciała?

– To jest w moich aktach. Moje *shavi*...

– Twoje *shavi* odnajduje zaginione rzeczy.

– I znalazłam jej ciało.

– Jak? – naciska.

– Śledziłam połączenie.

– Skąd znałaś ofiarę?

– Nie znałam jej. Widywałam ją na ulicy. Ona jest, była, *lekgosha*, to znaczy żyła ze świadczenia usług seksualnych. Ale moim zdaniem nie zrobił tego żaden jej klient.

– Tak uważasz? Byłaś zamieszana w to morderstwo?

– Nie.

– Gdzie byłaś rankiem we wtorek dwudziestego drugiego marca?

– Czy to przesłuchanie nie dotyczy przypadkiem innej sprawy?

– Ty mi to powiedz. Gdzie byłaś?

– Jak już wcześniej mówiłam, w czasie, kiedy pani Luditsky została zakłuta nożem, znajdowałam się w swoim mieszkaniu. Mieszkanie numer sześćset jednaście, Wzgórza Elizejskie, Zoo City, Hillbrow.



Kod pocztowy dwa tysiące trzydzieści osiem. Razem z moim chłopakiem Benoitem Bocangą, który, jak sędzę, złożył zeznanie potwierdzające moje zeznanie.

– Benoit Bocanga. Sprawdzamy jego dokumenty.

– Które są w porządku.

– Ale jego podanie o status uchodźcy musi zostać odnowione.

– Jeśli chcecie kogoś szantażować, szantażujcie mnie. Jestem pewna, że się do czegoś dokopiecie.

– Istotnie. – Zmienia taktykę. – Ty i twoje magiczne *sha vi* jesteście pośrednio związani z dwoma morderstwami popełnionymi w minionym tygodniu. Jak to wyjaśnisz?

– Fenomenalny pech, pani inspektor.

– Czy posiadasz jakieś noże?

– Posiadam kuchnię. Jest mała i brudna, ale wyposażona w rozmaite sztucce.

– Czy możemy przeszukać twoje mieszkanie?

– Będziecie potrzebowali nakazu.

– To się da załatwić.

– Adwokata również, pani inspektor.

Trzeba chyba być zaprzędaną byłą ćpunką, żeby wywlekać swój żaloszny tyłek z łóżka o dziesiątej rano. Albo kimś, kto już nie potrafi spać. Proszę o Midazolam.

Pomagam przy rozdawaniu styropianowych kubków wypełnionych nadzwyczaj ohydnyim miksem kawy zbożowej instant gościom dzisiejszego spotkania rannych ptaszków w Nowej Nadziei, wykorzystując okazję do puszczenia w obieg odbitek kserograficznych z dowodu osobistego spalonego człowieka.

Problem polega na tym, że wszyscy chcą rozmawiać wyłącznie o Slingerze, o tym, że on jednak nie jest prawdziwym zoolusem. Podają sobie egzemplarz „The Daily Truth”.

– Hiena tego asfalta była podrabiana, na sto procent – odzywa się bardzo wysoki, bardzo nerwowy facet z wiele mówiącymi plackami grzybiczymi we włosach. Trzyma w ręku starą czapczkę baseballową ze zwiniętym w środku Jeżem.

– Cały ten czas? – pyta chudy rudzielec ze ściągniętymi brwiami. – I nikt nie zauważył? To wy, ludzie, nie umiecie powiedzieć, czy zwierzę jest prawdziwe czy nie?

– „Wy, ludzie”? „Prawdziwe czy nie”?  
– Ag, wiesz, co chcę powiedzieć, człowieku.  
– To nie tak jak z byciem pedałem. Nie mamy żadnego magicznego daru, żeby wykrywać innych zoolusów.

– Dla mnie to smutne. Ten człowiek dużo zrobił dla zoolusów.

– Ten facet dużo zrobił dla własnego rozgłosu. Odgrywał wielkiego twardziela z Zoo City, żeby wzbudzać kontrowersje.

– Mogę zobaczyć? – pytam, wskazując gazetę.

Facet z Jezem wciska mi ją w rękę i z powrotem uderza w ton wykładu.

– Taki człowiek wie, jak urobić media i wkurzyć rodziców. Sami sprawdźcie, jak się sprzedaje jego płyta. Tak samo jak Britney Spears. I Eminem albo tamten odjechany wampirowaty gościu z dziwnymi oczami. Im zależy tylko na reakcji.

Na pierwszej stronie dominują dwie fotografie, ułożone obok siebie pod nagłówkiem CYRKOWY AKT. Pierwsza przedstawia Slingera trzymającego uzi, pozującego na twardziela z Hieną w obroży wysadzanej diamentami i licznym oddziałem panienek w złotych mikrobikini z własnymi karabinami. To zdjęcie jest skonstrastowane z zagonionym człowiekiem w ciemnozielonym dresie, w kurtce na głowie, który ucieka przed paparazzi w stronę SUV-a z otwartymi drzwiami, w których

widać kobietę wykręcającą się, żeby nikt nie widział jej twarzy.

Przerzucam gazetę, mijając cycki na stronie trzeciej i historyjkę o ludziach, którym tak mocno dojadła recesja, że polują na domowe koty, aż wreszcie znajduję doniesienie o morderstwie Wróbla. Dave obiecał, że będzie na pierwszej stronie, ale brudy Slingera zepchnęły materiał do wąskiego łamu na szóstej stronie, jako kolejny tekst o pracy policji.

„Daily Truth” 29 marca 2011

## **KRONIKA POLICYJNA**

### **Mandlakazi Mabuso i jej patrol obywatelski**

#### **Masakryczna zbrodnia nienawiści**

Wczoraj po południu na wysypisku przy Kopalni Korony, na mrocznym południu miasta znaleziono ciało ślicznej chłopaczko-dziewuszki. Nasz fotograf dostał cynk i to on znalazł posiekane zwłoki. Ofiara, ponoć transwestyta niecieężkich obyczajów, przeszła magiczne i chirurgiczne zmiany, zanim szalony morderca wprowadził kilka własnych alteracji, tnąc jego/ją na krwawe wstęgi za pomocą maczety. Czy była to zbrodnia nienawiści – ekstremalnie niezadowolony klient? Policja prowincji Gaunteng nie wygłosiła żadnego komentarza.

Mogłabym wygłosić własny komentarz, ale nie dotyczący homofobicznych, obojnaczych zbrodni nienawiści. W ogóle nie uważam, że taka jest prawda stojąca za tą historią, ale dotychczas nie otrzymałam żadnych tajemniczych e-maili z tamtej strony, by to wyjaśnić w jakiś inny sposób.

Zostaję na spotkaniu, ale nikt nie rozpoznaje Patricka Serfonteina z kopii jego dowodu, w tym również administratorzy tego przybytku. Wcale zresztą się tego nie spodziewałam. Ostatecznie jadenie resztek z Delikatesowej Quchni to nie do końca to samo co „jadenie w samolocie”, ale to mnie i tak natchnęło. To, a także wizja wywołana przez *muti*, przedstawiająca płonący wózek wypełniony plastikowymi widelcami.

Przez cały poranek wiszę na telefonie, wydzwaniając do linii lotniczych; udaję, że piszę artykuł do „Better Business Magazine” poświęcony „odpłacaniu się”. Wychodzi na to, że tylko dwóch krajowych przewoźników ofiarowuje niezjedzone posiłki potrzebującym. Jak powiedziała osoba od Odpowiedzialności Społecznej w liniach FlyRite: „Żyjemy w pieniackim społeczeństwie. Potrafię zrozumieć, że inne linie lotnicze mogą się bać potencjalnych roszczeń o zatrucie pokarmowe. My jednak dbamy o jakość naszego jedzenia. Nawet wtedy, gdy jest o jeden dzień przeterminowane”.

I dodaje radośnie: „Jeśli jest dobre dla naszych

pasażerów, to w takim razie jest też dobre dla potrzebujących”.

Dwa telefony później mam już listę wszystkich ośrodków pomocowych obsługiwanych przez FlyRite i Blue Crane Air. Na podstawie wieku Patricka eliminuję Wspaniałe Początki, czyli dom dzienny dla młodocianych przestępców, oraz Vuka!, czyli program dożywiania uczniów z biednych rodzin, dzięki czemu zostaje mi jadłodajnia dla ubogich w gminie Alexandra oraz Schronisko im. Carol Walters usytuowane tuż przy Louis Botha Avenue, o rzut kamieniem – pod warunkiem że rzutu dokonuje jakiś olimpijczyk – z Troyeville. Nazwijcie to domysłami, ale tam postanawiam się udać najpierw.

Schronisko mieści się w uroczo zrujnowanym wiktoriańskim domu z gzymsami, zdobnymi elementami z kutego żelaza i niebieskim tynkiem, który mocno obłazi, przez co fasada przypomina skórę spaloną słońcem. Wnętrze jest opustoszałe i zdecydowanie czyste, ale żadna złota rączka nie byłaby w stanie zeszkrobać atmosfery rozpacz, która wisi nad tym budynkiem jak gaz musztardowy. Jakiś mężczyzna z mopem kieruje mnie w stronę biura administracji.

Renier Snyman ma niewiele ponad trzydzieści lat, jest dostatecznie młody, by wciąż wierzyć, że coś jest w stanie zmienić, i dostatecznie stary, by odczuwać brzemień swoich usiłowań. Jest przyjazny,

ale czujny, kiedy przedstawiam się jako dziennikarka pisząca artykuł o morderstwie.

– Nie mogę obiecać, że pani pomogę. Nie rejestrujemy ludzi, którzy tu przychodzą.

– Czy może pan spojrzeć na jedną fotografię? – Wyciągam swoje ksero i kładę je przed nim na biurku.

– Hmm. Muszę powiedzieć, że nie wygląda znajomo. Ale nic dziwnego, ten dowód wydano w 1994 roku. Zresztą nikt nie wygląda tak jak na fotografii w dowodzie, zwłaszcza jeśli przez ileś lat żył w trudnych warunkach. Moglibyśmy popytać kilku z tych, którzy tu przychodzą od dawna, ale w tej chwili ich tu nie ma. Wypuszczamy ich między dziesiątą a piątą, ale wielu włóczy się w pobliżu. Chodźmy się przejść.

Idziemy do Parku Jouberta, po którym krążą już hordy dilerów, a także kilku urzędników, którzy wyszli na słońce, korzystając z wczesnej przerwy na lunch. Renier idzie prosto do publicznych toalet, gdzie grupka ewidentnie bezdomnych podaje sobie *papsak*, czyli karton z folii aluminiowej wypełniony tanim winem. Popatrują na nas podejrzliwie, a jakaś sękata kobieta chwyta za ramię staruszka stojącego obok niej i przywiera do niego w poszukiwaniu ochrony.

– O co biega, kapitanie? – woła staruszek, kiedy się zbliżamy. Zmarszczki na jego twarzy są wyryte

tak głęboko, że przypominają szczeliny skalne. – Ktoś coś podpylił? Ten *dief* [die/(afrikaans) – złodziej] znowu wrócił?

– Nic z tych rzeczy, Hannes. Ta młoda dama chciałaby pogadać z tobą i Annamarie na temat człowieka, który być może przebywał wśród nas.

Pokazuję im odbitkę, a oni podają ją sobie kolejno z tą samą powagą jak *papsak*.

– *Nee*, człowieku. Ja nie znam tego *okie*. – Hannes kręci głową.

– Jesteś pewien? Mógł już tak nie wyglądać. – Zdecydowanie tak nie wyglądał, kiedy go spalono na węgiel, ale tego kompletu zdjęć nie będę im pokazywała. – Nazywał się Patrick Serfontein.

– Że jak? – pyta staruszka przywarta do jego ramienia.

– Patrick Serfontein. Miał pięćdziesiąt trzy lata. Z Kroonstad.

– Nie, proszę pani – powtarza Hannes, potrząsając głową.

Staruszka wali go w ramię.

– *Jong* [Jong!; *Jy onthou*; *En dinges wat daar woon*; *Miervreter* (afrikaans) - odpowiednio: Chłopcze!; Ty pamiętasz; Ten, jak mu tam, co tu mieszkał; mrówkojad

319] Ten Irlandczyk! *Jy onthou\** – Chwyta ksero trzęsącymi się dłońmi, albo od Parkinsona, albo od chlania. – *Ja, okie* z brodą. *En dinges wat daar woon\** – Drapie się pod brodą, jakby ją tam pogryzły



wszy. – Pan pamięta, panie Snyman. Miał tego *Miervreter*\*.

– A więc on jednak miał zwierzę? – pytam.

– Faktycznie go sobie przypominam. – Snyman potrząsa głową. – Ten cholerny Mrówkojad wtykał we wszystko jęzor, zwłaszcza w cukier. Nasz kucharz dostawał od tego wścieklizny.

– On go karmił młodymi karaluchami, panie Snyman. Pamięta pan? – Trzyma palec wskazujący i kciuk w odległości dwóch cali, żeby zademonstrować.

– To nie jest młody karaluch – poprawia ją ponury mężczyzna z silnym niemieckim akcentem. Opiera się na wózku zakupowym wypełnionym szczątkami materaca.

– A ja mam tu takiego! – chwali się staruszka, klepiąc się po udzie i nawet ponury Niemiec i Snyman się śmieją.

– Kiedy go wiedzieliście po raz ostatni? – pytam.

– Pewnie kilka tygodni temu – zastanawia się Snyman. – Może z miesiąc. O ile dobrze pamiętam, często pojawiał się i znikał.

– Żył po swojemu – mówi z aprobatą Hannes. – No bo schronisko nie jest dla wszystkich. Niektórzy ludzie lubią swoją wolność. Nie będą się cały czas stosowali do zasad innych ludzi. – Obdarza staruchę uwieszoną do jego ramienia nieznacznym, ale ostrzegawczym skinieniem głowy.

– Jy! Nie rozśmieszaj mnie – mówi kobieta.

– Wielu naszych rezydentów przychodzi i odchodzi – mówi Snyman. – Mieszkają na ulicy, dopóki nie zrobi się zimno – najczęściej osób mamy zimą – albo coś się nie zdarzy. Bójka, pobicie, wypadek. Tam na zewnątrz bywa niesympatycznie.

– Czy jest jeszcze ktoś, kogo od dawna nie widzieliście? Ktoś ze zwierzakiem?

Wymieniają się spojrzeniami i kręcą głowami.

– Skąd mamy wiedzieć? – pyta ponury Niemiec.

I to jest właśnie to, na co liczy zabójca.

Mandlakazi nie jest zwyczajnie gruba, jest monstrualna. Wałki na jej brzuchu mają własne wałki. Kiedy wiezie nas do Cresty na spotkanie ze Świadkiem, przegryza się przez torbę wypełnioną wegetariańskimi samosami, trzymając jedną rękę na kierownicy, drugą wsuwając do torby i z powrotem do ust jak taśma montażowa. Leniwiec natychmiast się do niej przywiązuje, ale być może wyłącznie przez te maślane samosy, którymi cały czas go raczy.

Świadek zadzwonił rano, w czasie, gdy ja sprawdzałam, które linie lotnicze prowadzą działalność charytatywną; twierdził, że wszystko widział. Dave mnie potem powiadomił o tym i uparłam się, że pojedę razem z nim.

– Dave opowiadał, że się zadawałaś z jakimiś seksownymi szczeniakami – mówi Mandlakazi ustami wypełnionymi samosem. Dopiero po sekundzie dociera do mnie, że ona nawiązuje do ijusi.

– Owszem. Pisałam o nich artykuł.

– Czas przeszły? To niedobrze. Dave ci powiedział, że pisywałam teksty plotkarskie do „Sunday Timesa”, czas przeszły?

– Wspominał.

– A wspominał, dlaczego mnie wylali? Zrobiłam się taka duża, że sama sobą wypełniałam rubryki

towarzyskie. – Zanosi się śmiechem. – Nie, żartuję. Mdlilo mnie już od tego.

Te paskudztwa to rak. Wszystkie te celebryckie gówna, one cię pożrą żywcem, jeśli na to pozwolisz.

– A zbrodnie to już nie?

– Pisanie o celebrytach jest jak umieranie od operacji plastycznej nosa, która zakończyła się gangreną. Albo od raka dupy. Tak na to patrzę. Po prostu durny sposób na odejście. Dlatego nie ma to, jak porządny strzał w głowę albo śmiertelne zadżganie nożem. To przynajmniej jest coś warte. No więc co ty myślisz o całej tej popapranej sytuacji? Ktoś biegnie z maczetą, bo postanowił przeprowadzić antyzooluską wendetę?

– To są morderstwa, których celem jest pozyskiwanie *muti*.

– Żeby tylko! Olał Slingera i jego sztucznego szczeniaka, będziemy mieli wypełniacz pierwszej strony na cały tydzień. Ale jak to tłumaczysz?

– Dwa morderstwa w ciągu tygodnia. Na dwóch zoolusach. Przy żadnym z ciał nie było ani śladu po zwierzęciu.

– I uważasz, że te dwa morderstwa są z sobą powiązane, bo... ? No bo z jednej strony mamy twojego bezdomnego z naszymi. A z drugiej mamy bardzo nieprzyjemną sprawę z zadżganiem. Moim zdaniem to wcale nie wygląda na to samo *modus operandi*, a uwierz mi, dziecko, ja mam czuja

do seryjnych morderców.

– Dostałam maila.

– Od zabójcy?

– Od ofiar. Duchy w maszynie. Szczególny znak firmowy dla ich zagubionych rzeczy.

– A to twoja branża, prawda? Zagubione rzeczy?

– To moja branża – potwierdzam.

– Ale skąd wiesz, że to nie dla jaj? – Mandlakazi wyciera palce o dzinsy.

– Na tyłach Mai Mai poznałam grupę ćpunów z Jeżozwierzem. Odcięli mu łapę, żeby ją sprzedać na *muti*. Proponowali, że zrobią to samo z Leniwcem. Ktoś kupuje.

Faktem jednak jest, że w tym mieście ktoś zawsze coś kupuje. Seks. Narkotyki. Magię. Mając odpowiednie koneksje, można prawdopodobnie załatwić sobie układ typu „dwa w jednym”.

– *Muti* od zoolusa? – Dave gwizdże z aprobatą. – To musi kosztować.

– Kosztowne to jest zabijanie dzieci na *muti* – poprawiam go.

Nie zdarza się to często, ale co roku mamy do czynienia z garstką spraw, które wypełniają gazety: nastolatki mordowane i ćwiartowane na części. Wargi, genitalia, palce, dłonie, stopy. Im bardziej wrzeszczą, tym bardziej potężne jest ich *muti*, aczkolwiek kostnice też nieźle sobie przędą na boku. Dłoń zakopana pod drzwiami twojego sklepu

przyniesie ci więcej klientów. Zjedzenie penisa niedojrzałego płciowo chłopca wyleczy twoją impotencję...

– Ludzie zauważają, że jakieś dziecko zniknęło, ale o zanimalizowanych, zwłaszcza bezdomnych, blakających się po ulicach, nikt się nie upomni. Tak więc nie powiedziałabym, że takie *muti* jest kosztowne.

– Ale wiąże się z ryzykiem – mówi Dave.

– Prawdopodobnie tego wartym – mówi Mandlakazi. – Ludzie płacą niezłe pieniądze za róg nosorożca albo *perlemoen*, i to jeszcze zanim dodasz *mashavi* do tego równania. Zwierzęta to już ciężki, magiczny towar. Wymieszaj go z *muti*, a kto wie, co uzyskasz? Ja tego nie wiem. Ale mówię wam, będzie o czym pisać.

Spotykamy się ze Świadkiem w wietrznym coffee shopie na dolnym poziomie galerii. Siedzi na tyłach, skrecona nieszczęśliwie w przegrodzie. Jest maleńka, ma ledwie piętnaście lat, jej zgarbione plecy opowiadają o życiu, w którym starała się jak najmniej zawadzać.

– Ty jesteś Roberta? – pyta Mandlakazi, wyciągając rękę na powitanie.

Dziewczyna przytakuje nieznacznie, tak prędko, że człowiek by to przeoczył, gdyby mrugnął. Nie podaje ręki. Celuje we mnie palcem i mówi:

– Tylko ona.

– Mała, jestem dziennikarką, to ze mną chcesz rozmawiać. Mogę odesłać tych innych ludzi, jeśli chcesz zachować anonimowość.

Dziewczyna potrząsa głową.

– Tylko ona.

– Zoolusi powinni trzymać się razem, prawda. No dobrze. Usiądziemy na zewnątrz. – Wyraźnie zniechęcona wręcza mi dyktafon. – To ten czerwony przycisk po prawej.

– To jest jak z jazdą na rowerze.

Wychodzę czterdzieści minut później, przysiadam się do stolika Mandli i Dave’a.

– Okay, po pierwsze: żadnej policji. Jeszcze nie. Może wy ją przekonacie. Po drugie: jest potężnie przestraszona. Zbyt przestraszona, by wrócić do domu. Jedno z was musi ją przygarnąć na kilka nocy.

– A czemu nie ty? – pyta Mandlakazi.

– Bo mieszkam w jej dzielnicy. Gdzie doszło do morderstwa. Popełnionego na jej przyjaciółce, która przypadkiem też była prostytutką, tak jak ona.

– Może się zatrzymać u mnie. Przynajmniej na tę noc.

Jutro coś wymyślimy. Gazeta może ją umieścić w jakimś hotelu, jeśli ta historia do czegoś prowadzi. A co mówiła o morderstwie? – Mandlakazi praktycznie dławi się z zapału.

– Pewnie powinnaś usłyszeć to sama. Notowałam stany licznika przy najbardziej

użytecznych cytatach. – Podaję jej serwetkę popisaną długopisem pożyczonym od kelnera.

– No proszę, nieustraszona reporterka.

– Czyżby warta więcej niż jako „współpraca”?

– Zależy, co jest na taśmie.

Przewijam dyktafon do 05:43. Muszą się pochylić, żeby usłyszeć głos Roberty, nieprawdopodobnie cichy szept, dodatkowo zagłuszany warkotem ekspresu do kawy i poszcękiwaniem filiżanek.

**ZINZI DECEMBER:** Okay, chcę się tylko cofnąć o jedną minutę. Dokładnie co miałaś na myśli, mówiąc „jak duch”?

**ROBERTA VAN TONDER:** No przecież ci mówię!

Jakby tam nikogo nie było. W jednej chwili pochyliła się, żeby coś zrobić z butem, z tym obcasem miała kłopoty całą noc, a potem *Pach! Pach! Pach!*

Dźgała powietrze w kawiarni, nieświadomie wykrzywiając twarz.

**RVT:** [Cd. ] I nagle zaczęła się z niej wylewać krew.

Z wszystkiego, z głowy, z rąk... Poleciała na mur, sikając dookoła krwią. *Pszzsz!* Ale potem było



znowu to *Pach! Pach! Pach!* I kolejne rany. Więcej krwi! Leżała na ziemi, trzymała się za głowę, krzyczała tak strasznie, a tu dalej to *Pach! Pach! Pach!*

**ZD:** Jak zareagował jej Wróbel?

**RVT:** Fruwał dookoła niej, jakby mu odbiło. *Szuuuu, szuuuu.* Fruwał to tam, to z powrotem.

**ZD:** Jakby widział ducha?

**RVT:** Jakby widział ducha.

**ZD:** Jakby atakował ducha?

**RVT:** Nie wiem. Nie wiem.

**ZD:** I nie widziałaś, co było potem?

**RVT:** Nie. Uciekłam. Biegłam, biegłam i biegłam, aż myślałam, że mi wybuchnie serce.

**ZD:** Przepraszam, muszę tylko sprawdzić, czy rozumiem. Nie widziałaś ani nikogo, ani niczego. Żadnych cieni. Kompletnie nic?

**RVT:** No właśnie nic. Albo... no może coś szarego.

Jak cień. Jak demon. Niewidzialny demon!

– Młoda, to jest żyła złota. To jest żyła złota – mówi Mandlakazi.

Spędzamy następne kilka godzin na spisywaniu nagrania i przerabianiu tego na wstępną wersję artykułu.

Wracam do domu dobrze po jedenastej, wyczerpana i wkurzona, że musiałam zaparkować dwie przecznice dalej z powodu robót drogowych pod Wzgórzami Elizejskimi. Może wreszcie naprawią tę cholerną wodę. Roberta jest bezpiecznie ulokowana w mieszkaniu Mandlakazi. Artykuł wypadł nieźle, nawet jeśli musiałam podgrzewać histerię dla odbiorców „Daily Truth”. Kiedy się stoi na niczym, wszystko jest krokiem w górę, nawet tabloidowe dziennikarstwo. Może potem napiszę ten materiał o turystyce odwykowej – dla jakiegoś przyzwoitego periodyku, nie dla „Macha”.

Jestem wykończona i dlatego nie zauważam, że ktoś pozrywał zaklęcia z mojego zamka. Strząsam Leniwca na słupek obok drzwi i zapalam światła. Na skraju mojego łóżka siedzi Vuyo. Z pistoletem w ręku. Trzyma go luźno, nogi ma rozstawione szeroko, przez co pistolet dynda między nimi jak penis. Ma zrezygnowaną minę.

Mój telefon wybiera dokładnie ten moment, by odegrać zwawą *mbaqanga* z *Gorączki* ijusi. Oboje się wzdrygamy, pistolet podskakuje na jego kolanach.

– Chcesz odebrać? – proponuje Vuyo, ale sam tego nie chce.

– Nie. Oddzwonię później – mówię jak

najbardziej zdawkowo. Ten dzwonek zaprogramowałam na telefony od niektórych numerów. Arno. Song. S’bu. – Chcesz herbaty?

Mam za sobą naprawdę długi dzień, herbata dobrze mi robi – paplam, upuszczając nieco tej nerwowej adrenaliny, która przywalała mi mocniej niż jakiś mistrz teakwondo, a jednocześnie staram się nie pokazać, że bynajmniej nie sięgam po kubki, tylko szukam jakiejś broni. – Jaką pijesz? Bo ja lubię mocną i czarną. To nie jest żadna podpucha, tak a propos.

Stanie plecami do niego zabiera mi wszystkie strzępy odwagi. Słyszę, jak podryguje kolanem, po tym mikroodgłosie szelestu jego dzinsów. Pierwszy raz widzę go nie w garniturze i to mnie przeraża bardziej niż wszystko inne.

Zamaszyście otwieram szufladę ze sztuccami i staję w konfrontacji z anomalią gorszą niż maile od martwych ludzi albo uzbrojony człowiek siedzący na moim łóżku. To duży nóż rzeźnicki ze złowieszczo ząbkowanym ostrzem – dwa ząbki są wyłamane. I jest zmatowiały od rdzy. Nie należy do mnie. Podobnie jak porcelanowa figurka małego kotka z figlarnie podniesioną łapką, również zaplamiona rdzą. Tylko że to nie jest rdza. To ani trochę nie jest rdza. Tymczasem z jakiegoś idiotycznego powodu przez głowę przelatuje mi myśl: „To jednak mam jakąś broń do mordowania?”. Wybucham głośnym

śmiechem, który brzmi jak szloch przemieszany z czkawką.

– To twoje? – pytam, zwracając się do Vuyo, podnosząc nóż za czubek jak martwego karalucha.

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię zastrzelił – mówi zmęczonym głosem.

– Zamierzasz mnie zastrzelić z powodu jakiegoś maila?

– Ludzie robią gorsze rzeczy za drobniejsze sprawy. Nie, dziewczyno, ja cię zastrzele, bo przez ciebie ucierpiał mój wizerunek. Odłóż ten nóż.

Celuje w moją stronę. Posłusznie wypełniam instrukcje.

– Jesteś pewien, że nie chcesz herbaty? – mówię odrętwiałym głosem. Moja matka mocno wierzyła w herbatę. Poza tym czajnik jest ciężki, solidnie zbudowany. Mniej oczywisty niż nóż. Ryzykuję, odwracając się plecami do kuchennego blatu, sięgam po swój staromodny, metalowy czajnik.

W tym momencie Vuyo przemierza kuchnię, obraca mnie gwałtownie ku sobie, chwytając za gardło i popycha na blat.

– Nie, nie chcę żadnej pieprzonej herbaty – syczy, opryskując mnie śliną. Wpycha lufę w mój policzek. – Chcę moich pieniędzy.

Zaczynam podnosić czajnik, ale on wbija mi kolano między nogi. Wszystko bieleje. Słyszę szcęk metalu upuszczonego na podłogę pokrytą

linoleum.

Puszcza moje gardło, a ja osuwam się bezwładnie na blat, próbując sobie przypomnieć, jak się oddycha. Vuyo przygląda się obojętnie, po czym wsuwa pistolet za pasek od dżinsów, z tyłu, żeby mu było wygodniej mi przywalić.

– J-ja... n-nie... prze-przecież d-dałam – udaje mi się wykrztusić.

Wali mnie na odlew. Stawy jego dłoni rozcinają mój policzek.

– Przez ciebie ucierpiał mój wizerunek. Wstawaj. Wstawaj, powiedziałem! – Pociąga mnie siłą na nogi.

– Dałam ci pieniądze! – Czuję w ustach krew.

– Myślałaś, kurna, że nie zauważę? Zapomniałaś, z kim masz do czynienia?

– Że czego nie zauważysz? Czekaj...

Nadal trzymając moją rękę, wali mnie pięścią w brzuch. Zwijam się wpół, ale Vuyo nie pozwala mi się osunąć na kolana.

– Czego nie zauważę? Że to były fałszywki? Te zasrane niebieskie banknoty były podrobione, wszystkie co do jednego!

– To nie ja. Wrobili mnie, Vuyo. Wrobili mnie.

– Rzygać mi się chce, jak cię słucham – mówi Vuyo, sięgając do tyłu dżinsów. Nie zdąża wyciągnąć pistoletu, bo z sufitu zeskakuje na niego Leniwiec. Vuyo pada na podłogę, powalony kulą z futra i furii.

Pistolet sunie przez podłogę i znika pod łóżkiem. Zaczynam pełznąć, żeby go stamtąd wyciągnąć, ale po zastanowieniu zmieniam kierunek.

W tym momencie Leniwiec zaczyna wrzeszczeć. Zastygam w bezruchu, zamieniając się w konstrukcję pochyloną nad czajnikiem. Zaciskam dłoń na rączce i obracam się, bardzo powoli; widzę, że Vuyo wykręcił ramię Leniwcowi do tyłu, pod straszliwym kątem, że wbił kolano między ramiona Leniwca i wciska go w linoleum. Na jego twarzy i szyi porobiły się głębokie bruzdy. Ostry mały ząbek roślinożercy wygryzł mu z policzka kęs mięsa.

– Możesz mu złamać łapę, Vuyo, ale rozwalę ci czaszkę, zanim zdążysz zrobić coś więcej – mówię.

Vuyo zastanawia się. Leniwiec skomle i wyrywa się. Nasz związek jest jednotorowy. Nie czuję jego bólu, ale widzę na jego pyszczku, że to ogromny ból.

– Pat – stwierdza Vuyo ponurym tonem. Krew skapuje mu z czubka nosa.

Czajnik jest ciężki. Jakże łatwo byłoby go spuścić. Dopiero potem wszystko by się koszmarnie skomplikowało.

– Albo załaduj zapisaną grę – cedzę przez zęby.

– Co?

– Resetujemy się do miejsca, gdzie znajdowaliśmy się przedtem.

– Niemożliwe.

– A kto o tym wie? Kto wie, że banknoty były

falszywe?

– Ja wiem.

– I kto jeszcze?

– Nikt. Na razie. – A jednak zaczyna się uśmiechać, słabym, ale pełnym uznania uśmiechem.

– Dwieście tysięcy – proponuję.

– Czteryście pięćdziesiąt.

– To wariactwo.

– Gdybyś była kimś innym, dziewczyno, już byś nie żyła.

– Ale ja jestem atutem.

– Jesteś atutem – zgadza się, uwalniając Leniwca, który wydaje okrzyk ulgi i pełźnie w moją stronę. Podnoszę go jedną ręką, nadal trzymając w drugiej na poły uniesiony czajnik.

– Wynoś się.

– Mój pistolet.

Śmieję się.

– Dodaj to do rachunku.

Jestem atutem. I proszę bardzo. I w takim samym stopniu *moegoe* jak ci, których dla niego złowiłam. Jeśli Vuyo naprawdę chciał mnie ukarać, to wystarczyło zastrzelić Leniwca. A tam, wyrzucić go za okno, zaoszczędzić kulę. Nie mógł jednak ryzykować, że sprowadzi sobie Cofkę na głowę, że dostanie zwierzaka. Niemniej jednak znowu mnie ma, tak jak chciał. I to z potrojonym długiem.

Na zewnątrz słychać zamieszanie. Trzaskanie

drzwi. Kroki. Jakiś chłopak przebiega obok drzwi, wrzeszczy: *iPoyisa! iPoyisa!* – system wczesnego ostrzegania funkcjonujący w tym budynku.

– Wezwałaś gliny? – pyta z niedowierzaniem Vuyo. Jego spojrzenie biegnie w stronę łóżka, do leżącego pod nim pistoletu. Waha się.

– Nie ja. Ten, kto zostawił nóż w mojej szufladzie. Ci sami ludzie, którzy dali mi walizkę pełną fałszywych setek.

– Lepiej się nie wystawiać, jeśli robisz sobie wrogów – mówi z podziwem Vuyo.

– Lepiej stąd wyjdź, zanim tu dotrą.

Przykłada dłoń do czoła.

– Będę w kontakcie – oznajmia, wślizgując się w chaos ludzi wylewających się na zewnątrz jak karaluchy: dziwki, dilerzy i inne lumpy, uciekający gdzie pieprz rośnie.

Chwytam ścierkę do naczyń, owijam nią nóż i porcelanowego kotka, po czym wrzucam zawiniątko do swojej torby – polisa ubezpieczeniowa Odiego. Ale oni zabili panią Luditsky, jeszcze zanim się zaangażowałam w sprawę, z czego wynika, że mnie wrabiają w jeszcze coś innego. Co jest gorszego niż zadżganie na śmierć staruszki w jej własnym domu?

Przywiązuję sobie Leniwca w pasie, przez co wyglądam, jakbym była w ciąży; potem naciągam stary T-shirt Benoita na sukienkę, żeby ukryć wybrzuszenia. T-shirt pachnie nim, męskim potem i



maścią na oparzenia o nazwie Zambuk.

Wybiegam z mieszkania i wpadam w sam środek powszechnej paniki. Jest straszny hałas, ale w głosie, którzy krzyczy: „Tutaj! Ona jest tutaj!”, pobrzmiewa autorytatywna nuta, która może należeć tylko do D’Nice’a. Nie rozglądam się. Biegnę przed siebie i w ostatniej chwili zbaczam do wypalonych drzwi mieszkania numer 615.

Zanim gliny wpadają do kuchni z wyprutymi rurami i rozbitym zlewem, już wskakuję do dziury w podłodze w drugiej sypialni, do mieszkania 526. Zamiast jednak wybrać główną klatkę schodową, wbiegam na kładkę, wślizguję się przez okno numeru 507 w Aurum, schodzę po połamanych schodach pożarowych i zeskakuję na ulicę, pokonując w ten sposób ostatnie półpiętro. Królowa skrótów. Od niechcienia wrzucam zawiniątko z nożem i porcelanowym kotkiem do studzienki.

Światła policyjnych wozów omiatają budynek. Od frontu doliczam się czterech wozów; prawdopodobnie na tyłach są jeszcze co najmniej dwa. Policja normalnie nie zapuszcza się do Hillbrow, ale teraz są po trzonowce uzbrojeni w karabiny i po dupę wyścieleni w kamizelki kuloodporne i hełmy. Miło patrzeć, że na poważnie przejęli się morderstwem, nawet jeśli jest to sprawa niepozornej, niezanimalizowanej staruszki brutalnie zadżganej przez dziewczynę z Leniwcem. Na miejscu

jest już wóz telewizji internetowej, zaparkował za jednym z wozów policyjnych.

Wykorzystuję ten wóz jako osłonę, dekuję się na jego tyłach jak przystało na bardzo ciężarną niewiastę, podobną do skrzyżowania hipopotama z kaczką. Niestety, nieustraszona reporterka zauważa mnie i kamera wykonuje zamaszysty łuk w moją stronę, ale potem na szczęście dziewczyna zauważa coś jeszcze lepszego, jeśli chodzi o ludzkie historie – panią Khan mianowicie oraz jej dzieci, które wyją i wrzeszczą, kiedy krzepki gliniarz wyprowadza je z budynku, z garścią pełną skonfiskowanych, fałszywych paszportów. Zmywam się stamtąd, przemykając obok robót drogowych, a potem kłusuję w górę ulicy, w stronę swojego samochodu.

Capri wyciąga co najwyżej sto czterdzieści, i dobrze, bo lawiruję między pasami jak Ayrton Senna na amfetaminie, torturując się wiadomościami odgrywanymi ze skrzynki głosowej. Bo telefon Arno wciąż dzwoni, dzwoni i dzwoni.

*„Halo? Halo!” rzezi głos Arno. „Jesteś tam? Zinzi, ja cię, oni tu są! Z ręką na sercu. Gorszi niż zombi. Oni są, kurwa, jak duchy. Błagam, odbierz. Błagam!”*

*Arno oddycha prędko i ciężko, jak ktoś, kto dzwoni z obscenicznymi tekstami i akurat dostał*

*ataku astmy. I z każdą chwilą oddech przychodzi mu z coraz większym trudem. A potem słyszczyć odgłos rozbijania drzwi. „O jasna dupa!” A potem wrzeszczy. Słyszczyć stłumiony odgłos drapania, któremu towarzyszy tępe bębnienie, jakby go wleczono po podłodze i Arno kopał w nią piętami.*

*A potem połączenie się urywa.*

Przy budce ochrony przy wjeździe do Mayfields jest pusto. Gdzieś dalej wyją syreny, czarne kłęby dymu pienia się na tle nienaturalnie bladego, pomarańczowego nieba. Przechodzę pod barierką do środka i tu spotyka mnie jeszcze jedna niemiła niespodzianka. Widzę naklejone ogłoszenie, z niewyraźną fotografią mnie samej zrobioną kamerą internetową tamtego ostatniego razu, kiedy tu byłam. Ktoś starannie pokreślił najważniejsze szczegóły:

**Włamywaczka!  
Patrol sąsiedzki:  
Do wszystkich mieszkańców!**

Strzeżcie się tej kobiety!  
Zinzi December to kobieta skazana za  
morderstwo, uważana za bardzo niebezpieczną.  
Jeździ pomarańczowym fordem capri i ma  
Leniwca.

Jeśli zobaczycie tę kobietę, natychmiast

wezwiście ochronę i policję!

Zdzieram ogłoszenie i mnę je w kulkę, wduszam przycisk, żeby podnieść barierkę, i przejeżdżam dalej, prosto w chaos rozwrzeszczanych syren, i widzę karetkę pogotowia zaparkowaną na samym środku nienagannie wypielegnowanego pasa trawy, drogę zablokowaną wozami strażackimi i policyjnymi. Zatrzymuję się za karetką i nakładam obszerną kangurkę na ramiona i na Leniwca. Numer z ciężą wiąże się ze zbyt licznymi restrykcjami.

– Spuść łeb – mówię do mojego osobistego Quasimodo i podrywam się do biegu.

H4-303 to pole przegranej bitwy. Strażacy równie dobrze mogliby sikać na ten dom. Już został zredukowany do czarnego czerepu. Jaskrawe, pomarańczowe płomienie liżą okno na piętrze, należące do pokoju S’bu. Gęsty żar tworzy nieprzebyty mur, zmuszając tłum gapiów do trzymania się na dystans od przystrzyżonego trawnika. Są ubrani w najrozmaitsze konfiguracje ubiorów nocnych.

– Media! – krzyczę i toruję sobie drogę do frontu, gdzie pod ogniotrwałymi prześcieradłami leży ciało. Krzepkiego nastolatka. Spod prześcieradła wystaje ręka. Rękaw jest w różowe małpki-roboty. Serce skacze mi do gardła tak gwałtownie, że praktycznie się nim dławię. – Gdzie są pozostałe

dzieciaki?! – wydzieram się na będącego w stanie stresu pourazowego ochroniarza, którego zadaniem jest zagradzanie ludziom drogi.

On jakby mnie nie słyszy, zahipnotyzowany tym spektaklem. Strażak wywleka szerniałe ciało z gruzów, wiszące na jego rękach jak strach na wróble. Małe ciało. Rozmiarów dziewczyny. Ubrane w fioletowe kowbojki. Które dymią.

– Tam jest jeszcze jeden! – krzyczy ktoś z wnętrza budynku.

– Proszę stąd odejść! – wrzeszczy na mnie jeden ze strażaków, wyrrywając ochroniarza z transu.

Kiedy podnoszę ręce przepraszającym gestem, widzę przelotnie coś innego w tłumie. Jakiś cień. Tłum to kłębowisko zagubionych rzeczy, ale po niciach połączenia coś się rusza. Jak duch. Albo niewidzialny demon.

– Kobieto, tu nie wolno – mówi ochroniarz, odciągając mnie. – No co z tobą? Wracaj tutaj!

– Przepraszam – mruczę i pozwalam mu zagnać się w stronę tłumy, który usuwa się nieświadomie od demona, rozstępując się jak magiczne morze, pozwalając mu oddalić się w stronę parkingu.

Ścigam go, rozpychając ludzi, po drodze chwytając wrażenia. Tyle że jest tak jak pod domem pani Luditsky w dniu jej morderstwa, to już nie są tylko wrażenia. Obrazy wyskakują na mnie w idealnie wysokiej rozdzielczości: przełamana pałka

perkusyjna z nazwą zespołu, para dziewczęcych szortów z czerwoną koronką, zegarek casio z pomarańczowego plastiku, kółko na klucze umocowane z breloczkiem w kształcie głowy lalki Bratz. I zniszczona książka ze złotym drzewem na okładce.

– Wiem, że tu jesteś, Amira! – krzyczę.

Ale ona nie przestaje się rozmywać, jak fotografia wywołująca się na odwrót, nie tak, by ugiwała wokół siebie światło, tylko tak, jakby ugiwała ludzkie umysły, czyniąc się niewidzialną, sprawiając, że twoje spojrzenie ześlizguje się z niej, że twoja uwaga gdzieś dryfuje. Tu się nie da nic zobaczyć. Z wyjątkiem tej zniszczonej książki. Przywieram do niej najmocniej jak potrafię, ale tłum stawia mi opór.

– No idź!

– Co jest z tobą?

Ktoś chwyta mnie za rękę. To ten wyniosły kelner z klubu.

– Znam cię!

Wchodzę prosto w objęcia kelnera, wykręcam mu rękę i jednocześnie walę go w krtań wnętrzem dłoni. Puszczam go z towarzyszeniem zduszonego odgłosu. No to jaki będzie dodatkowy zarzut na liście moich dzisiejszych wykroczeń? Na pewno oskarżą mnie o ten pożar. Odwracam się i daję dyla w stronę mojego samochodu, słysząc za sobą krzyki ludzi.

Odjeżdżam z piskiem opon. Capri łamie barierkę

jak nastoletnie serce.

Napięcie w samochodzie jest gęste jak kolapsująca gwiazda. Benoit siedzi w milczeniu, patrzy przez okno na latarnie migające obok samochodu. Zabrałam go spod kościoła metodystów. Nie sprzeczał się, nie zadawał pytań, nie próbował przekonać, żebym poszła na policję. To on zasugerował, by wykorzystać jego uniform, na wypadek gdyby pojawiło się jeszcze jedno ostrzeżenie o „niebezpiecznej kryminalistce” przy barierce zagradzającej wjazd do dzielnicy.

Refleksy światła lepią się do mosiężnej plakietki z nazwiskiem jak niewysłowione oskarżenie. Te rzeczy, których on nie mówi na głos: że ryzykuje wszystko – jego status azylanta, szansę jego rodziny na przyszłość tutaj. Zamiast niego mówi to Mangusta, której paciorkowate oczy patrzą na mnie groźnie z kolan Benoita. Te oczy mówią: „Nic niewarta ćpunka i dziwka, specjalistka od ciosów w plecy”.

Zatrzymuję się kilka przecznic dalej, tak żeby nie rzucać się w oczy. Dookoła panuje nienaturalny spokój. Ptaki odezwą się dopiero za jakąś godzinę. A tymczasem miasto ze snu śni.

– Daj mi dziesięć minut – mówi Benoit.

Podaję mu torbę ze smażonym kurczakiem po



lagosku i wysiada z samochodu, po czym idzie spacerowym krokiem w stronę budki ochroniarzy, przeżuwając kawałek kurczaka, który jest raczej przykrywką niż łapówką. Kto by podejrzewał człowieka z kurczakiem, zwłaszcza w uniformie Sentinel i z plakietką z nazwiskiem?

Reflektory omiatają go, a potem mijają, na moment nie zwalniając – nie ma w tym nic niezwykłego, że jacyś ludzie chodzą tu pieszo o trzeciej nad ranem. Johannesburg zdają się zamieszkiwać dwa różne gatunki bytów. Samochody i przechodnie.

Następna zmiana zaczyna się dopiero o czwartej, ale to nie problem namówić kogoś, żeby zszedł z posterunku wcześniej. Trwa to nieco dłużej, niż można się było spodziewać. Nie dlatego, że ochroniarz jest takim służbistą, tylko dlatego, że ma ochotę trochę sobie pogadać, podzielić się tłustym kurczakiem, zanim pójdzie do domu. Pozostanie w samochodzie to dla mnie ogromny wysiłek woli. Tamten wreszcie rozstaje się z Benoitem i idzie w górę ulicy, oddalając się ode mnie, w stronę głównej drogi. Jeśli mu się wydaje, że ma szansę złapać taksówkę o tej porze, to jest człowiekiem, który wierzy w cuda. Zostało nam dwadzieścia osiem minut, dopóki nie zjawi się ktoś, kto naprawdę obejmuje zmianę i domyśli się, że coś jest na rzeczy.

Mangusta biegnie truchtem w stronę samochodu.

Usłużnie otwieram jej drzwi, żeby mogła wdrapać się do środka, czemu towarzyszy nerwowe popiskiwanie.

– Tak, wiem. Widziałam, jak odchodził. – Uruchamiam samochód i jadę w stronę budki strażniczej, żeby zabrać stamtąd Benoita. Klnę bezgłośnie, bo widzę kamery. Już i tak za późno.

Brama wiodąca do domu Hurona okazuje się mniejszym problemem. Benoit został dobrze wyszkolony w dziedzinie wszelkich sposobów, w jakie paskudni włamywacze naruszają zabezpieczenia w budynkach, który to sposób w tym przypadku polega na zwykłym podważeniu bramy za pomocą lewara do opon.

Zostawiam samochód kilka przecznic dalej, żeby odstraszyć zbrojną reakcję, kiedy zajarzą, że wcale nie wszystko jest, jak być powinno, i wchodzimy potajemnie z boku ogrodu, trzymając się osłony drzew. Dom jest oświetlony jak na przyjęcie, palą się wszystkie światła. Leniwiec wpija mi się w ramię pazurami.

Idziemy śladem hałasu w stronę garażu, mijając daimlera zaparkowanego z boku. Podwójne drzwi są otwarte na oścież. Światło wylewa się na podjazd, oświetlając Jamesa pochylonego nad mercedesem; majstruje przy kufrze wyłożonym w środku grubym plastikiem.

Benoit daje mi znak, że mam zostać z tyłu. Zakrada się, a kiedy James się wzdryga i zaczyna

obracać, Benoit wali w niego pokrywą bagażnika. Tamten krzyczy, a Benoit kolejny raz spuszcza pokrywę, potem jeszcze raz, w końcu pochyła się, by schwycić Jamesa za nogi, wrzuca go do bagażnika i zatrzaskuje pokrywę. Niemal natychmiast słyszymy stamtąd łomotanie i wrzaski.

– Bierz kluczyki – rzuca Benoit.

Nigdy wcześniej go takim nie widziałam.

Podbiegam do samochodu i wyciągam kluczyki ze stacyjki. Trzęsą mi się ręce, kiedy wciskam jeden do zamka w bagażniku i przekręcam. Hałas dobiegający z wnętrza staje się jeszcze bardziej agresywny. Robię krok w tył i omal się nie potykam o przedłużacz. Biegnie do piły chirurgicznej, takiej, której się używa do amputacji, leżącej obok samochodu, razem z trzema innymi piłami, toporem, szczypcami, ułożonymi równo i gotowymi do użycia. W głębi garażu stoi zamrażarka z otwartymi drzwiami.

– Kto to jest ten Odi Huron? – pyta Benoit.

Mangusta zastyga w miejscu, z jedną łapą uniesioną; wacha powietrze i podryguje wąsikami.

– Chyba nie wiem. – Czuję mdłości. Myślę o pistolecie Vuyo leżącym pod moim łóżkiem. – On się tam nie udusi? – Oglądam się w stronę mercedesa.

– A obchodzi cię to? – pyta Benoit, wyciągając pałkę zza pasa. – Dom?

– Jeśli jeszcze żyją. – Otrząsam się. –

Powinniśmy zająć z boku.

Skradamy się dookoła domu przez krzaki. Zapach bijący wczoraj-dzisiaj-i-jutro jest mdląco słodki. Moje serce wygrywa frenetyczny motyw na perkusji i basie. Moje dłonie są odrętwiałe i czuję w nich mrowienie. Pierwsza rzecz, która zanika podczas walki albo ucieczki: właściwa koordynacja motoryczna. Masz jeszcze sporo do zrobienia, ewolucjo.

Od strony patio słychać głosy, ale kiedy wychodzimy z krzaków, tylko Carmen leży na leżance w mroku, w okularach słonecznych na nosie, z twarzą zwróconą w stronę basenu. Fontanna jest uruchomiona, woda tryska z wazonu kamiennej dziewczeczki. Błede, podwodne światło przebłyskuje przez skórę z liści na powierzchni, rozświetlając barwne prążki, rzucając roztańczone refleksy na płytki.

Carmen rozmawia z radiem i bez większego zapału wymachuje jedną ręką, jakby prowadziła jakiś niezborny chór.

– Oni nawet nie podają lodów w kinie – mówi z nieodgadnioną miną z powodu tych okularów.

Jej żółta jak słońce satynowa podomka jest upaprana plamami krwi, jakby została źle ufarbowana. Pod leżanką leży rozdygotany tobołek z ręcznika.

Na stoliku obok niej spoczywa scyzoryk i pusta

szklanka po martini.

– Kotki i płotki, i zęby, i zęby, i zęby – podśpiewuje na melodię *My Favourite Things*.

Widzi nas, wspiera się na łokciach i mówi ożywionym głosem:

– O. Przyszliście w sprawie kolekcji? – Zdejmuje okulary. Jeśli oczy są oknami duszy, to za tymi roztacza się widok na Czarnobyl. – Bo w tym sezonie wszystko się kręci wokół futer.

Szklane drzwi prowadzące do domu otwierają się i wyłania się z nich Maltańczyk niosący dwie szklanki z martini, jego mały Pies depcze mu po piętach. Pies zaczyna warczeć, Maltańczyk się krzywi.

– Ha – mówi. – Niestety nie wiedziałem, że tu jesteście. W przeciwnym razie zrobiłbym dodatkowe drinki.

– Co się stało z polityką „żadnych interferencji”? – pytam. Benoit stojący obok mnie jest spięty, mięśnie ma spęczniałe, gotowe do działania. Kładę dłoń na jego ramieniu.

– Jest przeznaczona wyłącznie dla ofiar – odpowiada Maltańczyk, stawiając szklanki na stoliku i siadając obok Carmen. Gładzi ją po nodze. – To jak z butelkowaną wodą: lepsza z czystego źródła.

– Co jej jest? – pyta Benoit, ledwie się powstrzymując. Trzyma pałkę tak mocno, że aż mu się trzęsie ręka.

– Sama to sobie zrobiła, *mkwerekwere*. Bierze bardzo silny lek dysocjacyjny.

– Midazolam?

– Zmieszany z odrobiną ketaminy i specjalności zakładu. Żeby nie przysnąć. Bo my się tu bawimy. Pokaż im, Carmen.

– Znowu? – jęczy Carmen.

– Znowu, mała. – Głaszcze ją po brzuchu przez podomkę. – Myślę, że przeoczyłaś jeszcze to miejsce.

Wzdycha ponuro, podnosi scyzoryk ze stolika i zwyczajnie wbija go sobie w bok. Wyciąga go z-ciała i z zainteresowaniem przygląda się zakrwawionemu czubkowi noża, ale nie okazuje, czy coś poczuła. Krew zaczyna tworzyć kałużę.

– Nie takie straszne, co? – mówi Maltańczyk.

– Dobry wieczór, Pasadena – zgadza się z nim Carmen.

– A co z tym miejscem? – Maltańczyk objężdża palcem skórę nad jej rzepeką kolanową.

– Wystarczy – odzywa się w tym momencie Benoit.

– Dopiero zaczynamy. Poznaliście już Króliczka Carmen? – Sięga pod leżankę i wywleka trzęsącego się Królika za uszy. Zwierzak zamyka oczy z panicznego strachu, szaleńczo ruszając nozdrzami. – Wszyscy myśleliśmy, że Carmen będzie następnym Slingerem, naszym zanimalizowanym artystą przełomu. To lepsze niż taniec erotyczny. Zwłaszcza

że Slinger tak naprawdę wcale nie był Slingerem, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć. To twoja wina, wiesz o tym. Odi i Carmen byli z sobą tacy szczęśliwi, dopóki nie zdenerwowałaś jej swoimi wariackimi oskarżeniami. A przecież jemu nawet w głowie nie powstało, by deprawować małą Song, takie ryzyko? Już i tak źle się stało, że ten idiota Jabulani ją posuwał.

– Gdzie są Song i S’bu? – pytam.

– Odpływają, odpływają, odpływają... – znowu śpiewa Carmen, tym razem wybierając gospel.

Maltańczyk ignoruje pytanie.

– Spodobał ci się prezent, który ci zostawiłem? To bardzo oryginalny nóż, jak pewnie sama wiesz. Pozostawia wyjątkowo oryginalne rany.

– W pożar w Mayfields też zamierzałeś mnie wrobić?

– Powinnaś się wstydzić. – Uśmiecha się szeroko. – W tym pożarze zginęło troje nastolatków. Po tym, jak zadźgałaś ich nożem, ty chora psychopatko.

– Ja naliczyłam tylko dwoje. – Staram się mówić spokojnym głosem.

– Nie przejmuj się, znajdą trzeciego, kiedy wreszcie wejdą do środka. Usmażonego na frytki. Niedającego się zidentyfikować.

– Ale to nie są Song i S’bu, prawda?

– Chcieliby! Jacyś pechowi smarkacze z ulicy,

którzy pasują do ogólnego opisu fizycznego. Skutki uboczne, nic na to nie można poradzić. Wybraliśmy ich dzisiaj po południu. Na kilka godzin sprawiliśmy, że poczuli się wyjątkowo. Daliśmy im pograć na XBoxie, nakarmiliśmy ich w McDonalddie, oblaliśmy benzyną. Tą samą, która znajduje się w do połowy opróżnionym kanistrze pod twoim zlewem. Znalazłaś go już? Czy tylko nóż?

– Nikt w to nie uwierzy.

– Czyżby? Psychopatyczna ćpunka, która zabiła własnego brata? Która miała taką obsesję na punkcie celebrytów, że udawała, że pracuje dla potężnego czasopisma muzycznego, by móc się zbliżyć do bliźniąt? Która pozostawiła po sobie mnóstwo odcisków palców w mieszkaniu nieszczęsnej pani Luditsky, która zabrała sobie jej małego porcelanowego kotka w charakterze trofeum? Żartujesz sobie ze mnie? Lepiej zacznij pracować nad swoimi hasłami reklamowymi. Media cię pokochają.

Kręci mi się w głowie. Opieram się o stół, starając się zwalczyć napływ mdłości.

– A właściwie to co ty tutaj robisz? – Mark wprawia swoje martini w wir. Upija łyk. – Przypadkiem nie powinnaś już uciekać?

– Gdzie oni są? – pyta Benoit.

– Prawdziwe bliźnięta? Och, są na dole, kochany, szykują się. Niewykluczone, że już zaczęli.

Słyszając odpowiedź, Carmen wkłada znów



okulary i wbija nóż w ciało nad swoim kolanem z zimną obojętnością. Nóż zakleszcza się, drżąc nieznacznie, kiedy Carmen pochyla się w stronę szklanki z martini, skłaniając właściwe mięśnie do akomodacji tego ruchu.

Benoit nie jest w stanie dłużej tego wytrzymać. Wyciąga rękę, żeby zabrać nóż, ale Maltańczyk jest szybszy. Wyrywa go i tym razem Carmen reaguje.

– Też się chcesz zabawić? – pyta Mark, uderzając płaską stroną ostrza o swój policzek. – Muszę ci wyznać, że to moja ulubiona odmiana rozrywki.

– Gdzie na dole? W domu? – pytam, bo aktualnie są ważniejsze rzeczy, którymi trzeba się przejmować niż Carmen, niż bycie wrobioną w poczwórne morderstwo.

– Niestety, muszę już tam iść. Oni mnie potrzebują.

– Żeby kogoś zaszlachtować?

– Och, kochanie, jestem tylko magiczną baterią, która uczyni ten rytuał jeszcze bardziej potentnym. A może nie zauważyłaś, że twoje *shavi* jest jaśniejsze za każdym razem, gdy jestem blisko?

– Niewidzialny demon.

– Wysilek zespołowy – zgadza się. – Beze mnie Amira robi się boleśnie zaczerniona. Ale lubimy wspólne rzezanie. Ach, marnujemy czas. Tu trzeba złożyć ofiarę z dzieci. No chodź, *mkwerekwere* –

mówi Maltańczyk, gładząc nóż. – Wyglądasz na kogoś, kto widział niejedną walkę psów.

Mark rzuca się na Benoita w tym samym momencie, w którym warczący Psiak rzuca się na Mangustę, po czym natychmiast, ujadając histerycznie, przetacza ją na grzbiet, gryząc przy tym w brzuch i pysk. Po chwili jest cały usmarowany krwią. Mangusta wije się i wierzga odnóżami, z bólu obnażając zęby, ale nie wydaje ani jednego dźwięku.

W lewym ręku Marka pojawia się jeszcze jeden nóż i kiedy Benoit wali go w żebra pałką, Markowi udaje się dosięgnąć ostrzem jego twarzy; tnie ostrzem przez szczękę i policzek.

– Carmen – potrząsam nią – czy w domu jest jakaś broń?

Ona jednak kręci gwałtownie głową, jakby miała atak padaczki.

– Nie-nie-nie-nie-nie-nie.

Puszczam ją, a wtedy przyciąga do siebie kolana, przyciskając do piersi Królika jak dziecko z pluszowym zwierzątkiem, i upija łyk drinka, patrząc na mnie spode łba, jakbym zamierzała jej go zabrać.

Leniwiec popiskuje nerwowo.

– Pracuję nad tym! – warczę na niego.

Mangusta podnosi tylne łapy i kopie Psa, skręcając się na kształt precla, bo stara się wdrapać mu na grzbiet. Kotłują się z sobą, ale Mangusta ma przewagę. Jest przyzwyczajona do zabijania węży, a

to jest tylko szczeniaki, mały Pies. Który zaczyna kwiczeć z bólu, bo Mangusta przyspila go za gardło do podłogi.

Ludzie są bardziej równorzędnymi przeciwnikami. Benoit i Mark okrążają się czujnie. Benoit z całej siły szturcha pałką kość ogonową Marka, nie dopuszczając go do siebie. Mark zatacza się, jakby został trafiony, ale to tylko taki wybieg. Kiedy Benoit rusza w jego stronę, robi unik, dźga go w bok nożem i znowu wymyka się poza zasięg jego ręki. I w tym momencie ja rozbijam mu czaszkę krzeselkiem z kutego żelaza.

Wyrządzam mniej szkody, niżbym chciała. Miałam nadzieję, że go unieszkodliwię, ale on się tylko zatacza, upuszcza jeden z noży, żeby schwycić się za tył głowy, i ze wściekłością odwraca się w moją stronę.

– Ty mała cipo! Jeszcze cię dopadnę! – Ale kiedy się znowu odwraca, nadziewa się prosto na pałkę, która uderza go w skroń, tak silnie, że zwała go z nóg.

Carmen skrzeczy cicho z zachwytem.

– Czuję to dziś w powietrzu. Dziś wieczorem – cytuję Phila Collinsa rzeczowym tonem.

Mark zaczyna się podnosić, ale Benoit uderza go pod kolanami i wtedy zwała się na jeden z krańców leżanki. Skaczę przed siebie, wpycham kolano w jego plecy i wydzieram się na Benoita, który wyciąga

kawał liny, standardowo służącej w Sentinel za kajdanki, i wspólnie krępiemy nadgarstki i kostki Maltańczyka, a potem przywiązujemy go do ciężkiego stolika z kutego żelaza. Pies warczy i chwyta mnie za palce, ale Benoit przyciska go do ziemi pałką, a ja obwiązuję mu pysk i przymocowuję go za obrożę do krzesła.

– Woda – śpiewa Carmen, wskazując basen. – Woda. Woda. A tak mało do picia.

Od dna basenu wzbija się jakiś cień, zaciemniając blade promyki lampek oświetlających wodę. Coś mdląco białego i wielkiego, pokrytego łuskami eksploduje spod powierzchni, zaciska szczęki na ciele Benoita i wsuwa się z powrotem do wody, tak prędko, że Benoit nie ma czasu, by zaczerpnąć oddechu i krzyknąć. Stwór podobny do dinozaura. Wciąż jeszcze mrugam z szoku wywołanego lodowatymi kroplami wody, kiedy Benoit znika, jakby nigdy nie istniał; posiekane fale to jedyny ślad, że cokolwiek się zdarzyło.

– Wlazł kotek na płotek – mówi Carmen, klaszcząc z zachwytem w dłonie.

Nie zastanawiam się. Skaczę za nim. Woda jest tak zimna, że odbiera mi oddech. Słyszę wrzask Mangusty, która wskakuje z pluskiem moim śladem. Ale Mangusta nie potrafi nurkować. Z wysiłkiem toruję sobie drogę przez gęstą skórę z lepkich, gnijących liści, śmiertelnie przerażony Leniwiec ściska mnie za szyję. Mam nadzieję, że potrafi wstrzymać oddech. Nurkuję do bladej ciemni rozświetlonej podwodnym światłem. Na dole głębokiego końca basenu jest otwór, tunel dostatecznie szeroki, by dało się tam wprowadzić ciężarówkę. Wpływam do niego, pokonuję zakręt i wpadam do litej czerni, z towarzyszeniem uczucia, że wpływam do samego jądra Cofki. Ciśnienie w uszach przeskakuje raptownie od tępego bólu do wrzaskliwego borowania w mojej czaszce, ale potem tunel znowu skręca, jak kolanko pod zlewem, do wody, która jest brutalnie zimna i czarna. Słyszę muzykę zniekształconą przez wodę i odgłos jakby kłaskania. Z płonącymi płucami wybijam się nad powierzchnię i przedzieram przez zimne powietrze do jakiejś podwodnej groty.

Tutaj muzyka łomocze. Niewinnie słodka, popowa ballada. Jedna z ballad ijusi.

*Kochanie, to miłość, to miłość z samochodu...*

To kląskanie to są odgłosy, które wydaje ten potwór, kiedy skacze, skręca się w powietrzu i wpada z powrotem do wody, z Benoitem zwisającym mu bezwładnie z paszczy. To nie dinozaur. To krokodyl albinos, długości sześciu metrów. Obraca się wokół własnej osi, bo chce utopić swoją ofiarę.

Zaczynam płynąć w stronę stwora, ale Leniwiec szarpie za moje ręce, żeby mnie zatrzymać. Ma rację. Niczego nie zdołałam, dopóki to zwierzę nie przestanie się toczyć ku śmierci. Brnę przez wodę w ciemnościach, starając się zwolnić bicie serca i ogarnąć sytuację, zamiast skupiać się na tym monstrum.

Grota ma jakieś dwadzieścia metrów wszerz. Naturalna skała z elementami zamontowanymi przez człowieka: głośniki, z których leci ijusi, goła żarówka neonowa osadzona w schodach stromych jak szczeble drabiny, wystających z cementowej wylewki, która wchodzi w wodę jak molo. Smród wilgoci i zgnilizny jest powalający. Stara woda z wazonu.

*miłość z samochodu...*

Huron, z nagim torsem, z brzuchem wylewającym się na szorty, z kaburą pistoletu przypasaną pod pachą, stoi na podeście razem z

bliźniętami, kompletnie nagimi. Są skuci z sobą kajdankami i lekko się chwieją. Mają puste twarze. Marabut rozkłada plastikową płachtę na staromodnym bloku rzeźnickim.

U jej stóp stoi klatka, dostatecznie duża, by mogła pomieścić średniej wielkości psa. W środku jest coś innego, nie pies. Jakiś zgarbiony ssak porośnięty brązowym futrem. Trzepotanie piór.

*To nie miłość od pierwszego spojrzenia, to miłość w oka mgnieniu*

*Lecz ja nie pozwolę ci odejść, podam rękę  
przeznaczeniu*

Huron krzyczy ponad wodą w stronę Krokodyła.

– Lepiej, żeby to nie była Carmen. – Śmieje się i mówi do Marabuta: – Idź sprawdzić, co tam się dzieje.

– Jestem pewna, że Mark ma wszystko pod kontrolą – odpowiada mu Amira.

– No to gdzie on jest, do cholery? I kto to jest? – pyta, wskazując palcem wodę. Przez jedną okropną chwilę boję się, że on pokazuje mnie, ale pokazuje Benoita w paszczy potwora.

– Ktokolwiek to jest, przestał już stanowić problem – stwierdza Marabut i wzrusza ramionami.

– Śpiesz się, ty przerośnięty, popaprany gekonie!  
– krzyczy Huron. – Musimy już zacząć nasz teatrzyk.

*Widziałem cię w taksówce, mijalaś właśnie mnie*

Leniwiec dyszy mi cichutko do ucha, doszczętnie spanikowany.

– Nie bój się, koleś, oni nas nie widzą. – Mam taką nadzieję.

Leniwiec wydaje z siebie urywany szloch.

*Próbowałam podnieść rękę, przykuć spojrzenie  
twoje*

Wycofuję się w mrok, do ściany, znajduję niską skałkę, do której przywieram. Leniwiec wspina się na nią, cały drżąc.

– Powinniśmy zacząć od zwierząt – mówi Marabut. – Mogą się pojawić inni intruzi.

– A nie przydałby się ktoś, żeby to wzmocnić?

– Bliźniaki wystarczą. Efekt podwojenia...

– Tak, tak, tak, ty tu jesteś ekspertem, mała. Zrobię, co każesz – mówi Huron. – No to zaczynamy imprezę.

– No to zaczynamy – powtarza za nim Marabut i otwiera klatkę, a potem wyciąga z niej stworzenie z uszami jak u królika i długim ryjem jak u świni. To Mrówkojad Patricka Serfonteina. Jeszcze żywy. Marabut podnosi maczetę z pieńka rzeźnickiego.



*Nie zobaczyłeś mnie, patrzyłeś przed siebie,  
Czy myśl o tobie podtrzyma mnie przy życiu,  
tego nie wiem*

Krokodyl miota się teraz wolniej. Unosi się z wody i gwałtownie potrząsa łbem, jakby testował opór ciała, które trzyma w pysku. Benoitowi dziwnie zwisa prawa ręka. Nie rusza się. Krokodyl uderza szczęką o wodę i potem tonie, ciągnąc za sobą Benoita.

*Mała, to miłość, to miłość z samochodu  
Mała, to miłość, to miłość z samochodu*

Robię głęboki wdech i nurkuje, wyciągając ręce w stronę swojej zagubionej *rzeczy*. Czerń w odcieniu herbaty połyka mnie całą. Towarzyszy mi lekko zniekształcony tekst piosenki przemieszany ze straszliwym, przenikliwym piskiem.

Z samochodu, z samochodu

Thumię panikę, klaustrofobię i zawrót głowy powodowany ślepotą, podążając w ślad za tym wąłym połączeniem.

Czuję silne uderzenie wody. Coś ogromnego sunie w moją stronę przez mrok. Nie widzę, ale wyczuwam ziejącą paszczę, i muszę zwalczyć

paniczny strach, pragnienie, by natychmiast wybić się na powierzchnię. Stwór przepływa obok, omiatając mnie swym sędziwym ogonem, tak mocno, że łamie mi jedno z żeber.

Muszę być blisko. Na pewno jestem. Przepływam jeszcze kilka metrów, albo milę, i uderzam nadgarstkiem o skałę. Obmacuję dłońmi jej kształty, jak niewidoma kobieta odczytująca czyjaś twarz. Ta skalna twarz zakrzywia się w dół. Podążam za tą krzywą i natrafiam na obrzydliwie miękką dłoń. Na ludzkie tkanki, które zapadają się pod moim uściskiem. Nie panuję nad sobą. Wrzeszczę przeraźliwie, pozbywając się bezcennych zapasów powietrza.

*Weź się, kurwa, w garść!* Jeszcze raz sięgam do tej ręki. Jest uległa i ciastowata jak mokry chleb, ale czuję twardą krawędź. Kość? Nie. To są łubki. Dwa palce zabandażowane razem. Ronaldo. Widzę teraz jego twarz, rozdętą, nierozpoznawalną. Ale tym razem jestem na to przygotowana.

Mijam go z wysiłkiem, macając ręką w poszukiwaniu Benoita, straszliwie bojąc się tego, co tam jeszcze może być w tej czerni. Sunę dłonią po wyrwie w skale, po jeszcze innym cieple, które jest w nią wbite. Macam wyżej, próbując jakoś je zidentyfikować, wyciągnąć stamtąd. Od fałdy w koszuli unoszą się mikroskopijne banieczki, skubią moje palce jak maleńkie rybki. Dotykam plastiku.

Oparzenia Benoita.

Jego ręka uwięzia w szczelinie, a mi kończy się powiekrze. Przed oczyma płasają czarne plamki. Obejmuję stopami skałę i uwalniam jego rękę. Czuję, że obraca się paskudnie pod skórą, że jego ramię zwisa luźno ze stawu. Ciągnę jeszcze raz, z całej siły i wtedy się odrywa. Ale Ro odrywa się razem z nim. Młóćę nogami w ślepej panice, bo cielsko gnijącego bramkarza dryfuje prosto na mnie. Moja stopa grzęźnie w jego brzuchu. Spomiędzy warg trupa wybucha strumień grubych baniek, głowa odskakuje w tył, a potem w górę, wlokąc za sobą rękę, przez co wygląda teraz jak człowiek powołany do wniebowstąpienia – pochwycone w pułapkę gazy wypychają go ku powierzchni.

Z całej siły kopię teraz, żeby płynąć jego śladem, ale na moją niekorzyść przemawia pęknięte żebro i dziewięćdziesiąt pięć kilo mojego byłego kochanka. Czarne plamki przeobrażają się w jaskrawe, słoneczne rozbłyski. Płuca przestały płonąć, zre je teraz napalm. Wybijam się na powietrze i muzykę, chwytając oddech i dławiąc się. Ale koniec nawet nie jest jeszcze bliski.

*Kochanie, mogę przez ciebie oszaleć, zawieź mnie, dokąd chcesz*

Ponad wodą niesie się głos Hurona.

– Dzieci, to jest mój przyjaciel, pan Krokodyl. Powiedz dzień dobry, panie Krokodylu. On też chciałby się z wami zaprzyjaźnić. Wasz wyjątkowy przyjaciel. Bo szczerze mówiąc, mam już potąd tego stwora.

*Tylko nie łam mi serca, nie drocz się ze mną,  
kochanie*

Wlokę Benoita do skał. Leniwiec próbuje pomagać, szarpie zębami jego koszulę. Usiłuję go wydzwignąć na powierzchnię, ale jego nogi wciąż mają w wodzie, prąd smaga nogawki spodni. Wychodzę z wody, kucam obok niego, cała drżąc. Dopiero teraz do mnie dociera, jaka ta woda jest zimna.

Benoit nie oddycha. Odginam jego – głowę do tyłu, zaciskając nos jedną dłonią, przyciskam usta do jego ust. Dwa głębokie wdechy. Potem przyciskam dwa palce do arterii w szyi.

Leniwiec skomle na widok krwi przesączającej się przez koszulę.

– Zamknij się, koleś.

Proszę. Proszę. Liczę uderzenia tętna, najslabsze z możliwych. Raz-aligator. Dwa-aligator. Trzydzieści uderzeń na minutę. To raczej nie jest dobrze. I on wciąż nie oddycha. I wykrwawia się na śmierć.

Jedna rzecz na jeden raz. Coś robię, ale

kompletnie nie wiem co. Skoro czuję uderzenia tętna, to czy powinnam uciskać klatkę piersiową? Kurwa mać.

*Nie przestanę jeździć, nie przestanę krążyć,  
Wyprawa do samego rana*

Znowu rozchyłam jego szczęki, przyciskam usta, nadmuchuję jego pierś swoim oddechem.

– A niech cię, oddychaj! Do cholery, oddychaj! – Jakbyśmy tworzyli jakąś wulgarną maszynę, połączone ludzkie miechy. – Benoit, oddychaj, ty skurwielu!

*Jest dobrze, kochanie, tylko zostań ze mną  
Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze*

– Ja nie chcę – mówi Songweza głosem małej dziewczynki, z drugiej strony grotu.

Nie podnoszę wzroku. Nie mogę sobie na to pozwolić.

– Wszyscy czasami robimy rzeczy, których nie chcemy – odpowiada jej Huron. – To jest jak w grze.

– Jak w *Krwawych niebach*? – pyta S’bu, głosem niewyraźnym i odległym, jak echo ludzkiej istoty.

– Nie wiem, o czym mówisz – odwarkuje Huron.

– To gra wideo.

– Tak, dokładnie jak gra wideo. – Jego głos robi

się znowu przymilny.

- Kooperacyjna czy nie?
- Zdecydowanie nie.

*Kochanie, to miłość, to miłość z samochodu...*

Przykładam dłoń do mostka Benoita, splatając palce. Pieprzyć to, ucisk na klatkę nie boli, racja? Tyle że kiedy naciskam, rozlega się potworny chrzęszczący odgłos mielenia w piersi Benoita, jakby pękały mu żebra. No to możemy sobie podać ręce.

– Powodzenia przy wyjaśnianiu tego żonie – syczę na niego. – No dalej, ty zakłamanym gówniarzu.

Leniwiec kładzie łapę na moich dłoniach.

– Okay, masz rację. Już nie uciskam. – Robię głęboki wdech. Staram się uspokoić.

*Kochanie, to miłość, to miłość z samochodu...*

– Tu jest nóż dla ciebie, Song. A tu nóż dla ciebie, S’bu. Nie przejmujcie się, są zabezpieczone zakłęciami. Gotowa? Kto pierwszy zabije drugiego, wygrywa.

– Juhu!!! – Song zaczyna chichotać.

*Nie przestanę jeździć, nie przestanę krążyć,  
Wyprawa do samego rana*

Ciało Benoita napiera na mnie, jego zęby wbijają się w moje usta pod wpływem targających nim konwulsji. Odrywam się od niego, bo już zaczyna się dławić, wykasływać cienki strumyk wody i wymiocin. Obracam go na bok. Nie otwiera oczu. Leniwiec patrzy na mnie wyczekująco, ale ja nie wiem, czy to jest to, czy to wystarczy. Nic tu nie wygląda jak na jakimś pieprzonym filmie. Benoit pluje i ślini się, potem robi głęboki, mokry, bulgoczący wdech. I potem jeszcze jeden, nieco mniej mokry. Nie otwiera oczu. Ale to wystarczy. Oddycha.

*Tylko zostań ze mną*

*Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze*

Jego ręka zwisa groteskowo z boku, ale nawet jeśli jest złamana, to kość na szczęście nie przebiła się przez skórę. Może się tylko przemieściła. Czymś innym za to są ślady po zębach, które biegną grubym łukiem po jego prawym boku, od obojczyka aż po pachwinę. Mogę tylko mieć nadzieję, że to bydlę nie przebiło żadnego organu. Obowiązuje go w pasie koszulą, żeby zatamować krew, a potem nasadzam Leniwca na ranę, która najmocniej krwawi – jego wyrostek robaczkowy, nerki, śledziona? Chryste, dlaczego nie uważałam na biologii?

– Napieraj całym swoim ciężarem, koleś. Nie

zwalniaj nacisku. Wrócę najszybciej, jak się da. – Ale on i tak może się wykrwawić na śmierć. Wciąż jeszcze może się utopić od lej wody, którą ma w płucach. Musimy go zawieźć do szpitala. Potrzebujemy urządzeń i lekarzy. Biegnę do podestu, starając się stłumić lęk.

*Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze*

Nagranie milknie. I po chwili rozbrzmiewa od nowa.

Chichotanie Song przeobraża się w skrzek oburzenia. Niestety, teraz nie tylko słyszę, ale i widzę, co się dzieje. Klatka jest otwarta. Na bloku rzeźnickim leży kopczyk ze zwiotczonego futra, wnętrzości i puchatych, brązowych piór. Płachta z plastiku lśni od krwi. Łeb Mrówkojada zwisa bezwładnie na bok, ślepią ma szkliste jak u pluszowej zabawki. Marabut trzyma teraz na pieńku Ropuchę. Ropucha skrzeczy głośnymi, zdesperowanymi spazmami, jej plamiaste gardło rozdyma się jak pęcherz. Marabut podnosi maczetę i odrąbuje jej głowę. Krew tryska jaskrawą fontanną.

– Zwiąż ich tą śmiercią – mówi Amira, ścierając bryzg krwi z twarzy wierzchem dłoni.

Krokodyl spoczywa na drugim krańcu platformy, z szeroko otwartą paszczą. Song i S’bu obchodzą się wzajem, już nie skuci razem kajdankami,



przestępując nad ogromnym gadem, gdy tymczasem Huron i Marabut obserwują ich z dołu schodów. Albo to raczej on okrąża ją. A ona stoi w miejscu, przyciskając dłoń do głębokiej rany w ramieniu.

– No co jest, S’busiso?

– Umieraj, Cthul’mito! – krzyczy S’bu i jak oszalała zaczyna zadawać jej ciosy nożem w stylu gier wideo. Tnie ją po dłoniach, ramionach, kiedy ona próbuje się osłonić. Upuszcza swój nóż na ziemię.

– Ja mówię poważnie, *doos*. Przestań. Robisz mi krzywdę.

*To nie miłość od pierwszego spojrzenia, to miłość w oka mgnieniu*

– S’bu! – wydzieram się z wody, brnąc obok rozkołysanego, rozdętego trupa RONALDA. – To te narkotyki. Przestań! Odłóż ten nóż!

Krokodyl obraca łeb, jakby zamierzał się zsunąć do wody.

– Nie, zostań – instruuje go Huron. – Już prawie koniec. – A potem warczy na Marabuta: – Zajęliście się nią, co? – Tu wyciąga spod pachy pistolet i celuje z niego ponad wodą. – Nieważne, sam to zrobię.

Ustawia lufę. A ja daję nurka.

*Lecz ja nie pozwolę ci odejść, podam rękę*

*przeznaczeniu*

Pod wodą odgłosy strzałów brzmią jak urywane trzaski. Trzy, jeden po drugim. Wyobrażam sobie, że czuję, jak zagrzebują się w wodzie, pozostawiając po sobie srebrzyste ślady. Coś rozpruwa moją kostkę. Owładnięta paniką obracam się prędko i zderzam z Ronaldem. Przyciągam do siebie przegniłe ciało jak tarczę, kiedy we wnętrzu grotty rozchodzi się echo czwartego strzału. Woda i trup spowalniają ruch kuli. Spowalniają, ale nie zatrzymują. Kula rozdziera gąbczaste tkanki, wbija się w moją pierś i więźnie w oboji czyku.

Wrzeszczę pod wodą, połykając przy okazji połowę jeziora. Ale nie wyskakuję na powierzchnię. Liczę. Wstrzymując oddech. 74-aligator. 92-aligator. 118-aligator. Aż w końcu nie jestem w stanie wytrzymać. Wybijam się na L powierzchnię, pod osłoną pachy Ronalda. Brnę do brzegu, popychając przed sobą swego trupa trojańskiego, trzymając głowę nisko.

*Nie zobaczyłeś mnie, patrzyłeś przed siebie*

– Pospiesz się – mówi Huron, poganiając gestem Amirę.

Ona patrzy na niego zimno, po czym rusza przed siebie. Bocian rozpościera skrzydła i bije powietrze

za jej plecami. Amira chwyta S'bu za nadgarstek, odtrąca z drogi rękę Songwezy i nie wypuszczając ręki S'bu, wbija nóż w pierś Song.

*Czy myśl o tobie podtrzyma mnie przy życiu, nie wiem*

Nóż zgrzyta w zetknięciu z kością, kiedy Marabut go wyswobadza. S'bu wydaje z siebie krótki okrzyk zaskoczenia, ale dociera do niego, co ma robić. Marabut nawet już nie musi go zmuszać do wykonania następnego pchnięcia. Ani jeszcze następnego. Ani też kolejnego. Wrzask Song jest jak historyczny kontrapunkt do radosnego refrenu:

Kochanie, to miłość, miłość z samochodu.

Songweza zwija się w kłębek na cemencie, próbując się jakoś osłonić. Marabut nakłania S'bu, żeby ukląkł przy niej. Nóż w jego rękach przypomina pomykającą piranię – Song krzyczy przeraźliwie, potem wyje i wreszcie milknie na dobre.

– Dosyć – zarządza Huron.

Oszołomiony S'bu rozgląda się dookoła. Marabut wyrywa nóż z jego dłoni i podaje go Huronowi. S'bu uśmiecha się do niej niepewnie, a potem zauważa swoją siostrę. Klęka i potrząsa ją za ramię.

– No już, przestań ściemniać – droczy się z nią. –  
Odrodź się, ty duże dziecko.

A jednak ciśnienie powietrza uległo zmianie i  
teraz już wiem, że Song nie żyje. Nadchodzi Cofka.

Słysząc ciche wycie, niczym podmuch wiatru,  
który uwiązał w ciasnej przestrzeni. Wycofuję się  
instynktownie, brnąc przez wodę.

– Żryj! – mówi Huron do Krokodyła, trącąc  
ciało Songwezy stopą. – Powiedziałem ci, żryj!

Krokodyl pełźnie posłusznie w stronę ciała i z  
wyraźną niechęcią wyrywa duży kawał z nogi  
Songwezy. Przelyka go, ohydnie potrząsając łbem,  
jego biała gardziel faluje pod ciężarem mięsa. S’bu  
wydaje jęk śmiertelnego przerażenia.

Odwracam wzrok. Cienie odrywają się od ścian,  
tężejąc w wodzie. Wycie osiąga nowy poziom  
głośności, dodatkowo akcentowane głuchym *klik-  
klak*, jakby zębów. Huron sprawia wrażenie  
zaniepokojonego. Wszyscy zoolusi tracą spokój,  
kiedy nadchodzi Cofka. Nawet Marabut wycofuje się  
pod pomalowaną na biało ścianę tuż przy schodach.  
Huron rozcina sobie nożem wewnątrz lewej dłoni, a  
potem przeciąga tą dłonią po zakrwawionej stercie  
zwierząt na rzeźnickim bloku. Wycie narasta.

Marabut podpowiada mu słowa niczym kapłan  
podczas ceremonii ślubnej. Huron powtarza po niej  
tępy głosem. Trzęsą mu się ręce.

– Ofiarowuję tego chłopca na moje miejsce. Oby

nie dostał swego zwierzęcia. Niech weźmie moje zwierzę. Związany ciałem, związany krwią. – Rzuca się przed siebie i rozcina pysk Krokodyla nożem, w momencie gdy ten znowu wyrywa kęs ciała Songwezy.

Krokodyl zadziera łeb z furią i syczy na Hurona otwartą paszczą.

– Teraz ty! – krzyczy Odi w stronę S’bu. – Powiedz: „Biorę sobie to zwierzę”.

– Ja nie rozu...

– Powiedz to! No powiedz to, do kurwy nędzy!

– Błagam. – S’bu zaczyna płakać.

– Słyszysz ten dźwięk? Wiesz, co to jest? – wydiera się Odi. – To jest zaszra Cofka, mój chłopcze. A teraz to powiedz, bo inaczej cię połknie i zawlecze do piekła.

– Biorę sobie to... – wykrztusza z siebie S’bu.

– Zwierzę!

– Zwierzę. Biorę sobie to zwierzę. – Patrzy na Odiego w poszukiwaniu aprobaty. Odi z kolei patrzy na Marabuta.

– Zadziałało? – wrzeszczy Odi. – Psiakrew, zadziałało?

Marabut kręci głową. Nie wie.

– Lepiej, żeby, kurwa, zadziałało!

S’bu kołysze się w miejscu, obejmując się ramionami. Jego piersią wstrząsają łkania.

Ciemność przewala się i wrze jak plama oleju.

Tworzy strumień, który opływa S'bu, a ten macha ręką, wątle starając się go odegnać. Cofka wznosi się niczym fala, jej macki sięgają w jego stronę, jakby chciały poczuć smak skóry. Wzdrygam się na to wspomnienie.

– Song? – mówi S'bu drżącym głosem.

Krokodyl zniecka rzuca się całym ciałem przed siebie, szorując brzuchem po betonie, chapiąc szczękami na Cofkę, zamiatając ogonem przez gęstą czerń. Ciemność natychmiast przeobraża się w parę, jakby była tylko mirażem. S'bu wrzeszczy przeraźliwie, kiedy gad rzuca się na niego. Ale robi to tylko po to, by oprzeć swój ogromny łeb o jego nogę, jakby chciał okazać jakieś uczucie. Przerażony S'bu usiłuje go odpędzić. Ja to samo robiłam z Leniwcem, dopóki nie zrozumiałam, że to jedyna rzecz dzieląca mnie od narastającego mroku. Rzecz jasna Leniwiec nie miał krwi mojego rodzeństwa na zębach.

– Ta gra nie na tym polega – szlocha S'bu, oszołomiony, sztywny, znieruchomiały, z Krokodylem, który gładzi pyskiem jego nogę.

– On jest teraz twój, dziecko. Moje gratulacje – mówi Huron. – Powiedziałbym, baw się dobrze, kiedy będziesz karmił tego gnoja, ale ty nie pożyjesz tak długo.

– Ja... – zaczyna S'bu, ale Amira daje krok w przód, z pistoletem retro w ręku. Przykłada lufę

Vektora do jego skroni i pociąga za spust. S'bu osuwa się na kolana i powoli opada na pozostałości swojej twarzy. Odwracam wzrok.

*Miłość, miłość z samochodu*

Bez wycia Cofki muzyka znowu staje się słyszalna.

– No, poszło dobrze. Wyłącz ten jazgot – mówi Huron.

Amira wdusza przycisk i muzyka zamiera, pozostawiając po sobie ciężką ciszę, przerywaną jedynie odgłosem fal uderzających o molo i zduszone łomotanie Krokodyla, który trąca głową S'bu, jakby chciał go nakłonić do wstania.

– Całkiem nieźle – odpowiada Amira, wsadzając pistolet do pochwy pod paskami skrzyżowanymi na piersiach.

– Życzę powodzenia z pozbywaniem się tego kurewstwa.

– Nie trudź się. Mamy plan. Żywy byłby oczywiście lepszy, ale nie ma co narzekać, bierzesz, co ci dają. – Szacująco omiata wzrokiem Krokodyla.

– Ciii – mówi ze śmiechem Odi. – Jeszcze cię usłyszy.

Czekam, aż oboje wejdą na drabinę, a potem odliczam kolejne kilka minut, 289-aligator. 294-aligator. Dopóki nie nabieram pewności, że już nie

wrócą. Wypełzam z wody najciszej jak potrafię, żeby nie zaalarmować Krokodyla, który wciąż trąca łbem S'bu. Widywałam już zwierzęta, które żyły jeszcze kilka miesięcy po śmierci ich ludzi. Ale też nigdy żadne zwierzę nie jest równe drugiemu.

Nie jestem w stanie podnieść ręki, za sprawą kuli w obojczyku. Przy każdym kroku odłamki szkła dźgają mnie w pierś i powodują wykwitanie słońc w głowie. Muszę jednak wejść na górę, muszę się dostać do jakiegoś telefonu. Nie jestem w stanie wywlec stąd Benoita o własnych siłach.

Obchodzę blok rzeźnicki, starając się nie patrzeć na tę jatkę, ale Krokodyl mnie zauważa. Gwałtownym szarpnięciem wciska swe cielsko między mnie i schody, prędzej, niż to powinno być dozwolone dla czegoś tak ogromnego. Paszczę ma szeroko rozwartą, jawny znak agresji. Podnoszę rękę na znak, że się poddaję, bo tylko na tyle mnie stać.

– Oni zamierzają cię zabić. Posiekać cię na *muti*. Mają już uszykowane wszystkie narzędzia. – Potwór przygląda mi się beznamiętnie złotymi ślepiami w kształcie szpar. Nie rezygnuję. – Taki potwór jak ty? Jesteś prawdopodobnie wart fortunę. Mogę ci pomóc. Mogę spróbować ci pomóc. Muszę się stąd wydostać.

Zadziiera łeb w moją stronę. Wzdrygam się, ale widzę, że on mnie nie atakuje, tylko wskazuje schody. Że mam na nie wejść. Mijam go czujnie, wciąż na poły się spodziewając, że się na mnie rzuci,



że te mocarne szczęki zdolne miażdżyć kości zewrą się na moim ciele, ale on tego nie robi. Wciągam się z bólem na drabinę, posługując się tylko jedną ręką, czując, jak ból wrzeszczy w mojej piersi.

Schody prowadzą na tył studia. Widzę sztuczną ściankę za stołem mikserskim, wyłożoną dźwiękoszczelną pianką, która jednak nie jest w stanie stłumić zapachu. Szklane drzwi są otwarte na ogród. Świt pomazał niebo bladymi, żółtymi i różowymi pasemkami.

Obchodzę wzgórze, idąc w stronę basenu, trzymając się osłony krzaków. Amira i Mark są na patio, Mark rozciera czerwone kreski na swoich nadgarstkach, powstałych od pęt. Amira głaszcze Królika, który trzęsie się gwałtownie. Pod metalowym stolikiem nerwowo krąży i powarkuje Mangusta, rzucając się z wściekłością na metalowe zakrętasy. Amira zerka na swój telefon, który właśnie się rozdzwonił.

– Transfer przeszedł – mówi do Marka.

Z domu wyłania się Huron, ubrany w satynowy szlafrok, wyraźnie świeżo spod prysznic. W oddali wyją syreny. Huron przystaje, by spojrzeć na Carmen, która siedzi bezwładnie na krześle, w kałuży krwi.

– Narobiliście syfu z naszą małą Carmencitą – mówi, tylko nieznacznie wyrażając żal.

– Do niczego ci się nie przydała – stwierdza Mark z krzywym grymasem. – Ale teraz możemy jej użyć jako przynęty. – Stawia leżankę na kółkach, żeby zademonstrować, i wiezie Carmen w stronę basenu.

– Spasuję. Tu i tak już się będzie za dużo działo.

Syreny wyją coraz głośniej. Sentinel wreszcie ma swoją pobudkę. Przykucam w krzakach, zastanawiając się, jak wydostać stamtąd Mangustę.

– Zaraz wrócimy – obiecuje Amira, a Mark w tym czasie przechyla leżankę, sprawiając, że Carmen zsuwa się do wody. Jej ciało wyskakuje na powierzchnię, dryfując bezwładnie, jej plecy wyłaniają się z wody jak jakiś biały grzyb, włosy koloru blond rozwiewają się dookoła głowy jak aureola. – Zaraz powinno...

Krokodyl już tu jest, niewidoczny dzięki warstwie z liści. Trąca pyskiem jej ciało. Odi pochyła się odruchowo, żeby popatrzeć. Dla Krokodyla nic teraz prostszego, jak wychynąć z wody i zawrzeć na nim szczęki. I robi to niemal delikatnie. Ale potem zaciska zęby z całej siły, wbijając je w brzuch. Huron drze się jak zarzynana Świnia na filmie nakręconym przez aktywistów ruchu etycznego traktowania zwierząt.

Syreny wyją coraz głośniej. Światła błyskają wśród drzew na końcu podjazdu. Huron po omacku sięga po pistolet.

– Pomóżcie mi, gnoje! – wrzeszczy na Amirę i Marka, ale oni nawet nie mrugną.

Odiemu, który klnie głośno, udaje się wystawić rękę spomiędzy szczęk Krokodyla i wyszarpnąć pistolet z pochwy. Przyciska lufę do oka stwora i strzela, oko rozpryskuje się galaretowatą fontanną i zszokowany Krokodyl gwałtownie cofa łeb. Odi wrzeszczy, bo jego zęby rozdzierają mu teraz wnętrzności; z ogromnej rany wypada szary zwój tłustych jelit. Krokodyl miota się, waląc swym oprawcą o bok basenu. Odi szamoce się, przerzuca pistolet do lewej dłoni, wsuwa ją głęboko do paszczy. Słysząc stłumiony strzał.

Krokodyl flaczeje, a jego szczęki się rozwierają. Huron zaczyna się wyswobadzać, ale monstrualne cielsko osuwa się do wody, wlokąc go za sobą.

– Jezu, pomóżcie mi, kurwa mać, pomóżcie! Amira! – Huron wyciąga w jej stronę mięsistą dłoń.

– Jak myślisz, cukiereczku? Powinniśmy mu pomóc? – zastanawia się głośno Mark.

– Moim zdaniem my już tu skończyliśmy biznes – mówi Amira. – Do widzenia, Odi.

– Proszę – błaga ich Huron. Krokodyl zsuwa się w głąb basenu, jego tułów już znika pod wodą. – Przynajmniej nie pozwólcie mi się utopić. Zróbcie dla mnie chociaż tyle.

– Dobrze się z tobą pracowało – zapewnia go Marabut, dając krok naprzód. Wyciąga nogę, opiera

ją o pierś Hurona i pcha z całej siły. Płatanina z człowieka i Krokodyla zsuwa się już w całości pod wodę.

Od strony podjazdu słychać czyjś stłumiony okrzyk:

– Interwencja!

– Szkoda tracić Krokodyla, ale cóż tu poradzić?

– mówi Marabut, przyglądając się Odiemu, który dławi się, zapluwa i wreszcie idzie na dno. A potem zaczyna się strzępić na krawędziach, jakby światło rozplątywało się dookoła niej.

– Och, cukiereczku, będzie jeszcze co pozyskać

– mówi Maltańczyk. Bierze ją za rękę i oboje po prostu znikają. Smuga ruchu na tle światła latarki, a w oddali odgłosy kroków łomoczących na podjeździe w naszą stronę.

Uzbrojeni ochroniarze znajdują mnie siedzącą bezwładnie nad basenem, razem z Mangustą jeżącą się u mego boku, wpatrzoną w zmarszczki na ciemnej wodzie.

„The Daily Truth”, 30 marca 2011

## **KRONIKA POLICYJNA**

### **Patrol obywatelski z Mandlakazi Mabusu**

#### **Ten dzień, w którym umarła muzyka**

Powiadają, że przemysł muzyczny ma zęby – tylko kto wiedział, że w sensie dosłownym! Legendarny producent muzyczny, Odysseus Huron, znany także jako po prostu Odi, dał się wczorajszej nocy pożreć przez własne tajemne zwierzę, białego Krokodyla, po tym jak zamordował popową sensację, nastoletnie bliźnięta z ijusi w ponurym morderstwie *muti*. Wychodzi na to, że człowiek stojący za najwspanialszymi talentami w tym kraju był także wielkim *tsotsi*, który handlował narkotykami, zabijał bezdomnych zoolusów na *muti*, karmił innymi swego Krokodyla i kultywował talenty po to tylko, żeby je potem szlachtować! Dotychczas z podziemnego jeziora wyciągnięto ponad 20 ciał, w tym także szkielet kobiety; policja nie chce tego komentować, ale moje źródła twierdzą, że na nowo otwarto śledztwo w sprawie śmiertelnego wypadku samochodowego Lily Nobomvu! *Yoh!* Przeczytajcie

sobie zeznanie naszego specjalnego naocznego świadka zamieszczone na stronie 10, jeśli chcecie poznać *verskriklike* [*verskriklike* (afrikaans) - potworny, straszny] szczegóły!

Policja zabezpieczyła wszystkie dowody, ale z tego, co wiem, z jego konta zniknęła potężna sumka pieniędzy. Wynika z tego, że człowiek nigdy nie wie, kto jest zoolusem. Raper Slinger nim nie jest. Odi Huron jest. Kto jeszcze ukrywa zwierzę pod swoim łóżkiem?

A w międzyczasie pewien piękny chłopiec powinien odpowiedzieć na wiele pytań. Bo jak się okazało, przedstawiciel starszyzny czasopismka dla chłopców „Mach” wysyłał oszukańcze maile ze swojego biurowego adresu! A fuj, brachu. Nie wiesz, że w przypadku porno i oszustw nie należy używać pracowniczego maila?

## 36

Jest czwarta trzydzieści nad ranem i kolejka do przejścia granicznego Beit Bridge liczy sobie już dobry tysiąc samochodów, po południowoafrykańskiej stronie. Na lawinę uchodźców próbujących przekroczyć granicę od strony Zimbabwe oczywiście nie zwracamy uwagi. Ogrodzenia z drutu kolczastego barykadują zapylone krzaki na brzegu rzeki przed każdym, kto jest tak głupi albo zdesperowany, by próbować tu przyplłynąć z Zimbabwe. Ostatecznie w tamtej rzece też są krokodyle.

Głośnie szemranie cykad unosi się razem z upałem, w miarę jak posuwamy się o długość jednego samochodu na raz, cały czas w oparach tlenku węgla. Dwa samochody przede mną stoi autobus wypakowany po brzegi torbami, kurami i tłumem ludzi. Plątanina zagubionych rzeczy w tym pojeździe przypomina chmurę rozdygotanego spaghetti.

Nawet tutaj panuje nerwowa krzątanina jak w Zoo City. Niewykluczone, że to osobliwość spotykana nie tylko w Hillbrow. Może po prostu takie jest całe RPA. Robisz, co trzeba, korzystasz z okazji. Wędrowni sprzedawcy przechadzają się wzdłuż rzędu pojazdów, oferując ciepłe napoje

chłodzące i chipsy, fajki na sztuki albo całe paczki remingtonów gold. Dwie dziewczyny w minispódniczkach i zakurzonych pantoflach na wysokim obcasie uwodzicielsko wychylają się z okna samochodu z napędem na cztery koła. Życie na granicy trwa dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bo ludzie mają potrzeby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Leniwiec jest ukryty w rattanowej torbie pełnej ciuchów, z dziurą wyciętą z boku, żeby miał jak oddychać. Torba jest ułożona na dachu pośród stosów innych toreb, wypełnionych tymi rzeczami, które obywatele powracający do Zimbabwe zawożą swoim rodzinom. Ubrania, puszki z jedzeniem, koce, narzędzia, papier toaletowy, podpaski higieniczne. Wyrzucę to wszystko gdzieś po drugiej stronie. To tylko przykrywka, dopóki wciąż jestem na terytorium RPA. Wciąż pod jurysdykcją inspektor Tshabalali. Nie mówiąc już o Vuyo.

Capri zostało przemalowane i jest teraz czarne. Kazałam też wstawić szyby. Do tego nowe tablice rejestracyjne, razem z moim nowym paszportem z Zimbabwe, na nazwisko Tatenda Murapata, lat dwadzieścia dziewięć, pełnoetatowa opiekunka do dzieci, która wyjeżdża do domu na wakacje. D'Nice zdobył dla mnie te papiery, żeby mi wynagrodzić fakt, że to on wskazał glinom, gdzie mieszkam. Ale zrobił to dopiero wtedy, gdy zagroziłam, że go



wrobię w morderstwo pani Luditsky. Nie musi wiedzieć, że już przekazałam nóż, po tym jak go wyłowiłam ze ścieków razem z porcelanowym kotkiem. Nawet pomógł mi wymienić moje podrobione banknoty po dobrym kursie. To, że są podrabiane, nie oznacza jeszcze, że są pozbawione wartości, zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z celnikami, którzy nie przyglądają się zbyt uważnie.

Benoit jest wciąż w szpitalu. Stan krytyczny, mówią lekarze. Używają terminów medycznych, ale na ile rozumiem, to są połamane żebra, potłuczone serce, przebite płuco, uszkodzenie nerwu w przemieszczonej ręce. Będzie potrzebował wielu miesięcy fizjoterapii. Może nigdy nie odzyska w niej pełnej sprawności. Najgorsze jednak jest ukąszenie. Bo to jest magia. Rany zadane przez zwierzęta dłużej się goją, a poza tym towarzyszą im dziwne skutki uboczne. Benoit lawiruje między przytomnością, której towarzyszy gorączka, a brakiem przytomności, który graniczy ze śpiączką, tyle że z towarzyszeniem bardziej kapryśnej aktywności mózgu, jakby w nim wciąż się zmagał z potworami. Mangusta krąży nerwowo po korytarzach szpitala, wychudła i nieszczęśliwa. Tu nic zrobić nie mogłam.

Osiem dni do Kigali, jeśli będę się trzymała wytyczonej trasy i przy okazji nie natrafię na żadne dziury w drodze albo blokady policyjne, z których nie uda mi się wydostać za pomocą łapówki.

*Dzień pierwszy: z Johannesburga do Harare*  
*Dzień drugi: z Harare do Lusaki*  
*Dzień trzeci: z Lusaki do Mbeyi*  
*Dzień czwarty: z Mbeyi do Dar es-Salaam*  
*Dzień piąty: z Dar es-Salaam do Nairobi*  
*Dzień szósty: z Nairobi do Jinji*  
*Dzień siódmy: granica z południową Ugandą*  
*Dzień ósmy: z Mbasy do Kigali*

Nazwy tych miejsc brzmią jak nazwy nowych światów. Wcześniej podróżowałam tylko do Europy. Na wakacje na nartach, z rodzicami, kiedy miałam jedenaście lat, podczas których Thando złamał sobie nogę, nie na stoku, tylko na oblodzonym chodniku. Na wakacje połączone z pracą w Londynie, kiedy miałam osiemnaście lat; potrwało to miesiąc, zanim stwierdziłam, że mam gdzieś życie w jakimś nędznym mieszkanku i pracę w barze, po czym wróciłam do wygód domu moich rodziców w Craighall, z basenem, ogrodnikiem i sprzątaczką, która słała mi łóżko. Zanim poznałam Gio, zanim zabiłam swojego brata, przed Leniwcem.

Mam torbę w kratę pełną fałszywej gotówki. Mam plik zdjęć. Mam wydruki e-maili od pracownika ONZ. Mam imiona rodziny Benoita, numery dowodów osobistych i formularze podań o azyl w RPA.

Nie mam natomiast zezwolenia na opuszczenie kraju w związku ze śledztwem w sprawie seryjnego zabójstwa.

Celvie. Armand. Ginelle. Celestin. Będzie niezręcznie. Ale to będzie najlepsza rzecz, jaką zrobiłam w swoim nieszczęsnym życiu.

A potem? Może na jakiś czas gdzieś się zagubię.

## PODZIĘKOWANIA

Trudno sprawić, by fantastyczne nabrało cech wiarygodności. Ja miałam to szczęście, że znalazłam chętnych do współpracy.

Pragnę szczególnie podziękować Johnsonowi Sitholeowi z JBS Security, który był moim przewodnikiem po Hillbrow i Berei (zwłaszcza za to ci dziękuję, Johnson, że nie zabrałeś swojego pistoletu), oraz fotografowi Markowi Shoulowi za to, że go polecił.

Dziękuję Lindiwe Nkutha za to, że mnie zabrała na targowiska uzdrowicieli Mai Mai i Faraday oraz za to, że wspólnie ze mną pozwoliła się nie wpuścić do Rand Club, bo obie byłyśmy niestosownie ubrane. Pragnę wyrazić wdzięczność administracji High Point i ich ekipie młodych, ambitnych pracowników ochrony (naprawdę złapali gwałciciela), którzy oprowadzili mnie po całym budynku.

Moją biblią w trakcie pisania tej książki była znakomita popkulturowa historia miasta *The Joburg Book* autorstwa Nechamy Brodie, która przysłała mi kilka osobistych zaleceń, mapy zaopatrzone w komentarze i pomagała w zbieraniu materiałów. Dziękuję także moim wspaniałym przyjaciółkom, Georgi Guedes i Ter Hollman, za to, że włączyły się ze mną po różnych miejscach.

W tajniki przemysłu muzycznego wprowadzili mnie Esther Moloji, Jason Curtis, Gabi le Roux, Shamiel Adams oraz dziennikarz muzyczny Evan Milton, który koniecznie chciał przeprowadzić wywiad z Odim Huronem, do nieistniejącego czasopisma oczywiście. Dziękuję wam wszystkim, a także autorowi książek podróżniczych, Justinowi Foxowi, za to, że pomógł mi opracować trasę podróży Zinzi.

Dziękuję również Charliemu Humanowi i Samowi Wilsonowi, którzy zostali zaprzęgnięci do napisania dodatkowych materiałów do tej książki, a więc odpowiednio artykułu psychologicznego na temat Cofki oraz wywiadów przeprowadzonych w więzieniach. Oba te teksty przydały głębi mojej opowieści i wyposażyły ją w perspektywę, której sama nigdy bym nie wymyśliła.

Bezcennej pomocy udzielili dr Meg Jones oraz sanitariusz Cape Medical Response, Chris de Meyer, którzy ocenili fachowo pod względem medycznym rozmaite fikcyjne sytuacje i obrażenia odniesione przez bohaterów powieści.

Jestem bardzo wdzięczna Jamali Safariemu, który opowiedział mi o swej wyprawie z DRK do RPA (mam nadzieję, że już niebawem napisze o nich książkę), rozplątał akronimy oraz gmatwaninę konfliktów o surowce naturalne, których skutkiem było około 5, 4 miliona ofiar śmiertelnych w Kongu

od 1998 roku. James Bocanga, jeszcze jeden emigrant, który prowadzi własną firmę ochroniarską w mojej dzielnicy, cierpliwie opowiadał o codziennym życiu, a także tłumaczył dla mnie slang.

Biskup Paul Verryn zaprosił mnie do siedziby Central Methodist Church, gdzie w owym czasie mieszkało ponad trzy tysiące uchodźców w straszliwych, odczłowieczających warunkach – skądinąd lepszych niż spanie na ulicy. Było to szokujące i upokarzające doświadczenie, którego nie potrafię zapomnieć, mimo że nie znalazłam sposobu na to, by przełożyć je na język fikcji. Kościół metodystów oferował schronienie podczas ksenofobicznych ataków w 2008 roku i nadal oferuje wsparcie, mimo że wielu stara się ignorować straszliwą sytuację uchodźców w RPA.. Sytuacja ta stanowi przedmiot nieustających kontrowersji, zwłaszcza ostatnimi czasy, a jednak ludzie, których tutaj poznałam, okazali się odważni, empatyczni i widziałam, że starają się, jak mogą, wbrew najbardziej niesprzyjającym okolicznościom.

Bardzo przydała mi się książka Tima Butchera *Blood River: A Journey to Afrikas Broken Heart*, poświęcona DRK, a książka Jane Bussman *The Worst Date Ever: War Crimes, Hollywood Heart-Throbs and Other Abominations* stanowiła inteligentne, na poły straszne, na poły zabawne źródło wiedzy na temat LRA, zwłaszcza ich akcji na

terenie Ugandy.

Było jeszcze sporo innych książek, które okazały się bezcenne, między innymi *Hot Type* Bongani Madondo, *Room 207* Kgebetli Moele – smutna, śmieszna i piękna powieść o Hillbrow, *Smacked* – autobiograficzna opowieść o uzależnieniu Melindy Ferguson, przygnębiające *Ways of Staying* Kevina Blooma oraz przede wszystkim fascynujące i niestety już nie do dostania w księgarniach *Myths and Legends of Southern Africa* Penny Miller, które nie dawały mi spokoju w dzieciństwie za sprawą cudownych opowieści i niepokojących ilustracji.

Intrygującym i cudownym źródłem informacji była fantastyczna strona internetowa Matta Weema warlordsofghanistan.com, do tego stopnia, że kusilo mnie, by zarzucić tę powieść i napisać w zamian o niej.

Przyjaciele na Twitterze koniecznie chcieli mi pomagać, gdy poszukiwałam informacji na najrozmaitsze tematy, poczynając od kanałów burzowych po dobre miejsca na porzucenie ciała (kwestia odrobinę tylko upiorna, moi drodzy). Dziękuję szczególnie @6000 i @ghostfinder za rady w kwestiach medycznych, a także @mattduplessis, @brodiegal, @gussilber i @louisgreenberg za wskazówki dotyczące Joburga. I wszystkim pozostałym autorom wpisów o rozmaitych gatunkach broni oraz o tym, jak łatwo jest podważyć bramę za

pomocą lewara.

Rozmaici autorzy spamu związanego z przestępstwem nigeryjskim udzielili mi wielkiej pomocy, przysyłając prosto na moją skrzynkę materiały źródłowe (możecie kontaktować się ze mną, by dostać procent od moich tantiem, tyle że będą z tym związane pewne drobne koszty administracyjne), a jeszcze goręcej powinnam podziękować dobrym ludziom z 419eater. com oraz ScamWarners. com, funkcjonariuszom policji z Jednostki nr 419 oraz ofiarom, z którymi przeprowadziłam wywiady do artykułów w „Marie Claire”

i „Cosmopolitan”, za ich informacje na temat oszustw internetowych i syndykatów, które nimi sterują.

Dziękuję moim uważnym i bardzo krytycznym czytelnikom: Sarah Lotz, Samowi Wilsonowi, Zukiswie Wanner, Lindiwe Nkutha, Verashni Pillay, Nechamie Brodie, Charliemu Humanowi, Louisowi Greenbergowi i mojemu mężowi Matthew Brownowi – to dzięki wam ta książka jest, jaka jest.

Dziękuję moim genialnym ilustratorom, Johnowi Picacio i Joeyowi Hifi; obaj stworzyli dwie najpiękniejsze okładki świata – ten pierwszy do wydania amerykańskiego, ten drugi do wydania przeznaczonego dla czytelników z Wielkiej Brytanii i RPA. Obaj są niesamowici pod różnymi względami i



obaj, mimo wariackiej ilości innych zajęć, zechcieli poświęcić swój czas, by wykonać tę pracę. Jestem im bardzo wdzięczna.

Znakomicie mi się współpracowało z Markiem „Marco” Gascoigne i Lee Harrisem z Angry Robot, podobnie z Peteem van der Woude i Maggie Davey z Jacany, a także z Helen Moffett, moją redaktorką.

Na koniec pragnę podziękować mojej rodzinie i przyjaciołom – zwłaszcza Matthew i Keitu – to oni sprawili, że warto było podjąć się tego wszystkiego.